

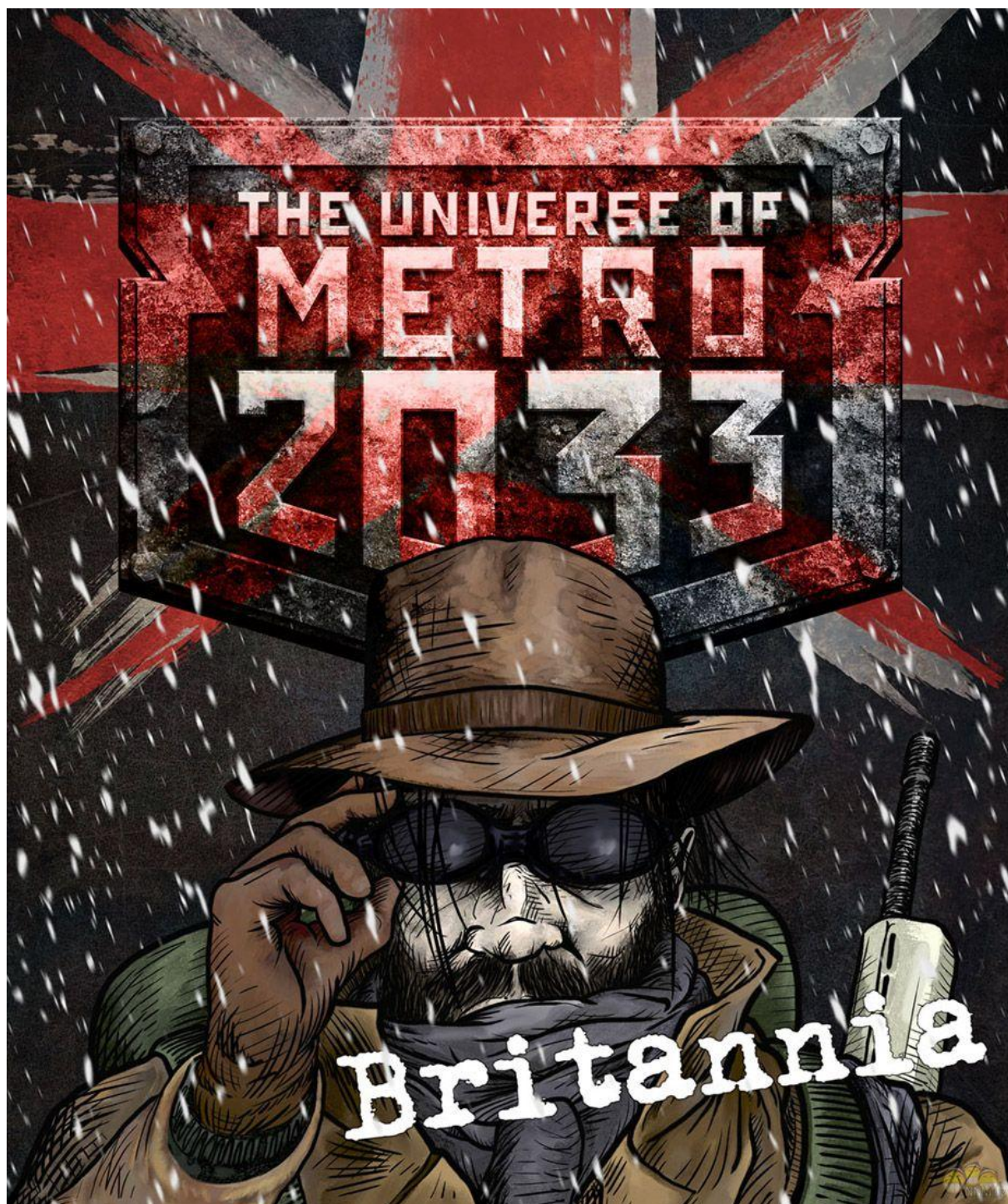


Grant McMaster

"Brytania"

Tłumaczenie: Leo0502

Rysunki autorstwa Aleksandra Kulikowa pochodzą z oficjalnej strony "Uniwersum Metro 2033" w serwisie VK - vk.com/metro2033.books



Grant McMaster

"Britannia"

Tłumaczenie: Leo0502

Rysunki autorstwa Aleksandra Kulikowa pochodzą z oficjalnej strony
"Uniwersum Metro 2033" w serwisie VK - vk.com/metro2033.books



GLASGOW



DUNDEE



EDINBURGH

CARLISLE



NEWCASTLE UPON TYNE

YORK



LEEDS



SHEFFIELD



DONCASTER



CONISBROUGH



CHESTERFIELD



DERBY



LEICESTER

LONDON



ADNOTACJA

"Metro 2033" Dmitrija Głuchowskiego - kultowa powieść fantasy, najczęściej omawiana rosyjska książka ostatnich lat. Nakład - pół miliona, tłumaczenia na dziesiątki języków i wspaniała gra komputerowa! Ta postapokaliptyczna historia zainspirowała całą rzeszę współczesnych pisarzy i teraz razem będą tworzyć "Uniwersum Metro 2033", serię książek na motywach znanej powieści. Bohaterowie tych nowych historii wyjdą w końcu poza moskiewskie metro. Ich przygody na powierzchni Ziemi, prawie unicestwionej przez wojnę jądrową, przewyższają wszelkie oczekiwania. Teraz walka o przetrwanie ludzkości będzie się toczyć wszędzie!

Poznajcie się! Pierwsza książka "Uniwersum Metro 2033" napisana przez obcokrajowca o swoim kraju!

W powieści Granta McMastera przed czytelnikiem rozgrywa się tragiczna historia, przepełniona gniewem i bólem. Poprzez pokryte śniegiem i lodem atomowej zimy wrzosowiska idzie prosty listonosz o imieniu Euan. Jego droga jest trudna i długa śmierć czyha na każdym kroku, a nadziei prawie nie ma. Ale ani mutanty, ani łowcy niewolników, ani druidzi nie są w stanie zatrzymać tego, którego zwą "ostatni błędny rycerz Brytanii"...

Dedykacja:

Mojej rodzinie i przyjaciołom: z wami życie ma sens.

SPECJALNE PODZIĘKOWANIA DLA:

Benedicta Hollis za dbałość o szczegóły, bezinteresowność i poświęcony czas; Faye Hancock, Boba Clayton i Carry Stuart za cenne pomysły. Osobne podziękowania dla Deanny Hawke i Dmitrija Głuchowskiego za cierpliwość i profesjonalizm.

(Pisownia nazwisk może być błędna i nie zgadzać się z oryginalną, gdyż książka dostępna jest tylko w języku rosyjskim i z niego dokonywany jest przekład - przyp. tłum.)

Marsz "Uniwersum"

Notka objaśniająca Dmitrija Głuchowskiego

Ze wszystkich książek, które wyszły do tej pory w serii "Uniwersum Metro 2033", "Brytania" jest najbardziej niestandardową, najbardziej niezwykłą.

Po pierwsze, fabuła nie rozgrywa się w Rosji i nawet nie w jednej z republik byłego ZSRR; miejsce akcji - zgliszcza starej Wielkiej Brytanii: Szkocja i Anglia. Po drugie, sam autor nie jest z naszych. Grant Joseph McMaster jest Brytyjczykiem. No i na koniec po trzecie: książka pierwotnie nie została napisana po rosyjsku, a w języku angielskim.

W świecie do tej pory nie było jeszcze nigdy przykładów tego, żeby autorzy z różnych krajów w różnych językach pisali o jednym i tym samym wymyślonym świecie, tym samym razem tworząc go. Jesteśmy pierwsi.

A "Uniwersum Metro 2033" jest stworzone po prostu jak seria książek, a jak obszerny twórczy projekt, przekształcający się teraz w projekt unikalny, międzynarodowy i międzykulturowy. W ramach niego autorzy z różnych krajów, każdy w swoim języku, będą pisać o swojej wizji przyszłości w postapokaliptycznym świecie.

Następna w kolejce jest powieść "Korzenie niebios" znanego włoskiego pisarza Tullio Avoledo, książka o postnuklearnym Rzymie i o opuszczonej strasznej Wenecji, którą zamierzamy przełożyć na rosyjski i wydać w nowym, 2012 roku. Za nią czeka powieść o postapokaliptycznej Kubie od kubańskiego twórcy i wiele innych.

I oczywiście, wszystkie powieści opowiadają o roku 2033, wszystkie one są ze sobą związane, i wszystkie są umieszczone w ramach "Uniwersum Metra"

Tymczasem w Niemczech, Polsce i Włoszech już wychodzą książki "Uniwersum", napisane przez rosyjskich autorów, w dalszej kolejności są Szwecja, Bułgaria, Hiszpania. "Do światła", "Marmurowy raj", "Piter"... "Metro 2033" stopniowo podbija świat, a my nie planujemy spocząć na laurach.

"Uniwersum" jest w marszu. Dołączcie do naszego grona.

Dmitrij Głuchowski

Prolog SEN



Ten koszmar Euan widzi znów i znów.

Prawie każdej nocy musi znosić te tortury zanim będzie mu dane przebudzić się w zimnym pocie. Nie było siły cokolwiek zmienić, nie było siły nawet zwyczajnie się poruszać, po prostu patrzy...

...On, malutki chłopczyk, bawi się zepsutym samochodzikiem przy samych drzwiach tunelu... Następuje wybuch! Głuchy dźwięk dochodzi do jego uszu jednocześnie z falą uderzeniową... Niewidoczna potężna ręka odciąga go w bok.

Przyciskając się do porozbijanych, okopconych płytek, którymi wyłożone są ściany, Euan z oniemiaaniem rozglądał się wokół. I wtedy do tunelu wpadają obcy ludzie. Ubrani są w brudną żółć i brąz. Przed nimi, jak zwiastun strasznego nieszczęścia, pędziła fala zimnego wiatru. Ona ściiera się z ciepłym, stęchłym, podziemnym powietrzem i w tunelu zwisa lekka mgła, w którą odziani w maski najeźdźcy wydają się ogromnymi, złośliwymi owadami.

Drgają automaty w rękach ludzi-owadów. Słychać stłumione wystrzały i ogłuszona wybuchem kompania reprezentacyjna tańczy jak szmaciane lalki na sznurkach, kiedy ich ciała rozrywały kule. Na koniec rozlegają się krzyki - całe wiele po tym, jak miał miejsce wybuch.

Obcy suną po tunelach jak żółto-brązowy wir, uderzenia kolbami sypią się na głowy staruszków, kobiet. Piszczą ze strachu dzieci próbując się ukryć. Bez powodzenia: nikt się nie uratuje.

Jeńców skuwają kajdankami i wyprowadzają z tunelu na górę, na światło gasnącego dnia. Jęczą kobiety. Dzieci płaczą.

Z głębi Metra dochodziły krzyki zaalarmowanego garnizonu, ale ludzie-owady już się wycofywali ciągnąc za sobą swoją zdobycz. Jeden z nich nagle się zatrzymuje, patrzy w dół i zauważa, że chłopczyk siedzący na podłodze pośród gruzu i zniszczonych samochodzików jest jeszcze żywy. Silne ręce sięgają po malucha i podnoszą go. Złowroga, szydlerza parodia ojcowskiego uścisku...

Wystrzały za plecami są coraz bliżej i bliżej. Człowiek w masce przeciwgazowej biegnie po zasypanych gruzem schodach, a odbijające się światło błyszczy w szklach okularów. Wydaje się, że nie ma oczu.

Wcześniej chłopiec nigdy nie był na powierzchni. Lodowate powietrze ostrymi szpilami przebija płuca, wydziera ciepło z ubrania. Dziecko przechodzi dreszcz. Szare niebo nad głowami ciągnie się łukiem w nieskończoność, a chłopiec wczepia się w swojego porywczaka nieświadomie ze strachu, że upadnie w górę, w niebiosy.

Przed sobą ludzie-owady wpychają jeńców do ciężarówki. Wokół nich na obwodzie stoją inni, celując lufami w stronę brudnych ruin.

Z otworu tunelu dochodzi jeszcze jedna eksplozja, tym razem krótsza i ostrzejsza, przerywając krzyki ludzi pod ziemią. Panuje dziwna cisza, którą naruszają tylko chrypiące oddechy porywaczy oraz jęki jeńców.

Człowiek-owad podnosi chłopca i wsadza do naczepy. Zobaczywszy tam swoją siostrę, chłopiec rozpaczliwie wtula się w nią. Ich mama także tu jest, leży bezwładnie na zardzewiałej podłodze naczepy. Jej włosy są sklejone od zakrzepłej krwi. Siostra ostrożnie ją przytula i próbuje wytrzeć krew, błyszcząc od ciekących łez.

Z oburzeniem zgrzytają zawiasy i drzwi zatrząskują się.

Ciasnota i ciemność dają dziwne, nieoczekiwane uczucie bezpieczeństwa, a od ściśniętych do siebie ciał idzie ciepło i rozdzierające płuca szpile tępią się.

Ciężarówka zaczyna drżeć, jakby ogarnięta przez drgawki. Silnik uruchamia się i pracuje nierówno, kaszle, jak gdyby jemu też ciężko oddychało się na mrozie. Samochód rusza się z miejsca, kołysząc się na wybojach, kołysząc się znów i znów...

Rozdział 1 METRO

Zabrali ich.

Świadomość tego zwała go z nóg, niczym wybuch, razem z którym w ich przytulnym podziemnym świecie pojawili się obcy.

Euan stał obok pozostałych ludzi i tak samo ze stratą i bezradnie patrzył na betonowy gruz i poskręcane metalowe belki przed zniszczonymi hermetycznymi wrotami. Śnieg na zewnątrz był zdeptany i pokryty śladami opon: zdaje się, że obcy przyjechali dwoma ciężarówkami. Obok na śniegu były szkarłatne plamy: widać niektórzy niezadowoleni próbowali się opierać. Czyżby jego żona?...

W duszy było pusto i martwo. Z niej jakby wyrwano kawałek: całą jego rodzinę. Ale u Euana nie dało się nawet poznać tego, a tym bardziej poczuć. Potem, później, ogarnia go uczucie nieodwracalności, grozę spotykanego nieszczęścia... Ale na razie wszystko wokół po prostu pływało. Na razie Euan jakby cały jeszcze był we mgle.

Tak samo stali i pozostali mężczyźni - rozbici, zakłopotani - powoli dochodząc do siebie. I tylko starszek Jonathan, przywódca na stacji, irytował się i przeszkadzał oszołomionym ludziom. Jonathanowi było łatwo: on nie stracił nikogo z bliskich w tym koszmarnym najeździe. Jego bardziej zainteresowało, jak załatać wyłom we wrotach, zanim do Metro wpelźnie jakieś dziadostwo.

- Panowie, doprowadźcie się do porządku. Trzeba zatkać dziurę przed budzą - powiedział starzec. - Euan, weź Bena i Iana i skoczcie na budowę, na której w zeszłym miesiącu grzebał Luke. Przynieście stamtąd wszystko, co potrzeba. No i weźcie broń. A nuż te szumowiny są gdzieś w pobliżu...

Znalezienie odpowiednich żelaznych blach i materiałów budowlanych zajęło cały dzień. Na siarczystym mrozie myśleć o niczym innym się nie dało: żeby tylko przeżyć, żeby tylko znaleźć materiały, żeby zatkać lukę. Potem jeszcze dzień minął na tym, żeby jakoś załatać ten cholerny otwór.

Przez ostatnie kilka lat miasto było dokładnie przeczesane: górnicy, wydobywając przydatne rzeczy dla mieszkańców podziemi, dostawali się coraz dalej.

Póki szła robota, ciepło wyciekało z Metra, jak krew z otwartej rany. Minie nie jeden miesiąc zanim temperatura w tunelach znowu wróci do normalnego poziomu: nieco powyżej zera.

Skończywszy ich zespół wracał pod ziemię, do rodzinnego, bezpiecznego półmroku peronów i tuneli metra miasta Glasgow.

Tego wieczoru Euan jadł kolację u sąsiadów.

Dave i Mary byli przyjaciółmi Julii, a Euan nigdy tak naprawdę z nimi nie rozmawiał. A teraz oni nagle okazali się być dla niego najbliższymi ludźmi.

Byli, w ogóle, sympatycznymi ludźmi. I oni Euanowi współczuli. Prawie fizycznie odczuwał to ich współczucie. Ruszali się powolnie, mówili cicho... Euan milczał. I nie mógł oderwać wzroku od swojego namiotu... Od namiotu, który jeszcze wczoraj był ich - jego, Julii i dzieci, Gwen i Michaela.

Zamknij oczy - a oni znów pojawiają się w pobliżu. Julia przygotowuje kolację na węglach z dużego stacyjnego ogniska, któremu nikt tu nie daje zgasnąć.

"Euan, bądź tak dobry, zabierz nogi ze stołu. Jestem zmęczona jego czyszczeniem" - oburzała się.

On ściąga nogi ze stołu, a w tej samej chwili jego synek kładzie swoje nogi w tym samym miejscu.

"Ach ty! - krzyczy Julia. - To już bezczelne!"

Chwyta drewnianą łyżkę i, groźnie marszcząc brwi, idzie do niego - ale Michael, szyderczo się śmiejąc, już zwiewa od stołu.

Córka Euana - wyrosnie piękna! - kłaskała językiem, wycierając kurz z niskiego, składanego stołu i dokładnie rozkłada widelce i łyżki po bokach plastikowych misek...

- Przecież wiesz, stary, wysledzić kogoś poza granicami naszego miasteczka jest niemożliwe... Inaczej byśmy obowiązkowo... Zwłaszcza Julia... - znowu bąknął Dave.

Gdzieś w środku wybuchł szloch, ale Euanowi udało się go stłumić i siadając do stołu usłyszeli tylko krótki jęk.

Dzieci Mary i Dave'a obserwowały go z zaciekawieniem. Gospodyni podeszła i jak matka delikatnie objęła gościa za ramię.

Wszyscy wokół czekali aż Euan pogodzi się ze stratą i zacznie żyć jakby nic się nie stało.

Wyleźć z Metra, żeby wlec się gdzieś po powierzchni w ślad za zbiegłymi porywaczami, było rzeczą bezmyślną i skazaną na porażkę. O tym Euanowi powtarzali wszyscy wszem i wobec. Nawet Dave mówił to za którymś razem. Euan wiedział, że prawie pozostali stracili już nadzieję znowu zobaczyć swoich krewnych i bliskich i opłakiwali ich jak zmarłych.

Mary znowu wzięła się za gotowanie, a Euan patrzył na nią nieprzytomnym wzrokiem, pogrążony we własnych myślach. Nie miał nic do tego, co myśleli pozostali; jeśli śmierć zwraca swoje kościste szpony do niego lub jego bliskich, on nie będzie czekać na nią z pokorą gospodarskiego bydła.

Jak można pozwolić sobie po prostu popłakać, nawet i zapomnieć ludzi, najbliższych których nie będziesz miał? Jak można zaliczyć ich do zmarłych, jeśli jest choć maleńka nadzieja na to, że jeszcze żyją, że można ich uratować i zabrać do domu?

Euan przebrnął w umyśle przez wszystkie argumenty nawołujące go do poddania i zanurzenia się w to samo żałobne bagno, gdzie już babrali się inni desperaci - i posłał je w diabły.

Jego żona i dzieci nie umarli! Ich po prostu zabrali i niech będzie przeklęty, jeśli zostawi ich na pastwę losu!

Kiedy świat dosięgła kara boska i ludzkość ukryła się pod ziemią przed szaleństwem i rozpaczą na powierzchni, Euan był mały. Ci, którzy przeżyli te surowe czasy, wiele się nauczyli. Na przykład skrywać swój ból tak głęboko, że na chwilę i oni o nim zapominali. Euan postanowił: nie czas na żałobę. Odnajdzie swoją rodzinę; ktokolwiek by jej nie porwał. Uratuje ich i sprowadzi do domu. Jeśli to jeszcze możliwe...

Na stacji postanowili, że ruszył głową.

- Euan, ty ich nigdy nie znajdziesz - przekonywał Jonathan po przyjsciu do Mary i Dave'a po kolacji. - Na ziemi wszystko się tak zmieniło... I pojęcia nie mamy, kto i gdzie ich zabrał.

- Możemy stracić i ciebie, Euan, a ty jesteś nam potrzebny - dodała Mary.

Euan kiwnął głową, uśmiechnął się i cicho odparł:

- Wydaje mi się, że swoim jestem teraz troszkę bardziej potrzebny.

Współczucie na twarzy Mary zmieniło się w niedowierzenie.

- Ty tak serio? I jak to zamierzasz ich szukać? - zapytała smutno.

- Pójdę po śladach opon na śniegu. Coś mi podpowiada, że pojechali tam, skąd przybyli. Zdobycz złapana, można wracać...

- A co to za stworzenia, które przychodzą z południa? - spytał Dave.

Przez lata po wojnie Ziemia mocno się zmieniła. Znane człowiekowi zwierzęta prawie całkowicie wyginęły, a na ich miejsce przyszły stworzenia straszne i dziwne. Cholera wie, czy są to zmutowane zwierzęta, znane człowiekowi przed Katastrofą, czy to broń biologiczna i radiacja stworzyły jakieś już zupełnie niespotykane, nowe gatunki stworzeń, jakby wyciągając je na powierzchnię z samego Piekła. A co za różnica, jak właściwie pojawiły się na świecie te wszystkie stworzenia? Wszyscy w Glasgow wiedzieli na pewno: bez względu na to skąd one się wzięły, dobra nie należy od nich oczekiwać.

- Zabiorę karabin - wrzucił ramionami Euan - i wszystko co wyproszę u sąsiadów.

Troje ludzi przed nim z zakłopotaniem patrzyło się na niego.

- Ty naprawdę nie żartujesz? - spytał Jonathan.

Po jego głosie dało się poczuć, że dla staruszka Euan dopiero co przeszedł z kategorii ekscentryka do normalnych ludzi w miejskim szaleństwie.

- Wszystko sobie postanowiłem - rzekł Euan.

- Posłuchaj, koleś... - spochmurniał Jonathan. - Sam wydajesz na siebie wyrok... No tak, Julia, dzieciaki... Ale sam to mógłbyś jeszcze pożyć, co?

Euan uparcie milczał.

- No i do diabła z tobą! - westchnął Jonathan. - Ty wiecznie, jak Don Kichot, walczysz z wiatrakami! Dobra... Pójdziemy, pomogę ci się zabrać - warknął.

Wszyscy pozostali patrzyli się na niego pustymi oczami. Wyglądało na to, że nikt, oprócz staruszka, w ogóle nie był w stanie zrozumieć, po jakie diabły Euan miałby ryzykować życie i jak

poważnie można się kłócić o to, żeby opuścić bezpieczne i zamieszkałe Metro w Glasgow - choćby i po to, żeby ratować swoją rodzinę. Tak, wojna ludzi zdrowo zmieniła, pokręcił głową starzec.

Wstał od stołu i poszedł zebrać dla Euana wszystko, co mogło przydać się w podróży. Niech inni narzekają i kręcą palcami przy skroni - dla staruszka "wolność" nie było pustym słowem. Nie wolno narzucać innym swojej woli. Powinny przecież być jakieś ideały starego świata zachowane dla nowego... A to i tak nie ostanie długo.

Jonathan był przekonany, że widzi Euana ostatni raz i żałował tego: nie zważając na swój upór i inne dziwactwa, Euan był człowiekiem nadziei, a i ręce rosły mu we właściwym miejscu.

Euan milcząc siedł za staruszką, słuchając, jak coś cichutko gwizdże. Zdaje się, że "Niemożliwe marzenie".¹ Zatrzymawszy się, zaśpiewał kilka linijek na głos, zanim poszli dalej:

To fight for the right
Without question or pause
To be willing to march into Hell
For a heavenly cause

Euan nauczył się piosenki, ale i tak nie pamiętał, co się śpiewało dalej.

¹ Aria z musicalu Dale'a Wasserman'a "Człowiek z La Manchy", na motywach powieści Cervantesa "Przemysłny szlachcic Don Kichote z La Manchy" (przyp. aut.)

Rozdział 2 SZKOCJA

Julia lekko podniosła się, niezdarnie opierając się na łokciach. Zakaszła, przelknęła ślinę i skrzywiła się, jak gdyby przełykała coś gorzkiego. Prawa połowa jej ciała zdrętwiała; nie będzie w stanie jeszcze długo udawać, że jest z nią wszystko w porządku - żeby tylko dzieci nie panikowały.

Córka i syn skulili się bliżej niej, Michael przycisnął się do ręki siostry. Twarz obojga były równie napięte, blade i przerażone.

- Mamo, w porządku? - spytała Gwen pochylając się całym ciałem nad Julią.

Ta podniosła rękę do głowy i z roztargnieniem przesunęła palcami po kołtunie za prawym uchem: zakrzepła krew kleiła ze sobą włosy i każde dotknięcie powodowało ostry ból. Ledwie powstrzymawszy jęk, szepnęła pocieszająco:

- Wszystko będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze.

- Nie sądzę - całkiem jak dorosła spojrzała na nią Gwen.

Julia zamrugła.

- Wszystko będzie dobrze - ledwo poruszając językiem, ale starając się mówić wyraźnie, powtórzyła z uporem. - Tylko troszkę odpoczne...

Zwiotczała, bezsilnie upadając na wydeptaną podłogę. Gwen zbliżyła się do niej, ostrożnie dotknęła zakrwawionej głowy matki. "Kijowo" - pomyślała i w tym samym momencie poczuła przypływ odwagi, odkąd powiedziała (choćby i do siebie) słowo, za które oberwałyby od dorosłych po pierwszym użyciu.

Michael także zbliżył się do nich, objął matkę i szepnął jakiś wierszyk ze swoich zabaw. "Nie boli, nie boli..." - usłyszała Gwen.

Wewnątrz ciężarówki nie było praktycznie niczego. Jeńców po prostu wrzucono do środka i pozostawiono samych sobie. Ściany były wykonane z zardzewiałych i wytartych blach i gdzieniegdzie zabite drewnianymi deskami, dach z włókna szklanego, pokryty z zewnątrz drucianą siatką, pokrywała pajęczyna pęknięć. Z otworu obok silnika szedł strumień ciepłego powietrza. Ledwie go wystarczało, aby więźniowie nie zamrzli na śmierć. Wilgoć utworzyła krople na gołej, metalowej powierzchni; za panelami i we wszystkich kątach narosła pleśń.

Innych dzieci w naczepie nie było, tylko czternaście kobiet i jeden staruszek, wszyscy śmiertelnie przerażeni. Nikt nie proponował innym pomocy, ani słowa pocieszenia: każdy siedział chowając twarz między kolanami i zgłębiając się z głową we własnym strachu.

Nie dało się ustalić, jak długo są już w podróży. Trzy, cztery godziny, nie mniej.

Matka jęknęła w połowie przytomna i zacisnęła palce, jak gdyby próbowała naciągnąć na siebie niewidzialny koc. Gwen wyciągnęła rękę i dotknęła bladą matczyną twarz. Była gorąca i lepka od potu.

- Nie pomaga - smutno stwierdził Michael, porzucając swój wierszyk. Chcę jeść, Gwenny. I pisać. Racja.

Julia straciła przytomność.

Zbliżała się noc. Światło wpadające przez dach zaczęło znikać. Michael już nie marudził, a siedział w rogu i płakał obejmując rękami brzuch.

Gwen nie od razu zrozumiała, że ciężarówka zatrzymała się; z bezwładności nadal bujała się z boku na bok razem z pozostałymi więźniami.

Drzwi z hukiem otworzyły się i nagły przepływ zimnego powietrza podniósł na nogi wszystkich jeńców, którzy mogli jeszcze stać. Ludzie drżeli z zimna, niepewnie przestępując z nogi na nogę.

- Idźcie się odlać - stłumionym głosem powiedział stojący w otworze mężczyzna w masce przeciwwgazowej.

Gwen zawahała się. Zostawić matkę samą w naczepie nie zdecydowała się, ale trzeba było pilnować też Michaela. Pozostali jeńcy, przepychając się nawzajem łokciami, tłumnie rzucili się do wyjścia.

- Mamo... - Gwen delikatnie potrząsnęła Julię za ramie. - Mamo!

Ku jej radości, matka otworzyła oczy.

- Zatrzymaliśmy się, można iść do toalety.

- Idź. Weź Michaela - ochryple odparła Julia.

Gwen nie podobało się jej płynące spojrzenie i to, że cały czas mrugała, jak gdyby nawet zmierzch był dla niej zbyt jasny.

- Pójdziemy, Gwenny!

Brat podszedł do drzwi i niemal zderzył z dziewczynką, która wyglądała na trochę starszą od Gwen, która wspinała się z ulicy do naczepy. Gwen na sekundę zmartwiła się, czy zostawić ją samą na samą z matką, ale Michael już wyszedł na zewnątrz - przyszło jej biec za nim i wyskakać na śnieg.

Nawet gdy więźniowie załatwili potrzebę, bacznie obserwowało ich dwóch strażników. Ale choćby ich tu nie było, nie udało by się uciec. Wokół, jak wzrokiem sięgnąć, rozciągały się śnieżnobiałe połacie przestrzeni bez żadnego miejsca do ukrycia, a mróz już przesywał do kości. Tylko w jednym miejscu widać było jakieś ruiny, ale jak któryś z więźniów miał oddalić się choć kroczynek od grupy, jak strażnicy strzelali w powietrze.

Guzdrać się na zewnątrz nie chciało się ani jednej dodatkowej sekundy. Poczekawszy na Michaela, Gwen podniosła go do naczepy ciężarówka i zaraz poszła jego śladem.

- Nad ich matką schylała się ciemnowłosa dziewczyna i coś czarowała.

- Ej, odejdz od mamy! - krzyknął Michael, wrywając się do przodu.

Gwen złapała go za rękę i pociągnęła z powrotem.

- Wiem, co robię - rzuciła dziewczyna. - Spadaj, dzieciaku. Pomogę jej.

- Nie potrzeba nam pomocy! - zdenerwowała się Gwen. - Sami sobie poradzimy!

- A ty byś brata przypilnowała. Teraz będą rozdawać jedzenie. Weź dla wszystkich swoich. Teraz przegapisz - do jutra nie będziecie niczego zjeść - pewnie powiedziała dziewczyna.

"Jedzeniem" okazało się metalowa miska z jakimiś wodnistymi pomyjami, które strażnik uparcie nazywał "owsianką". Każdy jeniec dostał taką miskę i plastikową butelkę z czystą wodą. Gwen wzięła jeszcze jedną miskę i butelkę dla matki i odeszła do ciężarówka, gdzie, obok stygnącego silnika, zwił się jej drżący od zimna brat.

- A gdzie mam?

Ogarnęła ją fala strasznego przerażenia.

- Nie wiem.

Dzieci patrzyły na siebie, nie mają siły powiedzieć tego, o czym w strachu myśleli oboje. Gwen przeniosła wzrok na parującą miskę z wywarem, którą przyniosła matce i postawiła przy ścianie, i zrozumiała, że jest tak głodna, że gotowa jest zjeść i jej kaszę. I wtedy uszczypnęła się w rękę, żeby ukarać się za chciwość i głupotę.

Wtedy podłoga znowu skrzypnęła: do naczepy powoli wspinała się Julia. Ciemnowłosa dziewczynka podtrzymywała ją pod łokciem.

- Mówią, że będziemy tutaj nocować. Zbliża się burza - powiedziała cicho patrząc w oczy Gwen, aż Julia położyła się na podłodze.

Gdzieś w ciemności rozległo się dalekie, przeciągłe wycie.

W otworze pojawił się strażnik i dał jeńcom palnik działający na spirytus. Następnie wsiadłszy do naczepy, zbliżył się do Julii i dzieci i rzucił im gruby, wełniany koc, cały w dziurach. Pozostali więźniowie, zazdrośnie patrząc na dziurawy koc, złowieszczo szeptała: za co takiej rodzinie trafiła się taka rozkosz? Dlaczego im, a nie innym?

- A my to co? - ochryłym głosem zapytał starszek.

- Właśnie! - rozległy się nieśmiałe głosy z różnych stron.

- Koce przysługują tylko dzieciom i rannym - warknął strażnik. - Jeśli zaczniecie tutaj bójkę przez nich, będę strzelać, żeby zabić.

- Dranie! - mruknęła jedna z kobiet i nie wiadomo było, kogo miała na myśli.

Strażnik przesunął pompkę strzelby i głosy zaraz ucichły. Objął twarze więźniów długim, ciężkim spojrzeniem, jakby zapamiętywał jak siedzą. I każdy, na kogo patrzył przez okulary maski przeciwwgazowej ten człowiek, opuszczał głowę.

Nawet kiedy zamknął drzwi, wszyscy dalej milczeli.

Noc było okropna. Chociaż grzejnik jako tako działał, dzieci do drżały pod kocem, przytulając się do matki. Po dźwiękach dochodzących z zewnątrz można było się domyślić, że strażnik trzyma wartę wokół ciężarówki.

Skrzypienie butów na śniegu słyszało się to z tej strony, to z tamtej, tworząc kręgi wokół ciężarówki.

- Oni sprawdzają, żebyśmy nie uciekli czy żeby nas nie zjedli? - zapytał cicho Michael.

Gwen kiwnęła głową:

- Z pewnością i jedno, i drugie...

Spali z przerwami: matka co rusz budziła ich jękami lub kaszlem. A kiedy zmęczenie robiło swoje i dzieci zamykały oczy, w ich wyobraźnię wdzierały się koszmary.

Po wyjściu z Metra na powierzchnię, Euan od razu natknął się na niewielką grupę ludzi: rozbili obóz i stali wokół ogniska, najwyraźniej czekając na niego. Fala nagłego strachu ustąpiła, jak tylko mężczyzna dostrzegł krzaciaste koce ze specjalnym ornamentem: kiedyś oznaczał on przynależność do rodu królewskiego Stuartów, a dziś - do innego dziwnego i groźnego gatunku ludzi.

- Zdrowia, chłopaki! - ostrożnie przywitał gości Euan, na znak powitania podnosząc ręce dłońmi do przodu.

- I tobie nie chorować Euan. Co cię do nas sprowadza? - potężny mężczyzna zrobił krok do przodu wyciągając rękę.

Dłoń Euana zniknęła w ogromnej łapie gościa.

- Żonę i dzieci mi porwano Angus. Obecny najeźdźcy.

- A ty, jak widać, ruszasz w pogoń? - uśmiechnął się wielkolud.

Euan milcząco kiwnął. Ludzie przy ognisku wymienili spojrzenia. Angus znowu się odezwał:

- Przepuść chłopaków, mamy do was sprawę.

Euan kiwnął głową i odszedł na bok. Czterech z gości udało się do wejścia do tunelu. Poczekawszy aż wszyscy znikną w otworze, Angus dodał:

- Nie zajmujemy ci z Dougalem dużo czasu.

Euan znowu popatrzył na ogarniętą ognistoczerwonymi włosami twarz wielkoluda. Angus był z ludzi żyjących w szkockich górach w czasach, kiedy wojna położyła kres cywilizacji i na cały świat spadła atomowa zima. Jak i ich legendarni przodkowie, górale byli dziećmi ciężkiego hartowania i szybko przysposobili się do życia w nowych warunkach. Prowadzili handel z ocalałymi szkockimi miejscowościami i polowali. Gdzie oni sami żyli, nikt dokładnie nie wiedział: nie rozpowiadali o tym, a leżąc z pytaniami bano się. W Metrze w Glasgow mieli kiepską reputację i miejscowi woleli trzymać się od nich z daleka.

- Dlaczego tak się przy mnie napinasz? - zapytał Euan.

Ci chłopacy nigdy nie stają się tak napięci. Coś stoi za ich propozycją...

- Jesteś miły gość... - uśmiechnął się facet. - Zastanawiamy się, jak by się z tobą bliżej poznać...

- Chcemy się upewnić, czy poszli na południe, a nie na północ - wyjaśnił Dougal, także się uśmiechając.

Euanowi ulżyło. Teraz wiadomo, dlaczego siedzą mu na ogonie: muszą się upewnić, że najeźdźcy nie ruszyli na północ, gdzie znajdują się osady górali.

- Właśnie teraz wychodzę - ostrzegł Euan.

- Zawsze gotowy - wyszczerzył się Dougal.

Górale podnieśli plecaki i broń myśliwską i Angus szerokim zamachnięciem ogromnej ręki pokazał Euanowi, żeby szedł pierwszy.

Stąpając po skrzypiącym śniegu, Euan zabrał z miasta dwóch gigantów, stąpając po śladach samochodów, w których porwali jego rodzinę.

Rankiem więźniowie zostali obudzeni piskiem otwieranych drzwi i porywem zimnego powietrza. Wiatr wdmuchiwał do środka naczepy śnieżynki. Znowu pojawiła się ciemnowłosa dziewczyna, z jej plecami majaczył strażnik.

- Wkrótce wyruszymy! - powiedziała dziewczyna. - Teraz dostaniecie jedzenie. A na razie możecie iść sobie ulżyć.

Gwen podniosła się, ale dziewczyna pokręciła głową.

- Nie śpiesz się. Wy troje pójdziecie z mną.

- Niby dlaczego? - zasepiła się Gwen.

- Tak będzie dla was lepiej - sucho odparła dziewczyna spoglądając na strażnika.

- Dlaczego zależy ci, żeby nam było lepiej? - spytała z niedowierzeniem Gwen.

Dziewczyna zmrużyła oczy:

- Nie lubię, kiedy zabierają dzieci lub biją kobiety.

- No to już nie polubisz - wychrypiała nagle Julia.

Ciemnowłosa dziewczyna wzdrygnęła się od tych słów.

- Moja praca jest taka: odpowiadać za bezpieczeństwo towaru - odparła cierpko. - Wyłażcie, jak powiedziałam.

Wychodząc z samochodu, dziewczyna zaprowadziła ich do ruin opuszczonego budynku, zauważony przez Gwen w czasie wczorajszego postoju. Ściany były w sumie trzy, ale i temu dzięki: można chociaż było załatwić potrzebę bez tego, żeby gapili się na ciebie nieznani mężczyźni z bronią.

Wrócili do ciężarówki. Podczas gdy dziewczyna pomagała Julii, u której następowało swego rodzaju oświecenie, wsiaść do ciężarówki, strażnik nagle złapał Gwen za rękę i pociągnął na bok.

- Ej! - powiedziała Gwen. - Czego chcesz? Zostaw mnie!

Julia obróciła się z niepokojem: wiedziała, że może być potrzebna tym szakalom od dziewczyny. Chociaż ciągle jeszcze niepewnie stała na nogach, ale córki Julia nie mogła pozwolić skrzywdzić. Michael stał, zaciskając, a jego dolna warga zaciskała się.

Ciemnowłosa dziewczyna nie zwróciła na strażnika i Gwen żadnej uwagi i zwróciła się do Julii i Michaela:

- Wsiadajcie do samochodu. Siedzieć cicho i czekać aż przyniosą jedzenie.

Nikt nie ruszał się z miejsca, a wtedy dodała:

- Proszę was, nie idźcie. Lepiej nie będzie nikomu - zabiją was albo pokaleczą.

Po tych słowach odwróciła się i poszła do strażnika niosącego Gwen daleko od furgonetki.

- Jake, zostaw ją!

- A idź ty! Nie wtrącaj się, kiedy nie proszą - mężczyzna miał gruby głos z dziwnym akcentem - jakby przetykał końcówki słów.

- Puść ją, mówię. Ona jest jeszcze dzieckiem.

- No i co, skoro ty nie dajesz, ktoś przecież musi!

- Jake!

Dziewczyna podeszła do strażnika i zamachnęła się wolną ręką uderzając nią w twarz.

- Pamiętaj jaka jest twoja praca, Jake, i odczep się od niej.

Ten głos należał do innego mężczyzny w wyblakłym mundurze.

- Tak ja, sir, co... Ja niczego... - z wahaniem mruknął strażnik puszczając Gwen.

Gwen wyrwała się i pobiegła do ciężarówki, ale drugi człowiek złapał ją:

- Wiem, że to wszystko frustrujące, ale tak już żyjemy i nic tu nie zmienisz.

Gwen milcząco posłała mu spojrzenie, pełne nienawiści i strachu.

- Odprowadź ich do ciężarówki i nakarm.

Popchnął Gwen do ciemnowłosej dziewczyny, a ta zaprowadziła ją do Julii i Michaela.

Na śniadanie wydali tylko owsiane batoniki. Smakowały jak karton i głodu ani trochę nie zaspokoili. Po jedzeniu wzrok Julii znowu przygasł. Gwen owinęła ją w koc, a Michael w tym czasie przyglądał im się. W ogóle nie próbował leczyć matki swoimi dziecięcymi wierszykami.

Cały dzień aż do zachodu słońca jechali bez zatrzymania się.

Kiedy drzwi znowu się otworzyły, na zewnątrz było cicha noc, a ciemnowłosa dziewczyna z powrotem wsiadła do naczepy, żeby pomóc im wyjść na zewnątrz.

Wychodząc na śnieg, Gwen zauważyła, że znajdują się w mieście. Ciężarówka stała na drodze otoczonej zardzewiałymi szkieletami samochodów i zniszczonymi domami. Gwen podstawiła ramię pod rękę matce i wyszeptła do Katelynn, która podtrzymywała Julię z drugiej strony:

- Gdzie jesteśmy?

Katelynn szybko rozejrzała się na boki i odparła:

- W Carlisle.

Gwen rozszerzyły się oczy ze zdziwienia. Siedząc w zamknięciu w furgonetce nawet nie wyobrażała sobie, jak daleko zabrali ją od domu.

- Czyli co, już nigdy nikt nas nie uratuje? - wyszeptwała.

- Tata przyjdzie po nas! - cienki głosik Michaela dzwonił od nadziei i strachu.

- Cicho, dzieci... - powiedziała Julia, na minutę przychodzą do siebie. - Wracajmy, zanim zmarzniemy.

Ciemnowłosa uważnie przyjrzała się Julii, ale niczego nie powiedziała.

W pierwszym dniu podróży Euan z góralami pokonali znaczną odległość. Szli pewnie, a jedli idąc. Dwaj giganci mówili bardzo mało, tylko sporadycznie wskazywali Euanowi właściwy kierunek, kiedy zbaczał ze śladu. Na noc schowali się w kamiennym przystanku autobusowym. Angus rozpałił niewielkie ognisko. Po zjedzeniu kolacji wszyscy troje zwinęli się w śpiwory i leżeli, patrząc w płomienie.

Angus pierwszy przerwał ciszę.

- Co będziesz robił, kiedy znajdziesz swoich? - ryknął.

- Zabiorę ich do domu.

- Na pewno masz rację. Ale spróbować trzeba.

- No tak. Tylko nie przeszkadzałoby pomyśleć o wszystkim dobrze - warknął Angus. - Jesteś dobry chłopak. Żal będzie, jeśli zginiesz przez głupotę.

- To już słyszałem na swojej stacji - skrzywił się Euan.

- Zrozum mnie dobrze. Nie sądzę, że oszalałeś, po prostu poszedłeś za nimi. Po prostu myślę, że potrzebny ci plan, no i bez pomocy sobie nie poradzisz.

- Znajdę ich - wtedy wymyślę plan - burknął Euan. - A co do pomocy... Od kogo jej oczekiwać, oprócz was dwóch? No i wy, tak jakby, odprowadzicie jeszcze do granicy?

Dougal i Angus wymienili się długimi, wieloznacznymi spojrzeniami.

- A bić się chociaż umiesz, dzieciaku? - spytał wielkolud. - Jaka jest twoja profesja? - I zarżał, zadowolony tym, że wytarł z kurzu słowo ze słownika.

- Listonosz - pochmurnie odparł Euan. - Ale nie myślcie. U nas w tunelach jest dużo czasu. Musiałem się czegoś nauczyć od doświadczonych znajomych.

- Na przykład czego?

- Na przykład umiejętności obchodzenia się z nożem. Mogę teraz sztuczki pokazywać - powiedział spokojnie Euan.

- Wspaniale! - ocenił Angus. - Ty, kurde, jesteś jak rycerz z mieczem. A twoja podróż to droga bohatera. Naprawdę. Jak w bajce - w głosie wielkoluda nie było słycać szyderczej nuty. Na odwrót, zdawało się, że mówi to z pełną powagą i nawet trochę uroczyości.

Euan zdziwiony uniósł brew i spojrzał się na górala.

- Angus, o czym ty w ogóle gadasz?

- Dokładnie! Wszystkie stare bajki zaczynają się od tego, że jakiś koleś próbuje zrobić to, na co żaden normalny człowiek się nie odważy - dodał z entuzjazmem Dougal.

- No dobra, chłopaki. Dzięki za komplement - powiedział Euan.

- No widzisz. A ja myślę, że ludzie sami będą oferować pomoc, kiedy dowiedzą się, gdzie i po co idziesz.

- Coś jak na razie nikt nie oferował, oprócz was...

- No, my ci nie pomagamy. Po prostu chcemy się upewnić, że bandyci zabrali się stąd - dobrodusznie wyjaśnił Dougal.

- Dzięki, kurwa. Natchnieni.

- Po prostu mówimy jak jest - uśmiechnął się Angus.

- Myślicie, że mam szansę? - po chwili milczenia poważnie zapytał Euan.

- Euan, przyjacielu, tutaj czasem i nie tak bywa... Kładź się spać i, ten... Nie patrz darowanemu koniowi w zęby.

Ale Euan jeszcze długo nie mógł zasnąć.

Nocą matka poszła w zapomnienie. Dzieci siedziały, przytulając się do niej z dwóch stron, kiedy drzwi otworzyły się i do naczepy weszła ciemnowłosa dziewczyna. W rękach miała śpiwór i lampę. Starając się nie hałasować usiadła koło trójki i szepnęła:

- Przypilnuję waszą mamę do rana. Śpijcie.

- Sami przypilnujemy - odparł wtedy Michael.

Dziewczyna spojrzała na niego z niejasnym wyrażeniem twarzy - czy to z szacunkiem, czy to z wrogością. Ale wtedy wtrąciła się Gwen, ze zmęczeniem i pokorą:

- Michael... Zachowuj się. Będziemy robić, co ona nam mówi.

Michael nie poznawał siostry: taki wyraz twarzy widział u niej po raz pierwszy. Za to głos był ten sam i postanowił, że tym razem lepiej nie klócić się i posłuchać. Po kilku sekundach zmęczony i przestraszony chłopiec już spał, całym ciałem przytulając się do matki i siostry.

Gwen odgarnęła włosy z jego czoła, a następnie zwróciła się do ciemnowłosej dziewczyny.

- Wszystko poważnie, tak? - pewnie spytała.

Dziewczyna kiwnęła.

- Ona umrze?

Ta wzruszyła ramionami.

- Proszę! Powiedz mi prawdę! - nalegała Gwen.

Ciemnowłosa jakiś czas milcząco patrzyła na jeńca, a potem niechętnie kiwnęła głową:

- Ma czerwone oczy. Myślę, że ma krwotok mózgu. Nie można go ani zatrzymać, ani wyleczyć.

Oczy Gwen napęłniły się łzami i ze złością wytarła je wierzchem dłoni.

- Dlaczego jesteś z tymi ludźmi? - nieoczekiwanie spytała dziewczynę. - Nie pasujesz do ich kompani.

- Jesteś tego pewna? - uniosła brwi dziewczyna.

- Ciebie też porwali?

- Nie, zwerbowali - dziewczyna wzruszyła ramionami. - Byłam sama, umierałam z głodu i ukradłam trochę jedzenia. Poszczęściło mi się: złapał mnie wartownik, a nie ten, którego okrzyczałam, dlatego dali mi wybór.

- I ty poszłaś kraść ludzi, żeby tylko nie karali? - spytała Gwen.

Dziewczyna kiwnęła głową:

- To było trochę złe. Powiedzieli mi, że powinnam wypełniać swoją powinność.

- A kiedy ty ją wypełniasz, co wtedy? Gdzie dostarczasz? - z nagłym zainteresowaniem zapytała Gwen. Dziewczyna nagle zaczęła jej się podobać: okazywało się, że ona też nie jest w tym bagnie z własnej woli...

- Już odpracowałam - uśmiechnęła się ta.

- I zostałam? - lodowatym tonem upewniła się Gwen. - Co, cieszysz się?

Dziewczyna tylko uśmiechnęła się:

- Wiesz... Nie ja, ale ktoś inny. Można, ktoś bardziej zły.

I nagle Gwen przypomniała sobie, jak ciągnął ją od ciężarówki swoją ubrudzoną w oleju napędowym łapą strażnik, jak paskudnie rozplywały się jego oczy. Być może jest ktoś o wiele gorszy. Kiwnęła i odwróciła wzrok od ciemnowłosej dziewczyny. Co za cholera. Każdy orze, jak może. Choćby i jej znać, jak pociągnąć tydzień czy dwa, jak uratować matkę i wykarmić Michaela.

- Pomożesz nam uciec? - cicho spytała Gwen.

Dziewczyna tylko uśmiechnęła się.

- I niby dokąd pójdziecie?

- Do domu.

- A drogę znasz? Przyszło ci kiedyś dreptać dziesiątki mil po zamarzniętym śniegu pod nosem różnych piekielnych stworzeń, które tylko czekają, kiedy się potkniesz?

Gwen opuściła głowę i westchnęła:

- Nie. Ale nie chcę, żeby mój brat wyrósł na takiego, jak ci ludzie.

Jej głos drżał od łez. Ciemnowłosa popatrzyła na Michaela. We śnie wydawał się być jeszcze bladejszy. Usta jego były lekko rozwarte i od oddechu w powietrzu kłębiła się para.

- Będzie cholernie fajnie jeśli w ogóle wyrośnie - westchnęła.

Gwen zaczerwieniła się, zacisnęła pięści, ale zaraz wzięła się w garść.

- Pomóż nam uciec - uparcie powtórzyła.
- Nie mogę. Je nie mogę - twardo odpowiedziała dziewczyna.
- A gdybyś mogła? Pomogłabyś?

Ciemnowłosa milczała. Na jej twarzy, prawie dziecięcej, nie można było dostrzec ani jednej emocji.

Gwen była już dostatecznie duża, żeby zrozumieć: z matką coś się dzieje.

Julia często przyczepiała się do butelki, a do ojca już jakieś dwa lata temu straciła zainteresowanie. Kiedy przychodziło mu być nieobecny przy robocie, matka w pośpiechu kładła dzieci spać i znikła gdzieś po nocach. Sąsiedzi szeptali, że Julia chodzi na lewo, i dosyć szybko dobrzy ludzie wyjaśnili niedowierzającej i oburzonej Gwen, co to oznacza.

Przed ojcem ciężko i boleśnie było skrywać tę wiedzę, chociaż parę razy Gwen zdawało się, że on i tak wszystko wie - po prostu nie chce mieć wody, ponieważ zbyt przywiązał się do swojej rodziny; a kocha w rzeczywistości nie samą matkę, a ją i Michaela.

A później Gwen postanowiła, że relacje matki z ojcem są ich osobistą sprawą, a sama Gwen powinna kochać ich z osobna tak samo, jak kochała razem.

Opuścili obóz o świcie. Z początku Angus wspiął się na dach przystanku autobusowego i rozejrzał, a następnie już wyruszył w drogę.

Euan nie był przyzwyczajony do całodniowych wędrówek, ale górale w tej sztuce byli lepiej wprawieni i wytrzymać ich tempo było ciężko. Do tego jeszcze z jakiegoś powodu weszli po kolana w miękkiego śnieg - chociaż szli wzdłuż starej szosy, ubitej zardzewiałymi szczątkami porzuconych wiele lat temu samochodów.

- Czemu leziemy poboczem? Może lepiej pójdziemy po drodze?

- I tak idziemy wzdłuż niej - odparł Angus.

- Tak, ale dlaczego na nią nie wchodzimy?

- Dlatego że to jest zbyt proste, oto dlaczego.

- Kochany, kto zechce ukryć się, pożywić lub coś przekąsić, będzie w pierwszej kolejności obserwował drogę - raczył wyjaśnić Dougal.

- O, o - podłapał Angus. - W naszych czasach na drogę wyjdzie tylko dureń albo ten, kto nie ma nic do stracenia.

- Oczywiście - burknął Euan.

Sam to by chętnie poszedł po drodze.

I nie dlatego, że nie miał nic do stracenia.

Tego ranka Euan zrozumiał: to, co wziął za obłok na wschodzie, w rzeczywistości okazało się być wzgórzami i górami pokrytymi śniegiem i mgłą. Do tej pory nie spotkali ani jednego żywego stworzenia, oprócz ptaków, ale i te trafiały się rzadko.

- I wszędzie jest jedno i to samo? - zapytał Angus.

- Co?

Euan machnął w kierunku odległych, pokrytych śniegiem ruin i rozłożył ręce, jakby ogarniając śnieżne połacie wokół:

- Porażka i spustoszenie.

- Porażka porażką, a z tym spustoszeniem się pośpieszyłeś.

- W jakim sensie?

- W Szkocji wszelki żywe stworzenia mieszkają. Na przykład wilki. Rozpanoszyły się ze starego rezerwatu w górach.

- No! Wbiło się w czyjąś durną głowę przywieźć wilki z powrotem! I nikt nie pomyślał, co będzie, jeśli wydostaną się na wolność - zauważył ze złością Dougal.

Euan popatrzył na niego oczekując szczegółów, ale Angus wtrącił:

- Wilki wydostały się z rezerwatu, kiedy wojna zbliżała się do końca. A może ktoś je wypuścił. A jak ludzie poumierali, to wtedy zaczęła ich ekspansja. W górach nie ma przed nimi ratunku. Złe, cholery, i wiecznie głodne...

- Ale jeszcze gorsze są niedźwiedzie - dodał Dougal.
 - A gorsze od niedźwiedzi są koty - wyjaśnił Angus.
 - Serio? - z niedowierzaniem spytał Euan.
 - A tak, bracie! To nie żarty. Choć wszystko to, że tak powiem, dzieci przyrody. Czasami z południa albo z wybrzeża takie wędruje, że szkoda gadać - uśmiech zniknął z ust górala.
 - Mutanty? - zapytał Euan, któremu w Glasgow zdarzało się widzieć różne dzikie stworzenia.
 - A to zależy z kim porozmawiasz. Jeden nasz ksiądz przysięgał, że one wydostały się wprost z piekła. Każdy ma swoją teorię na ten efekt - Dougal wzruszył ramionami. - Kto powiedział, że ewolucja.
 - Kto jest gorszy od wszystkich, ten przetrwa - uśmiechnął się Angus. - Ja myślę tak: nie ma niczego straszniejszego od człowieka, kiedy jest głodny, wkurzony lub kiedy rozpaczliwie potrzebuje tego, co ma ktoś inny.
 - Niezbyt radosna perspektywa - powiedział Euan.
 - Nie smuć się - wyszczerzył się Angus. - W górach i ludziki się jeszcze trafiają. U nas nawet gdzieś jakaś technika pracuje: turbiny wiatrowe, ogrzewanie. Wodociąg.
 Euan patrzył się na niego z niedowierzaniem.
 - Dlatego właśnie nie mówimy, gdzie mieszkamy - mruknął Dougal. - A to kogoś zaświerzbii i jak nasza kanalizacja będzie wyglądać?
 Kroczyli bez zatrzymywania się do samego wieczora i Euan zaczął powolutku dostosowywać się do tempa swoich towarzyszy. Było czego się od nich nauczyć i Euan nie tracił możliwości zadania pytania czy użycia tego czy innego triku na rozeznanie. Pouczali nowicjusza z przyjemnością i Euan zaczął nawet podejrzewać, że dwa dobroduszne wielkoludy wybrały się z nim w drogę bez jakiejś konkretnej przyczyny - po prostu żeby pomóc przyglądającemu się im człowiekowi. A historię z ochroną swoich osad wymyślili, żeby nie wydawać się zbyt sentymentalnymi.

Kiedy słońce zaczęło zachodzić, bracia stanęli rozglądając się wokół. Góry były już ledwie widoczne w śnieżnej mgle.

- Wszystko w porządku? - zapytał Euan.
 - Dalej nie pójdziemy - mrocznie odezwał się Angus.
 - Czemu? Co to jest takiego niezwykłego?
 - Około dwie godziny drogi stąd będzie Carlisle. A to znaczy, że znalazłem się bliżej Anglii, niż powinienem.
 - A co tam jest, mutanty?
 - Gorzej, bracie. Tam są cholerni Anglicy - uśmiechnął się Dougal.
 Euan nie raz słyszał podobne opowieści w Glasgow, ale sam nie wiedział, co powiedzieć na ten temat.
 - Ludzie to ludzie, wszędzie są tacy sami - powiedział tylko.
 - No i pocieszaj się tą myślą - znowu obdarzył go uśmiechem Dougal.
 Angus poklepał Euana po ramieniu:
 - Idź dalej i nie zatrzymuj się. Dojdiesz do domów - stąpaj ostrożnie. Nigdy nie wiesz, co tutaj jest koło granicy. Powodzenia!
 Euan kiwnął z zakłopotaniem głową.
 Wielkoludy odwrócili się i prędko poszli na północ po własnych śladach.
 - Dzięki, chłopaki! - krzyknął w ślad za nimi.
 Wiatr złapał jego słowa i przyniósł mu je z powrotem. Wielkoludy nie odwrócili się.

Noc wydawała się dla Gwen nie mieć końca: siedząc w ciemności naczepy to wpadała w przerywany sen, to wypadała z niego. Julia doszła do siebie przed samym świtem i napiła się wody z jej rąk. Ciągle jeszcze z trudem trzymała się na nogach, ale Gwen zauważyła, że oko matki nie było już tak przekrwione, jak dzień wcześniej.

Weszła ciemnowłosa dziewczyna.
 - Jeden z samochodów się zepsuł. Zatrzymaliśmy się aż do jego naprawy - powiedziała. - Wkrótce będziecie mieli nowych towarzyszy.

Julia patrzyła na nią apatycznie. Znaczy, że jeszcze komuś się nie poszczęści, ot i wszystko.

- Michael jest zwyczajnie przekonany, że ojciec go uratuje. Twój mąż kim jest, zwiadowcą? Rangerem? - spytała ciemnowłosa.

- Ha! - prychnęła Julia. - Listonoszem jest.

- Też niebezpieczna praca.

- Tylko nie u nas, w Glasgow. U nas tam wszystkie cicho oraz gładko.

Ciemnowłosa wstała i rozwarła drzwi na spotkanie świtu, po czym zamarła w otworze i sucho rzuciła przez ramię:

- Jak widzicie, już nie tak gładko.

Julia patrzyła w jej plecy wzrokiem, jakby chcąc wypalić w nich dziurę.

Rozdział 3 CARLISLE

Euan wszedł do Carlisle głęboką nocą.

Krocząc wzdłuż zamrożonej rzeki, ze wschodem księżyca dotarł do zrujnowanego i prawie pustego miasta.

To, że Carlisle jest zamieszkane, pojął dosyć szybko.

Kliknął zamek karabinu szturmowego, za nim jeszcze jeden.

- Co to za diabeł tak pędzi? - dało się słyszeć z góry stłumiony głos.

- Ej! Co tu zgubiłeś? - zawołał Euana dźwięczny bas.

Podniósłszy głowę, Euan zobaczył wartowników: postacie w kamizelkach kuloodpornych z namalowanymi na nich dużymi literami "C". Ochrona Carlisle, wspomniawszy. Kilka lat wcześniej pewien brodaty handlarz opowiadał mu o tej grupie strzegącej opuszczonego miasteczka. Według opowieści, porządni ludzie.

Euan podniósł ręce nad głowę i ruszył im na spotkanie.

- Nie jestem uzbrojony! Nie chcę nikogo skrzywdzić!

Bardzo chciało się wierzyć, że i oni jemu nie zamierzali uczynić krzywdy. Cholera wie, kiedy ten handlarz był w Carlisle ostatnim razem. Wszystko mogło się sto razy pozmieniać...

Ochroniarze milczeli.

- Mam książki i baterie - dodał Euan na wszelki wypadek. - Na wymianę.

- Chryste Panie! - powiedział młodszy z wartowników opuszczając broń. - O mało co nie narobiłem ze strachu w spodnie.

Drugi wartownik, starszy, ciągle trzymał Euana na muszce.

- Jak się nazywasz i w jakiej sprawie jesteś? - zapytał.

- A tak, zwyczajnie przechodziłem w pobliżu - odparł Euan. - Myślałem, że chociaż pośpiewam, żeby odpocząć: nie pamiętam, kiedy ostatni raz się zagrzałem.

- Ty co, sam tutaj dotarłeś? - zapytał stary.

- No tak - potwierdzając kiwnął głową Euan, postanawiając nie wspominać o góralach. - Jestem z Glasgow, z tamtejszego metra.

- Chrzaniś! - wykrzyknął młody.

- Cicho Sean - uciszył stary. - Możesz to jakoś udowodnić?

- Mam ze sobą list od Jonathana McManusa, burmistrza naszej stacji, do kobiety o imieniu Marla - powiedział Euan.

Stary jeszcze raz zlustrował go nieustępliwym wzrokiem i opuścił automat.

- Chodź za mną, synek. Nie ma co tu sterczeć w środku nocy. Po zachodzie niczego dobrego tu nie spotkasz.

Euan przedstawił się i poszedł długim krokiem, żeby dogonić ochroniarzy.

- Morris - odparł stary. - A to Sean.

Sean długo patrzył na Euana z ukosa i w końcu spytał:

- Ty tak sam szedłeś od samego Glasgow?

Euan uśmiechnął się. Cały tydzień temu sam dziwiłby się nie mniej niż ten chłopak, gdyby spotkał takiego człowieka w Glasgow. Mróz, zdziczałe psy, mutanty, śnieżne zamiecie i radioaktywne burze... Kto wychodzi za miasto? I najważniejsze, dokąd w tym pokracznym świecie pójść?

Widocznie tylko on miał dokąd. On i łowcy niewolników, którzy porwali jego rodzinę.

Przy rzece wznosił się ogromny budynek, który miejscowi nazywali Katedrą. Tym słowem określali duże kościoły - wcześniej, w tych czasach, kiedy takie rzeczy jeszcze cokolwiek znaczyły.

Cała Katedra, włączając wysoką wieżę w centrum, była zbudowana z czerwonego kamienia. Okna były zamknięte blachą falistą i paskudnymi płachtami zardzewiałej stali, przez co zamysł pierwotnych architektów trochę ucierpiał. Główne wejście było na głucho zabarykadowane i trójka weszła przez małe boczne drzwiczki, otwierające im się na spotkanie.

- Jest późna godzina. Czekaj tutaj - rozkazał Morris i, zabrawszy od Euana list, w tej samej chwili zniknął w środku.

Sean zniknął nie pożegnawszy się, zostawiając Euana sam na sam z wartownikiem. Ten tylko zdołał usłyszeć, jak Sean, odchodząc, z podziwem szepnął komuś z ochroniarzy:

- Przyszedł z Glasgow... sam, szacunek!

Po kilku minutach Morris wrócił z dobrą nowiną.

- Możesz przenocować u nas, synu. Ale przyjdzie odpracować jedzenie, ciepło i schronienie. Nie masz nic przeciwko? - upewnił się.

- Ja... Nie muszę się zatrzymywać - zawahał się Euan. - I mam pilne sprawy. Byle przenocować i iść dalej jak słońce wszędzie.

- Nigdzie jutro nie pójdziesz, chłopaku - odparł staruszek.

- Czemu to? - natychmiast rzucił Euan.

- Burza idzie - wzruszył ramionami Morris. - Spróbuj się wyrwać, zamiecie w pięć w minut. Nie, raz postanowiliśmy dać ci schronienie, nie możemy wypuścić cię na zewnątrz w burzę. Nie nie po ludzku.

- Nie ma żadnej burzy! - zdenerwował się Euan. - Niebo jest spokojne.

- Moje kości gotowe są się z tobą sprzeczać - uśmiechnął się starzec. - A jutro zobaczymy, kto z nas ma rację. A na razie chodź za mną. I nie hałasuj: nasi prawie wszyscy śpią.

Euan, cicho narzekając, podążył za nim do środka budynku.

Zresztą, już sam sobie powiedział, że jeśli starzec nie oszukuje i przyjdzie tkwić w tym miasteczku, to swoje schronienie i stół odpracuje. Inaczej nie po ludzku będzie.

- Poszczyściło ci się, dzisiaj była nasza zmiana - dodał Morris. - A jak byśmy się trochę zatrzymali, moglibyśmy się rozminąć. I zastrzeliby cię jakiś dupek.

Morris zaprowadził go do niewielkiego przejścia z zasłoną, zza której dochodził głęboki, równomierny oddech.

- Pośpij trochę, póki jest czas. Marla porozmawia z tobą jutro, kiedy będziesz mógł. U nas nikt bez powodu nie siedzi, tak że dołącz, a nikt ci słowa nie powie.

Euan kiwnął głową i, odsunawszy zasłonkę, wszedł do ogrzewanego pokoju.

Obudził się w zimnym pocie, wczepiając się w zużyty śpiwór i obracając się z boku na bok. Już znane poczucie duchowej pustki, prawie że głodu, rozniosło się po całym ciele. Euan poleżał z minutę, starając się uspokoić i przysłuchując się; upewniwszy się, że w pobliżu nikogo nie ma, obrócił się na plecy i delikatnie rozpiął zamek błyskawiczny śpiwora.

Zza grubych, kamiennych ścian Katedry ledwie słyszalnie dochodziło wycie śnieżycy.

Światło przenikało do pokoju przez szczelinę między zasłonami na drzwiach. Przyciemnione żarówki na podłodze w kątach wyrwały z ciemności ciała jego śpiących sąsiadów. Po ich spokojnym śnie Euan wywnioskował, że zbytnio nie hałasował. Podniósł się, zwinął mocno śpiwór w kielbasę i schował go do domowej roboty worka, w poprzednim życiu będącego lewą nogawką. Następnie przeciągnął się, drżąc trochę od bólu w prawym ramieniu i przysłuchując się strzelającym stawom: od stóp, przez kręgosłup, do podstawy czaszki.

Już nie był tym młodziakiem, który, zaciskając zęby, łatwo znosił wszystkie trudności. W tym roku stuknie mu trzydzieści siedem lat - według standardów wypalonej Szkocji, wiek prawie starczy.

Euan otworzył silnie strzeżoną paczkę, którą niósł od samego domu, wyjął stamtąd kawałek suszonego mięsa i trójkątny kawałek koziego sera. Wszedł z sypialni do głównej sali starej Katedry. Pod wysokim sklepieniem było przestronnie, a wzdłuż okien były ustawione mostki, jak rusztowania, z blachy falistej i drewnianych belek. Sufit cały pokryty był plamami od sadzy i wilgoci; w plamach były i kamienne ściany w tych miejscach, gdzie przeciekał ołowiany dach.

Katedra stała w tym samym miejscu od cholera wie jakich czasów. Była antyczna i wieczna, niewzruszona jak forteca. I zbudowana była jak forteca, z jej grubymi ścianami i wąskimi okienkami-lukami. A teraz, kiedy wróciło głuche, ciemne Średniowiecze, katedra-twierdza przydawała się dzieciom tych ludzi, którzy uważali ją za dziwactwo, produkt obskurantyzmu, czy - w najlepszym wypadku - perłę szlaków turystycznych.

Z mebli w sali były tylko metalowe ławki. Tam, gdzie farba była zerwana lub złuszczone, na wierzch wystawała podrdzewiała stal, migocząca plamami tłuszczu. Na ławkach siedziało pół tuzina ludzi uzbrojonych po zęby, wszyscy w połatanych ubraniach. Zaszczyciwszy Euana pobieżnym wzrokiem zaraz odwrócili się pojawiając, że nowicjusz nie stanowi zagrożenia. Tylko kilku ludzi przyjrzało się uważniej i do Euana doszły szept: "To on?"

Euan niewyraźnie przytaknął całej kompani i podszedł bliżej.

Ludzie siedzieli podzieleni na dwójki, trójki i, cicho rozmawiając, pili herbatę z liści mięty zagryzając tym co Bóg dał. W rogach pomieszczenia stały stare piece na drewno - jedyne źródła ciepła w całym budynku. Nad każdym był powieszony pocięty, metalowy czajnik. Wrzątkiem z nich mógł uraczyć się każdy - pod warunkiem, że przed wyjściem nie będzie zbyt leniwy, żeby wyjść na mróz po lód.

A na zewnątrz szalała burza, teraz było to słychać bardzo wyraźnie.

Wygląda na to, że naprawdę jest tu zatrzymany. A skoro tak, można było spokojnie zaparzyć sobie miętową herbatę i w czasie śniadania pomyśleć, co robić dalej.

W momencie napaści znajdował się w głębokim tunelu metra, który w Glasgow jeszcze z przedwojennych czasów nazywali "Mechaniczną pomarańczą". Życie w "Mechanicznej pomarańczy" było, na ogół, spokojne, chociaż bardzo surowe. Zasobów nie wystarczało. Paliwo przychodziło ściągając z miasta; tym zajmowały się oddziały zwiadowców, do których brali wszystkich, którzy nie bali się zimna, lodowych burz i niebezpiecznych stworzeń, które od czasu do czasu pojawiały się w ruinach. Żywili się tym, co udało się wyhodować w tunelach. Na każdej stacji hodowano albo świnię, albo kozy, albo drób; gdzieś sadzili to, co nie chciało rosnąć w tak słabym świetle - jak przystało, grzyby, chociaż jeden śmiały ryzykant zbudował na powierzchni ogródek z ziół i mchu i odwiedzał go raz w tygodniu. Już w pierwszym roku mieszkańcy podziemia nauczyli się pędzić z grzybów przyzwoitą whisky i wkrótce stała się bardzo cenną walutą w handlu wymiennym, przez który całkowicie zniknęły pieniądze.

Nawet przed krachem cywilizacji podziemia Glasgow wyróżniały się tym, że były wydrążone w twardej górskich skałach i nic się nie zmieniły od chwili wybudowania. Do tuneli regularnie wychodziły patrole - sprawdzić, czy nie ma gdzieś zawału i czy nie zablądził nikt w ciemności. Jako że skalne ściany były niezwykle mocne, zawały zdarzały się rzadko: według pamięci Euana - w sumie dwukrotnie, ale to, że przeszło przez przejście po raz drugi, powstał niemały szum.

Od tego czasu wartę trzymali jeszcze czujniejsi, a na patrole posyłali nawet tych, którzy, jak Euan, mieli zupełnie inną profesję. Głuche echo dwóch wybuchów z początku nie przykuło uwagi - mało to usłyszysz w ciemnych tunelach; tylko wyjaśnić jego pochodzenie było ciężko. I dopiero wróciwszy na swoją stację, zdał sobie sprawę, co się stało.

Euan zamrugał, wzdrygnął się i kaszlnął, nagle zdawszy sobie sprawę, że już od kilku minut wpatruje się w kawałek suszonej koźleciny. Ukradkiem zerknął na pozostałych ludzi w pomieszczeniu, szybko dojadł i zaczął sączyć jeszcze gorącą herbatę. Nigdy nie należy pokazywać innym ludziom swojej słabości: oni tylko czekają, żeby pożreć was razem z ubraniem.

Dopiwszy herbatę Euan podniósł się z ławki i odpiął od plecaka swój rarytas: automat SA-80 w doskonałym stanie. Kiedyś należał do żołnierza dawno nieistniejącej brytyjskiej armii. Euan miał tylko jeden magazynek. Do tej pory ani razu nie puszczał broni w ruch i to był sukces - nie tylko dlatego, że naboje były rzadkim i cennym towarem.

Zarzucił automat za plecy, zrzucając pasek na prawe ramię, a na lewe założył plecak. Poklepał się po bokach, upewniając się, czy właściwie rozłożył ciężar; dłonie po omacku znalazły zużyte drewniane rękojeści ciężkich noży wiszących przy pasie. Upewniwszy się, że wszystko jest na swoim miejscu, mężczyzna ruszył prosto do wyjścia. Chwyając po drodze pocięte, blaszane wiadro, podszedł do dwóch ochroniarzy trzymających wartę.

U obu góra codziennego ubioru była czymś w rodzaju wojskowego munduru: proste ciemnobrązowe kamizelki z dużą literą "C" wyszytą na piersi i plecach. Ochroniarze Carlisle patrolowali ścianę oddzielającą pozostałości Szkocji od radioaktywnej pustyni, niegdyś nazywającej się Anglią. Goście byli spoko i Euan to rozumiał.

- Dzień dobry - powiedział uprzejmie. - Ja po lód do herbaty.

- Siedź ty, chłopie - dobrodusznie poinformował ochroniarz. - Teraz nie jest pogoda na spacer.

- Pooddychać się chce - uśmiechnął się Euan, dając do zrozumienia, że jest gotów sterczeć tu cały dzień, dopóki go nie wypuszczą. - Bałwany ulepię, znowu.

- A, no to powodzenia - uśmiechnął się ochroniarz. - Nalep ich i za mnie z Grantem.

Otworzywszy niewielkie okienko w drzwiach, ocenił sytuację na zewnątrz, potem wrócił do swojego partnera i kiwnął głową. Podnieśli dwie ciężkie drewniane zasuwę, pociągnęły do siebie

drzwi i cofnęli się kilka kroków. Jeden z nich przykucnął i dwie lufy zwróciły się w niebezpieczną, białą pustkę.

- Droga wolna - usłyszał Euan.

Wyciągnąwszy z kieszeni zużyte i porysowane ciemne okulary, założył je, po czym schował twarz w szalik, żeby ukryć się przed lecącymi w twarz odłamkami lodu i wyszedł na mroźny poranek.

- Idziesz w złą stronę - powiedział wartownik pokazując tam, gdzie wcześniej była droga, zanim stary most na rzece Eden nie runął i nie zmusił jej do wystąpienia z brzegów. - I postaraj się wrócić na obiad. Burza tylko narasta, do wieczora nie będzie nic widać.

- Będziesz dłużej łód - pamiętaj, przy powierzchni jest lepszy - dodał drugi śpiewającym głosem, a Euan pojął, że to kobieta.

Świat za progiem starej świątyni był biały od szronu i brudnego zlodowaciałego śniegu. W oczy prószyło lodowymi igłami i kontury budynków rozmywały się w śnieżnej zawiei.

Od czasu, kiedy na planetę spadła zima atomowa, śnieg i lód w Szkocji nigdy nie topniał.

Jednego razu, zanim trudy życia nie złamały go całkowicie, w tunelach Glasgow, głównie na stacji Cowcaddens, żył człowiek o imieniu Steven Massey. Kiedyś wykładał na uniwersytecie, a po upadku cywilizacji żył tym, że chodził po stacjach i uczył dzieci. Nie zważając na ciężkie czasy, liderzy stacji rozumieli, że ignorancja to najprostsza droga do zatracenia, dlatego Massey'ego wszędzie witali z radością.

Zajmował się też dziećmi Euana i często kiedy lekcje i praca zostawały, listonosz znajdował możliwość samemu posiedzieć i porozmawiać ze starszym. Steven uważał, że wybuchy uniosły do atmosfery ogromne ilości pyłu i żwiru, zasłaniając słońce i uwieczniając zimę. Kiedy go pytali, jak długo utrzyma się mróz i kiedy planeta w końcu odtaje, zazwyczaj unikał odpowiedzi. Euan ze wstydem myślał, że starszek nie wie, co powiedzieć, ale kiedyś, przyzwyczajając się miejscową grzybową whisky, nauczyciel powiedział, że, jego zdaniem, świat wstąpił w nową epokę lodowcową.

Innym tego nie mówił, że nie pozbawiać ludzi nadziei.

Stale oglądając się za siebie - czy nie pochłonął jeszcze wicher sylwetki starej Katedry - Euan zbliżał się do zamrożonego koryta rzeki. Nie, stara świątynia stąd była jeszcze dobrze widoczna i można było nawet rozróżnić figurki dwóch ochroniarzy, którzy wypuścili Euana po lód, a teraz czujnie go obserwowali.

Trasa wywiodła go do sterczącego na brzegu oblodzonego, ogromnego pnia, o który oparty był stary kilof. Rzucił plecak na śnieg, zarzucił automat za plecy i złapał za narzędzie.

Przez lata wydobywania lodu utworzył się tutaj cały kamieniołom, dochodzący prawie do drugiego brzegu: jeszcze jedno świadectwo tego, że życie na powierzchni nie było cukierkowe.

Schodząc do kamieniołomu, Euan szybko skuł pełne wiadro lodu. Już pod koniec zwrócił uwagę na słupki wbite w lodowe ściany na wysokości kolan. Na jednym z nich wisiała tabliczka: "Poniżej tej linii nie kopać".

Lód poniżej linii niczym się nie różnił od tego, który już stukał w wiadrze u Euana. Z jakiej racji nie można go dotykać? Być może tam, w głębinie, zamarzył ktoś, kogo nieostrożny wydobywca może przebudzić swoim ciekawym? Jakiś śpiący potwór?...

Żeby nie kusić losu Euan jak najszybciej wyszedł z kopalni i zaniósł wiadro z powrotem do już ginącej w narastającej zamieci Katedry.

- Co tam jest poniżej linii? - zapytał ochroniarzy.

- Osady - odparła zwięźle kobieta, opuściła bezpiecznik w automacie i zaczęła grzebać w kieszeni.

Do światła wyjęli stary dozometr jasnożółtego koloru z okrągłą skalą. Kobieta włączyła go i wskaźnik naładowania niepokojąco zaświecił na żółto. To był znajomy widok: w nowym, dziwnym świecie naładować jakiegokolwiek urządzenie elektryczne było, zazwyczaj, znacznie trudniej niż je znaleźć. A już z tymi maszynkami jest szczególnie przypadek: ich i przed wojną było mało, teraz nawet skopiowane sztuki stały się nieprawdopodobnie rzadkim skarbem.

Kobieta przysunęła dozometr do wiaderka. Strzałka ledwo się ruszyła, ale pozostawała w bezpiecznej strefie.

- Od wojny takich nie widziałem - rzekł z szacunkiem Euan.

- I może więcej nie zobaczysz - odparła. - Tylko nim się ratujemy, choć baterie wyglądają na zniszczone.

- I dlatego właśnie wzięliśmy ją do oddziału - uśmiechając się dodał partner.

Kobieta wyprostowała się i oparła ręce na biodrach.

- A ja myślałam, że przez moją urodę i urok - zażartowała i oboje się zaśmiali.

Euan, nie wtajemniczony w specyfikę miejscowego humoru, cierpliwie czekał, kiedy przepuszczą go do środka. Kto wie, ile czasu przyjdzie mu jeszcze siedzieć w starym kościele z tymi wesołymi ludźmi... Być może zdąży nawet nauczyć się śmiać z ich żartów. Cholerna burza!

Zauważywszy zakłopotanie Euan, mężczyzna uśmiechnął się.

- To moja żona - wyjaśnił.

- Fajnie! - uprzejmie skinął głową Euan.

- Właż - powiedziała kobieta, odsuwając się.

Wkroczywszy w półmrok świątyni, Euan zdjął ciemne okulary, ostrożnie schował je do kieszeni i z wiadrem w ręce skierował się do pieca. Za plecami usłyszał, jak ochroniarze zamknęli drzwi i jak z ciężkim hukiem wróciły na swoje miejsce zasuw.

W kościele prawie nikogo nie było, z wyjątkiem kobiety i trójki dzieci w różnym wieku. Wszyscy, oprócz najmłodszego, rocznego malucha, siedzieli na ławkach rozdierając stare ubrania i tworząc wełniane kulki. Euan wyrzucił swoją zdobycz do granatowej, plastikowej balii, do połowy napełnionej wodą. Lód zaczął unosić się na powierzchni, największe kawałki lodu były podobne do miniaturowych gór lodowych. Dotknąwszy jeden z kawałków, Euan zafascynowany patrzył, jak on tonie i unosi się na powierzchnię, odpychając maleńkie kostki lodu, które zdążyły zająć jego miejsce.

- Dziergać umiesz? - spytała go kobieta.

Euan mrugnął. Pytanie było kompletnie niespodziewane.

- Tylko szaliki - odparł.

Kobieta pokazała na krzesło, gdzie leżał stos wełnianych kul i pudełka z igłami.

- Powinieneś się przecież czymś zajmować, żeby odpracować postój, nie? - uśmiechnęła się. - Pomyśl, że cię zapraszam. A mi tu jest, przyznaję, nudnawo. Z dziećmi nie ma zbyt wiele wspólnych tematów...

Dziergać Euan nauczył się w zamierzonych czasach. Dnie i noce pod ziemią były jednakowo ciemne i nieskończone, rozrywek było mało i robienie na drutach pomagało nie tylko nabyć ciepłą i wygodną odzież, ale i odwrócić uwagę choćby na chwilę, zapominając o nieszczęściach i życiowych problemach. Oczko, jeszcze oczko, jeszcze oczko... Wciąża. Można nie myśleć o tym, że łowcy porwali całą twoją rodzinę i możliwe, że dzieci już nie żyją... Nie myśleć o tym. Nie myśleć! Oczko, jeszcze jedno...

- Tylko najpierw zaparzę herbatę - ustalił. - Mogę?

Kobieta nazywała się Margaret, a dzieci - Jenny, Mark i Connor. Podczas gdy Euan robił herbatę i rozlewał ją do pociętych kubków, starszy chłopiec i dziewczynka patrzyli na przybysza pustym, znudzonym wzrokiem, za to Connor, najmłodszy, uśmiechał się do wszystkich bezzębną buzią. Równocześnie wpychał do swojej pieluszki kamyczki, które w dużych ilościach leżały na podłodze.

- Connor! - złapała go na tym działaniu kobieta. Usłyszawszy swoje imię, radośnie skoczył na nogi i pielucha pod ciężarem kamieni spadła, a po pomieszczeniu rozniósł się charakterystyczny zapach.

- Connor! - krzyknęła Margaret, wstała i podeszła do niego.

Starsze dzieci wybuchły śmiechem.

Zamieć za ścianami świątyni ciągle szalała, a w pomieszczeniu było ciepło i przytulnie. Margaret niedawno skończyła dwadzieścia trzy lata, a jej życie składało się z dziergania i poszukiwania męża. Dowiedziawszy się, że Euan jest w Carlisle przejazdem, zrobiła się smutna.

Dziergać z nią było nie gorzej niż grzać się za pazuchą u Chrystusa. Inne opcje odpracowania podobały się Euanowi znacznie mniej: segregować w starej krypcie pod kościołem różne śmieci, przywiezione z zewnątrz albo pozostałe z przedwojennych czasów, albo stać na warcie na zimnym pustkowiu.

W Katedrze nie było jednej dla wszystkich przerwy na obiad. Od czasu do czasu miejscowi obywatele zamieniali się miejscami z wartownikami, żeby ci mogli posilić się, napić herbaty i ogrzać się. Mijały godziny w ciepłej, ciszy i spokoju; bliżej wieczora Euan zamienił się miejscami z Margaret i razem z dziećmi przespał się pod szybkim stukotem drutów.

Kiedy się ściemniło, Margaret opuściła w dół cztery niewielkie lampy naftowe wiszące pod sufitem i zapaliła je.

- Oleju w mieście jest ciągle dużo - wyjaśniła - chociaż trzeba iść po niego coraz dalej i dalej.

Euan skinął głową, odłożył robótkę i wstał, żeby rozprostować zeszywniałe kończyny. Podeszła do niego kobieta-ochroniarz, z którą rozmawiał rano.

- To ty, znaczy, Euan?

Przytaknął. Wiadoma rzecz: tutaj każdy obcy jest na widoku.

- Marla - przedstawiła się i wyciągnęła rękę.

Euan nie był zdziwiony jej silnym i pewnym siebie uściskiem dłoni. Rano wziął ją za mężczyznę i nic dziwnego: oprócz głosu i imienia, niczego kobiecego w niej nie było.

- Mówią, że jesteś z tuneli?

- Tak, z Glasgow.

- Ot co, Euan. Zaciągnąłeś się już - skinęła na prądkę - poza tym na ciepło z pieca, przy którym siedziałeś cały dzień. Nocą przyjdzie postać na warcie na wieży. I będziemy w ekipie.

- Idzie - wzdrygając zgodził się Euan. - A o co chodzi z tunelami?

- No jak to? - uważnie przyjrzała mu się Marla. - Przecież jesteś przyzwyczajony do ciemności, czyż nie? Powinieneś widzieć lepiej od naszych.

- Oczywiście - przyznał. - I kogo mam wypatrywać?

Marla doprowadziła go do stołu, gdzie stały niemożliwie czyste miski z kolacją: mięsem i zupą grzybową.

- Potwory - odparła krótko.

Rozdział 4

WIEŻA

Żeby dotrzeć do wieży Katedry, trzeba było otworzyć niskie, ciężkie drzwiczki i wejść po wąskich kamiennych schodach, mijając po drodze dwa pomieszczenia. Dolna komnata była apartamentem liderów wspólnoty, górna zbrojownią, gdzie trzy kobiety czyściły karabiny i przesywały proch na przerobionej wiertarce.

Małe narożne drzwi prowadziły bezpośrednio na stary, płaski dach Katedry otoczony blankami. Przy ścianach powstały już prawdziwe zaspas, a wiatr osiągnął taką siłę, że zdawało się: uniesiesz głowę nad ściany to porwie i uniesie w wirującej mgle. Mróz był okropny. Euan pomyślał, że stary Morris miał całkowitą rację. Nawet jeśli mieszkańcy Katedry wzięli wyrzucili go na taką pogodę, on by rękami i nogami zaparł się o framugę drzwi. W burzę nawet diabły z piekła nosa nie wystawiają, jak mawiał stary Jonathan.

Stare kamienne ściany okazały się być wzmocnione blachami z żelaza; jeszcze jedna blacha była zamontowana z góry na metalowych prętach, tworząc sklepienie. Przy drzwiach na schodach beczka zapełniona świeżymi zapasami drewna i koziego nawozu.

Pochylając się nad beczką, żeby rozpalic ogień z węgla przyniesionych z dołu, kobieta podniosła wzrok na Euana.

- Margaret dobrze o tobie wspomina. Mówi, że pracujesz w ciszy, nie marudzisz. Wyglądasz na silnego gościa i w różnych miejscach bywałeś...

Ogień zapłonął i wstała, wytarła ręce o ubranie i otworzyła drzwi.

- Jakby coś, mamy dla ciebie miejsce. W tym tygodniu straciliśmy na ścianie człowieka.

Jej jasnoniebieskie oczy na chwilę pochwyciły jego wzrok, ale Euan nic nie odpowiedział. Marla spuściła głowę i krótko popatrzyła na gościa ponuro.

- Pomyśl, Euan. Są w świecie gorsze miejsca.

- Pomyślę - powiedział.

- Nie dawaj ogniu zbyt dużo zapłonąć, bo całe drewno stracisz - poradziła mu na pożegnanie. - Jeśli tak się stanie, dorzuć nawozu.

- Dobrze - odparł i nieoczekiwanie dla siebie dodał: - Dziękuję.

Ona jeszcze raz spojrzała w jego oczy, jakby próbując wypatrzeć tam coś, potem wróciła do środka i zamknęła za sobą drzwi.

Ogień radośnie skakał po suchych wiórach i przez następne pięć minut Euan metodycznie dokładał do ogniska kawałki suchego nawozu aż płomień nie przygasł. Ciepło z ogniska było ledwo zauważalne pod przenikliwym wiatrem, ale zmarznięty mężczyzna był zadowolony i z tego. Przykucnął opierając się plecami do beczki, żeby nie stracić ani jednej cząstki tego ciepła.

To było upiorne uczucie: siedzieć w samym środku burzy śnieżnej. Z góry, z dołu i wokół najbliższej przestrzeni wieży szalała ciemna otchłań. Wiatr rzucał w Euana garściami śniegu, który wbijał się w skórę i w bezsilnej wściekłości rozbijał się o ubrania. Śnieżynki fruujące nad beczką zdawały się być pomarańczowe w przyćmionym blasku płomieni. Widok był nie z tego świata. W Podziemnym świecie, w taki sposób w dziewiątym kręgu, wyglądałoby to idealnie.

Śnieg nagle przestał padać. Euan mrugnął i wyprostował się na całą wysokość. Spojrzawszy na południe dostrzegł, jak śnieżna nawałnica odchodzi w dal, jak śmiercionośna aksamitna kurtyna, otwierająca przed jego oczami martwą ziemię oświetlaną delikatnym światłem księżyca.

Silny i gryzący południowy wiatr zmienił się w krótkie, niepewne podmuchy, za każdym razem zmieniając kierunek. Euana ujęła ponurość krajobrazu: ze wszystkich stron otaczały go ruiny pokryte śniegiem i lodem i błyszczące w promieniach księżyca.

Na południe, wchód i zachód od wieży rozciągało się ciemne, zniszczone miasto. Nocą te ruiny były puste, a za dnia grasowali po nim śmiałkowie w poszukiwaniu przydatnych surowców. Miejscowe dzieci nazywały ich "poszukiwaczami", ponieważ w każdy sposób starali się przetrwać i nie umrzeć w następnej wyprawie. Oficjalnie nazywali się "rangerami", ale słowo z zamierzonych czasów wydawało się być zbyt patetyczne dla tych ludzi. Kiedy nadstawiasz karku każdego dnia, staje się to zwykłą codziennością.

Na północy kilka spalonych i zawalonych budynków oddzielało Katedrę od potężnego zamku wystającego ponad miastem. Stojąc na wieży, Euan czuł na sobie bliskie spojrzenie tego kamiennego giganta.

Zamek Carlisle był zamieszkały od czasów, jak ludzie zaczęli powoli wychodzić z podziemnych kryjówek, gdzie przeczekali katastrofalne dni wojny. Teraz znajdował się tam sztab Ochrony, który pilnował bezpieczeństwa ściany i najbliższych osad. Właśnie w Zamku miejscowi szukali schronienia, kiedy coś strasznego przybywało z Anglii. Dlatego, jednomyślnie, Ochroniarzom Carlisle pozwolono wziąć pod swoją kontrolę te ziemie, dzisiaj wściekając się i starając się wyłonić z siebie pierwotnych właścicieli.

W czasie wojny Szkocja uniknęła bezpośrednich ataków nuklearnych. Za to tej części Królestwa dostało się bronią biologiczną, której użyto także w Ostatniej wojnie. Spowodowane zakazaną bronią epidemie wykosły prawie wszystkie szkockie miasta.

Carlisle w ostatniej fazie wojny było rozdzielone na dwie części ścianą, przechodzącą dokładnie przez ziemie Katedry, ze wschodu do zachodu, od jednej rzeki do drugiej. Tak Szkocja próbowała zatrzymać falę uchodźców próbujących uciec z piekła, w które zmieniła się Anglia.

Do zamku było kilkaset metrów, tak że gdyby pośród nocy coś wylazło z otulonego mrokiem miasta, Euan, najprawdopodobniej, zobaczyłby to pierwszy. Gdyby się w ogóle udało.

Obejrzał się, wpatrując się w ciche, pokryte światłem księżyca miasto. Pogoda, zdaje się, poprawiła się. Teraz można by wyruszyć w drogę - ale jeśli rzuci obowiązki, potraktują go, zapewne, jak dezertera. Prawa wojenne...

Pod śnieżną pokrywą ruiny wydawały się być sterylne czyste, ale Euan doskonale wiedział, że to iluzja. Obróciwszy się w stronę zamku, zrozumiał, że nie na próżno czuł na sobie jego wzrok: drugi taki sam biedak stał na szczycie fortyfikacji i patrzył w jego stronę. Gdzieś z minutę przyglądali się sobie, po czym odległa sylwetka uniosła rękę i pomachała na powitanie. Euan zamyślił się, czy to nie jest ustalony znak alarmu, ale uznał, że skoro nikt mu o tym nie mówił, nie ma się co martwić. Pomachał w odpowiedzi, a człowiek na szczycie zamku skinął głową. Co dobić dalej, Euan nie wiedział, więc demonstracyjnie przeszedł się po swoim kawałku terenu, pokazując staranność.

Drzwi otworzyły się i na platformę wyszła Marla, ostrożnie trzymając w rękach dwa parujące kubki i ściskając pod pachą łopatę. W nocnym powietrzu mocno zapachniało miętą. Marla skupionym wzrokiem zbadała miasto, we wszystkich kierunkach, oprócz zamku.

- Póki co cicho - podsumował Euan, grzejąc ręce na gorącym kubku.

- Nie daj się omamić - zmarszczyła brwi. - Nie wiem, jak u was, ale tutaj, przy ścianie, wiecznie coś przychodzi.

- Na północy, oczywiście, spokojniej - rzekł cicho. W Glasgow wszyscy żyją w starym metrze. Wybieramy się na górę po jedzenie i zaopatrzenie, ale zazwyczaj siedzimy w ciepłe i spokoju.

Marla nic nie odpowiedziała, więc kontynuował:

- Nie wiem, co dzieje się w innych miastach. Ze sto lat nie było znikąd wieści. Tylko niedawno zaczęli pojawiać się goście.

- Jacy goście? - w głosie Marli dało się słyszeć ciekawość.

- Z początku handlarze. Konserwy nam przynieśli: nakopali ich w jakichś opuszczonych magazynach. No i trochę innych rzeczy: coś znaleźli, coś wymienili... Jedzenie, oczywiście, zawsze się przyda, ale oni mieli jeszcze inne ciekawe rzeczy: witaminy, lekarstwa, książki - ogólnie to, co nie bardzo pomaga przeżyć, a bardzo umila życie.

- To wszystko przyszło od nas - poważnie wyjaśniła Marla. - Jako pierwsi zaczęliśmy wysyłać zwiadowców we wszystkich kierunkach, sprawdzić, czy został gdzieś ktoś żywy.

- No i jak? - żywo spytał Euan.

- Nie ma się z czego cieszyć. Ludzie jest zdecydowanie mniej, niż było.

Euan wzruszył ramionami. Niezbyt odkrywcze.

- Wiemy o Glasgow. Jeszcze ktoś tam znalazł się w Edynburgu i Dundee. Między miastami żyją ludzie, z reguły w kościołach i zamkach. Tam, gdzie są grubsze ściany. - Kobieta też wzięła łyk herbaty i kontynuowała: - Na wschodzie podtrzymujemy kontakt z byłym Newcastle.

- A co jest na południu? - ostrożnie spytał Euan.

Marla wbiła w niego wzrok.

- Rozumiem, że idziesz tam?

- Przychodzili do nas nie tylko wasi handlarze - sucho powiedział Euan.

- Jak to? - Marla wyraźnie poczuła złość w jego głosie.

- Tak to, znaleźli nas inni. I porwali nasze kobiety i dzieci.

- Łowcy niewolników - kobieta splunęła za skraj ściany wieży.

- Łowcy niewolników - powtórzył Euan.

- Tak, przyjacielu... - powiedziała cicho Marla, a w jej oczach błysnęło współczucie, które nagle zmięczyło jej rysy i dodało kobiecości. - Niektórzy mądrzy ludzie szybko zrozumieli, że nie muszą pracować samemu, skoro można zmusić innych.

Euan zacisnął pięści.

- Choć nie zawsze rzecz w pracy - dodała Marla i jej ręka w rękawicy opadła na ramię Euana. - Przed wojną też byli ludzie, którzy nieźle korzystali z tych, którzy byli młodszy i słabszy, zmuszając ich do spełniania cudzych żądań.

Euan kiwnął głową. O tym też zdążył pomyśleć.

- Dokąd odwożą więźniów? - zapytał. - Szedłem po śladach opon do rzeki, ale później przepadli.

Marla milczała, patrząc na niego.

- Kogo zabrali?

Euan zakotłosał się na piętach. Oczywiście to pytanie było nieuniknione. Nowości w świecie było tak mało, że ludzie nie mogli się doczekać dowiedzenia nawet tego, co smutno było usłyszeć. Ale, nawet rozumiejąc to, z trudem mógł się zmusić do zwierzenia. Dał sobie słowo, że a nikim nie będzie rozmawiać o dzieciach, dopóki znowu ich nie obejmie. Kiedy listonosz opuszczał Glasgow, wszystko było zrozumiałe bez słów: tylko pożegnał się i poprosił sąsiadów o potrzebne rzeczy. Wszyscy byli gotowi pomóc, choć nikt nie miał nadziei zobaczyć go ponownie.

Najpierw powiedziawszy o swoich kłopotach na głos, Euan poczuł, jak palący ból wychodzi na powierzchnię i biczuje na zewnątrz przez szczeliny w jego duszy. Drżącym głosem powiedział:

- Moją rodzinę.

Marla niczego nie powiedziała, ale jej ręka mocniej złapała jego ramię.

- Zabrali moją rodzinę - powtórzył Euan. - Żonę, córkę i syna.

Nic więcej nie chciał mówić i przez jakiś czas stali w milczeniu, aż Euan zebrał myśli. Wzruszył ramionami i znowu popatrzył na kobietę: jego oczy lekko zaczerwieniły się, ale łez w nich nie było.

- Wiesz, dokąd ich zabrali? - powtórzył swoje pytanie.

- Różnie mówią... - wymijająco odpowiedziała Marla. - Zrozum, to tylko plotki. Osobiście nie spotkałam nikogo, kto widział łowców na własne oczy i wrócił żywy.

Euan ostrożnie przekrzywił głowę w bok, na chwilę przypominając Marli szukającego tropu psa.

- Jakie plotki? - zapytał z naciskiem.

- Czy rozumiesz, że Anglia jest unicestwiona? - odparła pytaniem na pytanie jego rozmówczyni.

- Tak! - podniósł głos Euan. - Co. To. Za. Plotki?

- Nie, mój przyjacielu, zupełnie unicestwiona. Nawet nie wyobrażasz sobie, jakie szaleństwo panuje na południe stąd. I jakiej nie miałbyś bogatej wyobraźni, nie uwierzyłbyś, dopóki nie zobaczyłbyś na własne oczy - w głosie Marli zabrzmiały echo dawnej krzywdy. - Kiedy świat został starty z powierzchni ziemi, nam, można powiedzieć, poszczęściło się. Ani jedna bomba nie spadła na Szkocję. Epidemie, toksyczne deszcze i inne okropności przesiedzieliśmy pod ziemią.

Euan niecierpliwie skinął, oczekując ciągu dalszego.

- Anglię bombardowali, Euan. I jeszcze wykorzystali na nią jakieś gorsze bomby: jakaś okropność, która nigdy nie powinna wyjść na światło dzienne z laboratorium.

- Marla, dlaczego mi to wszystko opowiadasz?

Powinno być, Euan podniósł głos bardziej niż chciał: kobieta zakryła mu usta ręką.

- Cicho! - powiedziała surowo. - Słysząc cię w odległości mili.

Przytaknął, odsunął się i kontynuował półszepcetem:

- Więc wiesz, dokąd zabrali moją rodzinę?

- Nie.

Euan zgarbił się. Czuł się, jakby mu dzielili w splot słoneczny: przez jakiś czas było nawet ciężko oddychać.

- Są tylko plotki, Euan. Idąc za nimi, znajdziesz tylko śmierć.

Mężczyzna podniósł wzrok.

- Ja i tak jestem już martwy - powiedział.

Marla pokręciła głową.

- Nie gadaj głupot! Przeżyjesz wielu.

- Nie. Dzieci dawały mi nadzieję i radość. Bez nich i bez żony nie ma sensu żyć.

- Wielu straciło bliskich, Euan. Gdyby wszyscy załamywali ręce, co by z nami było?

- Ja nie jestem wieloma. Jestem sobą - Euan odwrócił głowę w różne strony, żeby rozciągnąć szyję: zdrętwiały mu mięśnie. - Marla, obiecałem dzieciom i Julii, że zawsze będę ich chronił. Tak więc dotrzymam tej obietnicy albo zginę, próbując ją dotrzymać.

Marla spojrzała na niego nie odrywając się. W czasach, kiedy żyło się ciężko i nie starczało podstawowych rzeczy, człowiek z zasadami - nawet najprostszymi: na przykład, dotrzymać danego słowa - był w pewnym sensie na skraju wyginiecia.

Przez kilka sekund Marla zdołała wymyślić kilka możliwych wariantów. Ludzi nie wystarczało, a i Margaret dała do zrozumienia, że ten cichy nieznajomy jej się podoba. Może udawać, że nie ma mu nic do powiedzenia; jednak podjął się złej rzeczy. Może zatrzymać go na kilka miesięcy albo nawet na rok; będzie pracować dla niej; być może przywiąże się do Margaret i zapomni o rodzinie...

Ale, patrząc na Euana, prawie roześmiała się na głos nad swoimi myślami. Taki człowiek niczego nie zapomni i nie zadziałają próby zatrzymania go. Marla nagle przypomniał się film, który oglądała w dzieciństwie siedząc na kolanach dziadka. W tamtych latach to była najzwyczajniejsza rzecz: czasu było mnóstwo, a rozrywki łatwo dostępne. Film był czarnobiały. W pamięci zostało mało: tylko to, że był tam człowiek z płonącymi oczami, którego wszyscy się bali, a jedna japonka powiedziała, że on błyszczy jak obnażona klinga. Marla nigdy nie lubiła mieczy, noży i broni palnej, ale niepozorny człowiek stojący przed nią, przypominał jej o prostej prawdzie: Gdyby długo trzymać klingę w pochwie, stępi się.

- Londyn - powiedziała tylko.

Euan uważnie spojrzał na nią, a kobieta dodała pośpiesznie:

- Tylko że ty tam nie dotrzesz, Euan. Między tobą a tym miejscem leży piekło. Plotki plotkami, ale ja swoje widziałam i bardzo cię proszę: nie odchodź.

- Nie mam niczego, Marla. Niczego, oprócz danego słowa. Jeśli je złamię, komu będę potrzebny? I kim się stanę?

Tu nie mogła się powstrzymać od pomyślenia o tym, jakim sposobem zupełnie nieznany człowiek może stać się wcieleniem wszystkiego, o co walczysz. Patrząc Euanowi prosto w oczy powoli pokręciła głową i smutno uśmiechnęła się:

- Nigdy nie myślałam, że spotkam kiedyś błędnego rycerza...

Euan ostrożnie podniósł brwi i otworzył usta, ale zadać pytania nie zdążył - drzwi otworzyły się i ktoś ze środka cicho powiedział:

- Marla, dzieci cię wołają.

Kobieta podeszła do drzwi, łapiąc po drodze opróżnione kubki i rzucając przez ramię:

- Zmienią cię zaraz po północy, Euan.

Jeszcze raz pokręciła głową, jakby czemuś dziwiąc się, i zniknęła z widoku.

Wystrzeliła seria automatu.

Euan nawet nie zdążył się zastanowić: rzucił łopatę, padł twarzą na oblodzony dach i ostrożnie podpełzł do południowej luki.

Wystrzały dochodziły z południowego wschodu, gdzie nad ruinami wznosiły się dwie zębate wieże. Bliższa z nich dawno zawałiła się od bomb i zużycia, ale dalsza ostała się w całości. Margaret w czasie rozmowy zdradziła, że w tej wieży żyli ludzie.

Salwa rozległa się znowu i tym razem oprócz niej do mężczyzny dotarły czyjeś krzyki. Euan szedł po schodach, prosto do zbrojowni. Z hukiem otworzywszy drzwi, krzyknął wprost do dwóch wznoszących się przed nim, zaskoczonych twarzy:

- Strzelają w mieście! - po czym odwrócił się i pobiegł z powrotem na dach.

Po kilku sekundach wybiegli za nim Marla i jeszcze kilku ludzi.

- Co robimy? - zapytał Euan.

- Czekamy, czy nie pójdą w naszą stronę - odparł ktoś, a Euan rozpoznał po głosie Morrisa.

- A co, nie będziemy im pomagać? - zapytał.

- Pchać się prosto w ciemność, czy co? - niespodziewanie odezwał się czyjś nieznany głos.
- Nie wszyscy są tacy fajni jak ty, synek - powiedział Morris.
- Nie wszyscy latami żyli w ciemności - dodała Marla.
- No i nie chce się przepaść - powiedział od niechcienia Morris.

Euan odwrócił się, żeby jeszcze raz spojrzeć na wieżę i w tym momencie rozległ się tam wybuch, wzniesając w niebo masę gruzu. Wszyscy, którzy stali na dachu, rozciągającym się za fortyfikacjami, z oniemięciem wymieniali spojrzenia.

- Ktoś wyraźnie narobił gdzieś dynamitu - dało się słyszeć.
- Nie, to granat ręczny - rozległo się w odpowiedzi.
- Nie obchodzi mnie, co to było, żeby tylko tam zostało! - podsumował głos Marli.

Euan podniósł się i spojrzął w ciemność. Zaśnieżony budynek był teraz oświetlony pomarańczową poświatą, z pod jego dachu wyrwały się języki płomieni. Ludzie stali i patrzyli, aż płomień nie przygasł. Ostały się tylko słabe odbłaski na śniegu oraz snop dymu unoszącego się w niebo.

- Cóż, problem rozwiązany - przerwała milczenie Marla.

Euan pytająco spojrzął na nią.

- Gdyby kto przeżył, już by dotarł do nas - mrocznie wyjaśniła kobieta. - To znaczy, że wśród żywych nikogo nie ma. Za to do ognia i szumu zbiegną się nowi nieznani goście.

Ktoś mruknął:

- Zbaw, Panie, ich dusze...

Obróciwszy się na te słowa, Euan zobaczył Seana, który pospiesznie wkroczył.

- Tam są żywi - z niewiadomo skąd wziętą wiarą powiedział Euan.

Sean pokręcił głową:

- Czegoś takiego nikt nie przeżyje.
- Sean cię zmieni - rzekła Marla. - Idź się przespać, Euan. Jutro porozmawiamy.

Schodząc po schodach, Euan nie mógł pozbyć się uczucia, że po wybuchu, pożarze, strzelaninie i wszystkim pozostał ktoś przy życiu. Ktoś leżał w zgłiszczach, ranny, samotny i bojący się wezwać pomocy. Euan wiedział o tym tak dobrze, jak o tym, że kocha swoje dzieci.

Łowcy niewolników rozbili obóz na pustynnych przedmieściach, żeby opatrzyć drobne rany i przygotować się do nocnego napadu. Julii było lepiej, mogła już chodzić bez niczyjej pomocy.

Ledwo wstawszy na nogi, szybko objęła Jake'a - strażnika, który dostawiał się do Gwen. Kilka razy w ciągu dnia zliczała minuty, żeby porozmawiać z nim, jakby przypadkowo znaleźć się w jego rękach.

Gwen obrzydzało patrzenie na matkę, Michael po prostu nie rozumiał, co się dzieje. Wszystko było oczywiste: U Julii włączył się instynkt samozachowawczy. Za życie swoich dzieci i jej własne była gotowa zapłacić każdą cenę. A już tą, która ucieszyłaby strażnika, bardzo chętnie.

Nocą podniosła się zamieć, a łowcy niewolników wybrali się do miasta, mając nadzieję, że za szumem wiatru miejscowi ludzie i wartownicy nie usłyszą ryku motorów. Ich celem była ledwie rozpoznawalna wieża z blankami, stojąca w centrum miasta.

Atak przeprowadzono szybko. Łowy rozdzielili się na dwie grupy po pięć osób. Jedna wdarła się do budynku przez drzwi, rozwalając zamek wystrzałem z dubeltówki, druga podważyła ścianę butlą gazową i weszła przez utworzony wyłom z drugiej strony.

Ciemnowłosa dziewczyna, której zadaniem było pilnowanie żywego towaru, siedziała w kabinie, wzdrygając się przy każdym wystrzale i myśląc to o dzieciach w sąsiedniej ciężarówce, to o własnej skórze. Wychodzić na ulicę było niebezpieczne: intuicja podpowiedziała, że lepiej się nie wychylać. Ale pracy też nikt nie odwołał. Koniec końców otworzyła drzwi i wyskoczyła z kabiny, na wszelki wypadek biorąc ze sobą łom.

Wartę przy ciężarówce z dziećmi i Julią trzymał Jake. Katelynn niezauważalnie podkrađła się do niego od tyłu, walcząc z ochotą zdzielenia tej szumowinie łomem w łeb. Ale wtedy coś huknęło i fala uderzeniowa zmiotła dziewczynę z nóg. Jake obrócił się i natknął się prosto na nią. Zauważywszy łom w jej rękach łapczywie wyszczerzył zęby i zdjął broń z ramienia. Dziewczynka, przestraszona nie na żarty, skryła się pod ciężarówką i wyszła z drugiej strony, gdzie płonęła zaatakowana wieża.

W pobliżu świsnęła kula rykoszetując od ziemi i stwierdziła, że trzeba uciekać - tam, gdzie nie ruszą za nią w pogoń. Wyrwała się w kierunku płonącego budynku i w tym momencie druga eksplozja

wstrząsnęła opustoszałym miastem. Ostry ból nagle przeszył nogę. Pochylając się dziewczynka upadła i uderzyła się w głowę. Na chwilę coś mignęło przed oczami, a potem stało się zupełnie czarno.

Rozdział 5

KATELYNN

Sen był trudny. Do znanego koszmaru doszły sny o dziecku, zapomnianym i opuszczonym w zimnej, surowej nocy. Euan kilka razy budził się w pocie, a jego ciężki oddech echem odbijał się między ścianami słodko śpiących koszar. A świt nie śpieszył się z przyjściem. Jak tylko na niebie narysowały się pierwsze nieśmiało przeblęski jutrzeńki, Euan szybko zjadł na śniadanie gotowane grzyby i, nawet nie dopiwszy gorącej herbaty, podszedł do drzwi.

Tam znowu stała Marla. Wygląda na to, że upodobała sobie to stanowisko.

- Cięgle gonisz za duchami?
- Chcę sprawdzić swoją intuicję - odezwał się Euan.
- Zgubi cię ta twoja intuicja - ostrzegła.

Euan zatrzymał się i popatrzył na Marłę, ale jej twarz niczego nie wyrażała. Ciekawe, co miała na myśli?

- A może odwrotnie, ocali czyjeś życie - w końcu, odparł.
- Ty wiesz najlepiej - krótko odpowiedział Marla, odwracając się, żeby otworzyć drzwi.

Ona i jej partner, jak mechaniczne figury, synchronicznym ruchem przesunęli zasuwę i otworzyli drzwi na spotkanie wichru śnieżynek. Marla pierwsza wyszła na mróz i, przykłonawszy na kolano i kierując przed siebie automat, przyjrzała się okolicy. Wszystko wokół było nieruchome, tylko śnieg padał powoli, jakby puch, i jakoś bardzo uroczyście.

- Uważaj tam, Euan - powiedziała Marla, nie patrząc na obcego. - Nocą do ognia mogły przybiec zbiec się różne stworzenia. Możliwe, że nie wszystkie rozbiegły się po swoich norach.

- Widoczność jest kiepska - dodał drugi wartownik, pokazując lufą na spadający śnieg.

Euan skinął, założył ciemne okulary i kapelusz z szerokim rondlem, ukrył twarz głębiej w szalu i wkroczył do białej nicości.

- Jeśli zabłądzisz - pędź do dowolnej ściany - poinstruował do wartownik.
- Nie na każdej ścianie przyczepiliśmy znaki w kierunku zamku - wyjaśniła Marla.
- Dziękuję - powiedział Euan i wstąpił w lodowy świt.

Chociaż Carlisle zawsze otulone było grubą, białą pierzyną, śnieg mocno zmienił widok. Teraz miasto nie wydawało się być takim surowym i opuszczonym. Euan prawie nie zdziwiłby się, znów słysząc na ulicach zapomniany szum i hałas cywilizacji. Świeży śnieg miękko kładł się na grubej, lodowej pokrywie, podstępnie skrywając szczeliny i przeszkody. Żeby nie połamać nóg trzeba było bardzo ostrożnie chodzić.

Śnieg już nie padał pionową ścianą, jak nocą: ogromne płatki planowały płynnie i powoli. Kładąc się na ubraniu, stopniowo pokrywały je równą warstwą, podobną do białej pleśni. Przy ścianie Katedry Euan wyciągnął ze sterty drewna pałkę odpowiedniej długości - jak raz do pasa. Przesypując przed sobą śnieg, poszedł na południe - tam, gdzie nocą rozlegały się strzały.

Jego droga leżała obok spalonych i spękanych ścian, z których spadała farba, zostawiając na świeżym śniegu czerwone plamy, jakby od krwi. Z prawej widniał zarys dużego kamiennego budynku, wzmocnionego stalowymi i drewnianymi płytami. Zdaje się, że mieszkańcy Katedry używali go jako magazyn. Z lewej rozsypywał się trzypiętrowy ceglany dom bez dachu, zwęglony jakby samym piekielnym płomieniem.

Miasto przedstawiało sobą dziwną mieszaninę ruin i ubogich fortyfikacji, w których przypadkowi, nieszczęśliwi ludzie próbowali znosić nacisk nowego świata. Dokładnie przed Euanem wpatrując się w niego ślepych oknami, wznosił się nad śnieżne połacie budynek, niegdyś biały, a teraz posiadając nierozróżnialny, brudny kolor. W tym miłym miasteczku, jak ogólnie w tym miłym świecie, miejsca dla czystego, białego koloru w ogóle nie zostało. Takie życie.

Mijając niebiały budynek, Euan natknął się na stos połamanych cegieł - sądząc po wszystkim, były magazyn. Ze śniegu sterczał kawałek wyblakłego, zielonego logo. Zagapisz się, polecą noga między cegły i tyle. Dopóki będziesz otulać zwichniętą kostkę, przyjdzie coś niesamowitego i odgryzie ci ją w cholerę. A może i głowę.

Euanowi wydawało się, że widzi ślady ścieżki między budynkami. Trącąc pałką w śniegu, zaczął przedzierać się przez ruiny, starając się trzymać tej wskazówki. Wokół kierowały się do nieba metalowe żebra zniszczonego budynku. Od mrozu stały się srebrzysto-białe i przez chwilę Euanowi

zdawało się, jakby wędrował przez ogromny szkielet jakiegoś wspianego zwierza. Niespodziewane cegła wyślizgnęła się spod jego nogi i Euan z trudem utrzymał równowagę, za to jego głowa momentalnie została opróżniona z dziecięcych fantazji. Śnieg i cisza grały z nim w niebezpieczne żarty. Euan zmusił się do koncentracji. Ostrożnie zszedł ze zgliszczy na ulicę, zatrzymał się, żeby poprawić na ramionach plecak i automat i ruszył dalej.

Wzdłuż wąskiej uliczki stały pokaleczone domy, które ucierpiały nie od wybuchu jądrowego, a od czasu i nieprzemyślanie rozpalanych ognisk. Euan szedł powoli i ostrożnie, przyglądając się każdemu wejściu, każdej witrynie z na wpół zamkniętymi okiennicami. Zdawało się, że w ciemności otworów okiennych leży ktoś, studiując wygląd nieznajomego, pozostając niezauważonym.

W tej przerażającej ciszy Euan czuł się nieswojo. Nerwy, wykończone głupimi snami, rozstroiły się nie na żarty. Zdjął z ramienia automat i sprawdził magazynek i bezpiecznik. To go trochę uspokoiło, ale cisza dalej ścisnęła objęcia. Nawet szuranie, z którym śnieg kładł się na powierzchnię, było wyraźnie słyszalne i wymuszały nerwowe rozglądanie się na boki.

Przechodząc do końca ciągu brudnych ruin, Euan zdumiony zastygł przed drogowskazem z napisem: "Ulica Dominikanów". Znak ładnie się zachował. Trzeba przyznać, że w tym ponurym krajobrazie wydawał się absurdalny. Euan zamyślił się nad tym, gdzie w dzisiejszym świecie podzielił się wszyscy dominikanie, po czym zajrzał za róg, żeby prawidłowo zbadać znajdującą się przed nim otwartą przestrzeń.

To było skrzyżowanie, na którym, ku zdziwieniu Euana, nie było ani jednego rozpadającego się samochodu. Tylko pokryty śniegiem wóz pancerny sterczał na środku ulicy, a śnieg wokół pokryty był plamami rdzy. Patrząc na boki, Euan przebiegł na drugą stronę ulicy. Dom, stojący tam, ocalał i teraz zamiast parteru było pierwsze piętro.

Cicho.

Ciężko dysząc ze strachu i wyczerpania, Euan dobiegł do wozu i padł do ziemi obok niego, chowając się za spadającym śniegiem i grubym korpusem starej maszyny bojowej. Przed sobą, na południu, mógł już dostrzec swój cel: na czerwonej, ceglanej ścianie była widoczna świeża sadza, a w jednym miejscu, obok zębatej wieży, ziała ciemna dziura, nad którą sennie kłębił się dym. Po ulicy wały się poczerwiałe kawałki kamienia i odłamki mebli; a pośród odłamków buli rozrzuconych ludzi. Cisi, spokojni. Żeby im się bardziej miękko spało w śmiertelnym śnie, niebo okryło białą, śnieżną kołdrą.

Euan mocniej ściągnął ramiączka plecaka, złapał automat dwoma rękami, przycisnął kolbę pod prawe ramię i, przyczajając i starając się trzymać z dala od okien, powoli przesunął się do dymiącego budynku. W połowie drogi jego zmarznięte kolana już bolały, a ramiona zdrętwiały od napięcia.

Podpełznąwszy bliżej, usłyszał hałasy. Kamienna kładka popękała od różnicy temperatur. Ogień, najwyraźniej, jeszcze palił się w środku - żar spalił wszystko, co mogło płonąć. Śnieg padający na zgliszcza, topniał, ale woda na mrozie zmieniała się w lód i tylko tam, gdzie żar był szczególnie silny, ciemniały małe kałuże. Euan ostrożnie obszedł budynek i odkrył jeszcze jedną wyrwę w południowej ścianie. Śnieg w jej pobliżu cętkowały przysypane ślady.

Na południe od domu widniała zaporą z falowanej stali, betonu i zardzewiałego drutu, rozdzielająca miasto na dwie części, od rzeki do rzeki. Wzdłuż ściany stały filary z martwymi reflektorami, poszarpane fragmenty kabli zwisały do ziemi. Pomiedzy dwoma zniszczonymi wieżami stały masywne wrota. Ich skrzydła były uchylone, a cała przestrzeń za wrotami - droga i przylegające do niej okolice - była pokryta rozpadającymi się szkieletami samochodów, autobusów i ciężarówek, porzuconych przez kierowców wiele lat temu. Ta ściana została postawiona w ostatnich tygodniach wojny, żeby odgrodzić bezpieczną strefę. I pomysł okazał się w dużej mierze sukcesem.

Euan poszedł po śladach, szukając choćby jednego dobrego odcisku. I zlął go od razu za wrotami przy dużym samochodzie, gdzie nie spadły świeże śnieżki: ostry i dokładny kontur podeszwy buta. Ale coś było nie tak. W głowie Euana w pewien sposób rozległ się alarm.

Wystawiając przed siebie lufę, zamarł, wpatrując się w pustkę. Wokół było nadal cicho. Świt ciągle nijak nie mógł przebić sobie drogi przez zachmurzony nieboskłon. Ani ruchu, ani dźwięku. Euan postanowił, że to cisza szarpała jego nerwy i obrócił się do zniszczonej, ceglanej wieży.

Teraz był prawie przekonany do racji Marli: wybuch, pożar, bandyci i mroźna noc nie zostawili mieszkańcom wieży ani jednej szansy. Ogarnęła go nagła troska, niczym przecucie nocnego koszmaru. On naprawdę nie wiedział, kogo miał nadzieję znaleźć pośród szczątków i martwych ciał.

Po prostu było uczucie: w krótkiej i potwornej nocnej bitwie ktoś przeżył. Ktoś, kto bardzo potrzebował pomocy... Ktoś bliski - inaczej skąd by Euan wiedział, jak by czuł wezwanie o pomoc?

Ale wokół było cicho i martwo. Wygląda na to, że się spóźnił.

Znowu przyciskając się do ziemi, Euan ruszył z powrotem, do pełnych nadziei i silnych ścian Katedry. Kiedy dotarł do poranionej północnej wieży, słońce wreszcie przebiło się przez chmury. Oślepiiony, Euan zamknął oczy i padł na jedno kolano. Otaczał go koszmarny widok: każda śnieżynka błyszczała w czerwonych promieniach poranka i nagle wyglądało to tak, że całe miasto jest zalane krwią.

Ziemia pod jego kolanem rozstała się i Euan zdał sobie sprawę, że nastąpił na zdrętwiałe ciało jednego z poległych tej nocy. Pod swoim ciężarem klatka piersiowa opadła i wypuściła powietrze, które było ostatnim wdechem jeszcze żywego człowieka...

Fala mdłości uniosła się w żołądku Euana i ledwie powstrzymał wybuch paniki - na złamanie karku poleciał przed siebie, do ukrycia.

...W przyćmionym świetle coś się poruszyło wychodząc spod kamiennych odłamków. Mignęła delikatna sylwetka. Kościste ręce i pajęczce kończyny próbowały wykopać wyjście ze śnieżnej mogiły.

Starając się uspokoić wściekłe bicie serca i podmuchy nudności, Euan nie widział niczego dookoła, oprócz tej sylwetki. Do jego uszu doszło dziwne, dalekie wycie. Stworzenie wykaraskało się spod odłamków, zostawiając za sobą czarny ślad w czerwonym świetle wschodzącego słońca. Odwróciło się do Euana, ale twarzy jego nie można było dostrzec spod mokrych, zmierzwionych włosów.

Przecucie czegoś przerażającego ścisnęło gardło Euana lodowym chwytem. Z trudem podniósł lufę i nieposłusznymi palcami przesunął oblepiony śniegiem bezpiecznik. Stworzenie przypominało mu o bajkach o potworach z południa, które zdarzyło się usłyszeć przy ognisku w tunelach.

- Euan - ochryple powiedziała istota.

Zamarł z przerażenia, z niemożliwości tego, co się dzieje. Nogi odmawiały mu posłuszeństwa, głos przepadł i Euan zwyczajnie stał i patrzył na to dziwne stworzenie, które niewiadomo skąd знаło jego imię.

I niespodziewanie istota zakaszła, a halucynacja zniknęła.

- Pomóż - rzekł słaby głos. Ręka odrzuciła włosy i pod nimi pojawiła się blada, wykrzywiona bólem twarz zupełnie nieznanego Euanowi dziewczynki.

- Pomóż! - powtórzyła i padła nieprzytomna.

Zadziały wyuczone instynkty i Euan rzucił się na pomoc, siła woli pobudzając zeszywniałe mięśnie. Z trudem zmusił się do zatrzymania i jeszcze raz uważnie przyjrzał się każdemu oknu, każdej ciemnej dziurze, z każdą chwilą stając się coraz ciemniejsze przez ostre światło słońca wznoszącego się nad miastem.

Kiedy mężczyzna ponownie ruszył się z miejsca, ruchy jego były powolne i ostrożne. Dotarłszy do leżącej dziewczynki, zamarł i znowu przeczesał wzrokiem otoczenie. Część świadomości krzyczała, że to pułapka, że ktoś zaczął się na niego.

Prawą ręką trzymając automat w pogotowiu, palcami lewej sprawdził puls na jej szyi.

Tętno było wyczuwalne.

Chrapliwie dysząc, Euan odwrócił dziewczynkę, patrząc to na nią, to na okoliczne budynki, potem pospiesznie zbadał jej ciało w poszukiwaniu mokrej plamy krwi. Odnalazł ją na nodze. Opuściwszy wzrok, zobaczył pod samą pachwiną założoną w pośpiechu opaskę ze skórzanego paska, a niżej - wystający z nogi postrzępiony kawałek metalu. Włosy z tyłu głowy dziewczyny sklepiły się od krwi, ale Euan znalazł tam tylko siniaka i strup.

Tymczasem śnieg przestał padać, a słońce podniosło się jeszcze wyżej. Niebo zmieniło zabarwienie - z czerwonego na jasnopomarańczowe - i pokryte było odpływającymi w dal obłokami chmur. Z daleka, z tamtej strony ogrodzenia, dochodziło dziwne szczekanie, następnie drugie jakby mu odpowiedziało, tym razem znacznie bliżej.

- Szlag! - zarzucił automat na ramię i chwycił dziewczynę w ramiona.

Szczekać mogły psy albo jakiś inny stwór ze skażonego południa, ale jeśli to była psia wataha, jedynym ratunkiem była ucieczka.

Kiedy Euan zbliżał się do wieży Katedry, w budynku został już podniesiony alarm, a Marla nawet nie spodziewała się go znowu zobaczyć. Miała pewność: w jakie głupie przedsięwzięcie nie zaangażowałby się obcy tym razem, jest już martwy albo coś jeszcze gorszego.

Ale coś nie pozwalało jej zamknąć bramy... Znowu i znowu wodząc lufą po zaśnieżonych ulicach Carlisle, ciągle czekała, czekała... Jakby ktoś błagał ją, żeby zaczekała jeszcze troszeczkę.

I ten wewnętrzny głos nie zawiódł.

Na świeżo spadłym śniegu stał chudy, wysoki mężczyzna w połatanych spodniach, szczelnie schowanych w długich skórzanych butach, i potartym, znoszonym, skórzanym płaszczu. Na jego szyi zwisał rozwinięty szalik, wcześniej zakrywający wąską, pomarszczoną twarz. Para od oddechu zamgliła ciemne okulary, a spod kapelusza z szerokim rondlem wychodziły niesforne kosmyki kasztanowych włosów. Za plecami widoczny był kempingowy plecak, a zza prawego ramienia sterczała skierowana w niebo lufa automatu. Na rękach mężczyzna niósł bezwładne ciało nastoletniej dziewczyny w podartych dżinsach, półbutach i swetrze o kilka rozmiarów za dużym. Włosy nieznajomej rozkładały się na ramieniu Euana, oczy miała zamknięte, a przepiękną twarzyczkę dotknęła trupia bladość. Za ich plecami wznosiły się ruiny martwego miasta i dzwoniącym echem roznosiło się po zgliszczach z każdą chwilą przybliżające się psie szczekanie.

Wiele lat później Marla nie mogłaby powiedzieć, że stworzono tę chwilę specjalnie, że wydzielono ją z całego jej długiego i pełnego niebezpieczeństw życia - ale zapamiętała ją na zawsze. I patrząc na człowieka, idącego do niej po syrkim śniegu, na chwilę poczuła przypływ jakiegoś niewytłumaczalnego, niezwykłego uczucia.

Ochrona Carlisle nie wierzyła ani w boga, ani w diabła i sądziła, że człowiek sam jest kowalem swojego losu. Ale z jakiegoś powodu Euan nie wpisywał się w jej dokładnie rozrysowany obraz świata. Nikt z jej ludzi dobrowolnie nie chciałby włączyć w ruiny, gdzie ledwo poprzedniego dnia rozlegały się strzały: to było i bezmyślne, i niebezpieczne. A gość z Glasgow poszedł - i poszedł, słuchając się swojego wewnętrznego zewu, a w żadne zewy Marla, rozumie się, też nie wierzyła.

I wyniósł z dymiących zgliszcz, z siarczystego mrozu, żywego człowieka. Ranną dziewczynę. Ocalił życie pięknej nieznajomej.

Bajka jakaś.

Marli nagle wydało się, że leży w ciepłym i przytulnym łóżku i głos dzidka ponownie opowiada jej historie o dzielnych rycerzach. Czy nie tak rodzą się legendy?

Jak najszybciej wpuściła Euana do ciepła, zatrzasnęła drzwi i sama pomogła wartownikom przesunąć ciężką zasuwę. W twarzy partnera, jak w lustrze, odbijało się jej własne zdumienie. Z wieży już dochodziły głuche wystrzały z broni dużego kalibru. Z pewnością, ochroniarze odganiaли od ścian Katedry dzikie psy.

- Jest ranna - nerwowo zachrypiął Euan.

- Chodź za mną - rzuciła Marla i zaprowadziła go do odgrodzonego rogu w drugim końcu głównego holu.

Tam stał piec, od którego rozchodziło się delikatne ciepło. Długa rura wznosiła się do sufitu i niknęła w półmroku. Strużki dymu wydostawały się na zewnątrz w tych miejscach, gdzie pęknięcia w metalu były byle jak załatane żelaznymi puszkami. Po przeciwnych stronach pieca stały dwa łóżka, duże, podobne do ław. Po lewej stał czysty stolik z metalową tacą, po prawej pogięte plastikowe pudełko zielonego koloru z wytartym białym krzyżem i napisem "PIERWSZA POMOC".

Euan położył dziewczynę na lewym łóżku, pochylił się nad nią i spróbował wyczuć tętno. Marla wytrzeszczała oczy i na ułamek sekundy zwątpiła w czystość jego intencji, ale zaraz odegnała precz te myśli.

- Martin! - nieoczekiwanie wrzasnęła.

Euan podskoczył z zaskoczenia i spojrział na nią z wyrzutem. Marla tylko wzruszyła ramionami, wyszczerzyła się i krzyknęła znowu:

- Martin!

- No idę, idę! - dał się słyszeć czyjś odległy głos, a po nim trzaskanie drzwi i szuranie.

- Rusz się, stary! - zagrzmiała Marla.

- Spadaj! Czego się drzesz, nie jestem głuchy! - odpowiedział zmęczony głos.

Marla ponownie szeroko uśmiechnęła się, a Euan pomyślał, że w innym życiu z pewnością byłoby z nią bardzo wesoło.

Martin okazał się być brodatym, sześćdziesięcioletnim staruszkiem, w skórzanym fartuchu, prawie zakrywające workowate spodnie. Rękawy jego potartego swetra były podwinięte do łokci, a ręce ubrudzone w oleju silnikowym.

- Tak, tak... - wycedził. Odwrócił się i szybko odszedł.

Euan pytająco spojrział na Marłę.

- Wcześniej był weterynarzem - wyjaśniła kobieta.

- Ekstra - rzucił Euan bez specjalnego entuzjazmu.

- On jest dobrym lekarzem - uspokoiła go Marla. - Pomaga nam przeżyć. Dużo czyta o medycynie.

Martin wrócił już bez fartucha i z czystymi rękami, wyparzonymi w gorącej wodzie.

- Ktoś przeżył po wczorajszym? - zapytał.

- Tak - odparł Euan. - Znalazłem ją przy zniszczonym budynku. Albo ona mnie znalazła, sam już nie wiem...

Martin spojrział na faceta okrągłymi oczami, ale niczego nie powiedział. Zwrócił się do Marli i kontynuował jakby nic się nie stało:

- No, pozwólcie spojrzeć, co z nią nie tak.

- Ma żelazny pręt w nodze i wielki siniak na potylicy - poinformował Euan.

Lekarz dokładnie obrócił głowę dziewczyny, sprawdzając czaszkę w rejonie siniaka silnymi, pulchnymi palcami. Zadowolony rezultatem oględzin, skierował uwagę na nogę.

- Wszystko w porządku? - zapytał Euan.

- No, kiedy się ocknie, łepetyną ją będzie bolała - odezwał się staruszek. - Może ma wstrząśnienie, ale czaszka cała. Czy jest krwotok wewnętrzny, na razie nie widać. Czas pokaże.

Teraz była cała pochłonięta badaniem nogi. Wyjawszy zza pasa nóż, rozciął nogawkę przy ranie. Metalowy pręt wystawał około dziesięć centymetrów, cała skóra wokół niego była w zaschniętej krwi. Noga była zimna i zsiniała.

- To już jest poważne - powiedział Martin. - Marla, szybko: ciepłe koce, gorącą wodę, szmaty. I masz u siebie spirytus zachomikowany, wiem o tym. Przynieś, proszę.

Kobieta od razu zniknęła.

- Jesteś porządnym człowiekiem? - spytał Martin.

- Tak - powiedział na wszelki wypadek Euan.

- To dobrze - odparł staruszek, pytająco unosząc brew. - To pomożesz ją rozebrać.

Do Euana dotarło, że to trzeba było wykonać w pierwszej kolejności: dziewczyna prawie całą noc przeleżała na mrozie i straciła dużo krwi.

W nowym świecie nie ma miejsca na skromność; i Euan z Martinem pośpiesznie rozebrali nieznajomą do bielizny. Wróciła Marla ze stertą koców. Mężczyźni rozstąpili się i delikatnie zawinęła dziewczynę. Jej śladem pojawiła się Margaret z parującym czajnikiem w jednej ręce i butelką z klarowną cieczą w drugiej. Postawiwszy jedno i drugie na stole, natychmiast się wycofała.

Martin zwinął koc, odkrywając ranny fragment nogi, i zaczął precyzyjnie oczyszczać ranę. Dziewczyna poruszyła się i wydała stłumiony jęk.

- Euan - mruknęła nie otwierając oczu.

Mieszkańcy Carlisle zaskoczeni popatrzyli na obcego.

- Znasz ją? - spytała Marla.

- Pierwszy raz widzę - odparł ten. - A ona mnie tak jakby zna.

- Może spotkaliście się, kiedy była małą dziewczynką? - dodał Martin.

- Być może. Chociaż bym ją zapamiętał - powiedział Euan, nie do końca sobie wierząc.

- To co za cholera? Skąd on wie, jak masz na imię? - zapytała Marla.

Martin w milczeniu patrzył na Euana, ale w jego jasnych, szarych oczach widniało to samo pytanie. Obcy bezradnie wzruszył ramionami:

- Pojęcia nie mam.

- Zdaje się, że nie tak głęboko, jak myślałem. A i tętnica nie naruszona. Przeszło obok - powiedział Martin, znowu skupiwszy się na ranie.

- Poszczyło się dziewczynie - zamyśliła się Marla i dodała: - Bardzo poszczyło.

Martin otworzył zielone pudełko i wydobyl stamtąd paczkę opatrunków, igły z grubą nicią i złożony kawałek białego materiału, od którego dochodził dziwny zapach, z jakiegoś powodu przypominający Euanowi o dzieciństwie, chociaż przyczyny tego nie mógł nijak zrozumieć.

Starzec zręcznie wyjął żelastwo z uszkodzonej nogi i przemył ranę spirytusem z butelki. Dziewczyna szarpnęła się i wrzasnęła, na krótko otworzyła oczy, ale zaraz znowu straciła przytomność. Jeszcze raz uważnie zbadawszy ranę i znalazłszy odłamków, Martin skinął głową i zaczął zszywać brzegi. W tym on, oczywiście, był wielkim mistrzem: nie zdążył Euan oprzytomnieć, jak staruszek już przegryzał nić, potem rozwinął kawałek białej tkaniny i wyciągnął na światło słoik. Odkręcił go i dziwny, ostry zapach nasilił się.

- Co to jest? - spytał Euan.

- Olejek goździkowy - odparł lekarz.

Euanowi nic to nie mówiło.

- Dawno, jeszcze w erze cywilizacji, używali go dentyści. Zdrowo pomaga na ropienie ran - wyjaśnił starzec.

- Zapach jak z dzieciństwa - zamyślił się Euan.

- No właśnie - uśmiechnął się Martin. - Czerwone wino, cukier, goździk, jeszcze jakieś przyprawy - i masz grzańca na Boże Narodzenie.

Euan nie mógł powiedzieć z pewnością, że pamiętał właśnie to, ale coś się w jego duchu poruszyło.

- Znaleźliśmy trochę tego dobra. Przed wojną mało go wytworzono, a zachowuje się długo - wyjaśnił Martin, hojnie kładąc olejek na zaszytą ranę. - Jeśli się uda, nie będzie zakażenia i wyjdzie stąd na dwóch nogach - dodał i poluzował opaskę uciskową.

Upewniwszy się, że nie ma silnego krwotoku, Martin wziął się za bandażowanie nogi, od czasu do czasu zerkając na Marłę.

- Na pewno nie spotkałeś jej wcześniej? - upewniła się.

- Na pewno.

- Ale ona cię widocznie spotkała i nie mogę się doczekać, żeby usłyszeć tę historię.

- Ja też - skinął mężczyzna.

- Za niedługo się ocknie - wtrącił Martin. - Szczerze mówiąc, myślałem, że rana jest groźniejsza.

Z tymi słowami zakończył opatrywanie. Marla zmoczyła szmatkę w wiadrze z gorącą wodą i zaczęła wycierać dziewczynę od głowy do nóg, starając się być możliwie jak najdelikatniejsza. Martin skinął na nią:

- Dobra, ja idę. Wołaj, jakby co.

- Dziękuję Martin. Ty młotku! - powiedziała Marla w ślad za nim.

Euan zauważył, że od ciepła na policzkach dziewczyny pojawiły się rumieńce. Wciąż nie mógł dostrzec w jej twarzy niczego znajomego. Krucha, ale jak na jej wiek dobrze rozwinięta, z kruczym nosem i piegami; kąciki ust lekko zadarte. W tej krótkiej chwili, kiedy dziewczyna była świadoma, Euan zdążył zauważyć, że ma ciemnobrązowe oczy. Na oko miała piętnaście lat; możliwe, że trochę więcej, ale zdecydowanie nie mniej. Euan pomyślał, że jest o kilka lat starsza od jego córki: możliwe, że w duszy jest jeszcze dzieckiem, a ciałem już prawie dorosłą kobietą. Złapał się na myśli o tym, jak przez lata zmieniło się jego postrzeganie: wcześniej, kiedy sam był młody, zobaczyłby w niej kobietę, a teraz dostrzegł dziecko. Z pewnością tak powinno być, tak zbudowany jest świat: starzy chronią młodych i ustępują im drogi.

Nieznajoma otworzyła oczy i spojrzała na Euana.

- Znalazłeś mnie. Wiedziałam.

Euan zerknął na Marłę. Ta z zaciekawieniem wpatrywała się w niego. Obrócił się do dziewczyny, która też nie odwracała od niego wzroku.

- Kim jesteś? - spytał mężczyzna. - Znamy się?

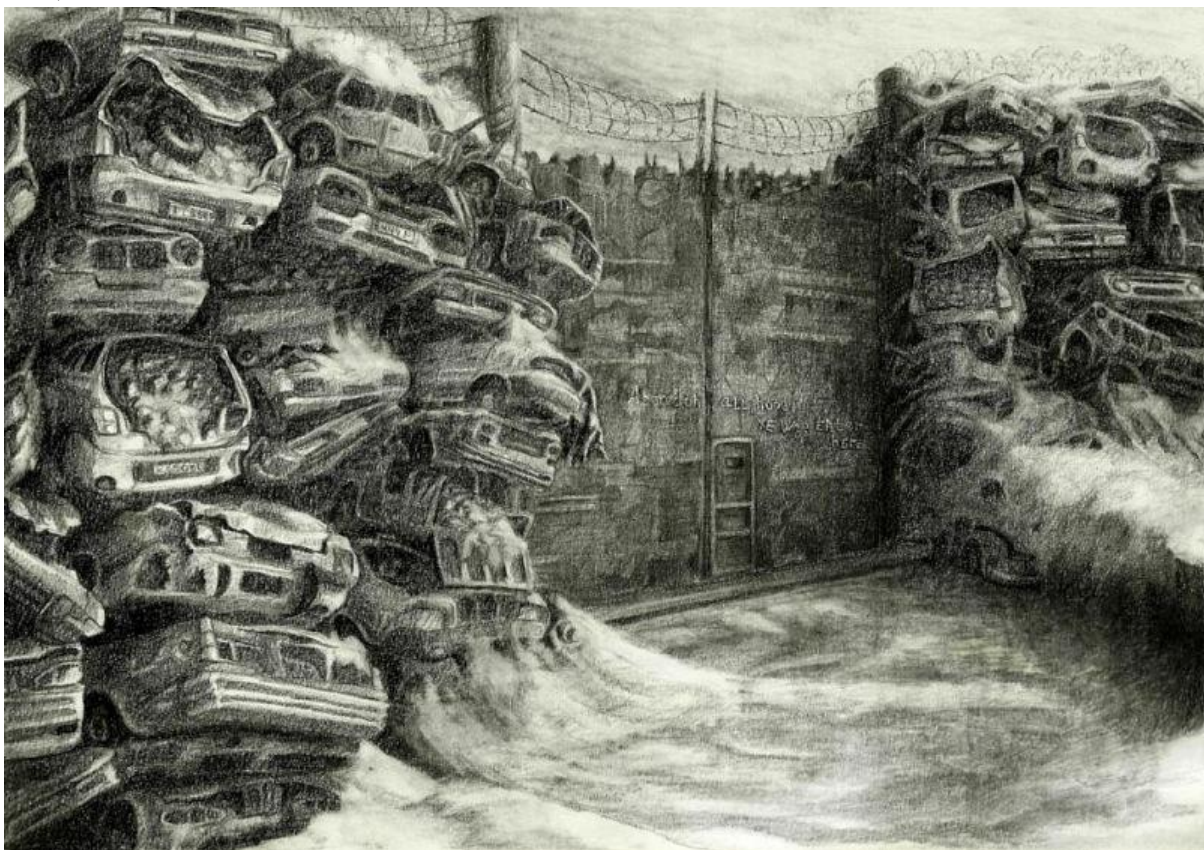
- Mało prawdopodobne - mruknęła cicho, prawie że szeptem, i senne przymknęła oczy. Ale Euan był w takim stopniu zaintrygowany, że powtórzył pytanie:

- Kim jesteś?

- Katelynn - odparła dziewczyna i zapadła w sen.



Rozdział 6 ŚCIANA



"Abandon all hope, ye who enter here"

Marla pokazywała rzadko swój autorytet i na całą resztę dnia wysłała Euana, żeby trzymał wartę na wieży, gdzie później sama też przyszła. Na wieży było zimno, ale tylko tam mogli spokojnie porozmawiać, nie bojąc się bycia podsłuchiwanymi. Po tym, co stało się w nocy, Euan rozpałił w wartownicze ciekawość. Teraz wydawało się jej, że gdzie by nie poniosło tego dziwnego obcego, wszędzie dokładnie tak samo zmaci wodę.

Euan nie chciał zostawiać Katelynn samej, zdawało mu się ważnym być obok dziewczyny, kiedy się obudzi. Wcześniej nie działo się z nim nic podobnego, nigdy tak naprawdę nie wierzył w opowieści o przecuciach, wewnętrznym głosie i tak dalej. I z jakiegoś powodu miał pewność, że Katelynn, jak tylko dojdzie do siebie, zechce wyjaśnić mu, co się z nim stało; skąd wiedział, że jest w potrzebie i dlaczego z taką determinacją ruszył w nieznaną, żeby ją uratować.

Ale Marla była stanowcza:

- Popilnujesz ze mną na wieży jeszcze noc i odpracujesz nocleg i jedzenie dla was obojga.

Kryć się było niczym. Podparł się i wkrótce znów patrzył z przemarzniętej do samej podstawy wieży na zniszczone i oblodzone miasto, w jasnych promieniach słońca wydające się być ze szkła. Pod ścianami Katedry leżało kilka trupów wielkich psów. Dwie osoby niechętnie wyszły już na mróz, żeby je zebrać. Euan dostrzegł, że jeden z nich powiódł nad trupem dozymetrem Marli, a następnie pociągnął tuszę do wrót.

Nie zmarnuje się dobra. Jeśli ugotować psinę z grzybami, otrzyma się soczyste, aromatyczne mięso. Wspaniale rozgrzewa.

- Dzisiaj będzie niezła kolacja - powiedziała Marla.

- Aha - odparł Euan, cierpliwie czekając, kiedy przyjdą prawdziwe pytania.

Kobieta spojrzała na z ukosa i westchnęła:

- Ładnie, Euan, Widać, że nie jesteś głupcem...

Słuchał tego uważnie, lekko pochylając głowę w bok. Ta kobieta mogła mu teraz bardzo ułatwić lub utrudnić życie.

- Oto, co ci powiem. Ta dziewczyna nie jest stąd. Wyciągaj wnioski.

- Czyli... - Euan potrząsnął głową. - Trafiła tutaj z grupą, która napadła wczoraj na miasto?

- Na to wychodzi.

- To znaczy, że sama była przez nich porwana?

- Albo sama była z porwaczami.

- Przecież ona jest jeszcze dzieckiem! - zaprotestował Euan.

- Ona nie jest dzieckiem, Euan! - pokręciła głową Marla. - Tak, wygląda młodo, ale nic poza tym. Widocznie, nie zauważasz niczego w jej twarzy... I to dobrze o tobie mówi, ale...

Euan otworzył usta, gotowy dalej się kłócić, ale Marla uciszyła go gestem.

- W tej dziewczynie coś jest, Euan. Coś takiego, że włosy stają mi dęba.

Kiwnął. Od uratowanej dziewczyny szło coś... I okazuje się, że nie on jeden to wyczuwa.

Przyjmijmy, że dziewczyna jest od łowców niewolników. Może była w tej samej grupie, która porwała jego rodzinę! Dlatego zna jego imię! Pasuje! Euan zacisnął pięści, a jego serce zabiło szybciej.

Z drugiej strony, uspokoił się, to nie tłumaczy całej reszty. Skąd wiedziała, że to właśnie on - Euan? Czemu miał taką pewność, że potrzebuje jego pomocy, czemu wybrał się w ruiny?

- A co jeśli jest zbiegłym więźniem? - zapytał się na głos Euan.

- Może i tak - zgodziła się Marla. - Ale jeśli nie tak, to nasza Katedra jest ostatnim miejscem, gdzie mogło ją przywiać.

- W każdym razie, powinna widzieć o łowcach niewolników - pokręcił głową Euan. - Jak tylko się obudzi, zapytam ją. Jeśli ona jest od tych bandytów, sam się z nią rozprawię, nie martw się. A jeśli jest uciekinierką, pomoże mi odzyskać moją rodzinę!

- Naprawdę w to wierzysz, Euan?

- A co mi jeszcze zostało, Marla?

Kobieta milczała.

- Podjęłam decyzję - powiedziała, patrząc mu w oczy. - Nadal mi się nie podoba cała historia, ale podobasz mi się ty. A to rzadki przypadek.

Znowu zamilkła, ważąc każde słowo.

- Dam ci prezent na pożegnanie.

- Co to za prezent?

- Zobaczysz. Ale pod jednym warunkiem.

- Jakim? - napiął się Euan.

- Weźmiesz prezent, weźmiesz dziewczynę i żebyś nie pozostał - powiedziała Marla. - Ja także mam wewnętrzny głos, któremu ufam i tylko dlatego ciągle żyję. I on mi mówi, że od was na kilometr czuć kłopotami.

Euan chciał zaprotestować, ale Marla powstrzymała go uniesieniem ręki.

- Nie chcę powiedzieć, że niesiesz zło specjalnie... Po prostu kłopoty depczą ci po piętach.

Euan zmarszczył brwi.

- W ogóle, mój wewnętrzny głos mówi, że bym pozbyła się ciebie jak najszybciej. I widzę cztery sposoby, jak to zrobić.

Marla wzięła łyk herbaty, wystygłej już na mrozie.

- Po pierwszy: zabić. Ale za co? Niczego złego nie zrobiłeś, prędzej na odwrót. Po drugie: wysłać cię do domu z pierwszym lepszym handlarzem. Ale coś mi podpowiada, że znowu cię zobaczymy - na końcu zdania dała głosem lekki znak zapytania.

Euan kiwnął głową.

- Pozostaje albo umieścić cię w więzieniu i karmić trzy razy dziennie, na co, szczerze mówiąc, nie możemy sobie pozwolić, albo po prostu wypuścić.

I Marla zamilkła, czekając na jego reakcję.

Pierwsze trzy warianty nawet nie przychodziły Euanowi do głowy. One zupełnie nie wiązały się z tym, czego zdążył dowiedzieć się o miejscowych. On i tak czekał, aż go wypuszczą i nie mógł zrozumieć, dlaczego Marla postanowiła z nim o tym porozmawiać.

- Dziękuję - powiedział.

- Zapamiętaj moje słowa, Euan - warknęła wartowniczką. - Idź i zabieraj ze sobą dziewczynę, zanim po nią wrócą.

Uczucia stopniowo wracały do Katelynn, a pierwszymi były przyjemne ciepło i tępy ból. Leżała w odgradzonym rogu, za zasłoną. Obok stał piecyk, od którego szły podmuchy gorącego powietrza. Nad jej głową wznosiła się okopcona ściana, znikając w ciemności gdzieś wyżej, gdzie nie docierał skromny blask. Ogromne okno było zabite metalową blachą i izolacją cieplną. W oddali dało się słyszeć ciche głosy ludzi zajętych codziennymi sprawami.

Dziewczyna ostrożnie podniosła się, próbując dowiedzieć się, gdzie bardziej boli i czy wszystkie kości są całe. Głowa bolała tak, jakby wybuch miał miejsce właśnie w niej. Przy ruchu dziwny, rwący ból złapał ją za nogę. Całe ciało bolało ze zmęczenia, docierającego, zdaje się, aż do samych kości, i z nieznośnego bólu.

Katelynn zakaszła i oparła się na łokciu, żeby pooddychać. Za zasłoną pojawiła się kobieta w połatanej, brązowej bluzie. W rękach miała wełniane koce. Zauważywszy, że Katelynn doszła do siebie, kobieta uśmiechnęła się i położyła koce na łóżku, przy zagłówek.

Odezwali się jednocześnie:

- Jak samopoczucie?

- Gdzie ja jestem?

Katelynn grzecznie zamilkła, pozwalając rozmówczyni odezwać się pierwszej.

- Nazywam się Margaret - miękko powiedział kobieta. - Jesteś w starej katedrze w Carlisle. Jak się czujesz?

Katelynn znowu rozejrzała się wokół. Teraz stało się jasne, skąd tutaj taki wysoki sufit i wielkie okno.

- Do kitu - zadrzała od wrogości do swojego słabego, prawie dziecięcego głosu.

- Nic dziwnego - rzekła Margaret. - Nieźle ci się oberwało.

Katelynn wpatrzyła się w twarz kobiety i dostrzegła tam ukrytą sympatię.

- Kto mnie tu przyniósł?

Rozmówczyni popatrzyła na nią jakoś dziwnie, a Katelynn trochę się napięła.

- Euan - odparła Margaret, obserwując reakcję dziewczyny.

Imię wydawało się znajome, chociaż ręczyć za to Katelynn nie mogła. Pokręciła z zakłopotaniem głową. Margaret uśmiechnęła się, ciągle tak samo delikatnie i specyficznie.

- Powiem mu, że się obudziłaś. - I zniknęła za zasłoną, znowu zostawiając Katelynn samą.

Kiedy Margaret pojawiła się na wieży, Marla już zdążyła zdecydować o losie Katelynn i Euana i teraz zabawiła gościa rozmową o sytuacji międzynarodowej. Mówić, prawda, nie było zbyt o czym: z innych krajów wieści były co najwyżej z Anglii. Co się dzieje w pozostałych krajach, nikt nie miał pojęcia.

Ze wszystkich wysokich technologii, na których tak przywykł polegać człowiek w przedwojennych latach, prawie nic nie zostało. Gdzieś tam jeszcze można było znaleźć działający radioodbiornik, choć od żadnego z nich nie było wiadomości. Zdarzało się, że ktoś uparty łapał na długich falach odległy kod Morse'a albo zniekształcone głosy, ale one niezmiennie zapchane są zakłóceniami i szumem. Wszyscy, którzy przeżyli wojnę, dawno przestali mieć nadzieję na odrodzenie państwa w jakiegokolwiek formie.

Drzwi wiodące na dach otworzyły się i oparły o zaspę oblodzonego śniegu, powstała na kamiennej powierzchni. Margaret wysunęła głowę przez otwór, najwyraźniej nie chcąc wychodzić na mróz.

- Ocknęła się - ogłosiła krótko kobieta i z powrotem zniknęła w środku.

- Idź - powiedziała Marla. - Ktoś powinien zostać tutaj, a ty masz do niej dużo pytań.

- Dziękuję - skinął Euan i skierował się do drzwi.

- Nie śpiesz się z powrotem - rzuciła w ślad za nim wartowniczką. - I tak niedługo jest zmiana.

Euan otworzył drzwi i przekroczył próg. Marla spojrzała w ślad za nim i znowu ogarnął ją dziwny niepokój.

Na łóżku, opierając się na stosie koców, siedziała blada dziewczyna, bez apetytu popijając zupę grzybową. Na Euana spojrzała z zaciekawieniem i nawet z dziewczęcą kokieterią, ale się nie przywitała.

Margaret odezwała się pierwsza.:

- Katelynn, to jest Euan.

Przyglądał się jej w milczeniu, czekając aż dziewczynka odezwie się. Ale ona ukryła się w swojej zupie i milczała, dopóki Margaret nie zdała sobie sprawy, że im obojgu przeszkadza i nie wyskoczyła za zasłonę.

- Ty mnie znalazłeś - odezwała się w końcu Katelynn.

Euan powoli skinął głową.

- Jak? - zapytał. - Jak ja to zrobiłem?

- A skąd mam wiedzieć? - wzruszyła ramionami dziewczyna. - Przecież ty mnie znalazłeś.

- Po prostu wiedziałem, że tam, w ruinach... Że przy wybuchu ktoś przeżył. I poszedłem szukać tego człowieka. Wychodzi na to, że ciebie.

- Wychodzi na to, że masz szósty zmysł - przedrzeźniła go i roześmiała się.

Euan patrzył na nią ze wściekłością i zdumieniem, ale rozłościć się na dziewczynkę tak naprawdę nie miał serca: co by tam nie mówiła Marla, śmiech Katelynn miała całkiem jak dziecko.

- Co w tym śmiesznego? - ryknął Euan i nagle śmiech dziewczyny zmienił się w szloch.

Schowała twarz w dłoniach i całe jej ciało zatrzęsło się.

Euan zabrał miskę z drżących rąk i w zamian podał czystą szmatkę. Teraz Katelynn płakała nie wstydząc się; przyciągnąwszy kolana do piersi, zwinęła się w kłębek.

Euan nie wiedział, co robić: z jednej strony, chciał pocieszyć dziewczynę, z drugiej strony, z nieznaną powinno obchodzić się ostrożnie. W jego pamięci znowu zabrzmiały słowa, powiedziane przez Marłę na dachu: "Idź i zabieraj ze sobą dziewczynę, zanim po nią wrócą".

A co tam... Podjęto już za niego decyzję. Usiadł obok dziewczyny, westchnął - i nagle napłynęły wspomnienia o jego porwanej rodzinie. Nie do końca rozumiejąc, co robi, objął zapłakaną dziewczynę - jak bardzo chciałby teraz przytulić swoją córkę, Gwen. Katelynn ze zdziwieniem odsunęła się, ale do gardła ponownie pchał się szloch i rozpaczliwie przycisnęła się do swojego zbawiciela.

Margaret, zaniepokojona hałasem, cichutko wyjrzała zza zasłony popatrzeć, co się dzieje.

Poprzyglądawszy się trochę na powstały obraz, cofnęła się i tak samo bezgłośnie wyszła. Euan był porządnym człowiekiem, ale teraz rozumiała, że długo się tutaj nie zatrzyma. Jego droga szła dalej, a ona musiała zostać tutaj.

"No i ładnie, niewielka strata. Trzeba być kompletnym głupcem, żeby wiązać się z przypadkowym włóczęgą!"

Szlochy jeszcze długo nie opuszczały Katelynn.

Euan siedział obok i obejmował ją, chociaż ręce i plecy drętwiały od niewygodnej pozycji. Po jakimś czasie szlochy Katelynn zaczęły go drażnić - w tym świecie łzy były niepotrzebną stratą czasu. Ale on dzielnie to znosił: po tym, jak uratował tę dziewczynkę, jest na jej odpowiedź, koniec końców.

A może to krokodyle łzy? Może dziewczyna jednak była z łowcami niewolników?

On skrzywił się i odsunął. W jego wnętrzu ponownie rozpałił się ogromny ogień, który wypchnął Euana na górę, w śmiertelną pustkę, w długi pochód po śladach swoich bliskich. Jeśli tylko dziewczynka była zaangażowana w porwanie to on... on...

Nastąpiła cisza. Katelynn jak wcześniej leżała głową na ramieniu Euana, a czarne włosy, zakrywające twarz, były mokre od łez. Pociągnęła nosem i podniosła wzrok na zbawiciela, który gubił się w swoich intencjach, a następnie wyprostowała się i odsunęła od niego.

Euan jakby obudził się ze snu i ochryple spytał:

- Wszystko dobrze?

Dziewczyna kiwnęła, nie spiesząc się z rozmową.

Euan wstał i przeciągnął się. Mięśnie pleców nieprzyjemnie bolały. Katelynn w milczeniu obserwowała go. Zapytać ją teraz o wszystko? Pogrozić jej? Błefować - powiedzieć, że on wszystko o niej wie? Jak zmusić dziewczynę do mówienia? Jeszcze raz spojrzął na jej zapłakaną twarz, jej ogromne oczy, czarne poplątane włosy.

- Powinniśmy się przespać - westchnął.

Dziewczyna kiwnęła głową.

- Nie będziesz więcej płakać?

Wzruszyła plecami i cichutko westchnęła.

- Być może, mogę przespać się tutaj, jeśli nie masz nic przeciwko - rzekł Euan.

Katelynn znowu wyciągnęła ramiona - interpretuj, jak chcesz. Euan zrozumiał tak, że nie ma nic przeciwko i poszedł po rzeczy. Po kilku minutach wrócił z plecakiem i automatem i postawił je przy ścianie, obok pieca.

Więcej tego wieczoru o niczym nie rozmawiali. Euan żuł suszoną koźlinę, zaproponował kawałek ucichłej dziewczynie - i zaskoczony zauważył, że ta już śpi.

Euan obudził się od wstrząsu: Marla delikatnie potrząsała go za ramie. Przystawiawszy palec do ust, gestem kazała mu iść za sobą. Poczul się nieswojo na myśl o tym, że ktoś zdołał zbliżyć się do niego tak blisko i tak cicho. Z drugiej strony cieszył się, że wartowniczką obudziła go wcześniej, niż zaczął się zwykle koszmar, dlatego posłusznie poszedł za nią.

Marla zaprowadziła go schodów do piwnicy.

- Obiecałam dać ci to, co może przydać w drodze - wyjaśniła zanim zeszli po kamiennych stopniach. - Chociaż idziesz tam, gdzie żaden z naszych nie był, domyślamy się, co może ciebie tam czekać.

Na dole, za drzwiami, był pokój. Na środku stał duży stół, a z sufitu, ku zdziwieniu Euana, wystawały różnokolorowe światła.

- To diody - powiedziała Marla.

- Co proszę?

- Małeńkie lampki. Potrzebują naprawdę mało energii - wyjaśniła kobieta pokazując na dwa duże akumulatory w kącie, z których do sufitu ciągnęły się kable. - Pociągnęliśmy je wszędzie, kiedy zauważyliśmy, jakie są dobre. Było ich pełno w starych sygnalizacjach świetlnych i w samochodach też się znajdowały.

Euan z podziwem patrzył na czarujące diody w oczekiwaniu na obiecany prezent.

Na stole leżały stare urządzenia elektryczne i wszelka niedziałająca technika. W rogu były ułożone w stos automaty. Było wcześniej rano, w pokoju nikogo nie było, ale pięć krzeseł było przysunięte do stołu: oczywiście, w ciągu dnia dużo tutaj pracowano.

Marla poprowadziła Euana do rzędu żelaznych szafek stojących wzdłuż ściany, pomalowanych na zielono z plamami rdzy. Wyciągnąwszy z kieszeni klucz, potrudziła się trochę z zamkiem szafki i otworzyła drzwiczki, kątem oka śledząc reakcje gościa.

Początkowo Euan nie był pod wielkim wrażeniem, chociaż starał się tego nie okazywać. Na półkach w szafce były rozłożone paczki odzieży ciemnozielonego koloru, sądząc po wszystkim, w doskonałym stanie.

- A co to takiego? - zapytał uprzejmie.

Marla prychnęła z oburzeniem, wzięła z półki jedną paczkę i rozerwała. Był w niej błyszczący, gumowy kombinezon z zamkiem błyskawicznym, przykryty klapką z tego samego ciemnozielonego materiału.

Większą część życia Euan spędził we względnie bezpiecznych tunelach Metra, pod ochroną potężnych skał i tylko czasami, kiedy była wielka potrzeba, wyruszał na górę. Silnej radiacji na północy nie było, przecież na Szkocję nie spadła ani jedna bomba, dlatego nie miał pojęcia, jaką drogocenną rzecz miała teraz w rękach Marla.

- Euan, ty nie wiesz, co to jest? Naprawdę macie w Glasgow taki raj na ziemi? - uśmiechnęła się.

- Jak rozumiem, jest to kombinezon ochronny.

- W rzeczy samej, mój drogi. To twoja obrona przed promieniowaniem.

Euan wpatrywał się w nią.

- Za ścianą jest naprawdę kiepsko, chłopie. Temu, kto się tam wybiera, lepiej żeby był albo w kombinezonie, albo w samochodzie, a samochodu nie masz.

Euan zaczął rozumieć, że jego plan - maszerować wprost po śladach porywaczy - był, delikatnie mówiąc, naiwny. To on zasugerował, że łowcy niewolników będą omijać szerokim łukiem niebezpieczne miejsca, a on musi się tylko trzymać ich trasy. Wychodzi na to, że bez tego podarunku półsetki mil nie przejdzie.

- Dziękuję, Marla - rzekł Euan.

- To jeszcze nie wszystko. Tutaj jest jeszcze coś.

Otworzyła drugą szafeczkę i wyjęła stamtąd pomarańczowy cylinder podobny do pióra i dwie maski przeciwgazowe.

- Maski rozumiem, a to po co? - zainteresował się Euan pokazując na cylinder.
- Spójrz tutaj - odparła Marla i odwróciła cylinder, który okazał się być pustym na jednym końcu. Zajrzawszy w otwór, Euan zobaczył tam świetlisty pasek.
- On mierzy promieniowanie? - domyślił się.
- Tak. Kiedy pasek ściemnieje - gdzie byś nie był, bierz nogi za pas. W końcu to ostatnia sztuka.

To już wielka rzadkość, tak więc nie zgub.

Podala Euanowi złożoną kartkę papieru. Rozłożywszy ją, zobaczył przed sobą mapę obszaru, narysowaną ręcznie, ale ze wszystkimi ważnymi szczegółami, głównymi drogami i miastami. Odległość mierzona w dniach drogi, na końcu każdego dnia narysowane było wcięcie. Nad niektórymi rejonami znajdowało się oznaczenie w postaci czaszki. Marla wskazała palcem w jedną z nich.

- Do tych miejsc nie chodź.

Na mapie było zaznaczone kilka tras, ale ani jedna nie prowadziła przez drogę czy szosę.

- Skąd to masz?

- Zostało z naszych wczesnych wypraw do Anglii.

- Nie wybieraliście się dalej od Yorku? - powiedział Euan, wpatrując się w mapę.

- Tak. I na twoim miejscu bym tam nie chodziła.

- Dlaczego?

- Strzelali tam do nas - rzekła Marla. Strzelali z łuku.

- Co? - zdziwił się Euan.

- Serio mówię, Euan: trzymaj się jak najdalej od Yorku. Ludzie są tam dziarscy.

Położyła na stole dwa kombinezony, jeden duży, drugi mniejszy, dwie maski przeciwgazowe i ołówek-dozymetr.

- Trzymaj. To wszystko jest twoje. Teraz pójdziemy, zapoznasz mnie ze swoim małym przyjacielem.

Zamknąwszy szafki, Marla skierowała się do schodów.

- Nie wydaje ci się, że tutaj będzie jej spokojniej? - powiedział w końcu na głos to, o czym myślał od dawna.

- To zależy od tego, kim jest: myśliwy czy ofiarą - odparła Marla. - Mało prawdopodobne, że przyzna się do pierwszego. A my tutaj szpiegów nie potrzebujemy. I jeszcze jedną rzecz ci powiem, Euan. Jeśli była razem z tą grupą, tobie przyda się znacznie bardziej niż nam.

Kiedy Euan i Marla weszli do szpitalnego kąta, Martin akurat skończył bawić się z nogą Katelynn. Na widok szczodrych darów, otrzymanych przez Euana, spojrział ze zdziwieniem na szefową, ale nic nie powiedział. Katelynn piła miętową herbatę, a na jej policzkach z powrotem pojawiły się rumieńce. Obok stała miska z resztkami śniadania: pieczone grzyby i psinina.

- Cześć - powiedziała dziewczyna, uśmiechając się do Euana i Marli.

- Dzień dobry - odparł Euan.

Marla ostrożnie uśmiechnęła się do gościa i pytająco spojrzała na Martina.

- Dziewczyna jest cała - powiedział stary medyk. - Szwy na szczęście się udały, nie ma infekcji.

Noga będzie trochę bolała, ale poza tym jest gotowa do drogi.

- Do drogi? - Katelynn skuliła się i w jej oczach mignął niepokój.

- Tak - rzekła Marla. - Jutro rano ty i Euan opuścicie miasto.

Usłyszawszy imię swojego zbawiciela, Katelynn odetchnęła z ulgą.

- A dokąd pójdziemy? - uśmiechnęła się bezradnie.

Marla opuściła wzrok i wyszła za zasłonę. Katelynn pytająco spojrzała na Euana.

- Szukam swojej rodziny - powiedział.

- A... - tylko tyle odpowiedziała dziewczyna.

- Nie można cię tutaj zostawić - dodał.

- Bezpiecznej przystani tutaj nie znajdziesz, moja droga - wtrącił Martin - chociaż za miastem też nie jest kurort.

- To gdzie idziemy? - powtórzyła Katelynn.

- Na południe.

- Aha... Fajnie.

Euan spojrział na Martina: nie takiej reakcji oczekiwał.

- Wygląda na to, że nic cię to nie obchodzi.

- Obchodzi troszkę - odparła Katelynn. - Ale nie mam wyboru, więc czemu mam narzekać?

Euan uśmiechnął się.

- Co za zuch.

Rankiem Marla i dwóch innych ochroniarzy zaprowadzili Euana i Katelynn do dziwacznej konstrukcji: ściany oddzielającej Szkocję od pozostałej części wyspy. Nowy Wał Hadriana² był brzydką strukturą, położony na linii starego i wzniesiony z zardzewiałych karoserii samochodowych, mniej więcej przyspawanych do siebie, szyn, blachy żelaznej i drutu kolczastego, przybitych do ziemi lub przywalonych gruzem i odłamkami betonowych płyt. W czasach, kiedy go budowali, rząd odseparowując Szkocję desperacko próbował powstrzymać napływ uchodźców, z których wielu było zarażonych śmiertelnymi chorobami, zrodzonymi w wojskowych laboratoriach. Zarażonych odstrzelili w drodze do ściany.

Euan i Katelynn stali w bramie, nad którą jakiś żartowniś wypisał pradawne słowa: "Porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy tu wchodzić".³ Przed nimi rozciągała się południowa część Brytanii. Maski przeciwgazowe zwisały z plecaków, dziewczyna drżała owijając się w ciepły płaszcz, podarowany jej przez mieszkańców Carlisle.

Przez chwilę Euanowi wydało się, że przekraczają nie tylko państwową granicę dawnej Szkocji: wkraczali w groźny, nieznany mu świat. Z wdzięcznością skinął Marli, pchnął skrzypiące skrzydło bramy i zrobił krok do przodu.

- Trzymajcie się z dala od dróg - zdążyła powiedzieć wartowniczką, zanim brama ponownie się zamknęła.

² Pas umocnień między podbitą przez Rzymian Anglią a Szkocją, zbudowany z rozkazu cesarza Hadriana w II wieku n.e. (przyp. aut.)

³ Napis znajdował się nad bramą piekła w "Boskiej komedii" Dantego (przyp. tłum.)

Rozdział 7
ZIMOWA DROGA



Za Wałem Hadriana zaczynały się inne tereny - puste, jałowe, paskudne.

Sam mur pokryty był zardzewiałymi, żelaznymi blachami falistymi z grubymi bliznami w miejscach złączenia, a wokół rozpościerały się pozostałości namiotowego miasta, kiedyś będącego schronieniem zdesperowanych uchodźców, aż wiele lat temu czas i ogień nie położyły jego kresu.

Z pogiętych szkieletów zwisały kawałki starej i zwęglonej tkaniny, ale samo najgorsze znajdowało się na ziemi: po całym obozie rozmieszczone były wyraźne ślady wielkich łap, nieprzykrytych śniegiem.

Euan zdjął z ramienia automat.

- Musimy być ostrożni... Kiedy cię znalazłem, wokół kręciło się stado psów - wyjaśnił. - Od tamtej pory nie padał śnieg, tak że to mogą być ich ślady. A może to inne stado.

Katelynn obejrzała się i wzruszyła ramionami:

- Nie widzę żadnych psów.

- To jeszcze niczego nie znaczy - nie zgodził się Euan. - Chodź, nie będziemy sterczeć w miejscu.

Wyciągnąwszy z kieszeni kompas w miedzianej obudowie, sprawdził go i skierował się na wschód, skrzypiąc butami na śniegu.

- Skąd wiesz, gdzie trzeba iść? - spytała dziewczyna, poprawiając na ramieniu plecak, w którym nie było niczego oprócz śpiwora i innych drobiazgów, które dostała w Katedrze.

- Strzałka wskazuje na północ - odparł Euan.

- Wyobraź sobie, że wiem o tym - Katelynn bólem przewróciła oczami. - Czemu postanowiłeś, że trzeba iść właśnie tam?

- Do Carlisle szedłem po śladach tych, którzy porwali moją rodzinę. Teraz zasypało je śniegiem, więc pójdziemy na wschód, do wzniesień, a tam skierujemy się na południe - spojrzał badawczo na Katelynn.

Jeśli dziewczyna coś wie, to najwyższy czas, żeby wygadała.

- Po co? - nie wytrzymała.

- Bo tak postanowiłem. Chyba że masz lepszy pomysł, dokąd mogliby odjechać łowcy niewolników?

Katelynn ostrożnie zamilkła. Minęło kilka długich chwil, zanim cicho odpowiedziała:

- York.

- Skąd wiesz? - wbił w nią wzrok.

- Domyśliłam się.

- Strasznie jesteś bystra - powiedział ostro Euan. - Skąd wiesz, dokąd jechali? Mało prawdopodobne, żeby dzielili się swoimi planami z więźniami, nie?

Katelynn zamknęła się, patrząc się na swoje nogi.

- Czemu ucichłaś?! - wrzasnął Euan.

Ale dziewczyna jakby nabrała wody w usta. No i co z nią robić? Przecież nie pytać... Euan z zakłopotaniem potarł skroń. Nie miał żadnych dowodów, że ona jest od łowców niewolników. No i z jakiego powodu mieliby zostawiać swoich? Cały jego plan wyciągnięcia z dziewczyny prawdy za wszelką cenę sam się gdzieś wykluczał.

- Za szybko idziesz - nagle poskarżyła się Katelynn.

- A ty za dużo ukrywasz - odparował Euan.

- A ty za szybko idziesz - uparcie powtórzyła dziewczyna.

- O tych terenach mówili mi, że nie widziałem niczego niebezpieczniejszego nawet w koszmarach. A ty, widocznie, chciałybyś się tu zatrzymać? Może spędzić tu wakacje?

- Może zwyczajnie posłuchasz się mnie i wszystkich? - rzuciła dziewczyna. Może czuję coś takiego, czego ty nie czujesz?

- Może jesteś psychiczna? - przyjmując niedawny szyderczy ton Katelynn, zażartował Euan.

Odwrociła się od niego. Wydawało się, że nie było jej o tym łatwo mówić, jakby Euan ze swoim naśmiewaniem się trafił przypadkiem w jakiś czuły punkt. Jakby to jej rzekoma zdolność była czymś nieprzyzwoitym, wstydlivym.

- A co, przydatna umiejętność - powiedział beztroskim tonem.

- Straszna - cicho i niechętnie odezwała się Katelynn.

- Jeśli nagle pojawi się jakiś przeblysł o naszej podróży, podzielisz się tym ze mną? - spytał ostrożnie.

Katelynn skinęła.

Ale Euan jej nie uwierzył.

Po kilku godzinach szybkiego marszu, dotarli do wzgórz. Katelynn dawno już zrozumiała, że Euan nie zamierza zwolnić dla niej tempa i dlatego ze wszystkich sił starała się nie zatrzymywać, nie zważając na ranę. U samego podnóża wzniesień Euan skierował się na południe i kontynuował podróż bez zatrzymania się.

Niebo z rana pokryte było szarym welonem, ale teraz zaczęło się przejaśniać. W górze stały się widoczne piękne pierzaste chmury, a w oddali, na horyzoncie - dziwna, nieruchoma, kłębiasta gromada. Ziemia wokół była opustoszała; tylko kilka ptaków przelatywało w dali, przypominając o tym, że podróżnicy nie są ostatnimi żywymi stworzeniami na planecie. Śnieg był tutaj miękki i nawet z rozmrożonymi kawałkami. Czasem z zaśnieżonego lasu dochodziły odgłosy kropel.

Katelynn zauważyła, że Euan intensywnie wpatruje się w horyzont i nie powstrzymała się od pytania:

- Czego szukasz?

- Drogi.

- Po co?

- Kazano mi trzymać się od nich z daleka.

- Co za idiotyczna odpowiedź - powiedziała żałośnie dziewczyna.

On zaśmiał się i para z jego ust zawisła na chwilę w powietrzu zanim rozproszyła się.

- Drogi dla nas są zbyt niebezpieczne. Idiotą jest ten, kto pójdzie im na przeciw.

- Czemu?! - Katelynn wytrzeszczała oczy i niemal się potknęła. Podtrzymał ją wolną ręką, Euan ruszył dalej, wracając do poprzedniego tempa.

- Człowiek na drodze jest łatwą zdobyczą. I potem jest tam dużo starych samochodów, a one mogą być zaminowane - wytłumaczył nie odwracając się.

Katelynn skinęła.

- A w ogóle, ten, kto zechce się pożywić, będzie szedł po drogach - dodał, czując się zaprawionym przetrwałym.

- Jasne... Euan... Chcę jeść i pić.

Euan nagle zrozumiał, że południe dawno minęło, a oni do tej pory nie zatrzymali się na jedzenie. Rozejrzał się, próbując oszacować przebytą odległość i z przerażeniem zauważył długi sznur śladów, ciągnących się za nimi z oddali.

- O kurwa!

- Oj! - dodała Katelynn, spojrzawszy w to samo miejsce.

- Od teraz musimy być ostrożni - powiedział Euan, czując się głupio po tak płomiennym przemówieniu o niebezpiecznych drogach.

- Będziemy szli tam, gdzie jest mniej śniegu - Katelynn wskazała na długą kamienną ścianę, obok której tak nie napadało.

Podeszli do ściany i przysiedli, ukrywając się przed oślepiającym blaskiem śniegu i wiatrem, który nasilił się w ostatnich minutach. Euan otworzył plecak i dobył dwa kawałki suszonej koziny i dużą, ale mocno pomiętą plastikową butelkę z czystą wodą z Carlisle. Jeden kawałek razem z butelką podał Katelynn. Odsunęła szalik i pociągnęła wielki łyk, potem odetchnęła, wytarła usta rękawem, oderwała kawałek mięsa i zaczęła pilnie żuć.

Euan też napił się, zakręcił butelkę z powrotem do plecaka, powoli wstał i spojrzął na ścianę. Wokół tak jak wcześniej nie było żywego ducha. Na duszy zrobiło mu się lżej i zarzucił plecak na ramiona, ale automat na wszelki wypadek ciągle trzymał w pogotowiu.

Całą resztę dnia szli skrajem pól, wzdłuż murów, rynien i oblodzonych, zniszczonych płotów. Euan domyślał się, że atomowa zima, która pokryła Brytanię po wojnie, nie oszczędziła reszty świata. Od tamtej pory na ziemi nic nie rosło; całe roślinne życie zachowało się w nasionach, ukrytych w ziemi pod śniegiem i lodem. Chodziły słuchy, że na południu zima ustąpiła i już przebijała się jakaś zieleń, ale różne rzeczy mówią. Myśliwych swoimi językami rozpowiadają bardzo dużo: bez przemysłu nowości i rozrywki sztuka ustnej opowieści przeżywała szybkie odrodzenie.

Z początku ludziom brakowało telewizji, radia i Internetu, a później przestali rzucać książki do ognia, powoli pojmując, że te starocie mogą być ich jedynym ratunkiem od nudy. Tylko że wydrukować nowych książek się nie dało: wszystkie prasy drukarskie działały na prąd i dzisiaj rdzewiały i gniły bez pracy, odkąd ludzkość walczyła o przetrwanie. Tak że teraz każdy był gawędziarzem, albo przynajmniej próbował. Na każdym postoju, przy każdym ognisku słyszało się historię. Jedni wymyślali na poczekaniu, mieszając wspomnienia z dzieciństwa z fragmentami przeczytanych książek. Inni przekazywali nowości pochodzące z jeszcze tłących się ognisk życia. Oczywiście każdy upiększał swoją historię jak mógł, ale, wysłuchawszy ją wystarczająco od różnych ludzi, z czasem można było stworzyć ogólny obraz.

Wszystkie opowieści o południu były dosyć przerażające: na przemian figurowały w nich mutanty i wszelkie dzikie zjawiska. W Carlisle handlarze gadali o plemionach kanibali żyjących na powierzchni i niewytłumaczalnych anomalii pola magnetycznego, od których spod ziemi wyrastały straszne huragany, a z jasnego nieba sywał się śmiertcionośny radioaktywny grad. Ale najchętniej wspomnianym miejscem oczywiście był sam Londyn: często opowiadano o tym, że pod zniszczoną stolicą, w tunelach, gdzie niegdyś działała słynna kolej podziemna, rozpościera się całe miasto. To szczególnie grzało duszę mieszkańców metra w Glasgow, tylko Euan im dalej, tym bardziej obawiał się, że to wszystko tylko fikcja.

Według słów Marli, ich ekspedycje nie chodziły dalej niż do Yorku i nikt nie mógł z pewnością powiedzieć, że w stolicy pozostało cokolwiek żywego, nie mówiąc już o ludziach. Zbyt mało było wiadomo o ostatnich dniach wojny i jej skutkach, zmieniających świat w zwęglone ruiny.

Mieszkańcy "Mechanicznej pomarańczy" długi czas żyli, zjadając zapasy w oczekiwaniu, kiedy rząd ogłosi odrodzenie ich wspaniałego państwa. Ogłoszenia i tak się nie doczekali, i zaczęli na powierzchni wnosić krótkofalowe wieże radiowe, od których przewody szły pod ziemię, do bezpiecznej ciemności, gdzie ludzie, zmieniając się nawzajem, bez końca powtarzali nadawanie swoich nazwisk i położenia, na próżno mając nadzieję na usłyszenie odpowiedzi. Kiedy dzieci rodzące się w tunelach nauczyły się chodzić, ludzie zrozumieli, że nie ma co czekać na ratunek, a to zrozumienie było dla nich największym cierpieniem.

Euan wątpił w to, że innym krajom powiodło się lepiej niż Szkocji, której nie dostało się ani jedno bezpośrednie trafienie. W pozostałej części Brytanii było o wiele gorzej: we wszystkich bajkach i doniesieniach prezentowała się jak żywe wcielenie koszmarów, jak ziemia, gdzie na każdym kroku oczekiwały niebezpieczeństwa. I w ten koszmar, w ten straceńczy pochód ciągnął za sobą dziewczynkę...

- Euan, robi się ciemno - rozległ się nieco z tyłu głos Katelynn.

Mężczyzna już dosyć długo siedł, pogrążony we własnych myślach, mechanicznie przesuując jedną nogę za drugą i starając się iść po brzegu. Wychodząc z odrętwienia zauważył, że towarzysząca ma rację: światło przygasa, pierzaste chmury w promieniach zachodu nabrały ognistego odcienia, a odległa niewzruszona masa obłoków stała się złowieszczą fioletową.

- Trzeba znaleźć kryjówkę - powiedział.

- Tam! - Katelynn wskazała gdzieś palcem i wyrwała się w tę stronę, nie zwracając uwagi na kamienie i strome podejście.

- Stój! Ostrożnie!

Katelynn gwałtownie się zatrzymała i Euan wpadł na nią, niemal nie zwalając z nóg. Złapał ją za rękę i znowu spojrzął, gdzie wskazała.

Przed nimi stał dworek, wiele lat temu będący dla kogoś rodzinnym ogniskiem, a teraz martwo patrzący czarnymi otworami okiennymi. Katelynn podeszła bliżej do Euana: od domu wiało żalem i tęsknotą. To uczucie stało się bardziej intensywne, ponieważ stał na przedmieściach i dlatego wydawał się samotny.

- Nie pasuje - stwierdził Euan. - Najpierw go obejdzmy, czy nie ma świeżych śladów.

Katelynn kiwnęła głową i szybko i cicho obeszlą dom. Żadnych śladów, oprócz ptasich i zajęczych, nie znaleźli.

- Wchodzimy - powiedział Euan.

Rozpiął płaszcz, zdjął z pasa jeden z noży i podał go Katelynn. Dziewczyna wzięła ciężkie ostrze. Ręce jej drżały z zimna i strachu.

Drzwi na stałe przymarzły do futryny. Euan spróbował naprzeć całym ciałem na skrzydła, ale zrozumiał, że walka będzie zbyt ciężka i głośna. Weszli przez okno, ostrożnie wyciągając z ram kawałki potłuczonego szkła.

Podłoga zdradziecko skrzypiała pod nogami, ale nawet rzut oka wystarczyło, żeby zrozumieć: domu nikt nie odwiedzał, możliwe, że od tego samego dnia przed końcem wojny, kiedy opuścili go jego mieszkańcy.

Pod ścianą kurzył się płaski telewizor z dużym ekranem, wiatr szeleścił wyblakłymi stronami programu telewizyjnego. Przed ekranem, na pokrytym kurzem i liśćmi dywanie, stały skórzane fotele ubrudzone mysimi odchodami. Na środku pokoju znajdował się szklany stolik, a na nim dwa kubki, dwa talerze i widelce. Z wyblakłych fotografii na tapecie patrzyły dzieci zamrożone w ruchu.

Euan zamarł w lekkim transie: z głębi jego pamięci wypłynęły obrazy jego własnego domowego zakątka. Nagle jak gdyby znowu usłyszał dziecięcy śmiech, poczuł smak słodkiego picia i zapach ciasta.

- Można wejść? - od głosu Katelynn niemal nie podskoczył.

- Tak, przepraszam.

Euan wszedł w głąb domu, myślami wracając do rzeczywistości: mało to może się tu chować po kątach? Ale tutaj było spokojnie jak w grobie. Pojawiało się uczucie, że w tym domu zatrzymał się czas. Na mycie przy zlewie czekały naczynia, na półce za pozostałościami drzwi stały zamknięte konserwy i paczki z przyprawami. Przy schodach, na pociemniałych miedzianych haczykach, wisiały płaszcze, a pod nimi stały dwie pary butów. Euan wymienił z Katelynn zdziwione spojrzenia i zaczął wchodzić po schodach. Stopnie skrzypiały, ale pewnie utrzymywały ciężar.

Katelynn szła za nim, rozglądając się wokół ze zdziwieniem i strachem. Na pierwszym piętrze były dwa pomieszczenia. Jedno z nich było łazienką (biała ceramika, ręczniki na suszarce), a drugie sypialnią. I właśnie w niej było najmniej przytulnie, w porównaniu do innych pokoi: na łóżku, w wyschniętych kałużach rozłożonego ciała, leżały dwa obejmujące się, ludzkie szkielety.

Ani Euana, ani Katelynn ten widok nie przstraszył: co jak co, ale trupów to się nawidzieli. Ale ta dwójka tak ciasno przywarła do siebie w przedśmiertnym impulsie, że serce Euana zabolowało. Chciał zachować przynajmniej pozory przyzwoitości i sięgnął po koldrę, żeby rzucić ją na martwe ciała.

- Nie! - krzyknęła nagle Katelynn i rzuciła się na mężczyznę, łapiąc go za rękę.

Euan lekko się zachwiał i zgubiony spojrzał na dziewczynę.

- Co jest?

- Nie dotykaj ich, Euan!

- Oni umarli dawno temu. W jaki sposób mogą być niebezpieczni?

- Umarli od epidemii. Spójrz na łóżko! - głos dziewczyny był napięty.

Euan przyjrzał się i, ku swojemu przerażeniu, zauważył, że płyn na pościeli nie wysechł do końca i miał w nim miejsce jakiś ruch. Cofnął się:

- Co to za diabelstwo?

- Jedna z chorób, którą nasłali w czasie wojny - odparła Katelynn. Nie wiem, jak się nazywa, ale już coś takiego widziałam.

- Gdzie?

Katelynn nie odpowiedziała.

- Wiele lat minęło, a ta zaraza jeszcze dycha? - zapytał zdziwiony Euan.

- No oczywiście! Przecież specjalnie tworzą je tak, żeby spały, aż w pobliżu nie pojawi się coś ciepłego.

- Skąd to wiesz? - zainteresował się Euan.

W odpowiedzi Katelynn po prostu wzruszyła plecami, a Euan zrozumiał, że nic więcej z niej nie wyciągnie. Odwrócił się z powrotem do trupów na łóżku i teraz dostrzegł między ludzkimi kośćmi drobne, mysie szkieleciki.

- Możemy tutaj nocować? - spytał Euan.

- Nie wiem... Na pewno na parterze jest bezpiecznie...

- Nie - postanowił Euan - poszli stąd do piekła. Nie ufam temu miejscu.

Katelynn w milczeniu kiwnęła głową i wyszła w ślad za nim, na spotkanie ciemności i nasilającego się wiatru.

Nadchodząca noc zmieniła krajobraz. Na niebie pojawił się księżyc, a ogromna niewzruszona kopała z obłoków wzmocniła się, jakby zamarzający kryształowy wazon. Śnieg odbijał księżycowy blask, nadając wszystkiemu wokół strasznej nierealności. Z południa nadciągały masywne chmury, wiatr niósł zapach świeżego śniegu i białego lodu.

Katelynn wzdygnęła się i obejrzała na opuszczony dom, czując jednocześnie i żal i ulgę. Euan uważnie badał okolicę, zaniepokojony tym, że nagle zostali bez noclegu. W plecaku miał niewielki brezentowy namiot, prezent od jednego kolegi po nieszczęściu z Glasgow, też pozostałego bez żony. Ale Euan wolałby postawić ten namiot w ukryciu.

- Chodźmy dalej. Może coś spotkamy? - zaproponował.

Katelynn skinęła głową i poszła za nim.

Teraz Euan szedł jeszcze szybciej niż poprzednio: noc stawała się coraz ciemniejsza, a wiatr coraz bardziej kłujący. Weszli na wzgórze i zobaczyli niesamowitą scenę: w dolinie, przy pozostałościach ogniska, stał wóz, jak gdyby pojawiwszy się tutaj wprost z bajki o czarnoksiężniku z krainy Oz.

- O! - nie powstrzymała okrzyku zdziwienia Katelynn.

Wokół ogniska widniały głębokie ślady opon, ale całą uwagę podróżników skupił wóz. Była to dziwaczna konstrukcja z drewna i stali na podwoziu starej ciężarówki, przynajmniej na dwa metry szeroka, sześć metrów długa i wysokości dwóch osób. Ściany były z grubsza pomalowane w kolory - widocznie, poprzedni właściciele nie do końca przemyśleli paletę kolorów i puścili w ruch te kolory, które udało się zdobyć; za to postarali się, żeby było ładnie. Drzwi kabiny były otwarte; tam było widać kierownicę, sprzęgło, pedały gazu i hamowania, połączone przewody do martwego silnika w tylnej części pojazdu.

Z wozu wystawała rura-komin, ale dym z niej nie wylatywał.

- Wygląda na Cyganów - powiedziała z niedowierzaniem Katelynn.

- Dokładnie - odezwał się Euan, ostrożnie podchodząc do pojazdu z automatem w pogotowiu.

- Naprawdę jeszcze tu są?

- Nie mam pojęcia. Skąd ty w ogóle wiesz o Cyganach?

Katelynn otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, zaraz zamknęła je i kilka razy mrugnęła zanim powiedziała:

- A książek.

Euan mruknął, ale niczego nie powiedział.

Wóz nie miał kół. Stał na bruku wyrwanym z pobliskiej ściany. W środku było ciemno i bez życia, ale po incydencie w opuszczonym domu Euan nie zamierzał kusić losu. Wyjął z kieszeni granatową, plastikową latarkę na dynamo i kilka razy zakręcił korbką, puszczać mechanizm w ruch. Światło z dwóch działających diod było skromne, ale zupełnie wystarczało, żeby się przyjrzeć.

W samochodzie było pusto. Wszystko, co nie było przykręcone do dna, dawno rozkradli, zostawiając tylko wbudowane szafy, na których, widocznie, wcześniej był leżak, i piec zrobiony ze starej butli gazowej.

- Myślę, że przeczekamy do rana - rzekł Euan wchodząc do środka i podając rękę Katelynn.

Dziewczyna ostrożnie usiadła koło pieca, starając się nie uszkodzić szwów na nodze i zajrzała do środka. Przez rury było słychać wycie wiatru.

- Zdaje się, że można rozpalić ogień - powiedziała z nadzieją, ciągle jeszcze drżąc.

Euan zamknął drzwi, przesunął zasuwę i wtedy spadła na nich nieoczekiwana cisza: obite metalem ściany pojazdu zagłuszały jęki wiatru. Słabe migotanie latarki w ręce Euana stało się jedynym źródłem światła, a i to gasło, jak tylko puszczał korbkę.

W jednym z pudeł znalazł się zapas drewna. Wyciągnąwszy z plecaka krzemień i sztabkę żelaza, Euan zaczął strugać wióry na podpałkę.

Katelynn pomachała czymś przed samym jego nosem.

- Skąd to masz? - zapytał w szczęśliwym niedowierzaniu. W rękach dziewczyna miała żółte pudełko zapalek z wizerunkiem jakiegoś ptaka.

- Znalazłam - uśmiechnęła się.

Suche drewno na zimnie zajmowało się szybko. Ustawwszy wywietrznik, Euan szybko uzyskał spokojny, dający nadzieję i gorący płomień. Po tym zupełnie położył się na plecach, podzielił się z Katelynn suszonym mięsem i postawił na piecyku blaszany kubek z wodą.

- Pić będziemy z jednego kubka. Nie ma drugiego - powiedział.
- No nic, ja też się czymś podzielę - dziewczyna wyjęła z kieszeni papierową paczuszkę. - To jest mięta - wyjaśniła, wrzuciła kilka listków do kubka i zaczęła patrzeć na to, jak się rozkładają w wodzie.
- Margaret dała przed wyjściem. Według mnie, podobasz jej się.

Euan powiercił się w miejscu.

- Czyli idziesz za swoją rodziną - rzuciła w zamyśleniu Katelynn. - Mają dużo szczęścia.

- Szczęścia - odezwał się Euan. - Zatakowali i porwali ich w niewolę jacyś dranie.

- No tak. Ale za to mają ojca i męża, który gotowy jest ryzykować swoje życie, żeby ich uratować, a tym niewielu może się pochwalić.

- Gdybym nie poszedł, straciłbym prawo nazywania się mężczyzną.

Katelynn skinęła głową, po czym wstała i weszła na drewnianą półkę. Na środku jej powierzchnia była wypolerowana leżącym tu niekiedy materacem.

Wiatr na zewnątrz gwałtownie się nasilił i oddał kilka gwałtownych ciosów o ściany wozu. Euan raz jeszcze sprawdził, czy dobrze zamknął drzwi i mentalnie podziękował tym, którzy rzucili tutaj ten dziwny dom na kółkach.

Ciepło z pieca falami rozchodziło się po całym pomieszczeniu, a Euan zrozumiał, dlaczego półka sypialna była uniesiona nad podłogą. Rozłożywszy na półce śpiwory, podróżnicy leżeli w ciemności i słuchali, jak szaleje burza śnieżna w mroźnym mroku za ścianą.

W wozie było zimno i ciemno. W szczelinie nie przebijało się światło, znaczy, że ranek jeszcze nie nadszedł. Euana wyraźnie coś obudziło, ale nie mógł zrozumieć, co dokładnie. "Na pewno zimno" - stwierdził. Wyszedł ze śpiwora, cicho zszedł na podłogę i otworzył drzwiczki pieca. Z głębi dotarło do niego gasnące ciepło, a migoczący żar na pożegnanie mrugnął mu ze sterty popiołu. Wybrawszy cienkie gałązki i wióry, Euan przez dziesięć minut rozpalał ogień i z powrotem zamknął buczący piecyk, ciesząc się niezwykłym uczuciem bezpieczeństwa, które dawały ciepło i blask płomieni na ścianach pojazdu. Poczekawszy, aż ogień do końca zapłonie, wrócił z powrotem do śpiwora i zasnął głębokim snem.

Kiedy znowu się obudził, burza już ucichła, a w szczelinie wokół drzwi pojawiło się poranne światło.

Euana ponownie złapał ten sam sen, ciągle ta sama do bólu znajoma scena rozgrywała się na jego oczach, nie dając możliwości ingerencji... Ledwie wyrwał się z koszmaru.

Za to w rzeczywistości nastąpiły jakieś zmiany.

Katelynn spała przycisnąwszy się do niego i położywszy głowę na jego ramieniu; ciemne włosy wodospadem rozkładały się na piersi. Była obok, taka ciepła, a Euana poniosło.

Zbyt młoda, raczej dziewczyna, niż kobieta, ale nadal dostatecznie dojrzała. We śnie nawijała włosy na palec, zupełnie jak córka Euana - i tak jej nie oduczyl z żoną tego przyzwyczajenia. Nagle poczuł się stary: bo przecież leży przy młodej, pięknej kobiecie i nie wie, co z nią zrobić...

Katelynn otworzyła oczy, jasne i czyste, jak gdyby nie spała, i z zaciekawieniem spotkała jego wzrok. I tak leżeli w ciszy, patrząc na siebie nawzajem. Euan pomyślał o rodzinie i zrobiło mu się bardzo nieswojo. Pierwszy naruszył milczenie, dlatego że nie wiedział, do czego ona doprowadzi.

- Jest rano - powiedział, odwracając się i wychodząc ze śpiwora.

Katelynn przeciągnęła się i zrobiła na odwrót, schowała się głębiej do swojego śpiwora w poszukiwaniu ciepła.

Euan wziął automat i wyszedł na ulicę odetchnąć. Ale ledwie wyszedł na spotkanie zimnego poranka, jak krew zastygła w jego żyłach, a po plecach przebiegły mu dreszcze: wokół pojazdu widać było świeże, głębokie ślady.

Przesunąwszy bezpiecznik, Euan uważnie rozejrzał się na boki, po czym zeskoczył ze stopnia wozu i obszedł całą dolinę. Ciężko było zrozumieć, co za zwierz zostawił ślady: były podobne do psich, tylko większe, szerokie na dwadzieścia centymetrów, a i w głębokości nie małe, co wskazywało na znaczną wagę zwierzęcia.

Zaśnieżony krajobraz był niewzruszony; ślady, pokręciwszy się wokół pojazdu, wracały z powrotem w stronę Carlisle, ale lepiej od tego Euanowi się nie zrobiło.

- Katelynn! - krzyknął. - Czas się stąd zbierać.

Śniadanie zjedli po drodze. Przez kilka godzin podróżnicy trzymali się linii wzgórz po lewej ręce, kontrolując kompas.

- Może nie będziemy zatrzymywać się na obiad? - zaproponowała Katelynn, a Euan za zdziwieniem zdał sobie sprawę, że po porannej ucieczce z wozu nie słyszał od niej żadnych pretensji. - Idziemy do Yorku, tak? Zdecydowałeś się mnie słuchać?

- Jeszcze czego - burknął Euan, chociaż to właśnie słowa Katelynn stały się dla niego decydującymi.

- Marla mi powiedziała, że łowcy niewolników się tu zbierają.

- A, no tak - Katelynn wyciągnęła ramię. - I daleko jeszcze?

- Według mapy, jeszcze trzy, cztery dni. Jeśli nic się nie wydarzy...

Katelynn kiwnęła głową, mocniej zaciągając kaptur i kuląc się.

Ze zbliżaniem się wieczoru przed nimi pojawiła się popękana droga, pokryta zardzewiałymi szkieletami samochodów. Euan zatrzymał się i przysiadł przy wielkim kamieniu wystającym z ziemi. Katelynn usiadła obok i oboje wpatrzyli się na drogę.

- Trzeba ukryć się gdzieś na noc. Jak najdalej od dróg. - rzekł Euan.

Katelynn rozejrzała się wokół, ale nie było niczego widać, oprócz zaśnieżonych wzgórz i pasa asfaltu ze szkieletami samochodów na nim. Znowu popatrzyła na Euana i wyczekująco uniosła brew.

- Pójdziemy po niej na południe - powiedział w końcu, wstał i ruszył przed siebie.

Niebo rozjaśniło się, pokazało się słońce - rzadko gość, ale radości podróżnikom nie dał wiele: teraz pokrywa śnieżna oślepiała ich jeszcze bardziej.

Z dwóch stron po bokach drogi wznosiły się śnieżne zasy; korpusy samochodów były skute lodem. Euan i Katelynn przeszli kilka kilometrów w następującym zmierzchu, obok gnijących szkieletów, które kiedyś przewoziły ludzi. Samochody cywilne i wojskowe, osobowe i ciężarowe stały i leżały na drodze i na poboczach. Wszystkie one zatrzymały się jednocześnie, kiedy impuls elektromagnetyczny od wybuchu bomby wysokościowej spalił całą elektronikę. To był pierwszy cios dla Wysp Brytyjskich, chociaż w następującym chaosie skutki kolejnych uderzeń były jeszcze gorsze.

Euan zauważył przed sobą masywny korpus, wznoszący się nad innymi autami. Jego metalowe boki odbijały ostatnie promienie zachodu. Kiedy podróżni podeszli bliżej, pojazd okazał się być wojskowym samochodem pancernym. Zamiast przedniej szyby, z przodu był zakryty płytą pancerną, z której wystawał pokryty rdzą ciężki karabin maszynowy i peryskop.

- Hej! - zaniepokojonym szeptem zawołała Katelynn, wpatrując się w drogę za ich plecami, zasłaniając oczy ręką od zachodzącego słońca.

Sam Euan niczego podejrzanego nie zauważył, ale przez czas drogi nauczył się ufać swojej towarzysze.

- Sprawdź, czy można się tam wspiąć - powiedział machając w stronę wozu pancernego. Szybko przeszedł wokół pojazdu i spróbował otworzyć tylne drzwi, używając lufy automatu jak dźwigni, ale nic to nie dało.

- Zablokowane? - spytała Katelynn.

- Nie wiem. Jeśli ktoś się zamknął w tej bryce, to tam został - odparł Euan.

Nagle w drzwiach coś szczeknęło i nieznacznie otworzyły się. Euan cofnął się podnosząc automat.

Wewnątrz wozu zapaliła się lampa dziennego światła: z początku niepewnie zamigotała, następnie, rozgrzawszy się, równym blaskiem zaalała wnętrze pojazdu.

Zbliżywszy się, Euan zajrzał do środka. Dwie ławki wzdłuż ścian, nad nimi półki, w przedniej części fotel kierowcy przed wygasłym ekranem. Jeśli nie liczyć odprysków farby i rdzy, w środku było czysto i pusto.

Nieoczekiwanie z głośnika przy drzwiach rozległ się lekko zniekształcony mechaniczny głos:

- Kombinezon ochronny rozpoznany. Chip aktywowany. Stopień - kapitan. Pojazd otwarty.

Akumulator nie odpowiada. Naładowanie baterii słonecznych - pięć procent. System w dziewięćdziesięciu ośmiu procentach wyłączony z użytku.

Euan odszukał w plecaku kombinezon ochronny, który dała mu Marla. Widać było w nim ukryte jakieś urządzenie identyfikacyjne.

- Myślisz, że tu jest bezpiecznie? - zapytała Katelynn.

- Nie mam pojęcia. Ale niczego lepszego raczej nie znajdziemy.

Do środka samochodu pancernego Euan wchodził z jakimś lękiem. Nawet zniszczony, pozostawał dzieckiem maszyny wojennej, zgubnej dla świata. Podawszy rękę Katelynn, Euan wciągnął ją do środka i do połowy zamknął drzwi.

- Nie zamkniesz do końca? - zdziwiła się ona.

- Na razie nie. Chcę się upewnić, że zamek normalnie działa i będziemy mogli z powrotem je otworzyć. A wtedy utkniemy tu, do następnego przyjscia...

Drzwi zamknęły się, ale gumowa uszczelka, wiele lat opierająca się czasowi i mrozowi, nie wytrzymała uderzenia i odpadła. Między ścianą a drzwiami, na całym obwodzie, utworzyła się niewielka szczelina.

- Teraz zamarzniemy - powiedziała Katelynn.

- To nawet lepiej - odparł Euan. - To znaczy, będziemy mieli czym oddychać. Jesteśmy przecież w żelaznym pudle na ciepłą noc nie ma co liczyć.

- A rozmawiać z nami więcej nie będzie? - spytała Katelynn, wyciągając z plecaka śpiwór.

- Nie wiem. W ogóle mało wiem o tych samochodach. W Glasgow już dawno rozebrali je na części zapasowe. Nic, nie przejmuj się. Znudzisz się, sam z tobą porozmawiam. A potem, chyba nie ma bogatego zakresu słów... Chociaż, umie to rzeczywiście mówić, naszłoby go rozmawiać o czymś...

W ciszy zjedli suszone mięso i kozi ser, w który zaopatrzył się Euan. Potem podróżnicy, odwracając się do siebie plecami, spróbowali zasnąć.

W kabinie wozu pancernego była metalowa, pofałdowana podłoga: przydatna rzecz w drodze, żeby nikt nie poślizgnął się w czasie podróży, ale zupełnie nienadająca się do spania na niej. Zresztą, Katelynn i tak od razu zasnęła, a Euan długo wiercił i kręcił się w swoim śpiworze, próbując ułożyć się jak najwygodniej.

Już nad ranem usłyszał na zewnątrz jakiś hałas. Powstało takie wrażenie, jakby ktoś chodził wokół pojazdu i ocierał się o jego stalowy korpus. Z początku dźwięki były ciche i mężczyzna stwierdził, że mu się przyśniło, ale zaraz przeniosły się bliżej zamkniętych drzwi i wtedy rozległ się głęboki, gardłowy ryk, przechodzący w mrożące krew ochryple wycie.

Katelynn podskoczyła, oglądając się dookoła. Euan na czworakach wyszedł ze śpiwora i złapał automat oparty o ścianę.

- Co to? - wyszeptła dziewczyna, otwierając szeroko oczy ze strachu.

Euan w odpowiedzi tylko pokręcił głową i podszedł do drzwi, trzymając otwór na muszce i mając nadzieję, że zardzewiały zamek wytrzyma nacisk. Wycie rozległo się ponownie, tym razem dławiąc się głębokim kaszlem i drzwi drgnęły od silnego uderzenia.

Ze strachu Euan o mało nie strzelił, ale na czas powstrzymał się: sam zabiłby się rykoszetem.

- Co to, Euan? - znowu zapytała słabym głosem Katelynn.

- Nie wiem. Z początku myślałem, że pies, ale coś spory jest.

- Niedźwiedź? - zapytała z niepokojem ona.

- Nie wydaje mi się.

Od nowego uderzenia pojazd pochylił się i zakołysał. Katelynn wrzasnęła i zakryła sobie usta ręką.

Przesiedzieli trochę w ciszy, słuchając, jak ochryple dyszy i węszy stwór za ścianą. Kolejne uderzenie i w szczelinie między drzwiami i ścianą pojawiły się czarne pazury. Metodycznie przeszły po całym obwodzie, od zawiasów do zamka, po czym przesunęły się głębiej: niewidoczny potwór złapał drzwi, jak tylko mógł, pociągnął się i wyrwał w swoją stronę.

Katelynn złapała Euana za rękę, ale on odsunął ją i, zauważywszy, jak dziewczyna skrzywiła z bólu i żalu, wyjaśnił:

- Powiniennem być gotowy do strzału, Katelynn. Lepiej zberz rzeczy, jakbyśmy mieli uciekać.

- Uciekać?! Przed tym potworem?!

- Jeśli będziemy mogli. Albo jeśli ty będziesz mogła.

- Nie zostawię cię! - nieoczekiwanie dla samej siebie wypaliła Katelynn.

- Jeśli będzie możliwość, biegnij bez zastanowienia.

Po tym w kabinie zgasło światło - widać padła bateria.

Katelynn skuliła się i przeczołgała się do tyłu, aż nie oparła się plecami o ścianę. W ciemności majaczył tylko szary prostokąt drzwi - przez szczelinę po odpadłej gumowej uszczelce zaglądał do środka nadchodzący zmierzch.

Zwierz znów zawył i nagle z daleka rozległo się wycie w odpowiedzi.

- O nie! - wyszeptła z ciemności Katelynn.

Euan przeklnął ślinę i mocniej zaparł się podszwami o podłogę, czując nieoczekiwaną słabość w nogach. Serce waliło, w głowie kręciło się ze strachu. Żeby uspokoić się, zrobił kilka głębokich wdechów i wydechów.

Pazury zniknęły ze szczeliny.

A potem wydarzyło się coś niesamowitego: klamka na drzwiach poruszyła się i drzwi otworzyły się, ukazując w otworze ogromną i barczystą postać na nieproporcjonalnie małych łapach.

Euan nacisnął na spust, ale nic się nie stało. Kiedy wychodził ze spiwora po automat, to ze strachu zapomniał odbezpieczyć broń. Teraz, ześlizgującymi się palcami prowadząc automat do gotowości bojowej, mężczyzna stracił kilka drogocennych sekund, przez które stwór zdążył wcisnąć się do połowy do ciasnej kabiny.

Oparłszy kolbę o ramię, Euan wypuścił w potwora pół magazynka. Ten wyleciał z kabiny i upadł na ziemię, wijąc się w konwulsjach. Mężczyzna zdążył zobaczyć tylko nakrapianą, szarą skórę pod pokrywą ciężkich, czarnych włosów, ale zanim podbiegł do drzwi, pojawił się drugi drapieźnik. Wyczuwszy trupa krewnego, odwrócił się do kabiny i wyszczerzył się. Jego oczy - duże, przekrwione, z intensywnie błękitnymi tęczęwkami - skierowane były wprost na Euana.

I wtedy zza chmur przebiły się pierwsze promienie porannego słońca. Jeden z nich spadł prosto na łapę zwierzęcia, blokującego drogę do wozu pancernego. Drapieźnik zaryczał z bólu - ten ryk, do bólu podobny do ludzkiego, będzie się śnił Euanowi do końca jego dni - i tam, gdzie słońce trafiło na gołą plamę skóry, natychmiast pojawiły się pęcherze i czerwone oparzenia.

Zwierz zajęczał i zniknął w oddali, a Katelynn z Euanem zostali, spoceni i drżący ze strachu.

- Poszedł? - spytała dziewczyna.

- Zdaje się, że tak. Boi się słońca.

Ona runęła na podłogę, obciążona nagłym zmęczeniem.

- Wstawaj - powiedział Euan, starając się nie pokazywać, że jemu samemu drżą ręce. Dziewczyna nie poruszyła się.

- Wstawaj, mówię!

Katelynn mechanicznie wstała, patrząc na niego pustymi oczami.

- Musimy iść, Katelynn - powiedział Euan, ale sam nie ruszał się z miejsca: nie był pewien, czy nie zwali się przy pierwszym kroku.

Katelynn kiwnęła głową i rozpychała po plecach wszystko, co jeszcze zostało. Kiedy rzeczy były ułożone, Euan wyszedł z pojazdu, starając się trzymać jak najdalej od leżącego zwierzęcia, skóra którego już pokryła się czerwonymi wrzodami, wydzielającymi gryzącą woń. Bez wątpienia, drapieźnik był martwy.

Katelynn wyszła na zewnątrz w ślad za mężczyzną, także omijając trupa. Zwierzę było podobne do ogromnego psa, niezwykle umięśnionego na ramionach i szyi. Jedna łapa była odsunięta i dziewczyna z przerażeniem zauważyła na niej wydzielony kciuk i jeszcze trzy krótkie, grube palce z długimi, czarnymi pazurami.

- Dzisiaj musimy pójść jak najdalej możemy - rzekł jej towarzysz i Katelynn skinęła, nie ściągając wzroku z martwego zwierzęcia.

- Nie powinniśmy iść po drodze, ale boję się, że na razie inaczej się nie da - dodał Euan. - Sądząc po mojej mapie, jest to najkrótsza trasa.

Szli ile sił w nogach, prawie biegli, dlatego bardzo szybko zmokli i zaczęli się dusić. Za to do południa wzgórze pozostały daleko w tyle; teraz podróżników otaczały wielkie otwarte przestrzenie. Wszędzie panowało cały czas to samo spustoszenie, a czteropasmowa droga jak wcześniej zawalona była zardzewiałymi szkieletami samochodów.

Dzięki przetrwałym zielonym znakom można było dowiedzieć się, że poprzednio ta trasa nazywała się "A-66" i to trochę zaniepokoiło Euan, ponieważ na mapie Marli była zaznaczona zwyczajnie jako "Zimowa droga". Według mapy, powinni przejść z niej na trasę A-1 i dalej iść po niej na południe.

- Stój! - niespodziewanie powiedziała Katelynn.

O mało nogi jej się nie ugięły. Euan podszedł do niej i podtrzymał za rękę.

- Zmęczona? Co, za szybko idziemy?

- Przed nami coś jest. Coś złego.

- Co dokładnie?

- Niebezpieczeństwo. Chodźmy wolniej.

Euan zamyślił się. Koniec końców, pora nie była jeszcze późna i pozostało im kilka godzin do ciemności.

- Może lepiej zejść z drogi? - zaproponował.

Katelynn skinęła i zeszedli z szosy na pole. Śnieg był tu cieńszy i jak gdyby topił się. Trafiały się nawet kawałki gołej ziemi; najczęściej wystawały z nich zwęglone pnie - ślady pożaru, ogarniającego tę ziemię w ostatnich dniach wojny.

Wkrótce podróżnicy zobaczyli jeszcze jedną drogę, wiodącą na południe - tą samą, na którą powinni się skierować. Ale skrzyżowanie sprawiało okropne wrażenie.

Kiedyś wznosił się tu cały kompleks budynków. Ich metalowe szkielety do tej pory sterczały ze sterty betonowych odłamków. Ziemia wokół nich i asfalt na estakadzie zrobiły się czarne, ale najbardziej niepokoiło to, że powietrze nad czarną ziemią nadal drżało, jakby płonęło.

- Co to jest? - mruknął Euan, zwalniając kroku.

- Wydaje się, że tam jest gorąco - powiedziała Katelynn.

- Może spadła tu bomba? - czując się kompletnym idiotą, zasugerował Euan.

- Nie wiem - odparła Katelynn.

Euan nagle przypomniał sobie o liczniku promieniowania i pospieszenie wyjął go z kieszeni. Wszystko było czyste.

- Chodźmy - rzucił, opierając się chęci zbadania dziwnego miejsca. - I przejdźmy się trochę po drodze - dodał, rozglądając się po grząskich polach wokół. - Inaczej utkniemy tu na długi czas. Najważniejsze - mieć oczy dookoła głowy.

Im dalej się przemieszczali, tym straszniej otaczająca ich ziemia była pokaleczona przez wojnę.

Droga, po której szli, miała po dwa pasy w każdą stronę i jeszcze jeden specjalny, po środku, dla transportu wojskowego. I po tym pasie właśnie szli. Samochodów na nim było mało, więc podróżnicy przemieszczali się żwawo, bez przystanków.

Wkrótce droga skręciła w lewo i zobaczyli pozostałości starej bazy lotniczej. Pas startowy był prawie w całości unicestwiony i oferował przypadkowym przechodniom widok luksusowej kolekcji kraterów bomb burzących. Przy niektórych kraterach leżały resztki myśliwców, jeszcze kilka skrzydlatych maszyn, z zewnątrz nie uszkodzonych, stało na granicy lotniska. Sąsiednie budynki także oberwały falą uderzeniową: ceglane obróciły się w kupę gruzu, betonowe częściowo ustały, ale straciły dachy i miały odkryte elementy.

Euan znowu spojrzął na radiometr, ale poziom promieniowania nie zmienił się.

Bliżej wieczoru zaczął zastanawiać się nad noclegiem.

- Trzeba iść dalej - powiedziała Katelynn jakby usłyszawszy myśli mężczyzny.

- Po ciemku?

- Po ciemku.

- Czemu?

- Zwyczajne przecucie.

- Jak ty to robisz, ciekawe - zapytał.

- Nic ciekawego - ucięła dziewczyna. - Taka się urodziłam.

Euan pokręcił głową:

- Trzeba gdzieś dojść do rana. Jesteśmy oboje zmęczeni, drżysz z zimna. I w ogóle, przez dzisiejszy dzień przeszliśmy więcej, niż przez dwa poprzednie dni.

Ledwie minawszy skrzyżowanie, znak, który dumnie głosił, że wcześniej niedaleko znajdowało się miejsce o nazwie Dishforth, podróżnicy natknęli się na jeszcze jedno lotnisko. Wyglądało na to, że

uniknęło bombardowania, w odróżnieniu do poprzedniej bazy lotniczej. Euana zainteresowały zardzewiałe kontenery stojące wprost na ziemi. Pokazał je Katelynn:

- Oto idealna kryjówka dla ciebie.

Dziewczyna z wątpliwością spojrzała na kontenery i pokręciła głową.

- A ja mówię, że nie więcej miejsc na kryjówkę - zdenerwował się Euan. - Co, czy wszystkie twoje przewidzenia okazały się prawdziwe?

- Nie wszystkie. Ale lepiej nie ryzykować.

- I od jakiego czasu to się u ciebie zaczęło?

- W dzieciństwie. Nie pamiętam - odwróciła się.

- No co tu takiego jest, Boże święty! Co, myślisz, że uznam cię teraz za wiedźmę i zaciągnę na stos? - parsknął. - Ja też, koniec tematu!

- A dlatego! - wybuchła ona. - Dlatego że i bez ciebie wystarczy tych, którzy nazywają mnie wiedźmą! A drudzy biorą mnie za świra! A trzeci próbują wykorzystać! A mnie ta historia zmęczyła, rozumiesz? Mam dosyć! Chcę być normalna!

Euan oniemiały patrzył na nią, nie wiedząc, co teraz powiedzieć.

- Ale jest też z tego korzyść - wycedził. - Jakoś przecież dowiedziałem się, że jesteś w tarapatkach, tej nocy w Carlisle... To przecież ty wysłałaś mi sygnał, inaczej nie wytłumaczę.

- Nie wiem - burknęła Katelynn. - Może ty sam tak umiesz. Może po prostu wcześniej nie było powodu. Zmieńmy temat

Z prawej pokazała się farma, która przy normalnym promieniowaniu wyglądała całkiem przyjaźnie. Euan kiwnął w jej stronę, konsultując się z Katelynn. Dziewczyna wzruszyła ramionami. Oboje rozumieli, że bez odpoczynku nie dadzą rady i że lepsza okazja może się nie przytrafić, a następnie skręcili z drogi i skierowali się na farmę.

Zadanie Katelynn było proste: Euan szybko znalazł kontrargument. Gdyby umiał przewidzieć przyszłość, to dowiedziałby się wcześniej, że jego rodzina jest w niebezpieczeństwie.

- Moja rodzina. Wiedziałbym o nich.

- Ty wiesz lepiej - odpowiedziała Katelynn.

- I ja też tak myślę - rzekł Euan.

- Ale przecież o mnie się jakoś dowiedziałeś? A o rodzinie nie.

- Może o nich też wiedziałem - wyraził myśl, która niespodziewanie przyszła mu do głowy. - Po prostu ty byłaś bliżej, a oni dalej...

Twarz Katelynn niczego nie przedstawiała.

- Możliwe...

Farma była z trzech stron otoczona szopami i innymi wszelkimi budowlami, ale żadna z nich nie miała całego dachu. Sam dom kiedyś w przeszłości płonął i teraz stał, posępny, przed niebem otwarty.

W końcu z południowej strony znalazło się niewielkie pomieszczenie służbowe z dachem i gościnnie uchylonymi drzwiami. Euan ostrożnie wszedł do środka, automat trzymając w gotowości. Pomieszczenie było od dawna ograbione, nie było w nim niczego, nawet okien, i jedynym wejściem i wyjściem był otwór drzwiowy.

- Jeśli przyjdą tu te stwory, nie będziemy mogli wyjść - powiedziała Katelynn.

Euan pomyślał o tym samym.

- Przejdźmy się jeszcze - zaproponował.

W nastającym zmierzchu jeszcze raz przeszli całe podwórko w poszukiwaniu lepszego schronienia i już prawie pogodzili się z tym, że przyjdzie im nocować w ograbionym, ciasnym, domku, kiedy nagle Katelynn potknęła się o coś i wylądowała na ścianie.

- Szlag by to! - powiedziała w duchu, wstając i otrzepując się. - Co za śmieć!

Euan, zbliżywszy się sprawdzić, o co potknęła się dziewczyna, uniósł brew, ale niczego nie powiedział. Przykucnął i uważnie przyjrzał się zardzewiałemu uchwyтови wystającemu z ziemi. Zaczynając rozgrzebywać wokół niego śnieg, mężczyzna szybko odkrył, że stoją wprost na klapie małego wjazdu, wbudowanego w betonową pokrywę. Próba ruszenia klapy z miejsca nie zakończyła się

sukcesem: śnieg i wieloletnie oblodzenie trzymały ją mocno. Euan rozbił lód obcasem i zwrócił do dziewczyny po pomoc.

Ze wszystkich sił pociągnęli za uchwyt, pokrywa wjazdu wydała oburzone skrzypnięcie i nagle odpadła; powietrze z przygłuszonym świstem wyrwało się na zewnątrz z podziemi, a Euan z jakiegoś powodu wspomniął, jak robił ostatni wydech martwy z Carlisle.

Zbliżywszy się do dziury i zajrzawszy do środka, Euan zaczął grzebać w plecaku w poszukiwaniu latarki z dynamem. Na widok ciemnej dziury pod nogami na twarzy Katelynn ukazał się paniczny strach.

- Ja tam nie wejść! - nieznoszącym sprzeciwu tonem zakomunikowała ona i odeszła możliwie jak najdalej od brzegu, ale tak, żeby oddalić się zbytnio od towarzysza.

Euan, nareszcie, znalazł latarkę. Zaciekle naciskając na rączkę, skierował ją do wyrwy. Słaba wiązka światła wyrwała z ciemności drabinę wiodącą na dół, do betonowego podłoża.

- Zostań tutaj, nigdzie nie odchodź - powiedział, założył maskę przeciwgazową i zaczął schodzić. Jeszcze w Glasgow porządnie się nauczył, że maska jest niezastąpioną rzeczą w podziemiach: stęchłe powietrze bywa równie niebezpieczne, co komora gazowa.

Po sześciu metrach drabina skończyła się i Euan znalazł się w krótkim betonowym tunelu, zmierzającym do zamkniętych, żelaznych drzwi z kołem na środku. Ku zdziwieniu mężczyzny, ono lekko się obróciło, z tamtej strony coś kliknęło, drzwi uchyliły się w jego stronę i znowu dał się słyszeć cichy świst wychodzącego powietrza.

Euan otworzył drzwi do końca lufą karabinu i skierował do środka snop światła z latarki z dynamem. Nieduże pomieszczenie było podzielone na toaletę z prysznicem, oddzielone pudełkami, i na część użytkową zawałoną wszelką elektroniką. Przy dalszej ścianie stały biurko i składane łóżko, ale w ogólnym widoku pomieszczenie było opuszczone. Przede wszystkim przypominało kryptę.

Lecące po niebie obłoki zakryły księżyc. Katelynn stała trochę w ciemności, z każdą minutą coraz mocniej czując, jak coraz bardziej wywiera na nią fizyczny wpływ. To było prawie tak samo straszne, jak iść pod ziemię. Dziewczyna padła przy samym włączu, patrząc w dół, gdzie widniał blask latarki - jedyne przypomnienie o tym, że nie jest sama i że ma ochronę.

Nagle, znajdując prześwit w chmurach, księżyc wyrwał się na wolność i zalał farmę mistycznym, srebrzystym światłem.

Katelynn z podziwem rozejrzała się wokół i niespodziewanie zobaczyła ich: powoli szli z drogi prosto na nią; czarne włosy na szarej plamistej skórze błyszczały w księżycowym blasku. Ogarnęło ją przerażenie, wszystkie mięśnie zeszywniały i dziewczyna cicho jęknęła, nie mogąc się poruszyć.

Potwory zbliżały się do niej z różnych stron drogi, lawirując pomiędzy zardzewiałymi samochodami i ciężarówkami: osiem, dziesięć, a dalej jeszcze więcej... Jeden, większy od innych, najwyraźniej przywódca, zadarł pysk ku niebu i rozległo się straszliwe, przeciągłe wycie. Stado, jak na komendę, rzuciło się w kierunku Katelynn. Dziewczyna w osłupieniu patrzyła, jak zbliżają się i już mogła dostrzec zaskakująco mądre oczy i ostre, czarne zęby.

Lider zebrał się i skoczył, wyciągając przednie łapy i rozcapierzając grube palce z zagiętymi, czarnymi pazurami.

W ostatniej chwili ręka Euana objęła ją pod pachami, wczepiła się w ubranie na ramieniu i wciągnęła w ciemną otchłań. Katelynn wrzasnęła, spadając w ciemność: na sekundę wydało jej się, że nienasycona jama podziemi pochłonęła ją, zupełnie jak potwór na górze.

- Chwyć się czegoś!!! - krzyknął ochryple Euan.

Dziewczyna złapała się towarzysza, ale ten cofnął rękę i Katelynn o mało nie spadła na dno studni, jakimś cudem złapawszy się żelaznych szczebli drabiny.

Wysunawszy głowę na powierzchnię, Euan zobaczył, jak przywódca stada upadł na ziemię tam, gdzie dopiero co siedziała Katelynn. Uświadomienie sobie, że ofiara umknęła, odbiło się na pysku zwierza zaciętą wściekłością. Euan nie spodziewał się zobaczyć tylu potworów: teraz cała sfora leciała na niego przez podwórko, wyjąc w biegu. Wczepiając się w ster blokujący na wewnętrznej stronie wieka, mężczyzna pociągnął ją do siebie w tym samym momencie, kiedy pierwszy ze stada był pół metra od niego.

Ogromna umięśniona tusza uderzyła we właz, nogi Euana zsunęły się ze drabiny i zawisnął w powietrzu, trzymając się za koło i słysząc warczenie z góry i przerażony pisk poniżej. Ten szczęśliwy zbieg okoliczności uratował ich: w tym momencie pokrywa włazu lekko się uniosła - widocznie, zwierzę znalazło uchwyt i pociągnęło za niego - ale cały ciężar Euana utrzymał ją na miejscu.

Mężczyzna namacał nogami drabinę, oparł się na niej i pociągnął pokrywę w swoją stronę, wkładając w to szarpnięcie całą swoją siłę i pragnienie życia. Właz zamknął się i od razu Euan zdołał przekręcić koło i zatrzaskać zamek.

Z góry rozlegało się zgrzytanie pazurów po metalu, po czym głuchy ryk potworów zaczął składać się w jakieś rytmiczne melodie, jak gdyby te porozumiewały się między sobą.

Euan mocniej złapał się za drabinę, wyciągnął latarkę i uruchomił silniczek, oświetlając wszystko wokół. Sprawdziwszy właz, znalazł od wewnętrznej strony niewielką zasuwę, pchnął ją i dopiero po tym przerzucił uwagę na Katelynn.

- Schodź na dół - powiedział Euan, ale przerażona dziewczyna mocno trzymała się za szczeble drabiny. - Schodź, moja droga. Wszystko będzie dobrze. Jestem obok.

Druga próba też nie dawała rezultatów: Katelynn tkwiła w jednym miejscu, jak przyklejona.

Zgrzyt pazurów rozległa się ponownie: zwierzę próbował podważyć właz. Euan zszedł bliżej towarzyszki i poczuł, że ogarnia ją dreszcz. Wziąwszy dziewczynę za podbródek, mężczyzna zwrócił w swoją stronę jej bladą twarz i zaproponował, patrząc prosto w rozszerzone ze strachu oczy:

- Zejdziemy razem.

Katelynn zamrugała, roniąc z rzęs łzy, ale zaraz powoli skinęła głową.

Trzymając się wzajemnie, pokonali ostatnie piętnaście stopni i stanęli na chłodnej podłodze studni. Nad nich głowami dalej zgrzytały pazury o lód, beton i metal. Euan wziął dziewczynę za rękę i zaprowadził do pomieszczenia za stalowymi drzwiami.

- Tutaj nas nie dopadną - powiedział miękko i przekonująco.

Katelynn w milczeniu skinęła głową.

- Jesteś cała? Nie zraniłem cię?

Ponownie nic nie odpowiedziała, tylko pokręciła głową.

- Już, nie ma się czego bać.

- Nie znoszę podziemi! - wyrzuciła, szcękając zębami.

- Och - odetchnął mężczyzna, ale wtedy przypomniał sobie, że widział w pomieszczeniu coś akurat na tę okazję.

Wziął za rękę Katelynn do stołu i posadził na metalowym krześle, a sam wziął ze stołu plastikową pałeczkę.

- Żeby tylko zadziałało... - mruknął, zgiął pałeczkę i porządnie wstrząsnął, jak robił to jego ojciec wiele lat temu.

Ciecz wewnątrz pałeczki zaświecił na zielono, coraz jaśniej i jaśniej, aż, w końcu, całe pomieszczenie od podłogi do sufitu, razem z górą elektroniki, nie zostało zalane niesamowitą poświatą. Światło uspokoiło Katelynn i Euan oddał jej pałeczkę fosforyzującą, a sam podszedł do drzwi, zamknął je i jak należy zablokował. Następnie wrócił do dziewczyny, usiadł obok, objął ją i zaczął czekać, aż towarzyszka się opanuje.

Nagle kruche ramiona Katelynn zatrzęsły się od szlochu, odwróciła się do Euana i rzuciła się w jego objęcia z taką siłą, że o mało nie przygwoździła go do ściany. Kilka minut przesiedział, nie ruszając się, obejmując płaczącą dziewczynę, dopóki ta nie uspokoiła się.

- Do rana nam nic nie grozi - rzekł w końcu, kiedy szlochy ucichły. Potem delikatnie oswobodził się z jej rąk i posadził towarzyszkę z powrotem na krzesło.

- Jak myślisz, co to za miejsce? - zapytał, żeby odwrócić jej uwagę.

- To są komputery - apatycznie powiedziała Katelynn. - Serwery, zdaje się.

- Skąd wiesz?

- Widziałam takie, jeszcze w dzieciństwie.

- Ciekawe miałaś dzieciństwo...

Euan popatrzył na zakurzone obudowy komputerów i grube zwoje kabli, ciągnące się wzdłuż sufitu i znikające w przeciwległej ścianie pomieszczenia.

- Ludzie budowali bunkry, żeby schować się przed bombami - rzekł on. - Po co przytaszczyli tutaj komputery?

- Opowiadali mi, że wojna toczyła się wszędzie - odezwała się Katelynn. - Na lądzie, na morze, w powietrzu i w kosmosie, i w komputerach także.

- W Internecie?

- Chyba tak to się nazywało...

Euan znowu spojrzął na stertę martwego sprzętu.

- Ciekawe, czy będziemy mogli jeszcze kiedykolwiek przypomnieć sobie albo zrozumieć, czemu tak naprawdę był unicestwiony świat? - powiedziała w zamyśleniu Katelynn, obracając się do niego.

Euan wzruszył ramionami:

- Nie wiem, dziecko. Ale myślę, że to są te same przyczyny, przez które ludzie dzisiaj się tyranizują...

Katelynn w ciszy skinęła.

- Ludzie się nie zmieniają - dodał Euan. - Nienawiść dziedziczą od swoich ojców, a własną głową nie nauczyli się myśleć.

- Jesteś pewien, że się nie przedrą? - zapytała dziewczyna, zmieniając nagle temat.

- A gdzie... Między nami jest para żelaznych drzwi i betonowe ściany.

- W każdym razie, będziemy trzymać wartę na zmianę?

- Dobry pomysł - zgodził się Euan. - To ja pierwszy, a ty śpij.

Katelynn kiwnęła głową, chociaż była zbyt przestraszona, żeby zasnąć. Euan nakarmił ją suszonym mięsem i ostatni kawałkiem koziego sera i dał wody. Składane łóżko zgniło i pokryło pleśnią, dlatego położył na nim swój śpiwór, ostrożnie ułożył dziewczynę i owinął, jak własną córkę. Usiadłszy obok, mężczyzna zaczął cicho śpiewać pieśń, którą kiedyś śpiewała mu matka:

O Flower of Scotland,
When will we see
Your like again,
That fought and died for,
Your wee bit Hill and Glen,
And stood against him,
Proud Edward's Army,
And sent him homeward,
Tae think again.

The Hills are bare now,
And Autumn leaves
lie thick and still,
O'er land that is lost now,
Which those so dearly held,
That stood against him,
Proud Edward's Army,
And sent him homeward,
Tae think again.

- Euan - mruknęła sennie Katelynn.

- Tak? - odezwał się, samemu będąc oczarowanym pieśnią.

- Kto to taki Dumny Edward? Jeden z dowódców w ostatniej wojnie?

- Nie wiem. Raczej nie. Pamiętaj tę piosenkę z dzieciństwa.

- Dziwne... - powiedziała dziewczyna, ale co w tym takiego dziwnego, nie wyjaśniła i wkrótce Euan zrozumiał, że śpi.

Ostatnią zwrotkę zaśpiewał dla siebie, ale każde słowo dzwoniło w jego głowie:

Those days are past now,
And in the past
they must remain,
But we can still rise now,
And be the nation again,

That stood against him,
Proud Edward's Army,
And sent him homeward,
Tae think again.

Cholera wie, kim jest ten Dumny Edward; kiedyś był taki typ, na pewno nie z przyjemnych, raz chwalebni przodkowie Euana wyrzucili go w pierwszej kolejności. Teraz zachowało się po żywym człowieku z jego pasjami i marzeniami o podbiciu Szkocji jedno imię. A zapomną słowa tej pieśni w Matrze miasta Glasgow i nic nie pozostanie po Dumnym Edwardzie. Cześć, zapomnienie.

W dzisiejszym cudownym świecie nie ma sentymentów, a przeszłość tutaj mało kogo obchodzi, jak i przyszłość: byle przejść dzień do wieczora, nie zginąć i napełnić brzuch to już szczęście. Nie ma żadnej przeszłości, z wyjątkiem wczorajszego dnia, i żadnej przyszłości, z wyjątkiem jutra.

W ciągu swojej niedługiej podróży Euan zdążył już napatrzeć się na nowy świat.

Nie miał ten świat przyszłości, nawet jutra nie miał.

A Euan musiał myśleć tylko o tym, jak dotrzeć do Yorku. I znaleźć rodzinę. A tam niech się dzieje co chce.

Wyjął mapę Marli i zabrał się za jej uważne studiowanie.

Okazali się być bliżej Yorku, niż się spodziewał. Mapa sugerowała dwie trasy marszu. Droga jeszcze kilkadziesiąt kilometrów szła na południe, następnie skręcała na wschód i prowadziła prosto do miasta. Ale była krótsza droga: po rzece, która przecinała drogę na długo przed skretem, wpadała do następnej, a ta prowadził już do samego serca Yorku. Euan postanowił, że pójdzie po niej będzie i szybsze, i bezpieczniejsze. Rzeki, najprawdopodobniej, zamarzyły, a jeśli drogi przy mieście patrolują, łatwo schowają się przed wścibskim wzrokiem.

Złożył mapę, podszedł do drzwi, otworzył je jak najciszej mógł, następnie ostrożnie wszedł na górę po drabinie i przyłożył ucho do pokrywy wjazdu.

Było cicho, ale Euan gotowy był się kłócić, że z tamtej strony, kilka centymetrów od jego ucha, ktoś dokładnie tak samo słucha ciszy. Czekał, unosząc się nad czarną studnię i widmowe zielone światło z dołu było jego jedynym źródłem światła w ciemności.

Stracił już rachubę czasu, kiedy nagle uchwycił ruch na powierzchni. Ktoś wstał i przeszedł się wokół wjazdu na czterech łapach, a następnie znowu pochylił się w oczekiwaniu. Od bliskości wroga po plecach Euana przebiegły mrówki, ale przecież w żelbetowym ukryciu, łaskawie pozostawionym podróżnikom dawno temu przez właściciela farmy, był zupełnie bezpieczny.

Ostrożnie zszedł, zamknął i zablokował stalowe drzwi i wrócił do łóżka, gdzie spała Katelynn. W bunkrze cieplej niż nad ziemią i Euan poczuł, że jego też ogarnia sen. Ciekawe, o czym myślał właściciel, kiedy kopał ten schron? Wyobrażał sobie, jak będzie mieszkać tutaj z żoną i dziećmi po wojnie atomowej? Czy myślał, że sam zginie ze swoją rodziną, a zbudowane dla nich schronienie uratuje kiedyś zdesperowanych podróżnych?

Żeby się czymkolwiek zająć, Euan wstał i zbadał stół. Na nim znalazły się jeszcze trzy pałeczki fosforyzujące, książka pod tytułem "System operacyjny LINUX" z zestawem bezsensownych instrukcji i formuł i krótki tępy ołówek, który Euan schował do kieszeni.

Dwie skrzynie były zamknięte na zamek, ale przy pomocy noża odniósł nad nimi łatwe zwycięstwo. W górnej znajdował się cały zestaw małych śrubokrętów, fragmenty przewodów i różne przyrządy do pielęgnacji sprzętu. Euan wziął przewód i wsadził do plecaka: nigdy nie wiadomo, co się może przydać. Niższa skrzynia była większa, na jej dnie leżały trzy katalogi z imionami właścicieli komputerów.

Euan już przyszedł do wniosku, że bunkier był cywilny, a nie wojskowy, dlatego bardzo zdziwił się, kiedy wyciągnął dolny katalog i odkrył w nim pistolet z nabojami, czerwony dozymetr podobny do tego, który dała mu Marla, tylko bez baterii i buteleczkę z napisem "Olej do maszyny do szycia".

To było zupełnie niezwykle znalezisko. Zabrać je teraz do domu, do Glasgow, Euan zbiłby fortunę na jednym dozymetrze. Ostrożnie położył urządzenie do plecaka i wziął do ręki pistolet. To był "Glock-17". Jeden z chłopaków na jego stacji miał taki, pokazywał go Euanowi w czasie długiej i nudnej warty w tunelu. Ten model miał lekką plastikową rękojeść, wygodnie leżącą w ręce i w ogóle broń wydawała się być zupełnie nowa. Dokładnie rozłożywszy pistolet, Euan nie dostrzegł ani jednej plamy rdzy, a mechanizm, jak się wydaje, był prawie w tym samym stanie, w jakim go włożyli do skrzyni wiele lat temu. Kartonowe pudełko obok "Glocka" też pięknie się zachowało: było w nim pół

setki naboji, z których piętnaście Euan od razu załadował do łódki naboju. Przeciągnął kciukiem bezpiecznik, wsadził pistolet do kieszeni i wsadził pozostałe naboje do plecaka. Oczywiście, pistolet nie jest taki niezawodny, co wysłużony nóż, ale zawsze coś...

Katelynn spała głębokim snem. Nie chciał jej budzić. Koniec końców, byli bezpieczni. Euan postawił automat w rogu, oparł się plecami o ścianę i zaczął oczekiwać świtu.

Katelynn obudziła się w głębokim przekonaniu, że coś jest nie tak, ale od razu nie rozumiała, co dokładnie. W ciemności słabo migotało zielone światło pałeczki fosforyzującej, obok dało się słyszeć miarowe sapanie Euana.

I wtedy właśnie w mózgu dziewczyny jakby uderzyła błyskawica: Euan zasnął. Siedzieli pod ziemią, a Euan zasnął. Przecież chciała trzymać z nim wartę na zmianę, dlatego że pod ziemią, gdzie nie widać ani słońca, ani księżyca, ani innych ludzi, bardzo łatwo stracić poczucie czasu.

Usiadła i potrząsnęła Euana za ramię.

- He? Co jest? - zawołał, łapiąc za automat, którego dziewczyna z początku nie zobaczyła.

- Nie obudziłeś mnie!

- Musiałeś odpocząć, Katelynn - powiedział Euan, przecierając oczy.

- Przestań traktować mnie jak dziecko! Nie obudziłeś mnie i teraz nie wiemy, ile czasu to przesiedzieliśmy!

O tym Euan nie pomyślał.

- Ja pierdzielę! - rzucił. - Normalnie nie przyszło mi to go głowy...

- Trzeba się dowiedzieć, która godzina. Nie chcę zostawać tutaj na jeszcze jedną noc.

- A co, to nie najgorsze miejsce...

Euan wstał i przeciągnął się. Trzeba było spać w pozycji leżącej: szyja i ramiona były jak z drewna. I, oczywiście, byłoby miło, gdyby toaleta w tym bunkrze działała.

- Dobra, zbieraj rzeczy. Zobaczmy, co tam jest na zewnątrz. - I zwinął śpiwór i włożył go do plecaka.

Złapawszy umierającą pałeczkę świetlną, wyszli do drabiny i Euan ruszył na górę. Tam czekało na niego odkrycie: na samym środku włazu był mały wizjer, zakryty metalową migawką, którego nie zauważył poprzednim razem. Mężczyzna zajrzał tam: wokół panowała nieprzenikniona ciemność.

- Jak wcześniej jest ciemno. Poczekaj...

- Na co czekasz?! Trzeba lecieć!

- Cicho! - szepnął Euan, machając ręką.

Cały zamienił się w słuch, łowiąc każdy szmer na zewnątrz.

- Jest dzień - powiedział w końcu.

- Dopiero co powiedziałeś, że jest noc.

- Nie prawda. Powiedziałem, że jest ciemno. Słyszę śpiew ptaków. To znaczy, że coś blokuje widok.

- No, skoro jest dzień, to nie przyjdą po nas. Otwieraj wąż i wyłazimy!

Nie było czym się kryć i, obróciwszy metalowe koło, Euan lekko podniósł klapę, żeby upewnić się, że na dworze rzeczywiście jest dzień i nie widać w pobliżu potworów.

W szczelinę wlało się dzienne światło i oboje westchnęli z ulgą, ale do końca otworzyć wąż coś przeszkadzało. Euanowi udało się tylko trochę rozszerzyć szczelinę - akurat, żeby z trudem i przekleństwami wyjść na zewnątrz i wyciągnąć za rękę Katelynn.

Na władzie leżał zgnity szkielet małego samochodu. Sądząc po śladach, przynieśli go z drogi, żeby zagrozić wyjście do zachodu. Podróżnicy wymienili niespokojne spojrzenia.

- Wygląda na to, że one są groźniejsze, niż myśleliśmy.

- Jeszcze niebezpieczniejsze, niż ty myślałeś - uściśliła Katelynn. - Ja od samego początku myślałam, że ciągnie się za nimi jakaś okropność!

- Jest jeszcze jeden problem - powiedział Euan, patrząc na chmury, prawie całkowicie zakrywające słońce.

- Jaki?

- Przesiedzieliśmy tam dłużej, niż powinniśmy. Jest południe. Mamy sześć godzin do nocy.

Katelynn spojrzała na samochód, którym o mało nie zablokowały ich na zawsze w ciemności i znowu na towarzysza.

- Nie możemy tu zostać. Nie mamy gwarancji, że czy w nocy nie otworzą wjazdu, czy nie zamurują nas na stałe, przynosząc tutaj jakiegoś tira.

- Myślę, że powinniśmy iść po rzece: tędy szybciej dotrzemy do Yorku - powiedział wesoło Euan.

- No to chodźmy.

- Spokojnie, najpierw trzeba się załatwić.

Katelynn nie sprzeczała się, ponieważ jej chciało się to samo. Ale, kiedy ruszyli w stronę rozpadającej się szopy, dziewczyna nieoczekiwanie poczuła, jak wewnątrz niej obrzydliwie rozlewa się fala strachu.

- Euan, stój! - powiedziała słabym głosem.

Mężczyzna z zaciekawieniem obejrzał się na jej bladą twarz i wtedy wyłapał ruch w cieniu jednego z na wpół zniszczonych budynków za plecami dziewczyny.

- Jasna cholera! - wyszeptał.

Katelynn też zauważyła ich w szopie, do której zmierzali - ogromne muskularne ciała rozciągnęły się w oczekiwaniu nocy. Oczy ich błyszczały w ciemności, ale zwierzęta leżały cicho: czekały, czy zdobycz nie znajdzie się bliżej.

Euan złapał dziewczynę za rękę i pociągnął za sobą ku drodze. Kiedy wybiegli na zaśnieżony asfalt, za ich plecami rozległy się liczne głosy rozczarowanego wycia.

Słońce znowu uratowało podróżnikom życie. W przyćmionym świetle, które sączyło się zza chmur, Euan i Katelynn biegli po szosie tak długo, aż nie zobaczyli pokrytej śniegiem i lodem rzeki. Skoczywszy na brzeg, kontynuowali bieg na wschód.

Iść po rzece było o wiele wygodniej, niż po jakiegokolwiek drodze. Po pierwsze, nie było na niej zardzewiałych samochodów; po drugie, chociaż na obu brzegach ciągnęły się zniszczone domy, wszystkie stały dość daleko od nich.

Czasu na rozmowy nie było - prawie cały dzień spędzili na biegu. Mimochodem Euan dostrzegł, jak zmienia się krajobraz wokół nich. Pamiętał, że York był jednym z największych miast na północy Anglii i domyślał się, że w czasie wojny musieli przeprowadzić na nie bezpośredni ostrzał. I poza tym Marla twierdziła, że tu nadal żyją ludzie.

Kilka razy w ciągu dnia Katelynn potykała się i upadała, a Euan jak najdelikatniej mógł pomagał jej podnieść się. Po drażliwości towarzyszki nie został ślad, z powrotem stała się przestraszonym nastolatkiem, biegnącym od jednego niebezpieczeństwa na spotkanie drugiego.

Zachód słońca zaczął się nieoczekiwanie szybko i złapał ich na rzece. Euan miał wielką nadzieję, że zdążą znaleźć bezpieczne schronienie, aż nie ściemni się do końca. Podejrzał, że słabe zachodzące słońce raczej nie stanowi wielkiego zagrożenia dla zwierząt, a to znaczy, że one na pewno już wyruszyły ze swojego legowiska i złapały ślad uciekinierów. Z pewnością szybko usłyszą z Katelynn straszne wycie czworonożnych demonów, znacznie szybszych, niż ludzie.

Przebiegnąwszy pod mostem, podróżnicy zobaczyli wokół spalone ruiny domów i zrozumieli, że weszli do Yorku. Już w nocnym mroku minęli jeszcze jeden most, wyginający się nad nimi łukiem i wtedy, wreszcie, z daleka rozniósł się głodny i krwiożerczy zew.

Złapawszy rękę Katelynn, Euan zebrał ostatnie siły i, jak mógł, przyspieszył. Teraz wzdłuż rzeki ciągnęło się kamienne nabrzeże, od czasu do czasu trafiały się łódki i statki wmarzniete w lód.

- Euan, patrz! - wykaszła Katelynn, pokazując na wprost.

Wznosił się tam biały most, z obu stron którego widniały mocne, kamienne budynki, a na tym moście - chwała niebiosom! - błysnął ogień, światelko nadziei w mroku nocy. Jednakże dalej przejścia nie było: pod mostem droga do starego miasta była zakryta żelaznymi wrotami, jak gdyby naturalnym przedłużeniem starego kamiennego muru, okrążającego centrum Yorku na ładzie.

- Pomóżcie! - krzyknęła Katelynn, rozpaczliwie próbując nie odstawać od Euana, który nagle pobiegł jeszcze szybciej i dziwiąc się, że po tak męczącej drodze towarzysza nie tylko stoi na nogach, ale i ciągnie ją za sobą.

Teraz widzieli ludzkie sylwetki, latające po moście w świetle dymiących pochodni.

Z tyłu znowu rozległo się gardłowe wycie i, nawet nie oglądając się, Katelynn zrozumiała, że myśliwi są tuż obok: było wyraźnie słyszeć, jak ich pazury w biegu zgrzytają o lód.

Mężczyzna i dziewczyna wpadli na wrota. Ani biec dalej, ani ukryć się nie było gdzie. Uciekinierzy obrócili się twarzą ku ciemności, oświetlonej pomarańczowym blaskiem pochodni i zobaczyli, że zwierzęta ustawiły się w półkolu i powoli zbliżały się, ze wszystkich stron odgradzając im drogę.

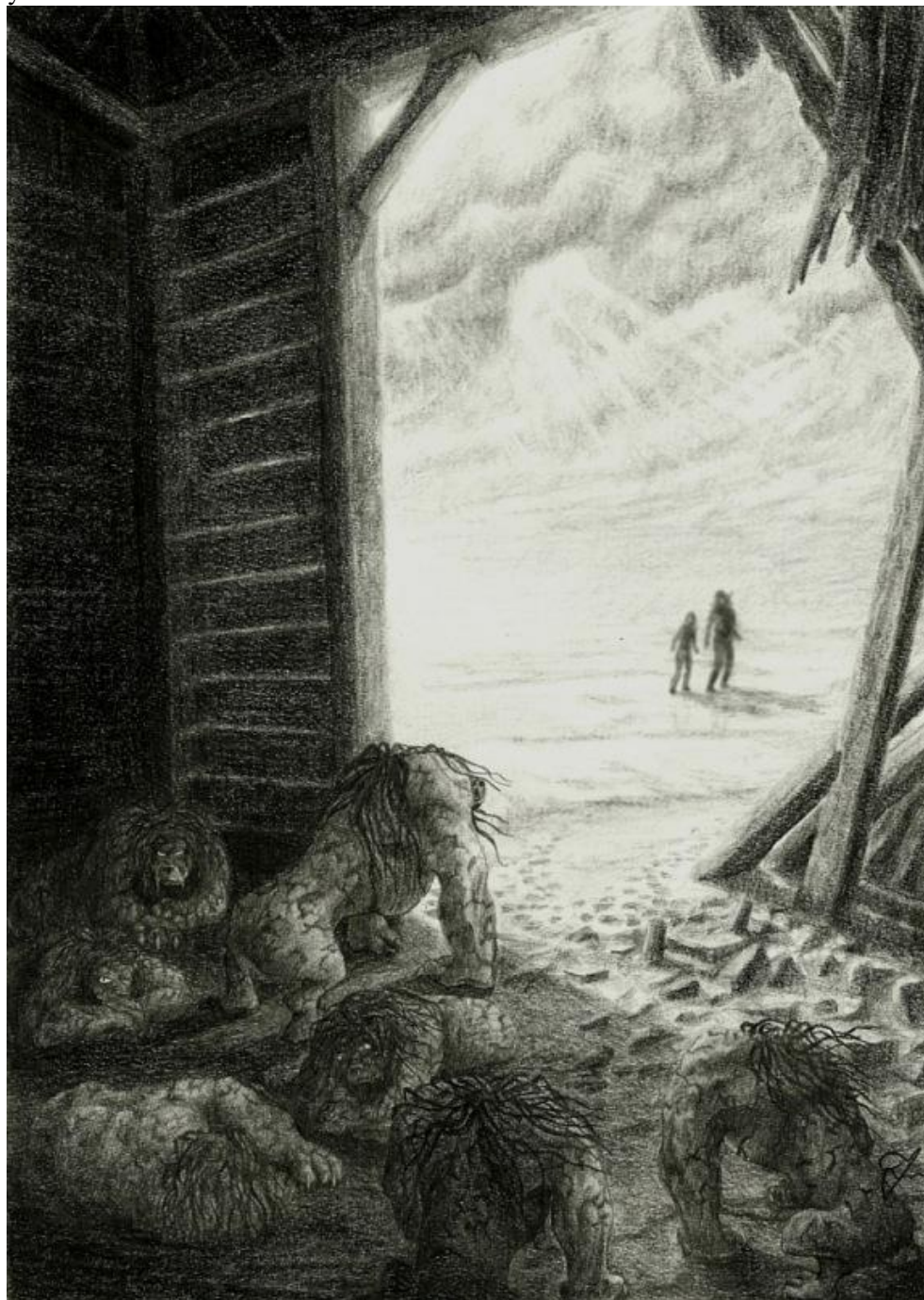
- Piekielne psy! - rozległ się krzyk nad ich głowami i w wtedy właśnie drugi głos rozkazał:

- Ognia!

I rzeczywiście, z niebios na potwory dosłownie rozlał się ogień: ze świstem trafiły je języki płomieni, siejąc śmierć i zniechęcając ocalałych. Trafiwszy na lód i śnieg, ogień dalej płonął, a Euan zrozumiał, że to strzały - długie płonące strzały!

Katelynn osiadła w jego rękach: od przeżytego strachu i ulgi była całkowicie wyczerpana. W tym czasie z góry wężami spuścili liny i donośny głos, jakby pochodzący z niebios, zawołał:

- Witamy w Yorku!



Rozdział 8
SZMARAGDOWY GRÓD



Wspiąwszy się razem z Katelynn na most, Euan był zaskoczony tym, jak wielu ludzi tłoczyło się na mrozie: około dwudziestu mężczyzn i kobiet, zawiniętych w ciepłe ubrania: wielu już się rozeszło, oglądając się przez ramię na intruzów. W rękach mieli groźnie wyglądające łuki, z tworzyw sztucznych lub drewna, za ramionami wisiały kołczany, skąd sterczały metrowe strzały z lotkami z tworzywa sztucznego. Scena była dziwaczna, a strażnik, który pomógł im wejść, zauważywszy zdziwienie Euana, spytał gromkim basem:

- Co, nie widziałeś wcześniej takiego?

Był ubrany w znoszony płaszcz maskujący i zabrudzone błotem czarne spodnie wsadzone do długich butów; z przodu butów była wytarta do dziur i było widać metalowe podnoski. Twarz strażnika była zakryta kapturem, na którym zostały jeszcze ślady futerka, na zewnątrz wystawała tylko siwa broda. Na szyi mężczyzny wisiały ogromne okulary ochronne, a z pasa zwisały połatany mieszek i kabura pistoletu. Za jego plecami stała wysoka, siwa kobieta w długiej ciepłej kurtce do stóp. Na lewej stronie kurtki, przy samym sercu, był wyszyty biały krzyż.

- Kim jesteście? - zapytała gromkim, stanowczym głosem.

- Nazywam się Euan, a to Katelynn.

- Co wy tutaj robicie?

- Uciekamy przed tymi stworzeniami - rzekła Katelynn.

- Szukam swojej rodziny - dodał Euan, stwierdzając, że nie zaszkodzi trochę rozwinąć temat.

- Poszczyście się wam - powiedziała kobieta. - Demony piekła były wysłane za wami, ale Pan swoją ręką poprowadził was do zbawienia.

- Święć się imię Jego - nieoczekiwanie wstawiła Katelynn.

Euan spojrział na nią z niedowierzaniem, jak również kobieta ze strażnikiem, ale Katelynn stała ze swobodnym wyglądem.

- Eee... Amen - dodał z wahaniem Euan.

Kobieta skinęła z aprobatą i odwróciła się do strażnika:

- Albert, zaprowadź ich do koszar Wszystkich Świętych. Tam przenocują, a rano w pierwszej kolejności do mnie. - Wydawszy rozkaz odwróciła się i odeszła.

- Oczywiście, Wasza Świętobliwość - odpowiedział strażnik, z szacunkiem kłaniając się w ślad za kobietą, aż nie zniknęła z widoku.

Euan zwrócił uwagę, że przez cały czas, kiedy była obok, strażnik nie ośmielił się podnieść wzroku.

- Bardzo mądrze - powiedział Albert, kiedy zostali we trójkę i mrugnął do Katelynn.

Dziewczyna nawet brwi nie uniosła.

- W jakim sensie? - spytała.

- Jesteś przecież niewierna - Albert porozumiewawczo uśmiechnął się.

- Jestem ochrzczona i wychowana w chrześcijańskiej wierze - powiedziała z oburzeniem Katelynn, nie zwracając uwagi na wytrzeszczone oczy Euana.

- Tak, oczywiście, ty wiesz lepiej - w głosie Alberta słyszano się wątpliwość.

- Ja jestem drogą i prawdą, i życiem. Nikt nie przychodzi do Ojca inaczej jak tylko przeze mnie - wyrecytowała Katelynn, patrząc z bliska na strażnika.

To wyraźnie miało wpływ i Albert zaskoczony zamrugał.

- Kim wy jesteście i skąd? Przyszliście nocą, z pustkowiec, i przyprowadziliście piekielne psy...

- Przecież powiedzieliśmy: Katelynn i Euan - spokojnie odpowiedziała dziewczyna.

- Aha, teraz wszystko stało się dla mnie jasne! - warknął strażnik. Jednakże teraz patrzył na tę kruchą dziewczynę jej towarzysza zupełnie innymi oczami. - Chodźcie za mną. Zaprowadzę was tam, gdzie będziecie mogli spokojnie spać do rana. - I Albert ruszył po moście na zachód.

Kiedy odsunął się na kilka kroków, Euan wziął Katelynn pod rękę, jakby w celu podparcia jej w drodze. Dziewczyna od razu zrozumiała, że nie może się doczekać, żeby ją o coś spytać i, nie czekając na pytanie, wyszeptała:

- Mnie naprawdę wychowano w chrześcijańskiej wierze.

- Tak jak mnie, wiele lat temu - szepnął Euan w odpowiedzi. - Tylko wtedy mało kto brał to poważnie.

- Za to teraz jest wielu wiernych. Dołącz do mnie, Euan. Z jakiegoś powodu wydaje mi się, że nie będzie nam tu zbyt wesoło.

Tym razem Euan nie chciał się spierać.

Most gładko przepływał w kamienną ścianę, po której parami chodzili wartownicy. Euan zauważył, że każdy patrol stara się nie tracić sąsiadów z widoku. W rękach wartowników były pochodnie: metalowe pręty z płonącymi szmatami na końcach.

Zeszli z muru i skierowali się do miasta. Euan instynktownie zwolnił kroku i sięgnął po automat. Albert usłyszał i odwrócił się.

- To nie jest potrzebne. W mieście jest teraz bezpiecznie.

Obejrzawszy się, Euan najpierw zauważył, że domy są zachowane znacznie lepiej niż w Carlisle i Glasgow.

- Czy wojna was nie dotknęła?

- No, ja bym tak nie powiedział... - odparł Albert. - Po prostu nie dotknęła budynków, a tych, którzy w nich żyli.

- Jak to? - nie zrozumiała Katelynn.

- Na miasto rzucili specjalne dziadostwo. Wielu tutaj zabrało, zanim tego nie opanowaliśmy.

Mężczyzna zamilkł, kierując wzrok w przeszłość, a następnie kontynuował:

- Z początku nie wiedzieliśmy, jak to zatrzymać i prawie całe miasto spaliliśmy. A potem... Jest u nas taki jeden gość. On coś wymyślił i od tamtej pory sprawy poszły gładko.

- Coś nie widać śladów pożaru - rzekł Euan patrząc na mur.

- Za murem nic nie zostało.

- A wewnątrz wszystko ocalało? - zapytała z ciekawością Katelynn.

- Tak, w pierwszej kolejności odcięliśmy stare miasto, zmieniliśmy je w wyspę. - Albert odkasznął, po czym niechętnie kontynuował: - Zarażeni nie mogli wstać na nogi, tak że żołnierze chodzili po ulicach i palili domy razem z mieszkańcami.

- To okropne! - wyrwało się Katelynn.

- To jest wojna, młoda damo. Nie było antidotum, a więc nie było i innego wyjścia.

- I właśnie wy przeżyliście? - spytał Euan.

- Tak. Ale tylko dlatego, że uszczelniamy każdy opuszczony budynek, a wszystkich, którzy pędzą do nas z zewnątrz - unicestwiamy.

Nieprzyjemny chłód przesunął się po plecach Euana. Żeby nie dać po sobie widać, niewzruszenie kontynuował rozmowę:

- Dużo ludzi tutaj żyje?

- Kilkaset. Część domów wzięliśmy na szklarnie, ale generalnie miasto jest puste.

- Więc po co są patrole?

Euan pożałował, że zadał to pytanie: Albert natychmiast stał się mroczniejszy.

- Dlatego, że trzeba - mruknął, rzucając na obcego podejrzliwe spojrzenie.

- Przepraszam. Po prostu to dziwne, że tak wielu ludzi nie śpi w nocy...

- A co nam pozostaje? Ceną wolności jest wieczna czujność, taki tu syf...

Przeszli obok zwieńczonego wysoką wieżą kościoła i zatrzymali się przed linią piętrowych domów z zasłonami w oknach. Albert otworzył kluczem jedno z drzwi.

- Tutaj będziecie spać. To są puste koszary. Nie wychodźcie, dopóki po was nie przyjdą. Nikt was tu nie zna, a obcych w Yorku nie znoszą.

Euan skinął i wszedł do domu w ślad za Katelynn.

Wewnątrz pachniało wilgocią i zapuszczeniem. Mebli nie było, tylko materace, leżące wzdłuż ścian równymi rzędami. W centralnym pokoju usytuowany był kominek, a obok stos drewna, w którym leżały wióry, fragmenty mebli, kawałki połamanych desek i kilka dzienników. Oprócz tego, na parterze znajdowały się jeszcze trzy pokoje, wliczając łazienkę i kuchnię, tak samo puste. Kiedyś ich ściany były obłożone drewnianymi panelami, ale teraz wszystkie one zostały zerwane - widocznie poszły na opał.

Wróciwszy do pokoju z kominkiem, Euan rozpałił ogień i podróżnicy w ciszy zjedli kolację.

- No, tutaj nas przynajmniej nie zjedzą - zauważyła w końcu Katelynn.

- Wyglądają na normalnych ludzi - odezwał się Euan.

- Na to wygląda - zgodziła się dziewczyna, jednak bez wielkiej radości.

Mechanicznie, jakby we śnie, zdjęła buty, weszła do śpiwora i zwinęła się tam w kłębek.

Euan wyciągnął nogi, ciesząc się ciepłem i wygodą. Zasypiając usłyszał, jak dziewczyna nuci sobie pod nosem jakąś melodię.

W świetle dnia York już nie był podobny do bajkowego, średniowiecznego miasta, jakim zdawał się być nocą. Wychodząc z domu w towarzystwie Alberta i jeszcze jednego eskortującego, podróżnicy od razu zobaczyli to, czego nie zauważyli w mroku: wszystkie budynki w mieście były porośnięte kręconym mchem, pokrywającym je niczym ogromny dywan. Mech, na stałe wrośnięty w ściany, rozciągał się jak namiot nad ulicami, pogrążając całe miasto w złowieszczym, szmaragdowym zmierzchu. W każdym domu parter i połowa pierwszego piętra były wolne od mchu, ale były pokryte grubą warstwą ni to sadzy, ni to popiołu. W każdym względzie York jakoś przypominał Euanowi rodzinne podziemie: labirynt wąskich i mrocznych korytarzy.

- Co to takiego? - zapytała Katelynn.

- Wygląda na mech.

- To o tym wam wczoraj mówiłem - rzekł Albert, który z rana wydawał się bardziej przyjazny. - To jest właśnie to dziadostwo, które zrzucili na miasto.

- Na was zrzucili powój? - Euan ledwo powstrzymał uśmiech.

- Ty, wujek, sobie tak nie żartuj - powiedział surowo drugi strażnik. - I trzymaj się od niego z daleka: zarazisz się.

- Dokładnie - potwierdził Albert. - To zdrowo zmniejszyło populację. Jeśli dotkniesz się albo chociaż wciągniesz zarodniki - zeżrą cię żywcem.

- Nie pierdziel!... - wyrwało się Euanowi - Wyście tego jeszcze nie wycięli?

- Widocznie są powody - burknął drugi strażnik. Albert zachichotał.

- Dobrze, Charlie, bądźmy uprzejmi dla gości w mieście - powiedział i zwrócił się do Euana i Katelynn: - Jeśli mech zapłonie, zacznie wydzielać zarodniki. Im bardziej paliliśmy to świństwo, tym bardziej się rozrastało. Ale jeśli go nie ruszać, to i on nas nie rusza.

- To znaczy, że po prostu rośnie na górze? - zainteresowała się Katelynn.

- Teraz tak. Jak już wczoraj mówiłem, jeden nasz mędrzec wymyślił, jak go opanować.

Albert dotknął palcem ścianę pokrytą grubą warstwą szarego pyłu, podobnego do popiołu.

- Co to jest? - zapytał Euan.

- Spalone i zmielone zarodniki.

- Przecież powiedzieliście, że one są śmiertelnie niebezpieczne.

- Kiedy są żywe - wtrącił się do rozmowy Charlie. - A jeśli je spalić i zmielić, to wszystko będzie w porządku.

- Tak - dodał Albert - i nowy mech już nie rośnie na ich powierzchni. Nasz mędrzec mówi, że ma pamięć genetyczną.

- O! - Euana autentycznie zaskoczyła tak głęboka wiedza. - Co to za mędrzec? Jakiś naukowiec z przedwojennych czasów?

- Dokładnie. Były lekarz. Dobry człowiek, chociaż niezbyt towarzyski.

Ich droga prowadziła przez zielone tunele miasta i jeszcze jeden most na zamarzniętą rzeką, do trzech kamiennych budynków imponującego rozmiaru, ustawionych w kształt podkowy, twarzą do starej wieży na szczycie wzgórza.

Kiedy grupa podeszła do mostu, Euan nagle zdał sobie sprawę, że nigdzie w mieście nie widział mchu pokrytego śniegiem. To istotnie było dziwne, dlatego że i na rzece, i na ulicach, i na innych powierzchniach, nie pokrytych poskręcany dziadostwem, leżała gruba, biała pokrywa.

- Dlaczego na mchu nie ma śniegu? - zapytał.

- Ale jesteś spostrzegawczy! - zdziwił się Albert. - Mech chłonie każdą wilgoć i się rozrasta.

- Dobrze, że deszczu więcej nie będzie - dodał Charlie.

- No tak - zgodził się Albert. - A to by od razu York się przykrył...

Na zachód od budynku, do którego zbliżali się, stało strome wzgórze, zwieńczone zniszczonym średniowiecznym fortem, lśniący szmaragdowym blaskiem w promieniach porannego słońca. Mech na tym starym budynku, zdawało się, uniknął egzekucji, której poddane były wszystkie domy w mieście, ale ani Euan, ani Katelynn nie chcieli o tym dyskutować.

Weszli do pierwszego z trzech budynków. Albert i Charlie zaprowadzili gości do pustego pokoju, gdzie tynk na ścianach był pokryty pajęczyną z pęknięć i pleśni. Okna w pokoju były zamurowane i było nim dość zimno, a kłęby pary od oddechu migotały w przyćmionym świetle elektrycznej lampki. Strażnicy wyszli, chociaż po dźwięku kroków było wiadomo, że jeden z nich został na służbie za drzwiami.

Oprócz Euana, Katelynn i ławki, na której ich posadzono, w pokoju było tylko różowe, plastikowe krzesło ze złamaną nogą.

Drzwi otworzyły się i do pokoju weszła wysoka, siwa kobieta, która zapraszała ich poprzedniego dnia. Pomimo wieku, twarz miała piękną, szlachetną i obu podróżnikom rzuciło się w oczy, jak bardzo jest czysta i gustownie ubrana.

Ujrzawszy kobietę Euan wstał. Katelynn to wydało się być dziko staromodnym gestem, ale jej towarzysz tylko chciał pokazać, że jest gotowy na wszystko - nawet żeby się po prostu przywitać.

- Miłego dnia wam życzę, podróżnicy - radośnie powiedziała kobieta.
- I wzajemnie - Euan skinął w odpowiedzi, zastanawiając się, czy będzie właściwie podać jej rękę.
- Witaj - powiedziała Katelynn, prostując się na krześle, ale nie wstając.
- Nazywam się Jennifer - przedstawiła się kobieta. - Jestem biskupem Yorku.

Euan zdziwiony uniósł brew i o mało nie wybuchł z zaskoczenia. Na szczęście, kobieta w tym momencie patrzyła na Katelynn.

- Bardzo mi miło - odparła Katelynn, słabo uśmiechając się.
- Mam nadzieję, że dobrze odpoczęliście? - zapytała biskup.
- Wspaniale, dziękuję - odparł Euan. - Chociaż nie przeszkadzałoby uzupełnić zapasy.
- Najpierw najważniejsze - powiedziała pouczająco kobieta. - Chcę wiedzieć, skąd i dokąd biegliście i jak dotarliście do naszego miasta?
- Przyszliśmy z Carlisle - powiedziała Katelynn.
- Na piechotę?

- Tak, na własnych nogach. Innego transportu nie było - odezwał się Euan.

Jennifer zamilkła, następnie machnęła ręką, każąc Euanowi siąść na ławce, sama też usadowiła się na skraju różowego krzesła. Niestabilne nóżki skrzyknęły pod jej ciężarem, a ona trochę powierciła się, żeby zająć wygodną pozycję.

- I ja mam wam uwierzyć, że przyszlście piechotą ze Szkocji?
- Szczerze mówiąc, niczego nie musicie - uciął Euan. - Ale tak właśnie jest.

Biskup wydawała się być zaskoczona jego bezczelnym tonem: zagryzła wargi i kontynuowała przesłuchanie:

- Za wami biegły piekielne psy.
- Co to za zwierzęta? - spytała z ciekawością Katelynn.
- Z pewnością mutanty. Tak czy inaczej, nazwa do nich pasuje, bo wyraźnie nie są tworamami Pana.
- Czy nie całe życie na Ziemi zostało stworzone przez Pana?

Biskup zmarszczyła brwi, a Euan zmartwił się, czy Katelynn nie przeciągnęła struny.

- W Księdze Rodzaju powiedziano, że szóstego dnia stworzenia stworzył Bóg wszystkie zwierzęta, bydło i gady ziemskie. Ale te istoty pojawiły się znacznie później. Nie wykluczone, że stworzyli je ludzie w bandyckich laboratoriach. Bo jak mogą być tworamami Pana?

- Nie wiem - przyznała Katelynn: odpowiedź Jennifer była prosta i logiczna.
- Nijak - umocniła swój sukces biskup. - Dlatego, jakiegokolwiek nie byłoby pochodzenie tych psów, zasłużyły na tytuł piekielnych.

- Rzeczywiście, pasuje do nich - zgodził się Euan. Na pewno niczego straszniejszego nie widziałem w życiu. Nawet w dzieciństwie, w kinie fantasy.

- Moje dzieci, teraz na Ziemi spotyka się straszniejsze stworzenia - ton biskupa zmiękł, a ona schyliła głowę na bok.

Katelynn niespodziewanie zadrżała i objęła się rękami, ale na pytający wzrok Euana tylko pokręciła głową. Biskup kontynuowała tym samym uprzejmym i przyjaznym tonem:

- Oto dlaczego trudno mi uwierzyć w to, że pokonaliście taką odległość piechotą. Przecież od Szkocji do Yorku rozpościera się śnieżna pustynia i nie ma ani jednej drogi.

- Tak - zgodził się Euan. - Jeśli, jak mówicie, są tutaj straszniejsze stworzenia, to ja was rozumiem. Rzecz w tym, że u nas, na północy, jest o wiele spokojniej. Nie wiem, co jest tego przyczyną: zimno, mur czy to, że nas nie bombardowali.

- Opowiedzcie mi o Carlisle - poprosiła biskup.
 Euan oczekiwał tego pytania i nawet, w pewnym sensie, liczył na nie.

- To można - odparł. - Tylko chciałbym, żeby została między nami zawarta korzystna wymiana.

- Czego chcesz w zamian?

- Szukam grupy ludzi w samochodach.

- Jaśniej proszę. Podróźni zdarzają się rzadko, ale, oprócz waszej dwójki, wszyscy oni mieli samochody.

- Jak to? - odpowiedź Jennifer wyraźnie zaskoczyła Euana.

- Naprawdę o tym nie wiedziałeś?

- O czym?

- Że u nas nikt nie chodzi na piechotę.

- U nas na północy nie spotyka się aut na chodzie: paliwa nie ma, a i jeździć nie ma zbytnio gdzie.

- A w Anglii nie ma bez nich jak przeżyć - rzekła biskup.

- Ludzie, których szukam, wieźli ze sobą więźniów.

Kobieta skinęła i powiedziała od niechcenia:

- Łowcy niewolników.

- Prawdopodobnie - odparł Euan, próbując zrozumieć po twarzy rozmówczyni, czy widziała ich, czy nie.

- Być może, będę mogła ci pomóc. Ale najpierw opowiedz mi o Carlisle.

- Co chcecie o nim wiedzieć? - spytał Euan.

- Wszystko.

- Wszystkiego nie wiem. Spędziłem tam zaledwie kilka dni.

- Skąd więc pochodzisz?

- Z Glasgow.

- W Glasgow też zachowało się życie?

- A jak że... Przecież powiedziałem: o ile mi wiadomo, Szkocji nie bombardowali.

- Więc opowiedz mi o Carlisle i o Glasgow.

- Za informacje o Carlisle obiecałście opowiedzieć tych, których szukam. Co otrzymam za informacje o Glasgow?

Kobieta milczała, wpatrując się w Euana i stukając w zamyśleniu paznokciami o krzesło.

- Pozwolę ci handlować w mieście i dam kredyt na miejscowym rynku.

- Za opowieść o całym mieście?

- Co jeszcze ci potrzeba?

Euan udawał, że rozmyśla nad tym pytaniem, chociaż odpowiedź już miał gotową. Informacja była cennym zasobem, a wieści o osadach zza północnej granicy były szczególnie rzadkie, tak więc spodziewał się znacznych zysków.

- Potrzebny mi samochód.

Jennifer skrzywiła się, na chwilę zrzucając maskę biskupa i stając się żywym człowiekiem, ale wzięła się w garść i twarz jej przestała pokazywać emocje, jak wcześniej. Skinęła:

- Domyślałam się, że o to poprosisz. Cóż, mogę zarządzić, żeby przygotowali dla ciebie samochód i nawet zaopatrzą go w paliwo, jeśli informacje okażą się szczególnie przydatne.

- Byłbym bardziej rozmowny, gdybym wiedział, po co wam ta informacja - dodał Euan.

Do jego głowy wkradły się smutne podejrzenia. Nie był gotów zbyt wiele opowiadać o miejscu, które tyle lat było jego rodzinnym domem. Raczej biskup nie miała na myśli niczego złego, ale ostrożności nigdy za wiele.

Jennifer zauważyła, jak denerwuje się Euan i od razu zrozumiała jego wątpliwości. Żeby poprowadzić chrześcijańską armię Yorku, trzeba najpierw nauczyć się widzieć ludzi na wskroś.

- Nikomu nie życzę źle, Euan - powiedziała miękko.

- Więc po co wam wiedzieć o północnych osadach?

- Chcę zbudować z nimi więź i handlować.

Euan skinął. Całkiem logiczna odpowiedź, ale domyślał się, że to nie wszystko.

- Coś jeszcze?

- Przed tobą niczego nie da się ukryć, mój przyjacielu - uśmiechnęła się po raz pierwszy w ciągu dnia. - Komunikacja i handel to najlepsza rzecz, ale chciałabym zanieść słowo Boże do północnych miast.

- Myślicie, że jest im potrzebne?
 - Albo czegoś im w nim brakuje? - dodała Katelynn, a biskup zaszczyciła ją zdziwionym wzrokiem.
 - Odpowiem od razu na oba pytania: mocno wierzę, że słowa Bożego nie ma za wiele i chcę, żeby imię Jego znowu sławiono na całej ziemi, jak wcześniej.
 Euan zastanawiał się, gdzie był jej bóg, kiedy śmierć spadła na ludzi z nieba i jak by mu się podobały te potwory, zasiedlające obecnie ziemię?
 - Ludzie wolni sami wybierają sobie wiarę - rzekła Katelynn, spoglądając przy tym na Euana.
 Mrówki przebiegły mu po plecach: już nie pierwszy raz w czasie ich znajomości zastanowił się, czy ona nie czyta jego myśli.
 - To prawda - zgodziła się biskup, z ciekawością wypatrując reakcji swoich rozmówców. - Jednakże słowo Boże może dać ukojenie cierpiącemu i uspokoić cierpiącego.
 - Amen - stwierdziła Katelynn.
 - No dobrze - Euan postanowił, że najwyższy czas się wtrącić. - Carlisle jest pierwszą naziemną osadą na południe od Glasgow. Ludzie mieszkają tam w kamiennych domach z grubymi ścianami: służą im jako niezawodne wzmocnienie.
 - To zrozumiałe - skinęła Jennifer.
 - Ludzie w Carlisle dzielą się na dwie grupy: jedni żyją w starym mieście, drudzy, rangerzy, chodzą wzdłuż muru i zajmują się jego ochroną.
 - Tych nie widzieliśmy - dodała Katelynn.
 - Tak, oni, przeważnie, siedzą w zamku.
 - Czy w Carlisle jest przywódca? - spytała biskup.
 - Kobieta o imieniu Marla.
 - Ona jest dobra - powiedziała Katelynn i dziecięca naiwność tych słów ponownie wywołała u Jennifer uśmiech.
 - O interesach najlepiej rozmawiać z nią - dodał Euan.
 - Jak przyjmują gości?
 - Lepiej być ostrożnym. Marla opowiadała, że kiedy przysłała tutaj zwiadowców, ostrzeliwano ich z murów.
 Jennifer spochmurniała.
 - To nie był mój rozkaz i nie moi ludzie.
 Euan pytająco uniósł brwi.
 - W tym mieście, moi przyjaciele, żyją trzy wspólnoty - wyjaśniła biskup. - Chrześcijanie, wojskowi i muzułmanie w północnej części.
 - Którzy strzelali do zwiadowców?
 - Zapewne wojskowi. Przez długi czas trzymali miasto w kwarantannie.
 - Myślę, że jeśli powiecie, że ja was wysłałem, chętniej was przyjmą - rzekł Euan.
 - Sugerujesz nam chować się za twoim imieniem? - ostrożnie uściśliła Jennifer.
 - Tak, coś nie tak?
 - W naszych stronach ludzie nie są tak łatwowierni.
 Euan wzruszył ramionami i spytał:
 - Co jeszcze chcecie wiedzieć?
 - Jak myślisz, jaki towar będzie ich interesować?
 Euan zamyślił się na chwilę:
 - Coś do oczyszczania wody.
 - Jak to?... - zainteresowała się biskup.
 - Tak. Pozyskują wodę roztopiając lód z rzeki, ale nie mają jak jej oczyścić. Trzeba sprawdzać każde wiadro dozymetrem, a potem gotować.
 - Z tym, prawdopodobnie, będziemy mogli pomóc - zamyśliła się kobieta. - Co oni mogą nam zaoferować?
 - O to lepiej spytajcie samych mieszkańców Carlisle. Ale myślę, że ziemia niedotknięta radiacją i przyjazna dla rozwoju stanie się bardzo cennym towarem, o ile zima kiedyś się skończy.
 - To prawda. Bardzo dziękuję.
 - Nie ma za co - powiedział Euan.
 Był zadowolony, że ani jedno pytanie nie ukazywało wojennego aspektu sprawy.

- Teraz o Glasgow - przypomniała biskup.
Euan kiwnął głową.

- W Glasgow spędziłem całe życie. Samo miasto jest opuszczone, na powierzchni nie można żyć, zbyt zimno. Zdecydowanie zimniej, niż tutaj.

- I mieszkacie pod ziemią?

- Tak, w starym metrze. "Mechanicznej pomarańczy", jak je od dawna nazywają.

- Gdzie zdobywacie żywność i zapasy?

- Z tym ciężko. Coś zdobywamy na górze. Tam do tej pory można się nakopać wielu cennych rzeczy, jeśli jest się odważnym człowiekiem.

- W czym niebezpieczeństwo?

- Mamy swoją chodzącą plagę, wszelkie zmutowane robactwo. Ale największym nieszczęściem są zimno i to, że wszystkie budynki są uszkodzone. Łatwo tam złamać nogę i zostać na zawsze.

- Czyli w Glasgow są większe możliwości handlu?

- Myślę, że tak.

Katelynn także skinęła z widokiem interesów. Euan zastanowił się, czy rzeczywiście zachodziła tak daleko na północ czy po prostu przytakiwała bezwładnie.

- Wygląda na to, że nie ma co oczekiwać od nich czegoś cennego - oceniła biskup - ale możemy przynajmniej zorganizować tam misję.

- Dlaczego? Mają coś, czego nie ma w waszych stronach.

- A cóż to takiego?

- Whisky.

- Prawdziwą whisky? - ożywiła się kobieta.

- Zupełnie jak za starych czasów - skinął Euan, trochę grzesząc względem prawdy.

- Wielu moich parafian to doceni - przyznała w zamyśleniu biskup.

- Najśluszniejszym krokiem jest wysłanie posłańców do przywódców stacji.

- W Glasgow nie ma jednego przywódcy? - zdziwiła się kobieta.

- Tak, każda stacja ma własnego, ale wszyscy utrzymują ze sobą kontakt.

- Wygląda na to, że tunele okazały się idealnym miejscem do ukrycia...

- To jest pewne pod wieloma względami - Euan zrobił pauzę, żeby odkaszląć. - Metro wydrążono w twardych skałach, dlatego zniszczeń było mało, a tam, gdzie były zawały, łatwo naprawiliśmy. Hodujemy pewną ilość bydła, grzyby, znaleźliśmy jadalny mech, którym można także opatrywać rany...

- A jak że, mech - odezwała się sucho biskup.

- Nie taki, jak u was. Najzwyczajniejszy przedwojenny mech.

Jennifer powoli skinęła i zadała nowe pytanie:

- Jak znajdziemy wejście do tunelu?

- Dla obcego to, z pewnością, trudne zadanie. Przyjdzie wędrować po mieście i szukać znaku metra. A jak znajdziecie - pukajcie we wrota hermetyczne z nadzieją, że usłyszą was z tamtej strony.

- Niezbyt wesoła perspektywa - powiedziała zaniepokojona Jennifer.

Euan wzruszył ramionami:

- Mogę pokazać drogę, ale prawie wszystkie ulice są zapchane porzuconymi samochodami. Tu zawałone budynki, tam zablokowane drogi...

- Dotrzemy, mamy mapę miasta...

- Naprawdę ją macie?

Biskup przytaknęła i Euan zamyślił się. Z jednej strony, pokazując im na mapie główne wejście do metra narazi na niebezpieczeństwo tunele i ich mieszkańców. Z drugiej, znaleźć bez jego pomocy wrót niezamkniętych na stałe wiele lat temu, będzie prawie niemożliwe.

- Mogę zaznaczyć wejście - wymówił rozważnie. - Mogę jeszcze poprowadzić na mapie bezpieczną trasę przez miasto, jeśli w naszym samochodzie będą zapasy jedzenia.

- Czyli dogadaliśmy się.

Biskup wstała i podeszła do drzwi. Wysunąwszy głowę na zewnątrz bardzo cicho coś powiedziała strażnikowi stojącemu z tamtej strony; następnie wróciła i z powrotem usiadła na krzesło.

- Moja kolei - zaczęła.

Euan pochylił się do przodu, usadawiając się na samym skraju ławki. Katelynn przestała wybierać z podeszwy buta zaschnięte błoto i wpatrzyła się w starszą kobietę.

- Wiem, kogo szukacie, ale to wszystko, co wiem.

Euan rozczarowany usiadł z powrotem; Katelynn zaczerwienił się ze złości.

- Poczekajcie! Nie chciałam was oszukać - wykrzyknęła kobieta, podnosząc rękę w pojednawczym geście. - Tak, wiem, kim są i słyszałam o tym, że wybierają się do słabo chronionych osad. I jeszcze mogę wysłać was do człowieka, któremu wiadomo znacznie więcej.

- I dać nam wszystko, co obiecaliście - przypomniała Katelynn.

- Tak, oczywiście. Dotrzymam słowa - odpowiedziała Jennifer.

Euan skinął:

- Więc przynieście swoją mapę. Potem pójdziemy do waszych handlarzy, a następnie do tego człowieka.

- Niech tak będzie - postanowiła biskup.

Po tym jak Euan zrobił oznaczenia na niewielkiej, ale bardzo szczegółowej mapie, przyniesionej przez Alberta, cała czwórka wyszła na ulicę i poszła na północ, gdzie nad rzeką wznosił się duży budynek. Tam, wewnątrz, znajdował się rynek. Jennifer pomogła Euanowi zebrać zapasy na dwa tygodnie i szczerze obdarowała go nabojami do automatu.

Samochód był już przygotowany i stał za rynkiem, w zapuszczonym, ceglany garażu z wielką bramą. W garażu było jeszcze kilka samochodów w różnym stanie; nad najbardziej zniszczonym pracowali mechanicy - kobiety i mężczyźni, rówieśnicy Euana. Na betonowej podłodze i na metalowych stołach leżały samochodowe części zapasowe.

Euanowi i Katelynn trafił się niezłe wypasiony Land Rover. Nadwozie prawie w całości było wzmocnione płachtami poszycia ściągniętego z innych aut, a zamiast szkła w oknach wstawiony był popękany, przezroczysty plastik złączony mocną stalową siatką. Nad kabiną też trochę popracowali. Dwa przednie fotele - dla kierowcy i pasażera - pozostały na swoich miejscach, ale tylnych nie było, zamiast nich były wstawione dwie metalowe ławki, przyspawane do boków. Boczne drzwi były na stałe przyspawane. Wsiąść do samochodu można było tylko przez dobrze wzmocnione przednie drzwi albo przez właz w dachu. Co szczególnie cieszyło - w dalszym rogu kabiny stał nieduży piecyk.

Euan z aprobatą skinął głową i wtedy rozległo się pytanie, po którym poczuł, jak grunt ucieka mu spod nóg:

- Mam nadzieję, że dobrze prowadzisz?

Euan akurat miał iść się uczyć, kiedy wybuchła wojna. Widocznie Jennifer wszystko zrozumiała po jego twarzy i uśmiechnęła się?

- Jaki pożytek z samochodu, skoro nie umiesz prowadzić?

- Ja umiem - powiedziała Katelynn.

Euan rozpląnął się w uśmiechu i triumfalnie spojrzął na biskup, która wyglądała na zmieszaną.

- No cóż... Skoro tak, szerokiej drogi - w końcu powiedziała.

- Nie jesteście zbyt weseli - nie wytrzymał Euan.

- I zdziwieni - dodała Katelynn.

- W rzeczy samej - zgodziła się kobieta. - Miałam zamiar nauczyć was podstaw jazdy w zamian za niewielką przysługę.

- Jaką?

- Kiedy pójdziecie do człowieka, o którym mówiłam, najprawdopodobniej spotkacie mojego syna, Daniela. Już prawie rok, odkąd go nie widziałam i nie rozmawiałam z nim. Od tej chwili, kiedy się ożenił.

Zmilkła, na minutę zmieniając się z groźnego przywódcy wspólnoty w najzwyczajniejszą matkę, pełną troski o swoje dziecko.

- Bardzo chciałabym znowu nawiązać kontakt albo chociaż jeden raz porozmawiać z nim. Nie ma co wam więcej zaproponować, ale jeśli przekażecie mu list, będę wam dłużna.

Biskup wyjęła z kieszeni kopertę złożoną na pół i złączoną na brzegach zszywkami.

- To jest bardzo osobiste. Błagam was, nie otwierajcie.

- Oczywiście, nie będziemy - rzekł Euan. - Porządnie pomogliście nam, a ja z radością przekażemy mu list.

- Zrobiłam to, co podoba się Panu, Euan. Ni mniej, ni więcej.

- W każdym razie, bardzo dziękuję.

Starsza kobieta skinęła w milczeniu głową:

- Cóż... Zaprowadzę was więc do bramy i pokażę, gdzie szukać potrzebnego wam człowieka.

Idąc w ślad za swoim przewodnikiem, Euan i Katelynn wyszli z budynku i znowu poszli pod zielonym baldachimem z mchu.

- Jeszcze jedna prośba, Euan: kiedy będziesz dawał mojemu synowi list, staraj się, żeby nikt tego nie widział. Jego obecni przyjaciele niezbyt za mną przepadają.

Przy tych słowach Katelynn, idąca dwa kroki do przodu, napięła się. Jej wewnętrzny głos ogłosił alarm, a ostatnim razem, kiedy go nie posłuchała, dziewczyna przeżyła tylko dzięki Euanowi.

Rozdział 9

WOJNA

Biskup zaprowadziła gości do bramy. A raczej, do zardzewiałej, żelaznej kurtyny na samym środku muru, przecinającego na pół szeroką ulicę. Skinąwszy stojącemu obok ochroniarzowi, bez zbędnych słów podniosła kurtynę i przed Euanem i Katelynn otworzyła się zmierzająca w dal droga z zarośniętymi mchem domami po bokach. Wkroczyli na popękany, pokryty śniegiem asfalt. Biskup i strażnik, pozostali za bramą, patrzyli w ich plecy.

Nad głową nie było mchu, za to poniżej dopełził prawie do samego asfaltu, dlatego Euan i Katelynn szli ostrożnie, dokładnie po środku, starając się trzymać jak najdalej od niebezpiecznej rośliny.

Dziewczyna wzięła Euana za rękę, a on mało nie podskoczył z zaskoczenia.

- Zauważyłeś, czego tu brakuje? - spytała.

Euan zdziwił się:

- Eee... nie. Czego?

- Dzieci - odparła Katelynn, oglądająca się za jego reakcją.

Euan nagle zrozumiał, że ona ma rację: przez cały czas pobytu w Yorku podróżnicy nie widzieli i nie słyszeli ani jednego dziecka, mało tego - nikogo młodszego od Euana.

- Prawdopodobnie trzymają je gdzieś w bezpiecznym miejscu?...

- Być może, to wszystko jest jeszcze dziwniejsze: od dzieci jest hałas i bałagan, a tutaj jest zbyt cicho i spokojnie...

Z tym ciężko było się klócić. Nawet w "Mechanicznej pomarańczy", przy całym smutku powojennego życia, dzieci były głośnie, przenikliwą, niesforną i niespokojną bandą. Schować je przed cudzym wzrokiem przez dłuższy czas byłoby zwyczajnie niemożliwe.

- No, a jak myślisz, gdzie one są?

- Nie wiem, Euan. Z jakiegoś powodu wydaje mi się, że ich tu w ogóle nie ma.

- W takiej wielkiej osadzie tak zdecydowanie nie może być!

Katelynn wzruszyła ramionami.

- Przytul mnie - poprosiła nagle ona.

- Dlaczego? - oniemiał Euan, ale i tak objął ją za ramię i przycisnął do siebie.

- Obserwują nas. Niech nie myślą, że coś podejrzewamy.

Euan uważnie przyjrzał się towarzyszce z góry na dół. W odpowiedzi uśmiechnęła się - wymuszenie i z niepokojem.

- Myślisz, że jesteśmy w niebezpieczeństwie?

Dziewczyna skinęła.

- Nie martw się, w razie czego zakryję cię.

- Nie wątpię. To działo się już nie raz. Kiedy ja martwię się bardziej, kto zakryje ciebie samego?

Euan otworzył usta, żeby powiedzieć jeszcze coś na pocieszenie, ale dziewczyna gestem powstrzymała go i wskazała do przodu.

Przed nimi, blokując ulicę, leżał przewrócony na bok tir, a w jego dachu były wycięte drzwi. A obok stał człowiek w połatanym, szarym swetrze i skórzanych spodniach, nie ściągający wzroku z nieoczekiwanych gości.

- Kim jesteście i czego wam potrzeba? - spytał człowiek.

W drodze do bramy biskup powiedziała, że potrzebny im jest imam Husajn. Euan słyszał słowo "imam" po raz pierwszy, ale dla Katelynn, jak się zdawało, było ono znajome. Teraz przyszła pora, żeby Euan znowu się dziwił: dziewczyna uśmiechnęła się do człowieka przy drzwiach i zrobiła krok do przodu.

- *As-salam alejkum*⁴ - powiedziała, a człowiek uniósł brew niemal przerażony. Wróciwszy do siebie, wstrząśnięty rzekł "Salam", a Katelynn w tym momencie znowu przemówiła:

- Musimy porozmawiać z imamem.

- E... Dobra, ja... Chodźcie za mną - mruknął bez przekonania strażnik, przenosząc wzrok z Katelynn na Euana i z powrotem.

Euan w milczeniu skinął i spróbował ukryć uśmiech na widok jego zmieszania.

⁴ Salam alejkum (arab. *عليكم السلام* - *As-Salāmu `alaykum*) - arabskie powitanie dosłownie oznaczające "pokój z wami", odpowiada się na nie "wa `alejkum salam" (przyp. tłum.)

Ta część miasta zbytnio się nie różniła od tamtej, z którą się rozstali przy żelaznej bramie. Wszędzie nad ulicami wisiał lekki całun cienkiej warstwy mchu, pogrążający ich w zimowym zmierzchu.

Strażnik szeptem skonsultował coś ze swoim partnerem i zaprowadził gości do kaplicy stojącej na północy, naprzeciw ogromnego, spalonego budynku.

- Wygląda na to, że ludzie często zasiedlają stare kościoły - zauważyła z ciekawością Katelynn.

- Ponieważ dają nadzieję - wyjaśnił Euan, który już o tym myślał. - W tamtych czasach budowano na stulecia, kamienia na ściany nie żalowali. Gdzie znajdziesz lepsze schronienie?

- To prawda - włączył się w rozmowę strażnik. - Kiedy zaczęła się wojna, przeżyli w szczególności ci, którzy ukryli się w piwnicach, kryptach i starych kościołach.

- Na pewno kamień nie przepuszcza radiacji? - zasugerowała Katelynn.

- Coś w tym rodzaju - przyjaźnie potwierdził strażnik. - Nie zrzucali na nas bomb, a Sheffield tak. I z Leeds, jak mówią, jedna dziura w ziemi została.

Strażnik zaprowadził ich do niewielkich bocznych drzwi, zrobionych z mocnych, ciemnych desek i obitych zardzewiałym żelazem.

- To są Diabelskie drzwi. Nie wiem, czemu, ale odkąd pamiętała, były tak nazywane.

- To żeby diabeł mógł uciec z kościoła - rzekł Euan.

- Serio? - zdziwił się strażnik.

- Tam mi mówiono. Przy czym początkowo nie były potrzebne właśnie po to, chociaż nie pamiętam, po co, a potem już tak zostało...

- Uczymy się przez całe życie - strażnik szeroko się uśmiechnął i trzykrotnie zapukał w drzwi.

- Czy nie zna pan przypadkiem człowieka o imieniu Daniel? - zapytała nagle Katelynn.

Strażnik ponownie się zmieszał i nie odpowiedział od razu, początkowo wpatrując się na dziewczynę.

- Coś dziś dużo niespodzianek. To było moje imię do czasu, aż nie przeszedłem na islam. A co?

- A pana matka...

- ... to biskup Yorku? Tak - odparł krótko strażnik. - Ale tutaj niezbyt ją lubią, tak więc nie wspominajcie o niej więcej.

Drzwi lekko się otworzyły, chowając się w mrozie, po czym ze środka rozbrzmiały kobiece pomruki, ktoś oparł się ramieniem i porządnie nacisnął, po czym drzwi szeroko się rozwarły.

- Faid! - kobieta w otworze uśmiechnęła się i pogładziła strażnika po policzku.

- Cześć, Ferry - odparł ten, delikatnie biorąc ją za rękę.

- Kto to? - spyta Ferry, wskazując głową w stronę Euana i Katelynn.

- Oni do twojego ojca.

- Wchodźcie, bo zamarzniecie - powiedziała przyjaźnie Ferry i zrobiła krok w bok, żeby wpuścić całą trójkę do kościoła.

Od na progu Euan dostrzegł zaskakującą osobliwość tego budynku: tak ciepło nie było mu od samego dzieciństwa. Ściany w podłoga były ogrzewane i nawet powietrze było ciepłe i delikatnie ogarniało twarz. Zapewne dla dwojga podróżników, szczelnie opatulanych zimowo, było nawet zbyt ciepło. W ślad za Faidem, zdjęli szaliki i rękawiczki, a następnie rozpięli płaszcze.

Euan nie wytrzymał:

- Czemu jest u was tak ciepło?

Ferry uśmiechnęła się:

Ojciec był kiedyś hydraulikiem. Kiedy zrobiło się u nas spokojniej, w pierwszej kolejności naprawił stary bojler w kościele.

Euan nie wierzył swoim uszom.

- Macie tutaj centralne ogrzewanie?

Ferry z dumą kiwnęła głową.

Dopiero teraz Euan zauważył, że wnętrze cerkwi, choć i zniszczone przez lata, było pozbawione śladów pleśni i wilgoci - wiecznych towarzyszy pomieszczeń mieszkalnych w powojennej Anglii. Farba na ścianach nie złuszczyła się, gdziekolwiek wisiały dywany, prawie nie ruszone przez czas.

- Ile tu wysiłku potrzeba! A czym topicie?

- Żadnego wysiłku - rozległ się niski głos z głębi budynku.

W dziennym świetle, padającym z okna, wyłonił się niski, chudy człowiek. Miał na sobie lekką szatę, sięgającą poniżej kolan, a głowę zdobiła dziergana, wełniana czapeczka.

- System był nietknięty od wojny. Kiedy cywilizacja upadła, metal osłabł, to o nim zapomniano. Tak więc, w rzeczywistości, musiałem tylko doprowadzić wodę.

- Mój ojciec, imam - wyjaśniła Ferry.

Dopiero kiedy imam podszedł bliżej, stało się jasne, że jest już starszkiem z pokrytą zmarszczkami twarzą i siwą brodą. Uśmiechnął się ciepło i przyjaźnie, ale zębów w ustach prawie nie było.

- Serdecznie witam was w naszym meczecie!

- To jest... Salam - powiedział na chybił trafił Euan, mając nadzieję, że prawidłowo zapamiętał słowo. Starszek jeszcze szerzej rozciągnął swój bezzębny uśmiech i serdecznie uściśnął Euanowi obu rąk.

- Chodźcie, drodzy goście - powiedział z entuzjazmem i zachęcająco wskazał ręką w kierunku głównej sali.

Detale architektury wyraźnie ukazywały w meczecie dawną świątynię chrześcijańską, jednakże na ścianach wisiały ręcznie tkane dywany z tekstami w nieznanym Euanowi języku. Żadnych mebli w sali nie było, tylko na podłodze leżało kilka warstw dywanów. Niedaleko od drzwi znajdowała się nisza w ścianie, odgradzona wiszącym dywanem: specjalne miejsce do modlitwy. Wokół było ciepło, cicho i bardzo przyjemnie.

- Nazywał się Husajn. A was wcześniej nie widziałem, chociaż miałem pewność, że znam w Yorku wszystkich.

- Nazywam się Euan, a to jest Katelynn. Przyszliśmy nocą, z Carlisle.

- Ach, tak więc jesteście nocnymi gośćmi?! - wykrzyknął starszek, uśmiechnął się do Euana i uważnie popatrzył na Katelynn. Ta cofnęła się nieco, chowając się za plecy towarzysza, co było do niej zupełnie niepodobne i znowu wzięła go za rękę.

- No cóż, jesteście tutaj. Cóż takiego chcecie od starszka?

- Powiedziano mi, że pomożecie mi znaleźć ludzi, którzy porwali moją rodzinę.

- Twoją rodzinę porwali?

- Tak, ludzie w maskach przeciwwgazowych w ciężarówce.

- Gdzie to się stało? - spytał Faid zza pleców Euana.

- W Glasgow. Jakiś tydzień temu.

- W Glasgow? - wykrzyknęła Ferry.

- Przebyliście długą drogę! - pokręcił głową imam.

- A wy nie zrobilibyście tego samego? - spytał Euan.

- Prawdopodobnie tak - powiedział w zamyśleniu starzec. - Cóż, istotnie wiem, kogo szukasz i gdzie można ich znaleźć.

- Skąd o nich wiesz, ojcze? - spytała Ferry.

- Ciężkie czasy sprowadzają dziwnych sojuszników - odparł imam. - Potrzebne mi były lekarstwa i materiały do remontu, a w pierwszym roku po wojnie znaleźć je było ciężko...

- Czarny rynek? - zainteresował się Faid.

- Gorzej, znacznie gorzej - odezwał się imam. - Jednakże nie wspominajmy starych czasów. Do tego przecież zbliża się czas modlitwy... Proszę was, idźcie z Faidem i Fairuzą: zaprowadzą was tam, gdzie spotkamy się później.

W ślad za człowiekiem, którego wcześniej zwali Danielem, Euan i Katelynn wyszli z kaplicy i zeszli po schodach do byłej kościelnej krypty, którą imam przerobił na miejsce mieszkanie dla siebie i swojej rodziny.

- Czujcie się jak w domu - rzekł Faid. - Wróć z imamem po modlitwie.

- Dziękuję - powiedział Euan.

- Faid! - zawołała Katelynn, kiedy mężczyzna był już na progu. - Mamy coś dla ciebie - I pociągnęła Euana za rękę.

- Jeśli to od matki, to nawet nie chcę wiedzieć!

- Poczekaj, mój drogi - wtrąciła się Fairuza. - Chciałabym zobaczyć, co przysłała. Co w tym złego?

- Ferry, od niej są wiecznie same nieprzyjemności.

- Ale matkę masz tylko jedną - powiedziała i wyszła z pokoju.

Faid zawahał się, po czym zrezygnowany westchnął, zwrócił się do Katelynn i wyciągnął rękę. Euan przekazał Katelynn złożoną i zamkniętą kopertę, a dziewczyna powoli położyła ją na dłoni Faida.

- Przeczytam po modlitwie - rzucił i zniknął za progiem.

W pokoju, gdzie zostali Euan i Katelynn, było nieco chłodniej, niż w kaplicy na górze. Za to tutaj stały stare, skórzane fotele, a na półkach wzdłuż ściany stały książki, między którymi leżały wszelkie różności.

Odległe dźwięki kroków i buczenie ludzi, zebranych w kaplicy ze wszystkich krańców tej części miasta, powodowały senność. Szybko Katelynn opuściła powieki, a potem poddał się i Euan i zapadł w sen.

Euana obudził dotyk czyjejś ręki i zapach duszonego mięsa. Nad nim, uśmiechając się, pochylał się imam Husajn; jedną ręką potrząsał gościa za ramię, a w drugiej trzymał ceramiczną miskę, skąd unosiła się aromatyczna para.

- Proszę, jedz - powiedział staruszek, podsuwając miskę.

Euan potrząsał głową, odganiając sen, usiadł prosto i wziął posiłek z rąk imama

- Dziękuję - rzekł z wdzięcznością.

Obok, na kanapie, Katelynn łapczywie upychała do obu policzków swoją porcję; podniósłszy głowę nad swoją miską, zadowolona uśmiechnęła się do Euana pełnymi ustami.

Mężczyzna też rzucił się na potrawkę z kury, grzybów i jakiegoś zioła. Imam z chęcią wyjaśnił, że to pokrzywa. Jednakże Euanowi było wszystko jedno - najważniejsze, że smaczne. Nagle poczuł, jak wielu sił pozbawił jego i Katelynn marsz z Carlisle do Yorku.

Imam usiadł naprzeciwko Euana i cierpliwie czekał, aż goście skończą jeść. Następnie zabrał miski i poszedł z nimi do sąsiedniego pokoju, ale zaraz się wrócił, niosąc dwa plastikowe kubki z wodą i usiadł z powrotem.

- Teraz o interesach - powiedział do Euana. - Ludzie, których szukasz, są niebezpieczni. Jesteś gotów iść za nimi dalej?

- Oczywiście!

- No a ty, dziewczyno? - spytał imam, zwracając się do Katelynn. - Może zostaniesz z nami?

Ta zamrugła.

- Eee... tak. Oczywiście, to nie moja rodzina, ale jestem dłużna Euanowi.

- Czym jesteś mu zobowiązana?

- Życiem - odpowiedziała zwyczajnie dziewczyna.

- Nie musisz iść ze mną - powiedział nagle Euan: nagle uświadomił sobie, że tutaj Katelynn będzie mogła znaleźć sobie wygodny kąt.

Porozmyślawszy trochę, dziewczyna pokręciła głową, widocznie po raz kolejny ufając intuicji:

- Pójdę z Euanem. Ale dziękuję za propozycję.

Imam skinął, smutno patrząc na dziewczynę.

- W takim razie przed wami leżą zdradliwe drogi do miejsc, gdzie obecnie nikt nie chodzi - powiedział mrocznie.

- Tak, tak - mruknął z pokorą Euan.

- Ludzie, których szukasz, przyszli z południa, gdzie rzeczy są bardzo złe - wytłumaczył imam. - Po raz pierwszy pojawili się w naszych stronach pięć lat temu. Majaczyli na horyzoncie, krążyli wokół miasta, ale blisko nie podchodzili.

- Skąd wiecie, że to są właśnie ci, o których mi chodzi? - spytał Euan.

- Mówią, że takich grup było kilka, ale wszystkie one wracały w jedno i to samo miejsce.

- Co to za miejsce? - niecierpliwił się Euan.

- Londyn.

Jak gdyby ogromna góra zwała się na ramiona Euana. Londyn był oddalony o setki mil. Nawet samochodem biskup droga była długa i ciężka.

Katelynn, jak się zdawało, odczuwała to samo: momentalnie poszarzała z niepokoju.

- Nie dojdziecie tam na piechotę, moi przyjaciele, i nie dotrzecie drogami - kontynuował imam.

- Więc jak?

- Samolotów dziś nie ma, a sądząc po tym, co mówią o mieszkańcach rzek i oceanów, do nich też lepiej się nie zbliżać...

Euan postanowił poczekać, aż staruszek nacieszy się dramatyczną pauzą. A Katelynn nie wystarczyło cierpliwości.

- Jak? - spytała, a w jej głosie rozbrzmiewała nuta rozpacz.

- Pośród włóczęgów i poszukiwaczy chodzą słuchy - podkreślam, tylko plotki - że jeździ tam pociąg na kolei żelaznej.

- Serio? - zdziwił się Euan.

- Tak mówią.

- Jak się do niego dostać? - zmrużyła oczy Katelynn.

- Niestety, nie mam pojęcia - powiedział ze skrucą staruszek. - Ale za to znam kobietę, która pomoże wam, jeśli dotrzyma naszej starej umowy.

- Jakiej umowy?

- Kiedyś handlowaliśmy z nią i jest mi winna przysługę - imam wyraźnie nie chciał wdawać się w szczegóły.

- Jak jej to powiedzieć?

- To powinno wystarczyć. Kiedyś byliśmy przyjaciółmi.

- Gdzie ją znajdziemy?

- To jest najtrudniejsze. Ona mieszka w Doncaster.

- Na południe stąd - wtrąciła Katelynn, zauważywszy, że Euanowi ta nazwa niczego nie mówi.

- Na południe? Tam gdzie całe zło?

- Na południu wszędzie jest źle, Euan - potwierdził starzec. - Ale Doncaster jest takim miejscem, które nawet zło stworzenia omijają łukiem.

Mężczyzna nagle poczuł się zawstydzony z powodu swojej niewiedzy.

- Dlaczego?

- Dlatego, że stamtąd nie wracają.

- I właśnie tam żyje wasz przyjaciel? - zapytał z niedowierzaniem Euan.

- Tak. Nazywa się Sarah i więcej nie powiem. Jeśli żyje, to wam pomoże. Jeśli nie, wróćcie i zastanowimy się, co robić dalej.

- Euan zamyślił się.

- Co chcecie za swoją pomoc?

- Niczego - odparł staruszek, pojednawczo unosząc rękę. - Prorok, pokój mu i błogosławieństwo Allaha, uczył nas szczerze dzielić się z tymi, którzy popadli w biedę.

Euan spojrział nieufnie na imama. Był przekonany, że nic w tym życiu nie dzieje się tak po prostu i że jeśli starzec nie prosi o nic w zamian, to znaczy, że przyjdzie płacić później. Poza tym, wyboru nie było...

- Dziękuję wam, imamie Husajnie. Jesteście bardzo szczerym człowiekiem.

- Jeśli Sarah żyje, znajdziecie ją w zamku o nazwie Conisbrough, na przedmieściach Doncaster.

Staruszek podał Euanowi pudełko ze starannie naniesionym planem miejscowości. Na drugiej stronie czerwono-zielone litery obwieszczały o tym, że "Corn Flakes" są najlepszymi płatkami zbożowymi na świecie.

Podróżnicy wstali.

- Jeszcze raz serdecznie wam dziękuję, imamie - oznajmił Euan.

- Nie ma za co - odparł starzec, prowadząc gości do drzwi, ale przy samym progu niespodziewanie zatrzymał się i spojrzął na nich bardzo poważnie.

- Proszę was, przyjaciele: jeśli możecie, nie wchodźcie do samego Doncaster. Starajcie się także trzymać jak najdalej od Leeds i Sheffield. Każde z tych miejsc jest na swój sposób przeklęte, a na waszej drodze i bez tego jest wystarczająco dużo niebezpieczeństw.

Po tym wyprowadził ich na ulicę.

Złe przeczucia Katelynn spełniły się, ledwie do bramy, wiodącej do neutralnego korytarza przed chrześcijańską częścią miasta. Skądś zza pleców rozległ się potrójny klakson samochodowy, a

strażnicy, już otworzywszy drzwi w dachu przewróconego autobusu, natychmiast zamknęli je z powrotem, wskoczyli na góry skrzynek po bokach i skierowali lufy w stronę korytarza.

Z meczetu dało się słyszeć tupot i szóstka ludzi okrążyła Euana, złapali go za ręce i założyli stare, ale solidne kajdanki. Katelynn nie zdążyła nic zrobić: na nią też się rzucili. Związawszy oboje, związali im usta sznurami, założyli na głowy śmierdzące worki, gdzieś zaciągnęli i rzucili do pomieszczenia, gdzie pachniało wilgocią i ziemią.

- Leżcie cicho - powiedział jeden z napastników. - Tu wszędzie jest mech. Ruszycie się, zdechniecie.

Kilka godzin przeleżeli w ciemności, a z zewnątrz dochodził tupot biegających ludzi, niespokojne głosy i melodyjne modlitwy. Początkowo więźniowie próbowali uwolnić się z kajdanek, ale napastnicy wykonali swoją robotę porządnie i wkrótce Euan i Katelynn porzucili te próby, a dalej po prostu leżeli na zimnej podłodze.

Euan stracił już poczucie czasu, kiedy za ścianą rozległy się głuche dźwięki strzelaniny. Potem rozległo się kilka wybuchów, jeden z nich był taki silny, że ziemia pod nimi zadrżała. Serie z automatu rozlegały się bliżej, miarowy takt stwarzały wystrzały ze strzelby.

Katelynn przywarła do Euana. Dziewczyna nie wydała żadnego dźwięku, ale Euan czuł, jak się trzęsie.

Za drzwiami dało się słyszeć głosy i ktoś pociągnął za klamkę.

- Zamknijcie! - doniósł kobiecy głos. - Szybko dowiedz się, kto ma klucz!

Rozległ się pośpieszny stukot biegnących nóg i ucichł w oddali.

- Leżcie, zaraz was uwolnię - powiedział zza ściany kobiecy głos, a Euan pomyślał: "Czyżby to biskup dowodziła akcją ratunkową?"

Jeszcze jeden wybuch, tym razem bliżej, zatrząsł ziemią, a w ślad za nim z daleka słyszało się przenikliwy krzyk bólu, zagłuszający nawet monotoniczną strzelaninę. Tupot biegnących nóg rozległ się znowu, tym razem zbliżał się, aż nie zatrzymał się przy samych drzwiach. Następnie zgrzytnął klucz w zamku i drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem.

Euana wzięli za ręce.

- Wstawaj - tym razem mówił mężczyzna, a Euanowi wydawało się, że to jest imam.

Spróbował obrócić się, żeby było wygodniej wstawać, ale obce ręce utrzymały go w miejscu.

- Nie. Wstań dokładnie naprzeciw mnie. Ani kroku w bok.

Euan zamarł, wspominając o zabójczym mchu. Następnie z trudem, przewyciężając ból w zeszywniałych mięśniach, podniósł się. Niewidoczny człowiek podtrzymał go na nogach i zdjął worek. Na Euana patrzyła napięta i zmęczona twarz imama. Obok niego Fairuza z poczerwiałą twarzą i błyszczącymi oczami pomagała wstać Katelynn.

Ciasne pomieszczenie, do którego ich zaciągnięto, było prawie w całości pokryte mchem, jak zielonym kocem, ale mech ten był inny: w górę z równej pokrywy wznosiły się łodygi, na których pobłyskiwały napuchnięte od wody nasiona.

- Szybciej, trzeba się stąd zabierać! - powiedział imam i wyprowadził Euana z pomieszczenia, przytrzymując go za ramię.

Za drzwiami imam uwolnił Euana z kajdan i sznurów. Euan zgiął nadgarstki i obejrzał się na Katelynn. Na jej policzku rumienił się siniak i widniały ślady zaschniętej krwi: ci, którzy złapali ich, nie rozczulali się nad dziewczyną. Ona odważnie uśmiechnęła się, ale Euan dostrzegł, że jej ręce drżą.

Stali w korytarzu, który wcześniej był częścią kompleksu biurowego, ale teraz ściany były pokryte sadzą i szarym proszkiem, sprawdzonym środkiem przeciwko mchu. Ani jedne drewniane drzwi nie ocalały i przez puste otwory byłych biur wpływał do korytarza szmaragdowy zmierzch.

- Dziękuję za uratowanie nas - rzekł Euan. - Ale co was tu sprowadza?

Imam Husajn z córką spojrzeli na siebie, po czym spojrzeli na Euana i Katelynn.

- Czyli nie wiecie? - spytała Fairuza.

- O czym nie wiemy?

- Porozmawiamy po drodze. Niebezpiecznie jest tu zostawać - rzekł imam i pierwszy poszedł przez korytarz do schodów wiodących na górę.

- O czym my nie wiemy? - powtórzył wymownie Euan.

- Oddaliście Danielowi kopertę. Wiedzieliście, co tam jest? - zapytał imam.

- Chyba to wszystko nie z powodu listu? - przestraszyła się Katelynn.

- Nie, nie sprawdzaliśmy - odezwał się Euan.

Imam i Fairuza ponownie mrocznie wymienili spojrzenia.

- Co? - zdziwił się Euan. - Co się dzieje?

- Chwileczkę - rzucił imam.

Akurat doszli do schodów. Obok, na końcu korytarza, stała żelazna szafa. Ferry wyjęła z niej plecaki i broń i oddała je Euanowi i Katelynn. Jej twarz niczego nie wyrażała, ale Euan dostrzegł, że oczy zaczerwieńczyły jej się od łez.

- Proszę, powiedzcie, co się stało - błagalnie poprosił Euan.

Fairuza złapała go za rękę i uważnie spojrzała mu w oczy.

- Kto dał ci ten list, Euan?

- Jego matka, biskup.

- Opisz ją - poprosił imam i zszedł w dół po schodach.

Euan zmyślił się, próbując przywołać z pamięci obraz starszej kobiety.

- Wysoka, chuda, siwa. Zawsze w czystych i ładnych ubraniach.

Imam skinął:

- Tak to ona.

Ferry zgarbiła się, odsunęła od Euana, a następnie obróciła się i poszła za ojcem.

- Na ulica trzeba zachować ostrożność. Pójdziemy okrężną drogą, aż nie dotrzemy do obozu wojskowego przy katedrze - prawie płacząc powiedziała.

Euan nadal niczego nie rozumiał i zwrócił się po pomoc do imama.

- W kopercie były żywe nasiona mchu - imam, jak się zdawało, był przybity. - Faid wciągnął je, jak tylko otworzył list, Euan.

- Boże! - rozległ się z tyłu głos Katelynn.

Dopiero teraz do Euana dotarło, co się stało.

- Mech go zaatakował?

- Sam stał się mchem. Z żywymi nasionami wszystko dzieje się przerażająco szybko. Faid nie zdążył nawet się z nami pożegnać...

Euanowi zrobiło się zimno na myśl o tym, co Jennifer zrobiła z rodzonym synem i jak blisko śmierci znajdowali się on i Katelynn, kiedy nieśli kopertę przez pół miasta i kiedy leżeli związani w piwnicy przy żywych nasionach mchu.

- Przykro mi, nie wiedziałem - powiedział ochryple, schodząc po schodach za Fairuzą, chociaż rozumiał, jak bardzo puste są teraz te słowa.

- Czy mogłeś dowiedzieć się i przeżyć? - spytał smutno imam.

Po wyjściu z budynku, biegiem dotarli do najbliższej linii domów, przeszli przez nią i ruszyli na południowy wschód. W którymś momencie znaleźli się na otwartej ulicy i, w ślad za Ferry, rzucili się na płask na asfalt.

Niedaleko, za ścianą, sprzeczali się dwaj chrześcijańscy żołnierze.

- Niczym dobrym to się nie skończy - powiedział jeden.

- Tak myślisz?

- Ja wiem.

- No i po co się wtedy dołączyliśmy, Albert?

- Przecież tak powiedziała: chodźmy wszyscy razem! Głupi jesteś, czy co? Spróbuj, spieraj się z nią.

- To znaczy, niech nawracają siłą na swoją wiarę, a my będziemy siedzieć beczynie? Tak właśnie myślisz? - głosy zaczęły się oddalać, kontynuując rozmowę idąc.

- Nie, bracie, ja w ogóle niczego nie myślę. W naszych czasach niebezpiecznie jest mieć własne zdanie - odparł Albert.

- Może i masz tutaj rację, Berty, ale to i tak nie ma znaczenia: porywać wszystkich, którzy przychodzą do miasta, omamiaj ich i nawracaj na swoją wiarę. Pomyśl, biskup sensownie gada!

- No, ja ci tak powiem... - Niczego więcej nie dało się zrozumieć; Fairuza ostrożnie wyjrzała za ścianę i pokazała gestem, że droga wolna.

Przebiegli drogę i schowali się w cieniu jeszcze jednej linii domów, z tarasami.

- Ojczy, miałaś rację: oni ich wykorzystają - powiedziała Ferry.

- Nas? Do czego? - spytała Katelynn.

- Biskup była wściekłą, kiedy jej syn przyjął islam - wytłumaczył imam.
- On zrobił to dla mnie - rzekła Ferry. Nie chciałam i nie mogłam odstąpić od swojej wiary i wtedy on odstąpił od swojej w imię naszej miłości.

- Po prawdzie mówią, że on nie specjalnie wierzył w boga, ani w muzułmańskiego, ani w chrześcijańskiego. On po prostu bardzo kochał moją córkę.

Fairuza odwróciła się, chowając oczy, ale nie dała rady powstrzymać gorzkiego i beznadziejnego szlochu.

- A teraz deklarują, jakbyście nawrócili nas na islam? - spytał Euan.

- Widocznie tak - odpowiedział imam. - Biskup już od dawna obwiniła nas o to, ale bez dowodów nie mogła podjąć żadnych kroków.

- Czyli, jak się okazuje, wszystko sfalszowała? - Euan był zdumiony. - Ale skąd wiedziała, jak z nami postąpić? I że w ogóle oddamy list?

- Prawdopodobnie sama nie wiedziała, jak wszystko się potoczy - odpowiedziała Fairuza, ostrożnie idąc pierwsza po porośniętym mchem ogródku.

- Idźcie po śniegu! - powiedział imam, zamykający pochód, i ubezpieczył Katelynn, żeby nie upadła w mech. - Dobrze rozumie fanatyków, bo sama jest fanatykiem.

- Co macie na myśli? - spytał Euan.

W spawach religii był bezradny. Za jego życia w Szkocji religia była rzecz drugorzędną. Zresztą, po wojnie wielu zapomniało o kanonach Kościoła: na pierwszy plan wysunęły się problemy z wyżywieniem. Do tego jeszcze Bóg, który dopuścił do globalnej katastrofy, znacznie stracił popularność. W pierwszych powojennych latach były jeszcze spekulacje na temat, czy uratowali się przywódcy religijni, ale minęły dziesięcioleci, nie było od nich wieści i wszyscy stwierdzili, że skoro już przeżyli cały ten czas bez nich, to jakoś pożyją jeszcze trochę...

- Fanatycy mojej wspólnoty chcieli bić was kamieniami do śmierci - powiedział smutno imam.

- Kamieniami? - Euan wytrzeszczył oczy. - Zabić kamieniami?

- Co za dzicz... - skrzywiła się Katelynn.

- Istotnie, dzicz. Dlatego wyciągnęliśmy was stamtąd - zgodził się imam. - Nie jestem zwolennikiem zemsty. Przeciwnie, uczę kochać bliźniego swego. Ale o to ciężko nawet w dobrych czasach, a obecne czasy nie są dobre.

Euan spojrzął na plecy kobiety, która w milczeniu wyprowadzała ich jak najdalej od niebezpieczeństwa i pomyślał, ileż w niej jest odwagi i samozaparć! Nieznajomi nieświadomie stali się współnikami w zabójstwie jej ukochanego męża, a ona za to ratuje ich życie. Uświadomił sobie, że podziwia jej waleczność i wierność ideałom ojca.

Ferry zatrzymała się przed starym kamiennym murem, z wierzchu którego szedł zardzewiały metalowy płot, i obojętnie powiedziała:

- Oto i mur.

Euan nie mógł znaleźć słów, żeby wyrazić wszystkie swoje uczucia i tylko skinął, a Katelynn przerwała milczenie:

- Nigdy nie zapomnę, jak bardzo nam pomogliście!

- Przynieśliście do mojego życia ból i cierpienie, a dalej będzie jeszcze gorzej - powiedziała Fairuza. - Nie życzę wam źle i nie chcę, żeby was zabili z rozkazu tej chrześcijańskiej dziwki, ale nie mogę wam też wybaczyć.

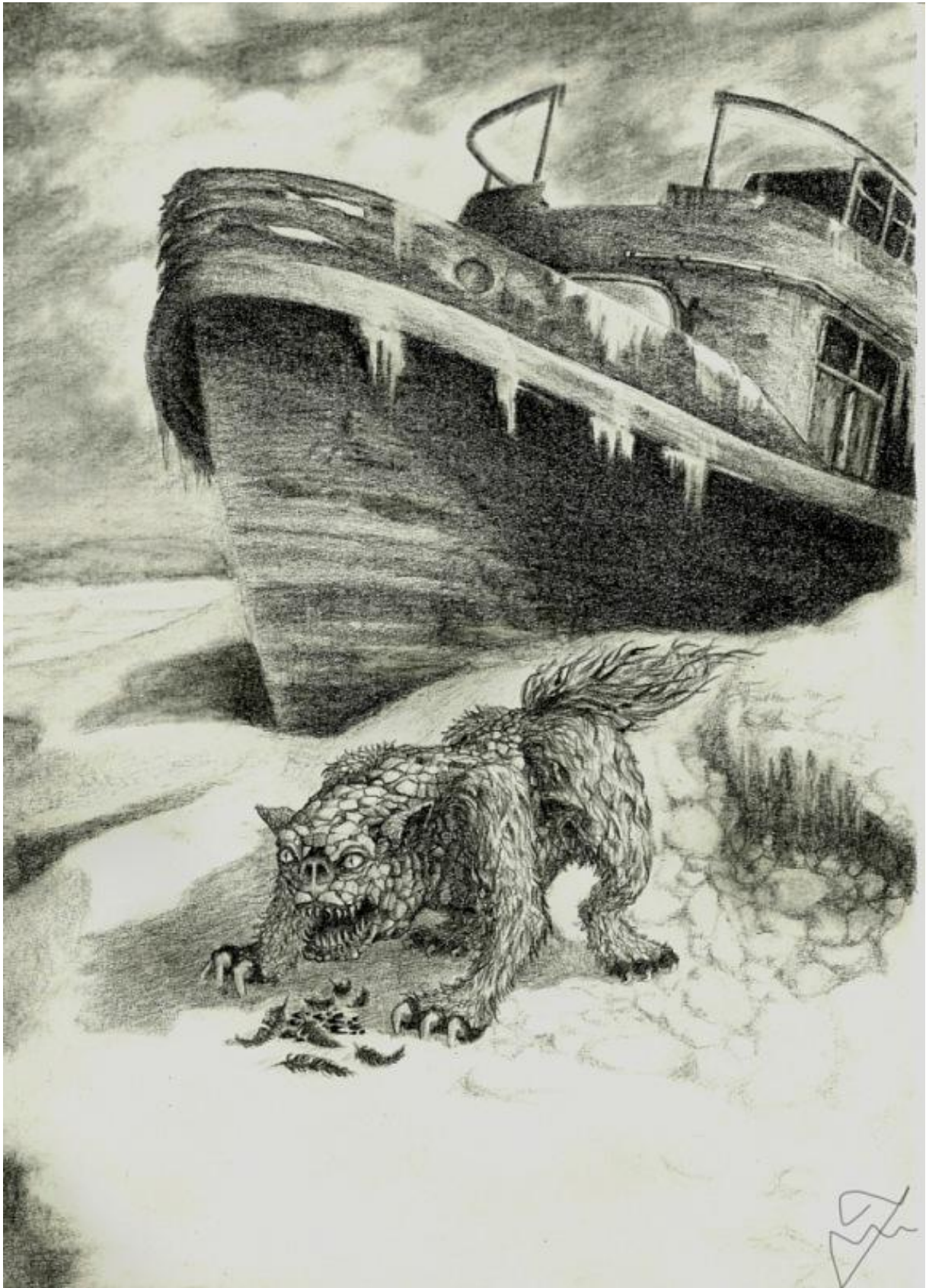
Katelynn smutno skinęła głową i obejrzała się na Euana. W tym momencie przemówił imam.

- Nikt nie chodzi na południe piechotą, to niemal pewna śmierć. Ale jeśli zostanieie tutaj, śmierć będzie jeszcze pewniejsza - położył im ręce na ramionach. - Niech Allah uchroni was od wszelkiego zła na tych diabelskich ziemiach!

Po tym starzec wziął za rękę Fairuzę i odeszli, nie mówiąc więcej ani słowa i nie oglądając się. Euan i Katelynn wspięli się na mur i skierowali wzrok na okropne, zwęglone ruiny za granicami starego Yorku. Przez kilka minut oboje milczeli, oszołomieni widokiem i wydarzeniami, a następnie mężczyzna powiedział:

- To co, ruszamy?...

Rozdział 10
UCIECZKA



Zejscie z muru bylo zaskakujaco latwe: z zelaznego ogrodzenia zeskoczyli na kamien, a stamtad na zaśniezoną ulicę.

Domy za granicą starego miasta nie zachowały się tak dobrze, jak w środku. Te, które ocalały w czasach pożarów były rozebrane przez ciężkie maszyny lub zniszczone. Pod nogami skrzypiał śnieg, wszystko było w zaspach, a zimny wiatr obiecywał rzucać dodatkowe. Ostrożnie stąpając po nierównej ziemi, Euan i Katelynn przebijali się przez zgliszcza ocalałych w stertach budynków.

Daleko za ich plecami, w niespokojnym mieście Yorku, znowu rozległy się strzały. Nad murem i nad dachami domów wzniosła się strumień płomieni. Euan i Katelynn obejrzeni się i przyspieszyli kroku.

Zbliżywszy się do ocalałych domów zobaczyli, że to nic więcej niż wypalone, betonowe pudełka bez dachów: można skryć się przed oczami obywateli Yorku, ale nie można pozostać tu za długo. Lodowaty wiatr wył w pustych otworach okiennych, jak gdyby żałośnie śpiewał kołysankę resztkom byłej cywilizacji.

- Trzeba znowu pójść od rzeki - rzekł Euan, studiując mapę imama.

Katelynn drżała z zimna, obejmując się rękami, i wyglądał okropnie.

- Czyli wychodzi na to, Euan, że nic się nie zmienia? - zapytał smętnie.

- W jakim sensie?

- No wiesz, była wojna, wszystko wypalone do cna, świat unicestwiony, a ludzie ciągle skaczą sobie wzajemnie do gardeł za coś, co, być może, w ogóle nie istnieje.

Euan smutno przytaknął:

- Myślę, że to część ludzkiej natury. Możliwe, że najgorsza jej część.

Opuściwszy niepewne schronienie, poszli na wschód i niemal od razu natknęli się na zamrznietą rzekę, niewidoczną za domami. Jak tylko para podróżników zeszła na twardej lod, zaczął powoli spadać śnieg, a wiatr poniosł puch po rzece, jakby fale na wodnej tafli. To tu, to tam widniały wmarzniete w lód kutry, których właściciele próbowali kiedyś uciec od wojny po rzece. Teraz zostały z nich zardzewiałe puszeki i pozołkłe kości sterczące ze śniegu.

Obróciwszy się plecami do Yorku do wiatru, mężczyzna i dziewczyna powlekli się do przodu, idąc razem z rzeką w stronę południa, na spotkanie wszystkiego, przed czym próbowano ich chronić.

Szli szybkim krokiem przez około godzinę, po czym rzeka rozdzieliła się na dwie odnogi. Euan postanowił pójść po tej, która jest szersza i wkrótce wędrowcy usłyszeli przytłumiony szmer. Euan wziął do ręki automat. Katelynn, wyraźnie zdenerwowana, szła za nim, patrząc w tym kierunku, skąd dochodził dźwięk.

- Zejdźmy z rzeki - powiedział nagle Euan, z powrotem wieszając karabin na ramieniu i wyszedł na lewy brzeg, najeżony szkieletami drzew i krzaków.

Katelynn poszła za nim; strach zastąpiła ciekawość.

- Co tam jest?

- Nie wiem. Ale to jest to, co myślę, lepiej, żebyśmy stali na twardym lądzie - odparł Euan.

Stąpając po brzegu, obeszlą dziwne wzniesienie po środku rzeki i wtedy Euan zamarł, a na jego ustach pojawił się uśmiech.

- O... - powiedziała Katelynn, nieszczególnie się dziwiąc.

Wzniesienie okazało się być zamrznietą tamą. Z jej południowej strony lód lekko stopił się i spadł, a tam, w dole, gdzie schodziły ostre kły sopli, wesoło bulgotała woda.

- Pierwszy raz widzę na powierzchni wodę - powiedział Euan.

- Na południu jest jej dużo - jakby od niechcienia powiedziała Katelynn.

- Nie ma tam lodu?

- Jak to nie... Wszystko im ścięło - odpowiedziała Katelynn. - Wszystko oprócz rzek. Przynajmniej w większości przypadków są one bardziej przypominają rzeki.

Euan nie mógł w to uwierzyć. Katelynn wzruszyła ramionami:

- Przecież tu jest północ, bliżej do Arktyki...

Euan przetworzył informację i poszedł z dół z prądem.

- Jak myślisz, będziemy mogli dalej iść po lodzie? - zapytała Katelynn.

Zamiast odpowiedzi Euan rozejrzał się na boki, wyciągnął ze sniegu odpowiedniego kija, wyciągnął nóż i ostrugał gałąź. Następnie zszedł na rzekę i postukał końcem kija w lód. Dźwięk był stłumiony.

- Powinien wytrzymać. Gdyby woda była w pobliżu, dźwięk byłby inny.
Katelynn ostrożnie weszła na lód i ruszyli dalej.

Kiedy wędrowcy opuszczali York, następował zmierzch, a teraz już zupełnie się ściemniło. Iść dalej było niebezpiecznie: z każdą minutą było coraz trudniej patrzeć pod nogi. W poszukiwaniach schronienia natknęli się na starą barkę wmarzłą w lód pośrodku rzeki. Na pierwszy rzut oka statek wydawał się wiotki, ale lód trzymał go mocno, a dach z włókna szklanego wspornie wytrzymał próbę czasu.

Euan wskoczył na burtę i pomógł wejść Katelynn. Wokół, na ile sięgał wzrok, leżały puste, białe pola, groźnie i upiornie migoczące w świetle księżyca, przebijającym się przez grubą warstwę chmur.

Euan kolbą zniszczył w drzwiach kłódkę, po czym dobył pistoletu - broń odpowiedniejszą dla ciasnych korytarzy - i wkroczył do ciemnego wnętrza.

Kiedyś to była barka spacerowa i od razu za małym kambuzem, gdzie stał stały nienaruszony czajnik, patelnia, dzbanek na kawę i kilka filiżanek, znajdował się szeroki kryty pokład, wypełniony plastikowymi ławami przy zachowanych oknach.

Pieca nie było, a wzniecać ogień na pokładzie było zbyt niebezpieczne, dlatego, nie zamieniając słowa, w milczeniu wyjęli z plecaków śpiwory.

- Pójdę, sprawdzę wszystko - rzekł Euan.
- A ja zabarykaduję drzwi - zaproponowała Katelynn.

Barykadować nie było specjalnie czym, za to zamek po wewnętrznej stronie ocalał, więc dziewczyna po prostu zamknęła drzwi i związała klamki ręcznikiem znajdującym się na kambuzie.

Tym czasem Euan znalazł toaletę i drugi pokład dokładnie taki, jak ten, na którym zdecydowali się nocować, ale nigdzie nie znalazł niczego przydatnego. Wrócił i wsunął się do śpiwora, położywszy obok automat, a pistolet chowając w śpiworze. Katelynn wyjęła z plecaka grzebień, któremu brakowało połowy zębów i spróbował rozczesać włosy. Euan długo obserwował ją, a potem, w końcu, powiedział:

- Pierwszy raz widzę, jak to robisz.
Dziewczyna skrzywiła się, wyczesując z włosów grudki brudu.
- To dlatego, że tego nienawidzę!

Euan położył się i zamknął oczy. Słyszał, jak Katelynn weszła do swojego śpiwora i już bardzo szybko jej oddech stał się spokojny i miarowy, jak u śpiącego.

A Euan nie mógł zasnąć szybko, leżąc na podłodze porzuconej barki pośrodku zamrożonej rzeki setki mil od domu, od rodziny i od życia, które wygrał u okrutnego świata.

Przez całe swoje życie słyszał historie o terenach na południe od Szkocji: pozbawionych sniegu pustkowiach, usiane niebezpiecznymi stworzeniami, złymi ludźmi, jądrowymi odpadami i potwornymi mutantami. Nigdy go tam nie ciągnęło, w ogóle nie był wielbicielem podróży i zagadek. Sto lat by nie podróżował.

Mówiąc o zagadkach: Katelynn. Było w niej coś nie z tego świata, jakaś tajemnica, której nawet nie chciało się odkrywać. Coś podpowiadało, że za tymi błękitnymi oczami czai się znacznie więcej, niż przysługuje dla dziewczyny w jej wieku. Dużo wiedziała i nie chodzi tutaj tylko o tajemnicze wizje, ale i zwyczajną, ogólną wiedzę o świecie - nawet tutaj kładła starszego towarzysza na łopatki. Tak, on dobrze wiedział jak walczyć, naprawiać broń i przeżyć: w tunelach Glasgow noce są długie, a zajęcia tam zbytnio nie ma. Za to Katelynn dobrze знаła świat poza granicami Szkocji i w dodatku, prawdopodobnie, z własnego doświadczenia. On i tak nie zamierzał zadawać jej tego pytania, ale... Co jeśli ona jest łowcą niewolników?

Euan westchnął, próbując ułożyć się jak najwygodniej - i nagle zwrócił się twarzą w twarz z Katelynn: miała otwarte oczy i patrzyły one wprost na niego. Mężczyzna z początku się zmieszał, a potem przestraszył: wewnętrzny głos szeptem zainteresował się, czy ona nie czyta jego myśli?

- Nie możesz spać? - zapytała dziewczyna. On pokręcił głową.
- Spokojnie, zdarza się. Odwróć się.

Euan niepewnie obrócił się i poczuł, jak Katelynn zbliżyła się do niego. Jej ręka wylądowała na jego szerokim ramieniu. Obok niego dziewczyna wydawała się bardzo delikatna, ale - dziwna rzecz! -

zrobiło mu się wygodniej i spokojniej. Nie, nie miał ani prawa dociekać od niej przyznania się, ale ani ochoty wiedzieć, co do diabła robiła w zburzonym domu w Carlisle.

Ostatnie, co zdążył pomyśleć, zanim zapadł w sen: "Jaka łączy nas dziwna przyjaźń..."

Czerwony i zły, pierwszy blask poranka obudził oboje podróżników natychmiast po wdarciu się przez okno. Katelynn jęknęła i schowała głowę do śpiwora, zmieniając się w bezkształtną bryłę. Euan, przeciwnie, przeciągnął się i wyszedł na zewnątrz, ostrożnie wyglądając przez okno.

Przez noc nad rzeką pojawiła się lekka, mroźna mgła, migocząca teraz w jasnych promieniach poranka. Skądś na brzeg gwałtownie pikował ptak i zaczął łapami przegrzebywać śnieg w poszukiwaniu jedzenia. Euan, wstrzymując oddech, przyglądał się temu cudowi, ale nagle jego podziw zmienił się w przerażenie: niewielka zaspą przy ptaku jakby nadmuchała się od wewnątrz, błyszczące łuskowate ciało, zęby, pazury, poplamiona krwią mordą - i ptaszyna zniknęła w paszczy drapieżnika.

Zwierz usiadł, zadowolony żując zdobycz. Był rozmiaru niewielkiego psa, chociaż z wyglądu bardziej przypominał kota, tylko dobrze zbudowane i z długą, białą sierścią. I miał jeszcze żółte, gadzie oczy i krótki, ale szeroki pysk.

Skończywszy jeść, zwierz stanął na czterech masywnych łapach i rozpełził się w śnieżnym krajobrazie. Euan nie mógł odciągnąć oczu od tego miejsca, gdzie on dopiero co leżał, potem potrząsał głową i spakował śpiwory. Kiedy Katelynn wróciła, jadł już śniadanie.

- O, dziękuję! - powiedziała dziewczyna zobaczywszy, że jej śpiwór jest już zebrany.

- Nie ma za co - odparł Euan i podał jej kawałek suszonego mięsa.

Przez noc na oknach zebrała się wilgoć. Teraz zamarzała i każdy sopel błyszczał w porannym słońcu.

- Piękne - powiedziała Katelynn z pełnymi ustami.

Kiedy podróżnicy wyszli z barki, zaraz ogarnęła ich fala zimna - tylko teraz stało się wiadome, jak bardzo było cieplej w środku. Nagle Katelynn zatrzymała się, patrząc pod nogi, następnie przykucnęła i wytarła śnieg ze znajdującego się pod nim maleńkiego, żelaznego koła, przymarzłego do czegoś uchwyty. Dziewczyna podniosła głowę na Euana, ten gestem poprosił ją o poczekanie, zdjął z ramienia automat i skinął głową.

Katelynn pociągnęła za koło, ale drzwi (o ile można tak powiedzieć) nie otworzyły się. Około minutę Euan przyglądał się nieudanym próbom towarzyski, po czym odłożył na bok karabin i przyszedł jej na pomoc. We dwoje przewyciężyli kajdany śniegu i lodu, drzwi poddały się, otwierając miniaturowy schron. Euan kopnięciem odrzucił drzwi, zajrzał do środka i gwizdnął z entuzjazmem. Leżały tam dwie plastikowe butelki z wodą, ułożone obok pudełka z napisem "Zapałki sztormowe"⁵, telefonu komórkowego i jasnożółtego dozymetru.

- Ożeż ty! - zawołała Katelynn, łapiąc pudełko i potrząsając nim, ale wtedy zrezygnowana upuściła rękę: nie rozległ się stamtąd żaden dźwięk.

Euana bardziej interesował dozymetr. Miał piętnaście centymetrów długości, był wąski, z wyświetlaczem cyfrowym. Mężczyzna pokręcił przedmiotem w rękach, ale i tak nie rozumiał, gdzie są baterie do niego. Na odwrocie nie było ani śrubek, ani wkrętek, tylko litery na plastiku z dumą ogłaszały, że urządzenie jest wodoodporne. Euan przeprasząco popatrzył na Katelynn. Ta akurat postanowiła otworzyć pudełko i rozpląnęła się w uśmiechu: wypadł z niego na podłogę kawałek waty i zaraz w środku zabrzmiały zapałki.

- Doskonale! - wykrzyknął Euan, radośnie wyrzucając ręce w górę. Żółty dozymetr wtedy pisnął tak niespodziewanie, że o mało go nie zgubił. Euan rzucił okiem na urządzenie, ale wyświetlacz nie dawał oznak życia. Dla pewności mężczyzna powtórzył swój gest radości: podniósł ręce do nieba. Trafiwszy na słońce urządzenie ponownie piknęło.

Euan skierował dozymetr do słońca. Ekran zamrugał i przez jakiś czas jaśniały na nim litery: "NISKI POZIOM BATERII".

- Co za cudowna rzecz! - powiedziała Katelynn przy wdechu i lekko podskoczyła. - I droga!

⁵ Rodzaj zapałek pokrytych do połowy łatwopalną substancją, co umożliwia rozpalenie ognia przy złej pogodzie (przyp. tłum.)

- Wiem - odparł Euan, delikatnie trzymając dozymetr, jakby był ze szkła. - W dodatku im bardziej na południe, tym większe są z niego korzyści.

Katelynn wyjęła butelki z wodą i komórkę. Pod butelkami leżały dwie tabliczki czekolady, na które nawet nie zwróciła uwagi, i złożona na czworo kartka papieru. Dziewczyna ostrożnie rozłożyła ją, Euan stanął obok i razem przeczytali znaną notatkę:

Drogi Johnie!

Zostawiam ci zapalki i inne materiały. Licznik jest nowy, ale z jakiegoś powodu nie działa, tak więc jego też zostawiam. Zawiozłam dzieci do matki. Będziemy tam na ciebie czekać. Kochamy cię i całujemy.

Mandy

Euan spojrział na Katelynn i po jej oczach zrozumiał, że dziewczyna czuje to samo co on.

- Sądzę, że Johnowi to już nie jest potrzebne...

Katelynn kiwnęła głową, odłożyła notatkę na miejsce i, napierając całym ciężarem, zamknęła drzwi.

- Poniosę go w ręce, niech się naładuje - rzucił Euan, machając dozymetrem.

- To długo będziesz musiał iść. Lepiej daj mi, ty masz karabin - zaproponowała dziewczyna.

- Tak, racja - zgodził się Euan.

- Jak myślisz, czy Mandy zostawiła dozymetr, ponieważ nie umiała z niego korzystać? - zaciekała się Katelynn.

- Myślę, że tak - odparł Euan, oglądając się za jej reakcją.

Dziewczyna smutno się uśmiechnęła, wyobrażając sobie zdeorientowaną kobietę z dziećmi, poruszyła ramionami i odwróciła się.

Zostawiwszy barcę, która ugościła ją w nocy, poszli dalej, wraz z biegiem zamarznętej rzeki. I czym dłużej szli, tym bardziej niepokoił Euana lód pod nogami. To tu, to tam dało się słyszeć trzask albo skrzyknięcie, a po dwóch godzinach wędrowcy doszli do miejsca zbiegu dwóch dopływów. Wtedy też Euan postanowił wyrazić swoje obawy na głos:

- Myślę, Katelynn, że dalsza wędrowka po lodzie jest niebezpieczna.

- Zgadza się. Dźwięk stał się zupełnie inny i czasem wydaje mi się, że lód się ugina.

- Spróbujmy przejść jak najdalej damy radę: przecież po lodzie jest wygodniej niż po brzegu, nie? - dodał, a dziewczyna posłusznie skinęła głową.

Zeszli z rzeki przy moście, w miejscowości o nazwie Cawood (tak było napisane na znaku stojącym na brzegu). Do tego czasu lód stał się naprawdę cienki i miejscami leżały na nim kałuże wody.

Wędrowcy ostrożnie wyszli na brzeg i uważnie przyjrzeni się zniszczonej wsi, rozciągającej się przed nimi. Euan, nie kryjąc przyjemności, wziął do ręki dozymetr i pomachał nim wokół siebie, badając poziom promieniowania.

Napis na wyświetlaczu się zmienił: teraz zamiast "NISKI POZIOM BATERII" głosił "BEZPIECZNY POZIOM".

- Myślałam, że będzie tu coś więcej, niż litery - bąknęła Katelynn, patrząc na wyświetlacz.

- Ja tam wolę tak - powiedział Euan i nacisnął na gumowy przycisk przy ekranie.

Napis zniknął i zastąpiły go cyfry: "0,075 mrem"⁶; Euan nacisnął ponownie i na wyświetlaczu znów zagościło "BEZPIECZNY POZIOM".

- Kiedy trzeba szybko uciekać, to im prościej, tym lepiej.

Katelynn skinęła.

Sądząc po jej wyglądzie, wsi Cawood nie zniszczyły bombardowania. Prędzej zgubiły ją mrozy, burze i pożary, wywołane krachem cywilizacji, ciągnącej razem za sobą na tamten świat systemy przeciwpożarowe. Na moście, przy którym wyszli na brzeg, ciągnęła się droga, a Euan oszacował, że ta droga zmierza w tym kierunku, co oni. Sprawdziwszy kompas wskazał na południowy zachód.

⁶ Rem (milirem) - jednostka pochłoniętej przez organizm dawki promieniowania jonizującego; 100 remów = 1 siwert (przyp. tłum.)

- Pójdziemy tam.
- Po drodze? - zapytała zmieszana Katelynn.

Droga nie była zawałona martwymi samochodami, jak szosa z Carlisle do Yorku, ale nadal tu i tam stały szkielety porzuconym samochodów i ciężarówek dokąd sięgał wzrok.

- Teraz czy po drodze, czy nie po drodze, wszędzie niebezpiecznie - odparł Euan. - Tutaj przynajmniej znak jest...

Po drodze istotnie było łatwo iść, a zgniłe auta w ogóle nie przeszkadzały. Po drodze Euan widział jeszcze dwa białe kotopodobne stworzenia i pokazał je Katelynn. Stworzenia niemal nie zwracały uwagi na podróżników i, jak się zdawało, były całkowicie skupione na poszukiwaniach jedzenia na zaśnieżonych polach.

Podróżnicy przemieszczali się typowym szybkim krokiem i po godzinie droga ostro skręciła na południe. Euan zatrzymał się, sprawdził kompas i spojrzął na mapę. W tym czasie Katelynn zauważyła drogowy znak z napisem: "A1 (Północ, Południe) Doncaster" zwróciła na niego uwagę towarzysza. Mężczyzna skinął i skierowali się w tę stronę.

Dalej długo szli bez incydentów. Przeszli pod byłym mostem kolejowym, gdzie stanął na zawsze długi pociąg z napisem "Virgin" na boku; widzieli jeszcze kilka śnieżnych kotów i nawet najzwyczajszego kota, którego życie, sądząc po jego wyglądzie, było pełne strachu, bólu i upokorzenia. W końcu, po jeszcze jednym ostrym zakręcie za zachód, przy gołym zagajniku, podróżnicy znaleźli się na skrzyżowaniu z przestronną autostradą i zatrzymali się na moście, patrząc na zastygły, potężny potok zardzewiałych samochodów.

- Naprawdę wszędzie tak jest? - spytała smutno Katelynn.
- Wszędzie, gdzie byłem.

Dziewczyna westchnęła przybita i niespodziewanie spytała:

- Euan, a co z drogą?

Mężczyzna spojrzął na autostradę, ale niczego niezwykłego nie dostrzegł. Asfalt, oczywiście, popękał, ale wyglądał dosyć solidnie. Wzruszywszy ramionami, spojrzął zaciekawiony na towarzyszkę.

- Nie ma na niej śniegu - wytłumaczyła.

I wtedy Euan zrozumiał, że ona ma rację: zasy górowały na samochodach, ale na asfalcie nie było ani śnieżynki.

- Nie mam pojęcia, ale nam to na rękę. Będzie łatwiej iść.

- Nie, Euan, stój! - krzyknęła Katelynn i złapała go za plecak. - Nigdy nie jest tak, że wszystko oprócz drogi pokrywa śnieg!

Euan spowaźniał. Oczywiście mówiła z sensem, ale on bardzo by chciał, żeby choć raz w życiu wszystko było proste!

- Przypomnij sobie, co żywi się wilgocią? - nie odpuszczała dziewczyna.
- Mech z Yorku...

- Właśnie!

- Tak, tylko coś go nie widać. Podejźmy bliżej?
- Tylko uważaj, Euan! - błagalnie powiedziała dziewczyna.

Zeszli z mostu, podeszli do pobocza autostrady i wtedy zobaczyli, że cała powierzchnia drogi pokryta jest warstwą czegoś tłustego. Euan chwycił kij dotknął asfaltu, ale wtedy wypuścił go i cofnął się z krzykiem: rozstąpiła się miękka powłoka i z powierzchni drogi uniosła i zawisła w powietrzu chmurka zarodników. Wspólnie towarzysze z przerażeniem odskoczyli od drogi, rzucając się w śnieg i uciekli na czworakach, uspokajając się dopiero, kiedy trafili na jakiś przekrzywiony płot z dala od ciemnej chmury, wiszącej nad autostradą.

Niedaleko, po środku śnieżnobiałego pola, siedziało kotopodobne stworzenie i zaciekawieniem przyglądało się im. Odpocząwszy, Euan zwrócił się do dziewczyny:

- No dobra, drogą niech sobie biskup idzie...

I przeszli po polu.

W drodze Euan obejrzał się, żeby jeszcze raz spojrzeć na śnieżnego kota, ale już go nie było. Ukryć się zwierzak nie miał gdzie i mężczyzna stwierdził, że wykonał tą samą sztuczkę ze zniknięciem, którą

widział rano z okna barki. W myślach podziękował niebiosom, że te stwory są takie małe i poszedł po śladach Katelynn, wsadzając twarz w szalik tak, że pod kapeluszem widoczne były tylko oczy. Ale po dwudziestu minutach przyszło im zatrzymać się: przed nimi było wąskie przejście między autostradą a czterema na w pół zamrożonymi stawami. Katelynn stanęła jak wryta, a jej twarzy pojawił się niepokój.

- O co chodzi? - niespokojnie zapytał Euan, spoglądając na stawy.

- Nie wiem. Może i o nic...

Jednakże nie ruszała się z miejsca. Euan czekał, ale nic się nie działo.

- No co, innej drogi nie ma. Jedynie na około, przez pola. - I pokazał w dal gdzie, z tej strony stawów, widniały zaśnieżone drzewa i krzewy.

Katelynn czuła, że każda droga jest bezpieczna, ale trzeba było jakoś iść przed siebie i, z ociąganiem, wkroczyła na wąski pas śniegu. Euan poszedł jej śladem, jak na szpilkach, stale rozglądając się na boki.

Minęli już dwa pierwsze jeziora, kiedy zauważył, że kra na powierzchni wody poruszyła się. Następnie lód na środku stawu przełamał się i na powierzchni pojawiła się czyjaś głowa, przerażająco przypominająca ludzką. Dwoje oczu zwróciło się wprost na podróżników. Ci, oniemieli, zastygli w miejscu. I tak patrzyli na siebie, po czym głowa z powrotem skryła się pod wodą, a kawałki kry zakołysały się, jak gdyby pod nimi w kierunku wędrujących ludzi podpyływało jakieś masywne cielsko.

Euan chwycił Katelynn za rękę, ciągnąc ją za sobą do przodu, tam, gdzie ocalenie było bliżej. Ale od tego, co zobaczył, kiedy się obejrzał, serce wyskoczyło mu z piersi, a jednocześnie nogi osłabły: na samym początku przejścia, w bezpiecznej odległości od stawu, siedziały w półokręgu trzy tuziny śnieżnych kotów i patrzyły na niego i Katelynn bardzo niedobrymi oczami.

Dziewczyna boleśnie szczytnęła go i pobiegła. Oprzytomniawszy, Euan poleciał za nią, w biegu ponownie złapał za rękę i pociągnął za sobą. Śnieżne koty trochę się zawahały, ale zaraz, zdawszy sobie sprawę, że zdobycz za chwilę ucieknie, rzuciły się w pogoń.

Euan wiedział, że im nie zbiegnie, ale ratunek przybył z nieoczekiwanej strony. Stwór z jeziora płynął tam, gdzie dopiero co stali i dotarł do tego miejsca jednocześnie ze stadem śnieżnych kotów. Z wody wyrwało się obrzydliwie tłuste, gruboskórne cielsko. Z bliska jego głowa bardziej przypominała foczą, ale jego ogromne łapy były jak najbardziej ludzkie, jeśli nie liczyć błony między palcami.

Euan i Katelynn biegli co sił, nie oglądając się i nie widzieli, jak jeziorny stwór pochwycił kilka śnieżnych kotów i zanurzył się z nimi w wodę; pozostałe rozpierchły się we wszystkich kierunkach. Te koty, które z głupoty wyleciały na drogę, wyły z bólu: toksyczne alkaloidy natychmiastowo przesiąkły przez ich łuskowatą skórę. Ale już po chwili wycie ucichło, a ciała drapiezców w ciszy drały w chmurze pyłu z wyschniętych zarodników.

Katelynn biegła nie patrząc na drogę. Dotarłszy na szczyt wzgórza, o mało nie zjechała w dół, do rzeki.

- Stój! - krzyknął Euan i pociągnął ją za pas tak, że nogi dziewczyny bezwładnie zawisły w powietrzu. Nie utrzymawszy równowagi, mężczyzna runął w śnieg razem z towarzyszką. Katelynn uparła wprost na niego, a Euan poczuł na swojej twarzy jej gorący oddech.

On ostrożnie odsunął dziewczynę na bok, podniósł się na jedno kolano i chwycił za automat. Kilka śnieżnych kotów ciągle zbliżało się do nich, ale teraz już powoli i z ostrożnością. Pozostałe ponownie zbijały się w stado po tamtej stronie, postanawiając nie przekraczać stawów. Widać było, że to samotni łowcy, którzy zbierają się tylko w szczególnych przypadkach, kiedy trafia się zbyt duża zdobycz.

- Musimy przejść przez rzekę - powiedział, próbując złapać oddech. - Po moście czy po lodzie?

- Po lodzie - odparła bez zastanowienia Katelynn. - Lepiej przemoknąć, niż zginąć w mchu.

Euan wyciągnął z plecaka kabel i, przywiązawszy jego koniec do jej prawego nadgarstka, rozkazał:

- Naprzód!

- Poczekaj! A jeśli ty wpadniesz?

- Zostaw mnie i idź dalej. I tak mnie nie wyciągniesz.

Kiwnęła głową.

Lód skrzypiał i trzeszczał pod nogami. Szli powoli, starając się trzymać jak najbliżej siebie, na długość kabla. Pod lodem, dokładnie pod ich nogami, czuło się płynącą wodę. Przy brzegach, gdzie lód był cieńszy, wodę było widać nawet na powierzchni.

Euan stanął już na brzegu i pociągnął rękę Katelynn, kiedy lód na środku rzeki głośno zatrzeszczał. Mocno trzymając się mężczyzny i wspinając się na górę, Katelynn obejrzała się i dostrzegła tłustą rękę z kamieniem: przebiwszy się do końca przez lód, zniknęła.

- Biegiem! - krzyknął Euan. Podróżnicy rzucili się biegiem wzdłuż autostrady i nie zatrzymywali się, dopóki z kieszeni nie rozległ się alarmujący pisk.

Euan wyjął dozymetr i zwrócił go do słońca. Po kilku chwilach baterie trochę się podładowały i na wyświetlaczu pojawił się niewyraźny napis: "NIEBEZPIECZEŃSTWO!", a następnie: "ŚMIERTELNA DAWKA PO 17 min 52 s".

- Jasna cholera! - zaklął Euan, rzucił plecak na ziemię i wyciągnął stamtąd dwa kombinezony ochronne, które dostał od Marli. Jeden z nich rzucił Katelynn i klęcząc wszedł w drugi i założył respirator. Dziewczyna zrobiła to samo.

- Musimy uciekać! Nie możemy wrócić, a ja nie wiem, jak daleko sięga ta emisja! - krzyknął do niej.

I ponownie pobiegli.

Źródłem promieniowania okazały się pozostałości elektrowni, sterczące pośród zaśnieżonych stert węgla, niegdyś zaspokajającego jej głód. Obiekt był unicestwiony taktyczną głowicą jądrową: z ośmiu chłodni kominowych pozostały tylko połamane zęby ze stopionego betonu, wszystkie przylegające budynki także były zniszczone.

W zaporowanych szklach ukazało się sąsiednie miast, które spotkał taki sam los, ale oni nadal biegli i biegli, dopóki nie zrozumieli, że autostrada przecięła im drogę: na następnym węźle odchodziły od niej jeszcze dwie drogi, zarośnięte dokładnie tym samym mchem.

Euan zatrzymał się. W kombinezonach było gorąco i cały przesiąkł potem: na zimnie, w śniegu, to mogło kosztować go życie. Przyglądając się węzłowi zastanawiając się, co robić dalej, mężczyzna sięgnął po dozymetr. Na wyświetlaczu pojawiło się: "BEZPIECZNA DAWKA". Obejrzawszy się, nie zobaczył ani śnieżnych kotów, ani śladów jeziornego stworzenia.

Euan zdjął respirator.

- Myślę, że już czas wyjść z komór gazowych - Powiedział do Katelynn i ostrożnie zdjęli kombinezony ochronne. Następnie Euan złożył je i wsadził do plecaka razem z respiratorami. Katelynn zdążyła już schować swój respirator i czekała na niego.

- Była tam jeszcze jedna droga. Pod mostem na autostradzie - powiedziała, pokazując przed siebie.

- Chodźmy sprawdzić - Euan odwrócił się i poszedł z powrotem po swoich śladach.

Nie mogli zastać zbyt długo na mrozie: mokre ubrania wysysały całe ciepło z ciała i Euan zaczął już marznąć. Katelynn było niewiele lepiej, ale żadnego ukrycia w pobliżu nie było widać.

Dochodząc do mostu, po którym szła autostrada, istotnie dostrzegli pod nim niewielką drogę, dokładnie tak samo zablokowaną szkieletami samochodów, ale za to pokrytą śniegiem.

- Tutaj jest bezpiecznie - rzekł Euan i pierwszy odważnie wszedł na pobocze.

Na południe od nich rozciągały się pola, na północy i zachodzie widniały ruiny dużego miasta. Precisnąwszy się między dwoma ciasno stojącymi samochodami, Euan podał rękę dziewczynie i wtedy ze strony miasta rozległo się znajome wycie. Katelynn zbladła i zastygła w miejscu, oczy jej zrobiły się okrągłe ze strachu.

- Nie bój się - uspokoił ją Euan. - Mamy jeszcze pół dnia, żeby się stąd zabrać.

Zbliżał się wieczór, kiedy szli przez pola na południe, a z północy przypląnęły ciężkie, ołowiane chmury, a następnie świat niespodziewanie zniknął: zaczynająca się bez ostrzeżenia burza pokryła wszystko wokół beznadziejnie białą mgłą. Chociaż Katelynn i Euan trzymali się blisko siebie, każde z nich znalazło się nagle w zupełnej samotności pośród szalonej burzy śnieżnej.

- Stój w jednym miejscu! - zawołał Euan, starając się przekrzyknąć wiatr i powoli ruszył tam, gdzie dziewczyna stała przed chwilą.

Udało mu się; stała właśnie tam, obejmując się rękami i drżąc ni to z zimna, ni to ze strachu.

- Wszystko w porządku? - krzyknął on, samemu się ledwo słysząc.

Katerynn pokręciła głową.

- O co chodzi?

Zbliżyła się do niego i krzyknęła do ucha:

- A jeśli teraz wyjdą? Nie ma słońca!

To pytanie zaskoczyło Euana. Ich położenie nagle wydało mu się zupełnie beznadziejne, nie dość, że przemokli, trafili na burzę i zbczyli z drogi, to jeszcze po ich śladach może iść sfora piekielnych psów!

Euan zdał sobie sprawę, że nie ma najmniejszego pomysłu, co teraz robić. Wszystko, co mógł teraz zaproponować, to spróbować znaleźć jakieś ukrycie albo wykopać niewielką pieczarę w śniegu. Jednakże w mokrym ubraniu to była pewna śmierć.

Katerynn zobaczyła przerażenie i roztargnienie na jego twarzy i zrozumiała, że jeśli szybko czegoś nie zrobią, zginą. I coś nagle jak gdyby obudziło się w niej.

Twarz dziewczyny straciła jakikolwiek wyraz, a źrenice rozszerzyły się tak, że oczy szerniały. Chwyciwszy Euan za rękę, pociągnęła go gdzieś przez śnieg z taką siłą, o jaką jej nie podejrzewał.

Euan ślepo biegł za nią przez śnieżycę, a wiatr krzyczał w jego uszach jak tysiąc diabłów, aż Katerynn nagle się nie zatrzymała. Mężczyzna zobaczył przed sobą jakąś smutną sylwetkę i, zrobiwszy krok do przodu, wpatrzył się w duży, obity metalem wóz. Burza na moment osłabła i Euanowi udało się zobaczyć na jego dachu komin i unoszące się z niego kłęby dymu.

Po obejściu pojazdu zatrzymali się przed zamkniętymi metalowymi drzwiami. Katerynn głośno uderzyła w nie pięścią i, kiedy te otworzyły się, rzucając na podróżników trochę światła, padła bez czucia na progu. Euan rzucił się do niej i znalazł się pod nogami ogromnego człowieka w kamizelce kuloodpornej, wystawiającego przed siebie lufę strzelby.

- Kon tu saj? Rom waj gadzio?⁷ - spytał człowiek, wpatrując się w Euana, oblepionego śniegiem.

- Co? Nie rozumiem! - krzyknął ten.

- Polesa ramanes?⁸ - zapytał jeszcze raz wielkolud, potem zauważył Katerynn, odstawił strzelbę w kąt i pomógł Euanowi wnieść ją do wozu.

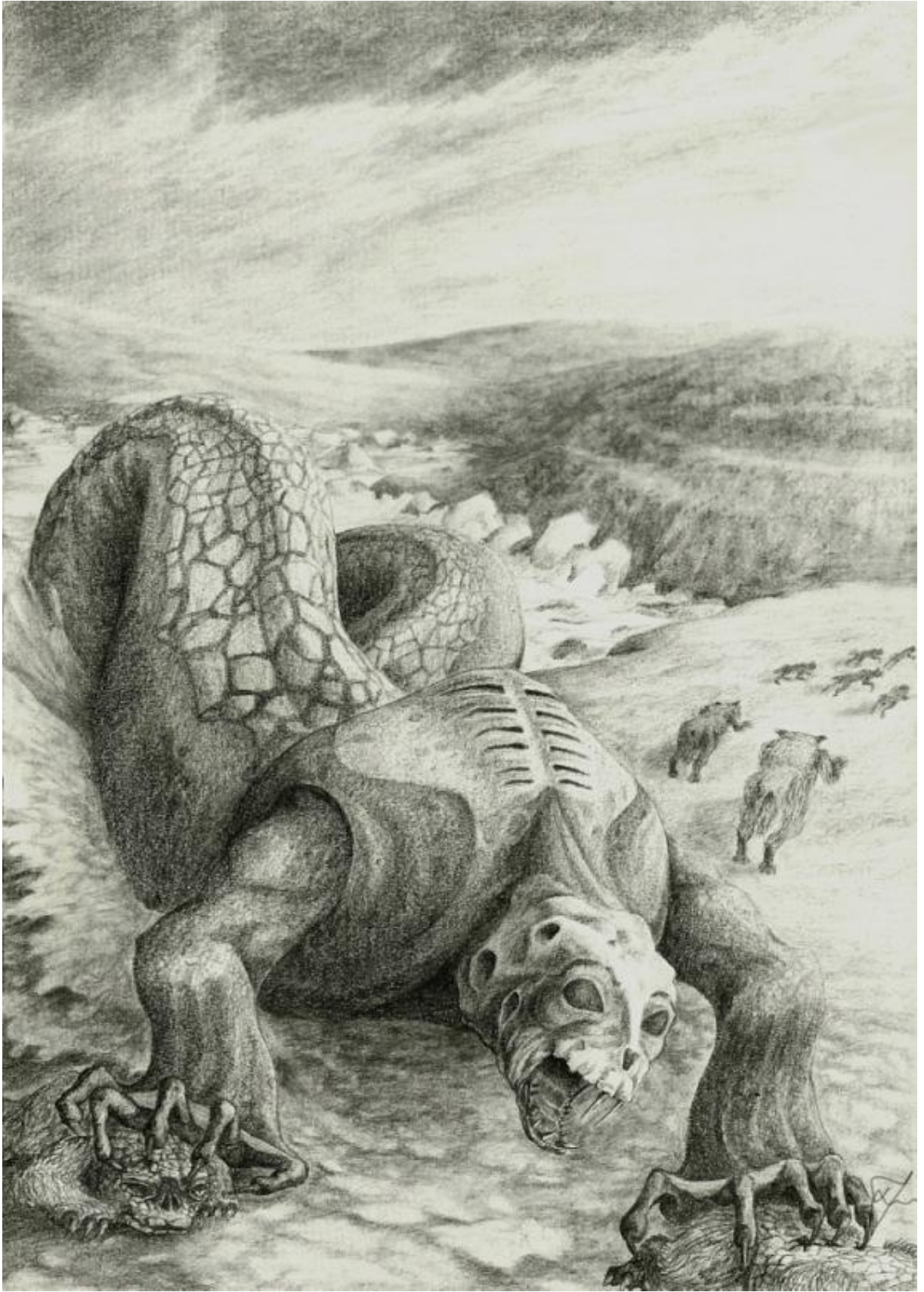
Już za progiem zatrzymał się i powiedział, tym razem po angielsku:

- Wchodź, ale nie żartuj. Jesteś w moim domu, a ja nie lubię żartów.

Euan skinął i ruszył na spotkanie światła, ciepła i smakowitych zapachów gotowanego jadła. Drzwi za jego plecami zamknęły się, zostawiając wściekłą burzę daleko w tyle.

⁷ Rom. *Kim jesteś? Rom czy obcy?* (przyp. aut.)

⁸ Rom. *Rozumiesz po romsku?* (przyp. aut.)



Rozdział 11
CYGANIE



W wozie było tak ciepło, że Euan, wychodzący z zimna, poczuł, jak płonie mu twarz.

- Nazywam się George, dla przyjaciół Geordie - powiedział wielkolud. - Ubranie zdejmij, ugotujesz się.

Euan zaczął ściągać stojący sztywno płaszcz.

- Euan - przedstawił się i kiwnął w kierunku dziewczyny, opierającej się o ścianę. - A to Katelynn.

Geordie schował się w tylnej części pojazdu, odgradzonej zasłoną. Euan zdążył zauważyć, że zapach jedzenia dochodzi z garnka, parującego na żelaznym piecu. Obok stała kobieta mająca około dwudziestu lat z czymś, co służyło jej do mieszania potrawy w garze i z ciekawością przyglądała się gościom.

Bezceremonialnie rzuciwszy płaszcz na podłogę, Euan zdjął szalik i kapelusz i pochylił się nad Katelynn. Dziewczyna była nieprzytomna, ale jej policzkach występował jeszcze rumieniec. Delikatnie zdjął z niej płaszcz, szalik i rękawiczki i przysiadł koło niej, patrząc na jej włosy i jednocześnie rozglądając się po bokach. Nieoczekiwanie Euan zrozumiał, że wóz jest bardzo podobny do tego, w którym nocował z Katelynn na granicy ze Szkocją. Tylko ten, oczywiście, był zamieszany i zaludniony: drewniane meble wypolerowane na błysk, wszelkie potrzebne naczynia leżały na półkach i wisiały na ścianach, a na podeście przy tylnej ścianie stało miękkie łóżko z poduszkami i kołdrami.

- Twoja ukochana? - spytała niespodziewanie kobieta bez cienia uśmiechu.

Euan uśmiechnął się, nawet nie wiedząc, jak odpowiedzieć na to pytanie i pokręcił głową.

- Oj, coś ni jesteś pewien - stwierdziła cierpko kobieta.

- Jest moim przyjacielem.

- Jak tam chcesz - rzuciła ta z niedowierzaniem i wróciła do garnka. - Nazywał się Layla, jestem żoną Geordie'go.

Euan skinął. Choć wielkolud był minimum dwadzieścia lat starszy od Layly, takie związki już od dawna nikogo nie dziwiły. W przeciwieństwie do lat przedwojennych wybierać nie było w kim.

- Ogrzejemy się? - wykrzyknął wesoło Geordie, wychodząc zza zasłony z dwoma blaszanymi kubkami w rękach. Jeden z nich podał Euanowi: - Przeszywa do cna!

- Co to? - spytał Euan.

- Spróbuj, gadzio.

Euan zastanawiał się, co znaczy słowo "gadzio", ale pytał o to. Wziął od ręki kubek, powąchał i natychmiast rozpoznał zapach. Jednym haustem opróżniwszy kubek, mężczyzna zatrzymał drogocenny napitek na języku, napawając się smakiem, i dopiero po tym przełknął. Ciepło zaraz rozlało się po jego wnętrzu. Smak był delikatny i bogaty i nie dało się go w żaden sposób porównać do samogonu, który pito w Glasgow.

- No i co powiesz? - olbrzym uśmiechnął się od ucha do ucha, wyraźnie zadowolony uzyskanym efektem.

- Przedwojenny, czy jak?

- Pytanie! - uśmiechnął się Geordie zadowolony uzyskanym efektem. - Najlepszy szampan-koniak na świecie!

- Ileż ty za niego dał? - zdziwił się Euan, wciąż gładząc Katelynn po włosach.

- A, gdzie dał! Znalazł! - wytłumaczył gospodarz. - Sprzedaję bardzo drogo.

Geordie mrugnął do Euana i podał mu drugi kubek.

- Raklę⁹ swoją ugość - powiedział, kiwając w stronę Katelynn.

Spojrząwszy na dziewczynę, Euan zobaczył, że obudziła się i w ciszy patrzy na niego. I od tego spojrzenia znowu przebiegły mrówki po plecach. Katelynn uśmiechnęła się kącikami ust, wzięła do ręki kubek, trochę upiła i skrzywiła się.

- Ble! - powiedziała, a następnie pewnie wypiła wszystko do dna i zaraz wytrzeszczyła oczy i zakaszła.

- Nie piłaś wcześniej koniaku? - zdziwił się Geordie.

- Piłam, każdego dnia piłam - przemówiła z trudem dziewczyna, dławiąc się od kaszlu. - Więcej już nie mogę.

Geordie zaśmiał się, a Layla za jego plecami także się uśmiechnęła, po raz pierwszy od ich przybycia.

⁹ Rakly - nie-cygańska kobieta lub dziewczyna (przyp. tłum.)

- Kolacja będzie niedługo. Dla twoich nowych przyjaciół też wystarczy - oznajmiła mężowi. Katelynn wciągnęła w nozdrza unoszący się w powietrzu zapach i nawet Euan usłyszał, jak burczy jej w brzuchu. Dziewczyna zachichotała z radości i spróbowała wstać, opierając się o towarzysza. Layla znowu wyjrzała przez ramię Geordie'go i uśmiechnęła się na widok Katelynn:
- Ach, krasawica!
Katelynn zarumieniła się i ukradkiem spojrzała na Euana. Ten sprawiał wrażenie, że nie zauważył jej zakłopotania, odkaszlnął i zwrócił się do Geordie'go, czym ją bardzo zdenerwował.
- Jak wam się tu żyje? W szczerym polu, z dala od ludzi...
- Nijak - uśmiechnął się właściciel pojazdu. - My tutaj tylko burzę przeczekujemy. Jutro się skończy i jedziemy.
- Całkiem jak cygański tabor - powiedziała Katelynn, a Layla uśmiechnęła, usłyszawszy te słowa.
- Nie całkiem jak - rzekł wyraźnie Geordie. - On właśnie nim jest.

Kolacja, podana na kruchych, ale czystych emaliowanych naczyniach, z łyżkami ze stali nierdzewnej, okazała się szalenie pyszna. Euanowi wydało się, że nigdy nie jadł tak soczystego mięsa; jakby lewitował pośród zapachów i smaków, z którymi nie potrafił zidentyfikować.

Jedli w ciszy. Katelynn skończyła swoją porcję jako pierwsza i rozplynęła się w szerokim, dziecięcym uśmiechu, kiedy Layla nałożyła jej dokładkę.

- Nie wstyd ci? Dziewczyna jest naprawdę głodna - zbesztła Euana gospodyni, ale ten tylko burknął w odpowiedzi, delektując się jedzeniem. A potem nagle pojął, czym Geordie i jego żona wyróżniali się pośród innych ludzi żyjących na powierzchni: nie mieli tego powszechnego głodnego spojrzenia. A teraz Euan wiedział, dlaczego.

- Palce lizać! - pochwaliła Katelynn. - Co to jest?
- Gulasz - odparła Layla nie wdając się w szczegóły.
- To wiem, a co jest w nim?
- Mięso, przyprawy i grzyby - Geordie je znalazł. Ziemniaków pod Derby nakopaliśmy.
- Świeże mięso? - zdziwił się Euan.
- Bardzo świeże, tylko wisiało troszkę, jeszcze lepsze się stało - odparł Cygan, a wtedy Euan zaniepokoił się pochodzeniem tego mięsa. Prawdopodobnie jego twarz wyraziła te myśli.
- Co ty, bracie, nie martw się, to wieprzowina - uspokoił go Geordie. - To gadzio gotów jest zjeść wszystko, ale nie Rom! Po co nam to?
- Tak, wokół jest dużo jedzenia, ty tylko jedź! - powiedziała z uśmiechem Layla.
- Rozumiem, że cały czas podróżujecie? - zainteresowała się Katelynn.
- To dzisiaj najlepsze życie - rzekł Geordie, a Layla przytaknęła. - Przynajmniej nikt nas nie zjada.
- Przeszukujecie puste miasta i wsie? - zapytał Euan.
- No a jak! - zaczął tłumaczyć, jak małemu dziecku, Geordie. - Leży tam dużo dóbr, nikomu nie potrzebnych! A jak weźmiemy, to przecież nikt się nie obrazi.
- Nieźle! - ocenił Euan. - Nigdzie nie podjadacie do końca, dlatego że koczujecie z miejsca na miejsce. Świetny pomysł!
- Bardzo dawno temu wymyślony - wtrąciła Layla. - Życie Roma polega na koczowaniu.
Geordie skinął, uśmiechając się.
- Czyli, że znacie tutaj wszystkie drogi? - Euan był rad możliwości wyjaśnienia, gdzie go poniosło.
- A jak że! Ale o tym rano - odparł Geordie. - Twoja dziewczyna zaraz usnie.
Euan spojrzał na Katelynn i ta uraczyła go zadowolonym i sennym uśmiechem. On z powrotem odwrócił się do Geordie'go i Layli i nieoczekiwanie dla samego siebie powiedział:
- Dziękuję.
- Nie ma za co, bracie. Jak nie pomóc człowiekowi w czasie takiej pogody! - stwierdził Cygan.
- Lepiej połóżcie się spać - dodała jego żona. - Geordie, ogień przygasa.
Wstała, podeszła do łóżka, uklękła i wyjęła spod niego zwinięty materac.
- Jeśli chcecie, śpijcie w swoich śpiworach, chcecie, to pod kołdrą. Pościel mamy ciepłą, leżała w ogrzonym wozie.
- Dziękuję, przydałyby się dwie kołdry - rzekł Euan.
- Dwóch nie ma, tylko jedna dodatkowa.

Zresztą, Euan zgodziłby się na wszystko. Koniec końców, co za różnica, na czym się śpi, skoro śpisz w ciepłe i pod dachem? Materac, napchany watą i piórami, były ciepły i wygodny, a puchowa kołdra, jak zdawało się Euanowi, pachniała lawendą, chociaż nie miał pojęcia, skąd Cyganie ją wytrzasnęli.

- Tylko wszystko z siebie zdejmijcie, ubranie musi wyschnąć - powiedziała Layla i zgasła lampę stojącą przy piecu.

Wóz pogrążył się w ciemności, którą naruszały tylko odbicia płomieni z zamkniętego pieca. Można w nich było dostrzec tylko niewyraźne kontury przedmiotów, ale nic więcej.

Layla zaciągnęła zasłonę, oddzielając łóżko od tej części wozu, gdzie usadowili się Euan i Katelynn. Euan usłyszał, jak para rozbiera się i wchodzi pod kołdrę. Obrócił się, żeby zamienić parę słów z Katelynn, ale dziewczyna, ku jego zdziwieniu, zwinęła się już w kłębek pod kołdrą, a jej brudne i mokre ubranie wisiało na uchylonych drzwiach szafy ściennej.

Wydawało się, że już śpi, dlatego Euan także się rozebrał, zostawiając na sobie tylko długie kalesony, nieodłączny element odzieży w takich warunkach klimatycznych. Na takim miękkim łóżku nie spał od czas, kiedy opuścił Glasgow, a sen przyszedł niemal natychmiast.

Euan lewitował nad drogą i patrzył w dół - tam, gdzie jechały trzy obite, porysowane, ale wciąż mocne ciężarówki, obłożone blachą, na których biała farba miejscami została zjedzona przez rdzę. Wydawało się, że samochodu rozsiewały strach i ból ludzi siedzących w środku - ludzi oderwanych od swoich rodzin, pozbawionych domu, zawieszonych Bóg wie gdzie i Bóg wie czemu.

Prawie dotarli do celu podróży; Euan widział już przed sobą długi, przysadzisty budynek z grubymi betonowymi ścianami, pokrytymi drutem kolczastym. Chronili go dobrze uzbrojeni ludzie.

Ciężarówki zatrzymały się przy ogromnej, żelaznej bramie; strażnicy wzbogacili się o kilka butelek samogonu i brama z diabelskim skrzypnięciem otworzyła się. Za nią rozciągała się pusta stacja rozrządowa. Migoczące światło fluorescencyjne odbijało od szyn.

Jako pierwsi z ciężarówek wyszli strażnicy w maskach przeciwgazowych. Kolbami karabinów otworzyli tylne drzwi naczep i wysypali się stamtąd przerażeni ludzie. W tym tłumie Euan dostrzegł znajome twarze: kobiety, dziewczynki i chłopca drżących z zimna. Dzieci wyglądały strasznie, ich twarze zmizerniały; Julia miała siniaka na policzku, a jedno oko spuchnięte.

Mężczyzna chciał dotrzeć do bliskich, dotknąć, dać do zrozumienia, że jest blisko i wkrótce ich uratuje, ale coś trzymało go, nie pozwalając poruszyć się, a słowa uwięzły w gardle.

Mimo iż więźniowie kłębili się na mrozie, na torach, tyłem podjechał pociąg, z którego przodu wypuszczał dym i rozsiewał iskry pancerny parowóz. Metalowe wagony były pomalowane na czarno, na dachu każdego, w ufortyfikowanym gnieździe, siedział uzbrojony strażnik.

Niewolników, jak bydło, wepchnęli do ciasnych wagonów, gdzie nie było ani ciepła, ani światła, ani wody, a nawet powietrza zdawało się, że nie wystarczy dla wszystkich. Na widok ścian, zabarwionych krwią i moczem poprzednich pasażerów, dzieci zaczęły płakać. Tych, którzy zawahali się na progu, strażnicy bezdusznie pogonili lufami. Większość z nich kryła twarze za maskami przeciwgazowymi, w zimnych oczach pozostałych nie było ani śladu współczucia.

Jeńcy ze wszystkich trzech ciężarówek wcisnęli się do jednego wagonu. Od ciasnoty nie było gdzie usiąść, wszyscy stali, opierając się o siebie nawzajem. Potem stalowe drzwi zamknęły się i skrzypnięcie zawiasów zatoneło wśród krzyków przerażenia: pociąg powolnie ruszył się z miejsca, podobny do zionącego ogniem potwora, pożerającego tory przed sobą.

Euan wyrwał się do przodu, próbując oswobodzić się z niewidzialnej siły trzymającej go w miejscu, ale bez powodzenia. Wszystko, na co mógł sobie pozwolić, to zawisnąć w powietrzu, odsunąć się i spojrzeć, co go trzyma. I to, co wydawało się być ogromną, bezkształtną masą, nagle przybrało delikatną sylwetkę. Na mężczyznę z uporem patrzyła Katelynn i chociaż był i większy, i silniejszy, Euan nie mógł ruszyć jej z miejsca. Dziewczyna świdrowała go wzrokiem, jasnyniebieskimi na bladej twarzy i, kiedy odezwała się, po całym ciele mężczyzny przebiegł dreszcz:

- Nie jestem tym, czym się zdaje!

Euan obudził się spanikowany, zawinięty w kołdrę i nie od razu zrozumiał, gdzie się znajduje; wiedział tylko, że nie może się ruszyć.

- Cicho, cicho - powiedział znajomy głos. - Wszystko w porządku, jesteś bezpieczny.

Euan zmusił się do uspokojenia i zaraz ktoś rozplątał podstępna kołdrę. Zgrabna noga położyła się na biodrze mężczyzny, zgrabne ręce delikatnie objęły go za ramiona i wszystko wokół wypełnił zapach Katelynn.

Obrazy ze snu były jeszcze żywe w jego wyobraźni i spowodowany nimi gniew nie ustąpił, ale nagle poczuł, że obok niego leży kobieta. Coś ścisnęło go w brzuchu i odwrócił się do dziewczyny, ale w przygaszonym blasku płomieni z pieca zobaczył tylko zarys jej głowy na swoim ramieniu. Euan chciał coś powiedzieć, ale Katelynn przyłożyła mu palec do ust.

- Cicho. Śpij. Teraz nie pora - powiedziała delikatnie.

Euan zamknął usta, a jego myśli zakręciły się wokół tajemnicy tej czy to kobiety, czy to dziecka. A ona przeczesywała palcami jego włosy, przeganiając tą prostą czułością męką, przynosząc sen.

W duszy Euana było tak pusto, a Katelynn była tak blisko... Odwrócił się do niej, ale dziewczyna odsunęła się i raczej domyślił się, niż zobaczył, że na jej ustach znowu gra tajemniczy uśmiech.

- Śpij, Euan. Tylko tym razem bez snów - powiedziała i mężczyzna popadł w zapomnienie.

Euana obudził dźwięk zamykanych drzwi i od razu poczuł aromat jedzenia. Ze wszystkiego, co wydarzyło się nocą, zostały jakieś smutne obrazki wspomnień i nie chciało mu się przez nie przekopywać.

Katelynn, pogrążona we własnych myślach, stała przy metalowym piecu i mieszała coś skwierczącego na patelni. Layla siedziała na łóżku, w pełni ubrana, i naciągała buty. Geordie najwyraźniej dopiero co wyszedł z wozu.

Euan przeciągnął się, czym natychmiast przykuł uwagę dziewczyny.

- Dzień dobry, śpiochu! - wesoło powiedziała Katelynn i chytrze mrugnęła do niego.

- Jak się spało? - zainteresowała się Layla.

- Dzień dobry - odparł Euan i usiadł. - Śniło mi się coś dziwnego...

- Tak, to zauważyliśmy - odpowiedziała Cyganka. - Tak żeś krzyczał, że aż się obudziliśmy i...

Wtedy Katelynn uniosła brwi i wymownie spojrzała; Layla wyraźnie się zmieszała i zmieniła temat.

- Dzisiaj pokażemy was ludziom - powiedziała wiążąc sznurówki.

- To są tu jeszcze ludzie? - spytał Euan.

Layla zdziwiona spojrzała na niego:

- A ty myślałeś, że jedziemy sami? Co my, głupi?

Euan spojrzał bezradnie na Katelynn, wyczuwając w tych słowach wskazówkę, ale dziewczyna sprawiała wrażenie, że niczego nie zauważyła i przerzuciła zawartość patelni na duży talerz.

- Śniadanie! - obwieściła radośnie.

- E, Geordie tak nie usłyszysz - rzekła Cyganka i wrzasnęła: - Geordie, zreć!

Euan wstał i sprawnie się ubrał, kiedy kobiety nakładały na talerze smażone grzyby, cebule i wieprzowinę. Następnie zappełnił swój talerz i już podniósł widelec do ust, kiedy drzwi rozwarły się i na progu pojawił się Geordie, wpuszczając do pomieszczenia falę zimna. Wszyscy wzdrygnęli.

- Geordie, jasna cholera, zamknij drzwi! - zdenerwowała się Layla.

Cygan posłuchał, zdjął buty i wymownie spojrzał najpierw na gości, a potem na rozłożony materac. Westchnąwszy, Euan odłożył talerz, szybko zwinął materac i złożył kołdrę. Wróciwszy do jedzenia, przełknął wszystko za jednym zamachem, po czym, powiedziany nagłym impulsem, pogrzebał w plecaku i podał Layli paczkę herbaty miętowej.

Kobieta uśmiechnęła się.

- Co to takiego? - zapytała go. Otworzyła paczkę, powąchała i pokiwała głową z aprobatą.

- Miętowa herbata - rzekł Euan.

- Od kilku lat nie widziałam mięty.

Cyganka wyjęła z szafy czajnik, nalała do niego wody z plastikowego baniaka i postawiła na piecu. Następnie zdjęła z haczyka pod dachem aluminiowy czajniczek na herbatę, wrzuciła do niego kilka listków i usiadła na łóżku w oczekiwaniu, aż woda się zagotuje.

- Cura czeka - oznajmił Geordie, przysiadając się do żony.

- Mógłbyś wcześniej powiedzieć - mruknęła ta z niezadowoleniem. - Umyj naczynia, zanim wrócimy.

Zwróciła się do Katelynn:

- Cura chce cię zobaczyć, Katelynn. Nie wiem dlaczego, jej spytaj.

- Kto to Cura?

- Ona u nas rządzi - odpowiedział Geordie, zbierając talerze.

- A... No, dobrze więc - powiedziała Katelynn.

Ubrała się i wyszła w ślad za Laylą na mróz, a Euan został myć naczynia, dlatego że Geordie wyraźnie nie zbierał się do zrobienia tego samemu.

Przez noc burza ucichła, ale sześć wozów, ustawionych w okręgu, były do połowy zakopane w śniegu. Wóz Cury stał dokładnie naprzeciw, po drugiej stronie kręgu i Katelynn poszła po śladach Layli, żeby nie zamoczyć nogi.

Drzwi wozu otworzyły na spotkanie i stara, ale silna kobieta przyjaźnie zwróciła się do nich:

- Dzień dobry, dziewczyny!

- Dzień dobry, Cura! - odezwała się Layla.

Katelynn w ciszy uśmiechnęła się. Kiedy doszli do drzwi, Layla zawróciła i poszła do siebie. Cura chytrze uśmiechnęła się do Katelynn i podała rękę, żeby pomóc jej wejść do wozu.

- Jej się tu nie podoba - szepnęła poufnie?

- Dlaczego? - zdziwiła się Katelynn: nie dostrzegła w staruszce niczego strasznego albo dziwnego.

- Nie lubi Layla mówienia prawdy między oczy - odparła ta.

Mówiła o wiele poprawniej, niż Geordie i Layla i prawie bez akcentu.

- A... - potaknęła Katelynn i pomyślała, że mało kto lubi mówienia "między oczy", ale nie powiedziała tego głośno.

Cura ponownie uśmiechnęła się:

- A ty jesteś mądra dziewczyna, widzę.

Mrugnęła do Katelynn i zamknęła za nią drzwi.

Wnętrze wozu bardzo różniło się od tego, w którym żyli Layla i Geordie. Ściany były pokryte pejzażami: wschody, zachody słońca, zielone pola i jesienny las. Na podłodze leżał luksusowy, zielony dywan, łóżko kryło się za granatową, aksamitną zasłoną, a w powietrzu unosił się zapach olejków i ziół. Pod ścianą naprzeciwko pieca stał duży stół z żeliwnymi krawędziami zastawiony szklanymi butelkami, doniczkami i pudełkami; przy odsuniętym krześle stał maleńki moździerz z tłuczkiem. Obok, przy całym zestawie menzurek, znajdowała się deska do krojenia, kilka noży i niewielki palnik spirytusowy.

- Jesteś naukowcem? - zapytała podejrzliwie Katelynn.

- Coś w tym rodzaju - odparła staruszka. - Uczyłam się w Edynburgu na zielarza, pięćdziesiąt lat temu. Bardzo się przydało, kiedy zabrakło medycyny.

- Rozumiem... - powiedziała Katelynn. - A kto to jest "zielarz"?

- Osoba, która tworzy lekarstwa z naturalnych składników: roślin, minerałów i tak dalej. Żadnej nauki. Chcesz herbaty?

- Dziękuję, wypiałam w wozie Layli.

- Po naszymu będzie *werda* - rzekła staruszka. - I tak się napij, nalegam.

Napełniła już dwie filiżanki z czajnika. Podawszy jedną Katelynn, staruszka podeszła do łóżka, odsunęła zasłonkę, rzuciła na podłogę dwie poduszki i usiadła, gestem pokazując dziewczynie, żeby usadowiła się obok.

Katelynn była trochę zdezorientowana taką opieką i nieprzywykłym komfortem, w którym żyli ci wieczni wędrowcy. Na końcu języka czekało pytanie, ale nijak nie mogła dobrać właściwych słów.

- Jak wy...

- Nie bierzemy niepotrzebnych rzeczy, cały czas się przemieszczamy, przeszukujemy ruiny i handlujemy - wtrąciła Cura.

Katelynn zaskoczona zamrugnęła.

- Skąd wiedziałas, o co chcę spytać?

- Widzę ludzi na wskroś, a to było jedno z dwóch oczywistych pytań.
- Jakie jest drugie? - uśmiechnęła się dziewczyna.
- Dlaczego chciałam z tobą rozmawiać na osobności. Skąd idziemy? - spytała Cura.
- Em... Z Carlisle.
- Naprawdę? - zainteresowała się spokojnie staruszka.
- Tak, przyszliśmy stamtąd.
- Ja nie pytałam o waszą dwójkę, a o ciebie.

Cura uśmiechnęła się do dziewczyny i odstawiła herbatę. Katelynn spanikowała: stara Cyganka znowu dostrzegła jej zaskoczenie. Dalej trzeba być ostrożniejszą.

- Nie chcę o tym mówić - powiedziała i wpatrzyła się w swoją filiżankę.
- Tak też myślałam - odpowiedziała staruszka ciągle tym samym niewzruszonym tonem.

Katelynn podniosła wzrok i zamrugła.

- Czemu tak myślisz? - spytała wyzywająco.

Cura ponownie uśmiechnęła się i kiwnęła głową:

- Aha, czyli nasza pszczołka ma jakieś żądło!

Katelynn wstała. Teraz nie było jej już wygodnie. Dziewczyna nie rozumiała, dlaczego przecucie nie podpowiedziało jej, że niebezpieczeństwo jest tak blisko i przez to jeszcze bardziej się zdenerwowała.

- Och, uspokój się! - machnęła ręką staruszka. - Nie chcę dla ciebie źle. Po prostu jestem ciekawa.

Katelynn zamarła, ale nie śpieszyła się, żeby usiąść.

- Siadaj, mówię! - w głosie Cury zabrzmiały rozkazujące nutki. - Gdybym chciała, to już bym cię zatrzymała.

Katelynn spojrzała na swoją niedopitą herbatę i skrzywiła się: Cura miała rację, ale nie uspokoiła się od tego.

- O właśnie. Tak więc usiądź i porozmawiajmy. Widziałam w nocy, jak przyszedłaś - wytłumaczyła staruszka, kiedy dziewczyna z powrotem usadowiła się naprzeciwko niej. - Tak, to był dziwny widok.

- Jak mogłaś to widzieć? Przecież była paskudna burza... - nie zrozumiała Katelynn.

- Akurat w tym momencie się uspokoiła - uśmiechnęła się Cura.

- Ale co cię podkusiło, żebyś spojrzała przez okno?

- A, a, a, to jest najciekawsze - rzekła starucha. - Wiesz, czekałam na ciebie.

Katelynn otworzyła usta, ale zaraz je zamknęła.

- Myślę, że jesteś taka sama, jak ja - oznajmiła z uśmiechem zadowolenia Cura. - Masz dobre przecucie. Czasem wiesz coś, czego powinnaś wiedzieć. Prawda?

Dziewczyna ostrożnie skinęła.

- I ja także. Od dziecka tak byłam. Żyłam w pięknych czasach, w najszcześniejszych i najtłustszych latach ludzkości.

- Najbardziej ślepe i egoistyczne lata - pokręciła głową Katelynn. - Wasze pokolenie zostawiło nam ze świata tylko ruinę.

- To pewne, ale jakie piękne było życie! - powiedziała rozmarzona Cura. - Powietrze śpiewało tysiącem głosów i każdy wierzył, że ma prawo i obowiązek do życia.

- A czy tak nie jest?

- Oczywiście nie. Wierzyć można we wszystko co się chce, ale większość ludzi nie ma szczególnego losu.

Staruszka ponownie odstawiła herbatę.

- Ale przecież każdy ma swoje życie - nie zgodziła się dziewczyna. - Czy nie to jest przeznaczenie?

- Nie myl przeznaczenia ze zwykłym życiem. Po prostu żyć może każdy.

- Tak... - Katelynn była wyraźnie zmieszana.

- Przeznaczenie rodzi się dwoma drogami i one rzadko się przecinają - oznajmiła Cura, opierając się wygodnie na poduszce. - Albo samemu piszesz swój los, żyjąc pełnią sił, będąc świadomym swoich kroków i zawsze działając na własną rękę, albo wszystko odbywa się inaczej. O wiele smutniej.

- Czyli?

- Czyli o twoim losie decyduje ktoś inny - powiedziała staruszka, beztrąsco wzruszając ramionami.

Katelynn zamyśliła się:

- Ktoś lub coś?

- Och, tylko nie wymyślaj za mnie! Mówię nie o Bogu i nie o jakiejś mistycznej sile. Ktoś czyli inny ludzie albo, czasami, okoliczności, one też mogą decydować o losie człowieka.

Dziewczyna zamyśliła się i niechętnie zgodziła się:

- Wygląda na to, że to prawda.

Cura z aprobatą skinęła i Katelynn nagle olśniło.

- Więc uważasz, że mam przeznaczenie?

- Dokładnie, moja córko. Mało tego: myślę, że twoje przeznaczenie jest szczególne. Twój los jest zależny od innych, ale przy tym sama nim rządysz.

Katelynn nagle zjeżyła się, niczym kot szykujący się do skoku. Oczy Cury triumfalnie zabłyśły.

- Zgadłaś, prawda?

- Być może. Nie wiem!

- Proszę, Katelynn, opowiedz, jak nas znalazłaś.

Dziewczyna westchnęła i postanowiła, że kryć się nie ma sensu.

- Czasami przed czasem wiem, co będzie. To znaczy, to nie całkiem ja: jakaś część mnie, do której nie mogę dotrzeć...

Cura skinęła ze zrozumieniem.

- Przeczucie?

- Coś w tym rodzaju. Przychodzi niewiadomo skąd.

- I nigdy się nie mylisz, tak?

Katelynn długo milczała, następnie pokręciła głową. Cura gwizdnęła z podziwem:

- Rzadki przypadek!

Niewiadomo czemu, Katelynn znowu zjeżyła się.

- Nie bój się, córo. Nie jestem tak silna, jak ty. Bywa, że coś czuję albo wiem, gdzie jest niebezpieczeństwo, ale moich ludzi niezbyt to przeraża.

Dziewczynie ciężko było w to uwierzyć. Przywykła nie rozpowiadać o swoim darze, dlatego że ludzie uciekali od niej i bywało tak, że strach kierował ich do nieprzyjemnych rzeczy.

- Cyganie dawno przywykli mieć do czynienia z jasnowidzami i mistykami - kontynuowała starszka jakby nic się nie stało. - Mają do takich osób respekt i szacunek. Zabrali mnie zaraz po wojnie, kiedy byłam młodsza.

- Z powodu twojego daru?

- Nie, z tego powodu, że umiem wytwarzać lekarstwa. W naszym nowym, dziwnym świecie jest to bezcenna zdolność - wyjaśniła Cura. - A kiedy dowiedzieli się, że czuję, gdzie nie powinno się iść, a gdzie, przeciwnie, jest czym się pożywić, to tylko przysporzyło mi popularności.

- Niczego sobie. Czyli, że podoba im się, że wiesz i widzisz więcej, niż oni?

- Nie to, żeby im się podobało. Ale doceniają to.

- I tak jest wygodnie?

- Tak. Nie wykorzystuję swoich zdolności, żeby im zaszkodzić, żeby nikomu nie szkodzić, jeśli o to chodzi. To też doceniają.

Dziewczyna uśmiechnęła się rozmarzona, ale niemal natychmiast na jej twarzy pojawiła się determinacja.

- Wiem, co chcesz powiedzieć, Katelynn: twoja droga idzie z Euanem, a nie z nami.

Katelynn skinęła.

- Czego on szuka?

- Swojej rodziny.

- Stracił ich przed wojną?

- Nie, porwano ich niedawno, w Glasgow.

- Ach, więc to tak...

Katelynn pytająco uniosła brwi.

- Wiesz coś o nim?

- Konkretnie o Euanie - nie. Chociaż mogłabym się domyślić, że miastowego ciągnie na pustkowie tylko wielka bieda...

Cura dopiła herbatę i westchnęła:

- Wiem, że ludzie są porywani. Dzieje się tak w całym kraju od czasu, kiedy zima rozluźniła więzy.

- Dużo jest takich band?

- Niedużo, ale wystarcza. I zawsze jest jedna i ta sama historia: ukrywają twarze, przyjeżdżają trzy ciężarówki.

- Znajomy obraz.

Cura pokiwała głową.

- Co zrobisz, kiedy znajdzie rodzinę?

Katelynn odwróciła wzrok.

- Tak, tak - powiedziała starucha. - A nie sądzisz, że on jest dla ciebie za stary? Oczywiście że nie: kogo i kiedy to zatrzymywało?

Katelynn spojrzała na nią ze zdziwieniem.

- Moje pytanie nadal pozostaje aktualne. Co zrobisz?

- Nie wiem. Na pewno co podpowie...

- ...przecucie? - wtrąciła Cura.

Katelynn skinęła.

- A co ono ci teraz podpowiada, córo.

- Że powinnam być obok niego. Że nastanie moment, kiedy będę mu potrzebna.

Cura milczała, badawczo przyglądając się dziewczynie, po czym zapytała:

- Ale przecież nie wszystko, prawda?

Katelynn tajemniczo się uśmiechnęła i od tego uśmiechu Curze przebiegły po plecach dreszcze.

- Prawda. Z jakiegoś powodu on będzie potrzebny mi bardziej, niż ja jemu.

Cura nie mogła się pozbyć dziwnego przecucia, że w słowach gościa skrywa się jakiś podstęp.

- Przecież nie zrobisz jego rodzinie niczego złego, prawda? - spytała ostrożnie.

Z oburzenia Katelynn o mało nie przewróciła swojej filiżanki.

- Nie, co ty! Nigdy!

Cura uwierzył jej, ale jej dziwne przecucie nigdzie nie zniknęło.

- Myślę, że idziesz krzywą drogą. Katelynn, nie zazdroścę ci. Czy sama masz rodzinę?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Nigdy ich nie widziałam - odpowiedziała zwyczajnie.

- Normalna rzecz w naszych czasach. Skąd jesteś?

Na czole Katelynn, między brwiami, pojawiła się zmarszczka.

- A co?

- Próbuję cię zrozumieć, dziecko. Tacy jak my rzadko się spotykają.

Ale Katelynn nie śpieszyła się z odpowiedzią.

- Z pewnością miałaś mało przyjaciół? - zrobiła jeszcze jedną sugestywną próbę staruszka.

Dziewczyna pokręciła głową i, w końcu, szczerze przyznała:

- Sama nie wiem, skąd jestem. Pamiętam, że żyłam pod ziemią, gdzie było jasno i ciepło, ale wtedy byłam całkiem mała i pamiętam szczegółów. Pamiętam tylko, że się zgubiłam.

Cura przysunęła się i znowu napełniła opróżnioną filiżankę Katelynn po brzegi.

- Zgubiłaś się?

- Tak. Dużą część życia spędziłam w londyńskim Metrze, a tamtejsze tunele ani światłem, ani ciepłem nie mogą się pochwalić.

- Nigdy nie byłam w Londynie - oznajmiła, kręcąc głową, Cura.

- No i dobrze. W tym mieście pełno jest koszmarnych stworzeń, a i promieniowanie wszędzie emituje...

- Jak cię zaniósł do Carlisle? - spytała starucha.

- O tym nikomu nie opowiadałam - odparła z niechęcią Katelynn.

- Mi też możesz nie opowiadać, jeśli nie chcesz. To nie jest takie ważne. - I Cura zachęcająco uśmiechnęła się do dziewczyny.

Katelynn milczała.

- Dobra - zaśmiała się staruszka - chroń swoje sekrety! Wiesz, i tak mi się podobasz, Katelynn. I rzecz nie w tym, o czym opowiedziałas, z ciebie kleszczami niczego się nie wyciągnie, a w tym, czego nie powiedziałaś.

- To znaczy?

- Nikomu nie czynisz zła, czyż nie? - powiedziała z ciepłem w głosie starucha.

- Oczywiście nie - zgodziła się Katelynn, dziwiąc się, że o tym w ogóle trzeba mówić.

- To mi się bardzo podoba, córo.

Katelynn zastanowiła się, czy jednak nie wyjaśnić Curze, jak trafiła z Londynu do Carlisle i wtedy zapukano do drzwi. Gospodyni lekko rozdrażniona mlasnęła językiem i wstała, gestem prosząc dziewczynę, żeby została na miejscu.

Zimne powietrze i maleńkie śnieżynki wdarły się do werdy i Katelynn wstrząsnął dreszcz.

- O co chodzi? - spytała Cura.

- Znowu jest zła pogoda - rozległ się głos Geordie'go.

Katelynn zobaczyła, jak staruszka kiwa do kogoś.

- A ty zapewne jesteś Euan? - zapytała. - Nie stój na progu, wchodź.

Odeszła na bok, otworzyła szerzej drzwi i dwóch mężczyzn weszło do wozu, przez co lekko się zakołysała.

- Są jeszcze gorsze wieści - oznajmił ponuro Geordie, wyraźnie napawając się chwilą.

- Zamierzasz mi je powiedzieć, czy będziesz tak stał, aż wszyscy nie zamarzniemy?

Mężczyzna skulił się, jak przebity balon i z urazą wyduł dolną wargę.

- Teraz jesteś podobny do Samuela - stwierdziła starucha i zwróciła się do Katelynn: - Samuel ma siedem lat.

Dziewczyna prychnęła i zaskoczona zasłoniła usta ręką. Geordie wypiął pierś ze świętym oburzeniem.

- No, skoro cię nie interesuje... - powiedział, zawieszając zdanie w powietrzu.

- Mów już. Sprawa wydaje się ważna.

- Ciemne psy - oznajmił Cygan.

- O cholera! Blisko?

- Znaleźliśmy z Euanem ślady. Szły za nimi w nocy i pewnie krążą teraz wokół.

- Wszystko jasne. Stworzenia lubią łatwą zdobycz, a najłatwiejsza to ta, która chodzi piechotą. - Cura spojrzała z dezaprobatą na Euana, a ten skinął głową:

- Nie miałem wyboru.

- U ciebie może i nie było: dziewczyna opowiadała mi o twojej rodzinie. Ale raz już ją zabrałeś ze sobą, mógłbyś zatroszczyć się też o to, żeby biedaczki nie zjedli! - stwierdziła z wyrzutem staruszka.

Geordie trochę osłupiał z tego, że uwaga staruszki przeniosła się na drugiego i, patrząc zza jej ramienia, pomachał Katelynn.

- Wystarczy! - powiedziała staruszka i żartobliwie szturchnęła Cygana w brzuch. - Dobra, dzisiaj zostajemy tutaj. Powiedz ludziom, żeby się przygotowali: noc będzie ciężka. A ty, Euan, zostań. Chcę więcej dowiedzieć się o twoich przygodach - mówiła Cura.

- Pójdę z tobą! - stwierdziła nieoczekiwanie Katelynn. Zerwała się i założyła płaszcz i buty.

Euan zauważył, jak Geordie pytająco spojrział na Curę i ta skinęła w odpowiedzi. Autorytet tej staruchy pośród Cygan był wyraźnie bardzo wysoki.

Kiedy Katelynn i Geordie wyszli w śnieżną mgłę, Cura z uśmiechem zwróciła się do Euana:

- Cóż, serdecznie witam cię w mojej werdzie.

- Dziękuję - odparł mężczyzna, rozglądając się po luksusowych wnętrzu, patrzył na szklane naczynia, kolby i kępiki ziół. - Jesteś lekarzem?

- W pewnym sensie. Jestem zielarzem.

- Aha, mamy w Glasgow takiego człowieka. Uczył się przed wojną na uniwersytecie, teraz po cichu przekazuje wiedzę.

- Naprawdę? - spytała Cura. - Nie wiedziałam, że ktoś jeszcze praktykuje oprócz mnie.

- Nazywa się Yohann - powiedział Euan. - Jest Niemcem, choć teraz już tak o nim nie powiesz.

- A dokładniej? Co to za gość?

- Można powiedzieć, że koczuje ze stacji na stację. Mówią, że ma gdzieś skład zapasów i tam właśnie przygotowuje lekarstwa, ale gdzie dokładnie, nie wiadomo.

- Trzeba by jakoś odwiedzić Glasgow.

- Strzeżcie się tych.. Jak wy ich nazywacie? Ciemnych psów.

- Tak, ciemnych psów. Duże stworzenia, które wychodzą nocą.

- Gnały za nami od Carlisle do Yorku - powiedział Euan.

- One są wszędzie, Euan. Normalna rzecz.

- Przerażające stworzenia.

- Zwłaszcza, kiedy idziesz piechotą i w ciemności - oznajmiła spokojnie Cura i ugościła Euana herbatą. - No cóż, opowiedz o sobie, dopóki Geordie i pozostali przygotowują się do radosnej nocki.

Katelynn szła za Geordie'm, który obchodził wozy, przez noc zasypane śniegiem. Cygan pukał w każde drzwi i wszystkim mówił jedno i to samo:

- Zostajemy na noc. Przesuńcie wóz.

Wozów było sześć, a w każdym, oprócz tych, gdzie mieszkali Cura i Geordie z Laylą, była rodzina z dziećmi. Ostrzegłszy jedną rodzinę szli do następnej, a w tym czasie ktoś wychodził z wozu i przesiadł się do kabiny.

Werdy były duże: dwa metry szerokości i sześć wysokości, na podwoziu z ciężarówek dalekiego zasięgu. Z zewnątrz wyglądały różnorodnie: we wszystkich możliwych kolorach, jedne pokryte zwykłą blachą, drugie ozdobione rzeźbionymi panelami; rozumie się, najbogatsza rzeźba, z kolorowym ornamentem, była na mieszkaniu Cury. Z każdego wozu sterczał komin, a w przedniej części usytuowana była kabina wzmocniona blachą i stalową siatką. Spojrzawszy na koła, Katelynn ze zdumieniem zobaczyła opony, ale, przyjrawszy się, zrozumiała, że są z pełnej gumy.

- Skąd macie koła?

Geordie zatrzymał się i spojrzał, gdzie pokazuje.

- Zewsząd - odpowiedział. - Ściągamy ze starych samochodów, topimy, wyciągamy żelazo i robimy koła z gumy. Trudne, ale na lata.

Cygan był wyraźnie dumny z owoców swojej pracy,

- Załóż na nie łańcuch - wszędzie pojedziesz! Chcesz, dam poprowadzić? - zapytał niespodziewanie.

Katelynn uśmiechnęła się i skinęła głową.

- No to chodźmy grzać maszynę.

W kabinie przy siedzeniu kierowcy stał jakiś dziwny agregat, na który Katelynn wpatrzyła się w pełni zdumiona.

- Co to? - spytała, patrząc na bojler, rurki i kółka.

- Nie widziałeś wcześniej silnika parowego?

- To jest silnik parowy?!

- A co innego? Te ręce go zbudowały!

- Jesteś walnięty!

- Aha, i paliwo jest wszędzie! - Geordie rozpląnął się w uśmiechu.

- Dlaczego wszystkie pozostałe tak nie działają?

- Boją się wysunąć nosa z nory - odparł kpiąco Cygan. Następnie klęknął i zaczął męczy się z kotłem, wzniciając ogień.

Kiedy drewno w palenisku zapaliło się, mroczna i zimna kabina zaświeciła blaskiem tańczących płomieni. Geordie podmuchał na płomień, żeby równomiernie objął wszystkie drewnianka pod kotłem, a Katelynn usiadła na miejsce kierowcy.

- Co teraz robić?

- Na razie nic. Godzinę będziemy czekać, aż uniesie się para - Geordie uśmiechnął się. - Dzisiaj będzie ciepło i woda do kąpieli się zagrzeje.

- Serio? Macie tu łazienkę? - wykrzyknęła Katelynn.

- Jeszcze pytasz! Ale myjemy się tylko kiedy kocioł pracuje.

- A mogę z wami? - zapytała radośnie.

Geordie skinął.

- Tylko śniegu do zbiornika przynieś.

Zamknąwszy piec wyjął zza siedzenia kierowcy szeroką łopatę i rzucił ją w śnieg.

Katelynn wyszła na zewnątrz i ze zdziwieniem zobaczyła że wewnątrz kręgu z wozów jest wielkie poruszenie. Sześcioro dzieci pomagało rodzicom napełnić śniegiem baki na dachu wozów. Inne ryły podkopy pod wozy, gdzie skrywały się zapasy jedzenia i drewna. Najstarszy, chudy młodzieniec nieśmiało uśmiechnął się do dziewczyny, niosąc wiadra śniegu do swojej werdy. Katelynn uprzecie odwzajemniła uśmiech, po czym zwróciła się do Geordie'go.

- Wejdz na dach i wrzuc do baku śnieg z wiadra - nakazał Cygan. Podsadził dziewczynę i po minucie Katelynn stała już na dachu pojazdu. Nie wytrzymując rozglądała się wokół na panoramę pól. Na północy widniała wieś, z której biegli nocą, a jeszcze bliżej, na południu, była druga.

- Darrington - powiedział Geordie podając jej jeszcze jedno wiadro.
- Co?
- Patrzyć na Darrington. Mówią, że to było sławne miejsce. a teraz pełno tam ciemnych psów.
- Co za kicha.

Zanim zagrzały się silniki minęła prawie godzina. Cały ten czas do baku rzucano śnieg i do czasu, jak nad wozami uformował się cały obłok pary, baki napełniono w pełni roztopioną wodą.

Następnie zjedli na obiad gęstą zupę. Jedli na zewnątrz, rozsiadając się na schodniach do swoich werd. Potem znowu wzięli za łopaty i jeszcze przez godzinę napełniali baki śniegiem.

Katelynn zobaczyła Euana, który pomagał Curze z przygotowaniem wozu i pomachała mu ręką. Mężczyzna machnął w odpowiedzi. Wydawało się, że praca przynosi mu tylko radość.

Kiedy silniki rozgrzały się jak należy i kierowcy usiedli w kabinach, Geordie puścił Katelynn przodem. Usiadłszy na miejscu kierowcy dziewczyna zrozumiała, że prowadzenie wozu jest niezwykle proste: biegi były trzy, wliczając w to wsteczny, i przestawiało się je dźwignią. Oprócz niej miał jeszcze ogromną kierownicę i hamulec ręczny wmontowany w podłogę.

- Nie śpiesz się. Obróć kierownicę w prawo i przesun dźwignię do przodu - powiedział Geordie, po czym wysunął się przez luk w dachu kabiny, włożył dwa palce między wargi i ogłuszająco gwizdnął.

Werda, szarpnąwszy, wbiła się w śnieg dużymi, obwiązanymi łańcuchem kołami.

- Cicho, cicho. Nie jedziemy daleko, tylko wygrzebiemy się - powiedział Cygan.

- Tyle problemów, żeby przejechać kilka metrów! - powiedziała zawiedziona Katelynn.

- Będzie więcej problemów, jeśli nas poniesie. Rozumiem, rzadko spotyka się samochód na chodzie. Pojeździmy jutro - rzekł zachęcająco Geordie. - Nie zapomnij o hamulcu.

Katelynn pociągnęła do siebie hamulec ręczny, ale dała rady ruszyć go z miejsca. Wzięła dwiema rękami, ale to też nie przyniosło żadnego efektu. Geordie, napatrzwszy się na jej wysiłek, bez najmniejszego wysiłku przesunął dźwignię i pomógł dziewczynie wyjść z kabiny.

Śnieg przestał padać, ale z północy wiał silny wiatr, a na horyzoncie zbierały się, niczym do ataku, groźne, ciężkie chmury.

- Może wejdziemy do środka? - zasugerowała Katelynn, która już lekko drżała z zimna.

- Nie, wy dwoje nocujecie u Cury. Cura mówi, że smutno jej samej.

- W porządku - odparła Katelynn. - A poza tym, u niej jest więcej miejsca.

- Tak - potwierdził Cygan. - No, nie stójmy tak, nadchodzi burza.

Euan siedział już przy piecu w spodniach i koszulce i wydawał się lekko zmieszany.

- Nie chcecie wziąć prysznicu na noc? - spytała Cura.

- Ja chcę - zgłosiła się Katelynn.

- Minutę, zaraz wszystko przygotujemy - oznajmiła starszka. - Jak chcesz się rozebrać, to weź ręcznik z szafy.

Ciepło się ubrawszy, gospodyni wyszła za drzwi. Katelynn zaczęła rozbierać się i zauważyła, że Euan zaczerwienił się.

- O co chodzi? - zapytała.

Mężczyzna podniósł się i mruknął:

- Ja po prostu... No, ten... Nie przywykłem tak...

- Przywyknij - powiedziała dziewczyna ze złośliwym uśmiechem.

Euan, ma się rozumieć, napatrzył się w swoim życiu na gołe kobiety, ale ta dziewczyna jakoś dziwnie i niewytłumaczalnie wpływała na niego. Ze wszystkich sił starał się patrzeć w inną stronę, aż nie zakryła się ręcznikiem.

- Euan - Katelynn złapała go za podbródek i obróciła twarz w swoją stronę. - Jeśli dziewczyna chce, żeby na nią patrzono, dobrze wychowany pan nie będzie sobie siedział osowiały. I to ona decyduje, że z nią jest coś nie tak.

- Wybacz, wszystko z tobą jest w porządku. Jesteś perfekcyjna... - Zawahał się Euan. - To znaczy, nie... Jesteś bardzo piękna...

Uśmiechnęła się do niego znajomym tajemniczym uśmiechem i w tym momencie drzwi otworzyły się, i na progu stanęła Cura.

- Pysznic gotowy, córka. Euan, daj ręcznik. Opłuczę się szybko, a potem ty wychodzisz.
Euan rzucił staruszce drugi ręcznik i kobiety wyszły.

Pysznic znajdował się w jednej werdzie i był konstrukcją z drewnianych przegród, miedzianych rur i wiader z podziurawionym dnem zwisających z rur. Na dole leżała popękana gumowa mata. Katelynn powiesiła ręcznik na zasłonie i stanęła pod wiadrem, w oczekiwaniu na wodę.

Cura przekreśliła kurki na ścianie i z wiader połała się gorąca woda. Stojąc w chmurze gorącej pary po środku śnieżnobiałej przestrzeni było nieopisywalną rozkoszą.

Myjąc się, Euan mocno starał się zachować przyzwoitość, chociaż zauważył, że nikt nie pali się do tego tematu. Ale i tak starał się stać odwrócony twarzą do ściany. W dusznej werdzie było ciasnowo, a ludzie zwalili się jak na zawołanie: dzień kąpieli dotyczył nie tylko Euana i Katelynn. Myli się na zmianę i Euan z Katelynn. Rodziny z sąsiednich wozów wesoło machały do siebie nawzajem, rozmawiali ze sobą, a on swoją wstydlivością tylko radował kobiety.

Później, kiedy usiedli do kolacji do stołu Cury, zielarka nie przepuściła okazji, żeby złapać gościa.

- My od dawna nie wstydzimy się siebie nawzajem - powiedziała z uśmiechem. - Jaki tu wstyd? Ciała wszyscy mają takie same i widzimy się każdego dnia.

- Po prostu nie przywykłem do tego - mruknął zakłopotany mężczyzna.

- To nic strasznego. To jest tak staroświeckie, że aż wzruszające.

Katelynn zachichotała.

- Cicho! - powiedziała z wyrzutem do dziewczyny Cura. - Napytasz sobie biedy, córka.

Cura nie była w ogóle zaskoczona dowiedziawszy się o tym, co zaszło w Yorku, a nawet powiedziała, że otwarta wojna między wspólnotami jest tylko ostatnim rozdziałem w bardzo długiej i nudnej księdze o ich związku. Zgodziła się z opinią imam odnośnie tego, że Doncaster jest niebezpiecznym miejscem i powiedziała, że w Sheffield od dawna nikt nie mieszka. Potem chciała jeszcze coś dodać, ale nieoczekiwanie podeszła do drzwi i spojrzała przez wizjer.

- Ściemniło się, moje gołąbki - powiedziała krótko, po czym zniknęła za zasłoną. Ponownie pojawiwszy się, staruszka niosła dwie strzelby samopowtarzalne, z których jedną dała Katelynn i kiwnęła głową na karabin Euana stojący w rogu. Mężczyzna wziął swoją broń i upewnił się, że jest naładowana i gotowa do walki.

- Psy wkrótce się pojawią - oznajmiła Cura.

- Mogą się tutaj przebić? - denerwowała się Katelynn.

- Nie, raczej nie. I nie takie próbowały. Ale my im nie odpuszczimy - uspokoiła starucha. - Katelynn, dziecko, chodź ze mną na pierwszą zmianę, potem pójdzie Euan, a ja wrócę nad ranem, dobrze?

Euan i Katelynn skinęli, po czym Cura i dziewczyna ubrały się i wyszły z werdy. Euan został sam. Dochodziły do niego głosy zza ścian: sądząc po wszystkim, Cura i Katelynn weszły do kabiny i zaczęły prowadzić jakąś cichą rozmowę.

W wozie było ciepło. W małym stalowym piecyku trzeszczały węgle. Euan przeszedł się tam i z powrotem, przyglądając się półce z książkami Cury, ale były tam tylko specjalne książki o chemicznych i leczniczych właściwościach przeróżnych roślin i zrobiło mu się nudno. Mężczyzna usiadł na łóżku i nawet nie zauważył, kiedy zasnął.

Tym czasem Cura i Katelynn dołączyły do innych Cyganów, zbierających się w krąg w samym centrum obozowiska. Geordie przydzielał wszystkim miejsca i zmiany.

W centrum kręgu stał stary generator diesla, od którego szły przewody do dużych reflektorów ustawionych na słupach przy każdej werdzie. Katelynn pytająco spojrzała na staruszkę.

- Ciemne psy boją się światła - wyjaśniła Cura. - Odpieramy je, bo dbamy o nasz stary generator: bardzo pomaga w takie noce.

- Wystarczy poświecić, żeby uciekły?

- Daleko nie uciekną, ale i blisko nie podejda. Problem w tym, że technologia jest stara, może się zepsuć, dlatego więc trzymamy warty na zmianę - zaraz generator włączy...

- I często się psuje? - zapytała Katelynn, niepewnie zagryzając wargi.

- Jeden raz nam wystarczy - odpowiedziała ponuro staruszka, ale, zobaczywszy strach w oczach dziewczyny, dodała: - Ale nie bój się. Nasze werdy są mocno zbite, nie tak łatwo je pokonać. Do tej pory nikt nie wdarł się do środka, nawet w ciemności.

Katelynn mocniej złapała broń i to ją lekko uspokoiło.

- W Yorku nazywają je piekielnymi psami - oznajmiła.

- Z nich będzie! - odparła pogardliwie starucha i było wiadomo, kogo ma na myśli.

Pierwsza zmiana skończyła się bez incydentów. Reflektory zapaliły się tylko raz, kiedy Geordie kątem oka dostrzegł jakiś cień. Ale to okazał się być tylko jakiś śnieżny kot, jeden z tych, które goniły Euana i Katelynn poprzedniego dnia. Na jego widok Cura splunęła w śnieg.

- Co to takiego? - spytała Katelynn.

- Nawet nie mamy dla tego nazwy. Mówimy na nie tylko "paskudy".

Dziewczyna była wyraźnie rozczarowana odpowiedzią, a staruszka, zauważwszy to, wyjaśniła:

- Na koniec wojny sporo potworności wylazło z laboratoriów. Tutaj zadziało wszystko: i eksperymenty genetyczne, i wirusy, i radiacja... A być może i wszystkie od razu. Nie wystarczy wyobraźni, żeby je wszystkie nazwać. Nie oczekuj od nich dobra i omijaj z daleka - to wszystko, co należy wiedzieć.

- One nas goniły.

- Na dużą zdobycz polują tylko stadami, a jak spotkasz takiego jednego, to jest przyjazne stworzenie! Fałszywe bestie!

Później ciągle było cicho. Na zewnątrz wył wiatr, ale z kotła parowego po kabinie roznosiło się ciepło. Groźne chmury jeszcze nie przykryły taboru, kiedy Cura wyjaśniła, że pora się zmienić i wysłała Katelynn do wozu, budzić Euana.

Ten wygodnie rozłożył się na łóżku Cury, równomiernie oddychając. Katelynn zdjęła płaszcz i buty, położyła je razem z bronią na podłodze pod drzwiami, zakradła się do Euana, położyła mu rękę na piersi i delikatnie potrząsnęła. Mężczyzna szarpnął się, obrócił na bok i wyciągnął zza pasa nóż. Z zaskoczenia dziewczyna upadła na podłogę i niepewnie spojrzała na ostrze. Poznawszy dziewczynę, Euan odetchnął.

- Wybacz... - zaczął.

- Nie, to moja wina. Trzeba było bardziej hałasować, żeby usłyszał - przerwała mu Katelynn i wstała. - A w naszych czasach należy być czujnym.

- No... W ogóle, w gościach u tych dzieci sam czuję się spokojny. A przecież kiedyś Cyganów uważano za oszustów i złodziei.

- Dlaczego? - zaciekawiała się Katelynn.

- Nie wiem. Na pewno zwykli ludzie się ich bali, ponieważ ci nie byli do nich podobni: cały czas koczowali, mówili niezrozumiałym językiem, żyli według niezrozumiałych obyczajów... A teraz żyją w dostatku - a wszystko dlatego, że dalej trzymali się swoich tradycji. A ponoć cały tak zwany cywilizowany świat wykitował... Co, przyszła moja zmiana?

- Tak - ziewnęła Katelynn, sennie patrząc na miękkie łóżko.

Poddając się nagłemu impulsowi, Euan skoczył, podniósł ją i położył do łóżka, jeszcze trzymającego ciepło z jego ciała. Oczy dziewczyny dziwnie rozszerzyły się. A potem Katelynn nagle uśmiechnęła się i pokazała mu język, na chwilę przemieniając się we wredną dziewczynkę. Euan ponownie się zmieszał.

Ubrał się, wsunął do kabury "Glocka", zarzucił na ramię karabin i odwrócił się do łóża:

- Spokojnej nocy i słodkich snów!

Ale Katelynn zasnęła i bez jego wskazówek.

Kiedy Euan dostał się do kabiny, gdzie oczekiwała go Cura, wiatr silniej się zerwał.

- Nasza piękność zasnęła? - spytała staruszka.

Mężczyzna skinął, nieco zdezorientowany jej uśmiechem.

- No to słuchaj - zaczęła Cyganka. - Siedź w kabinie i nie wychodź, co by się nie działo. Strzelaj do wszystkiego, co nie jest podobne do człowieka, a wszystko będzie dobrze. Wrócę za około cztery godziny, i tak dłużej nie pościę.

Wyszła, a Euan zamknął za nią drzwi, ale bardzo się zdziwił, kiedy po kilku minutach Cura wróciła z parującym kubkiem w rękach.

- Postaw na kotle i nie pij, aż nie zaczniesz zasypiać.

- Co to? - zapytał zaciekawiony Euan.

- Kawa. Tylko Geordie'emu nie pokazuj, zaraz podwędzi - uśmiechnęła się szeroko i zniknęła.

W kabinie było ciepło i myśli Euana powędrowały gdzieś daleko. Patrząc na śnieżną burzę za oknem, widział swoje dzieci, sceny z ich spokojnego życia w tunelach pod Glasgow. Następnie spróbował pomyśleć o żonie, ale, jak nie próbował, jak nie grzebał w pamięci zdarzeń przeżytych razem, nie zdołał dokładnie wyobrazić sobie jej twarzy, jej cechy cały czas płynęły, uciekały od niego...

"Zły znak" - pomyślał Euan, ale wtedy głos wewnątrz zawołał: "No dalej, przyznaj, że nigdy nie byłeś z nią naprawdę szczęśliwy!" Euan wzruszył ramionami, przeganiając ten głos i pociągnął łyk gorzkiej kawy.

Próbował już tego napoju, prawda, jeszcze przed wojną. W zniszczonym Glasgow kawa była rzadkością, a kiedy udawało się wykopać gdzieś skromne zapasy, od razu rozpraszały się, nawet po kosmicznych cenach. Głównymi nabywcami byli, a jakże by inaczej, starcy.

"Barowa moda" - pomyślał Euan, napił się jeszcze raz i skrzywił się od goryczy. Nie, nie mam zielonego pojęcia, co oni w niej widzieli...

Pierwszy atak był wyłącznie testem czujności.

Euan zauważył trzy ciemne figury przekradające się po śniegu, dziesięć metrów od werdy, i wrzasnął: "Światło!", a sam złapał za automat i wziął stworzenie na muszkę. Jasny snop światła z reflektora przeciął ciemność zaraz po jego krzyku, a generator z wysiłkiem kaszlnął z napięcia.

Trzy ciemne psy, które prawie podeszły do wozu, zawyły i rzuciły się do tyłu, wzniecając fontanny śniegu. Mężczyzna patrzył w ślad za nimi, aż nie zniknęły one w mroku, za śnieżną zasłoną.

- Wszystko dobrze? - poniósł się głos Geordie'go.

- Tak! - odparł Euan. - Na razie...

- Dalej będzie... uważaj... więc lepiej... - Gwałtowny poryw wiatru zagłuszył połowę słów i Euan otworzył drzwi, żeby lepiej słyszeć.

I tak niczego nie usłyszawszy, chciał poprosić o powtórzenie, ale przypomniał sobie, że Cura zabroniła wychodzić na zewnątrz. On, oczywiście, chciał wiedzieć, co powiedział Geordie, ale jeszcze bardziej chciał zostać całym i zdrowym.

Strasznie siedzieć samemu w ciemności, kiedy twoimi sojusznikami są tylko ciepło kotła i chłód broni. Euan siedział jak na igłach: każdy cień, każdy szmer sprawiały, że chwycił za automat, żeby po minucie znowu postawić go przy nodze, kiedy okazywało się, że to tylko wiatr wiejący na wolności.

Drugi atak uderzył Euana śmiałością i niespodziewaniem.

Nie zamknął drzwi do kabiny na zasuwę, mając nadzieję, że zwierzęta nie idą do światła i że Geordie ze swojej pozycji zauważy ich zbliżenie się. Ale tan, widocznie, akurat w tym momencie postanowił schować się przed śniegiem. I właśnie wtedy drzwi otworzyły się.

Czarne, żylaste łapy złapały za bok i potwór wsunął pysk w otwór. Euan obrócił się w fotelu, złapał karabin i skierował go wprost w rozwartą, wypełnioną kłami paszczę. Czuć było stamtąd pleśnią, ale oczy zwierzęcia wydawały się być przerażająco rozumne. Euan nacisnął na spust, ale zamiast wystrzału rozległo się tylko kliknięcie: zaciął się. Co za dziadowska broń! Nigdy nie można na niej polegać; nóż, tylko nóż!

Złapawszy Euana za nogi potwór wyciągnął go na śnieg i powalił na plecy. Kątem oka mężczyzna dostrzegł, że wokół stoją inne stwory, ukryte z nocnym mrokiem. Przewrócił się na lewo, ledwo unikając kłów celujących w jego szyję, rzucił bezużyteczny karabin i wstał na czworaka.

Bestia odwróciła się i zaatakowała znowu, ale tym razem Euan był gotowy. Złapawszy nóż, skoczył w lewo, odbijając wolną ręką tłustą, żylastą łapę. Pazury o mało go nie trafiły. Stwór ryknął i odwrócił się do swojej ofiary, wyszczerzając zęby kilka centymetrów od twarzy Euana. Ten rzucił się pod stwora, a do nosa uderzył zapach gnicia i mokrej ziemi. Podnosząc prawą rękę z nożem, przeciął zwierzęciu brzuch od żeber do pachwiny. Wydawszy ogłuszający ryk pies cofnął się, a następnie, jakoś zupełnie po ludzku, spróbował swoją łapą złączyć brzegi koszarnej rany, z której wypadły już

na zewnątrz parujące trzewia. Pysk przedstawiał grymas bólu i nienawiści. I patrząc w przepelnione wściekłością oczy bestii, Euan nagle zrozumiał, że te przerażające stworzenia wyewoluowały nie od zwierząt...

Kując się i rycząc, zwierz odpełził w tył, w ciemność, pozostawiając za sobą na śniegu krwawą smugę. Euan wymacał swojego "Glocka", gotując się do strzału, ale to nie było potrzebne: ciemny pies z trudem przebył jeszcze parę metrów, po czym przewrócił się, zadrzał i zdechł.

Ale radość zwycięstwa nie była długa: kolejny podmuch wiatru rozegnał śnieżną zasłonę, odkrywając przed oczami Euana jeszcze tuzin ciemnych psów przy granicy obozu. Trzy z nich z wyciem rzuciły się na niego, jak gdyby lecąc nad śniegiem.

Strach powrócił i o mało nie zbił go z nóg, niczym wielokilogramowy odważnik. Czując gorzki smak w ustach, Euan gorączkowo rzucił się do bezpiecznej kabiny wozu, zdając sobie sprawę, że nie zdąży.

I w tym momencie zapaliło się światło: Geordie skierował reflektor i otworzył ogień do ciemnych psów. Zawły, odstraszone nie tyle kulami, co jasnym światłem, i rozproszyły się rycząc ze złości i frustracji.

Drżąc, jak przestraszony chłopiec, Euan spróbował się uspokoić i zebrał ze śniegu karabin. Skinął Geordie'emu, który stawał na swoim dachu drugi reflektor i wszedł do kabiny, a tam, nie widziany przez nikogo, długo jeszcze siedział, kołyszając się na boki, dopóki przerażenie i adrenalina nie zniknęły z jego ciała.

Ciemne psy więcej nie wracały. Wkrótce Euana zmieniła Cura i, zupełnie rozbity, z ulgą powędrował do werdy. Zrzuciwszy ubranie, mężczyzna padł na łóżko obok Katelynn i zapadł w głęboki sen.

Nie wiedział, że tej nocy płakał we śnie i obudzona dziewczyna długo gładziła go po włosach i łagodnie coś śpiewała, aż szloch nie ucichły.

O świcie, kiedy Cura wróciła z warty, nie zobaczywszy ani jednego ciemnego psa, zwróciła uwagę, że Euan spał, położywszy głowę na brzuchu Katelynn, chociaż oboje byli ubrani. Ich przyjaźń wyraźnie przekształcała się w coś większego i staruszka nie miała wątpliwości, że sprawcą tego jest Katelynn.

"Powodzenia wam życzę" - pomyślała bez najmniejszego przekonania. Cura wiedziała, że Euan szuka swojej rodziny i miała nadzieję, że ich odnajdzie, ale jednocześnie miała wrażenie, że jest to mało prawdopodobne. Nigdy nie widziała żony Euana i nie doświadczała do niej żadnych uczuć. A Katelynn jest dobrą dziewczyną, chociaż trochę tajemnicza. A może to już taka jest dziewczyna? Staruszka dobrze poznaje ludzi, patrząc nie na wygląd, a od razu do środka i w przypadku Katelynn zrozumiała od razu: to nie jest taka małolata, jak się zdaje.

Starając się nie obudzić śpiących, staruszka zaczęła po cichu przygotowywać śniadanie. Tydzień temu Cyganom udało się wymienić kilka tuzinów jajek. Włożywszy je do wody, żeby sprawdzić świeżość, Cura stwierdziła, że zrobi grzybowy omlet.

Euana i Katelynn obudził smakowity zapach.

Pojąwszy, gdzie się znajduje, Euan szybko stanął na nogi, chociaż w ogóle nie chciało mu się podnieść. Katelynn dochodziła do siebie dłużej: prawie nie spała od chwili, kiedy Euan wrócił z burzliwej zmiany, a teraz, usiadłszy na łóżku, przecierała powieki, niczym wypełnione ołowiem.

- Co się działo w nocy? - spytała

Euan odpowiedział, nie podnosząc oczu:

- O mało nie zabił mnie ciemny pies.

- Jak to? Wyszedłeś z kabiny?

- Zapomniałem zamknąć drzwi.

- Ty idioto! - krzyknęła Katelynn i przyłożyła mu pięścią w ramię; następnie, zamachnąwszy się, uderzyła jeszcze mocniej.

- Ej, co chcesz? - zapytał zdziwiony mężczyzna i odsunął się od niej.

- No, wystarczy, gołąbki! - oznajmiła łaskawie Cura. - Każdy popełnia czasem błędy.

- Zachowuje się jak mały chłopiec - mruknęła Katelynn. - Jakby był jedyny w całym świecie...

- Geordie mówi, że wykończyłeś jednego psa w pojedynkę - powiedziała Cura, wypatrując reakcji Euana.

Ten w milczeniu skinął, jedząc omlet.

- Nie rozumiesz, co to oznacza? - zapytała staruszka z zagadkowym uśmiechem.

Euan wzruszył ramionami.

- Zabiłeś ciemnego psa, Euan. Jeden na jednego. Na ziemi. Nikt z naszych czegoś takiego nie dokonał. I nie słyszał, żeby ktoś mógł dokonać - wytłumaczyła Cura. - Geordie mówi, że rozciąłeś go nożem. Wierzy, że wszystkich pozostałych też byś rozerwał na kawałki, gdyby się nie wtrącił.

Euan wzdrygnął, a Katelynn wzięła go za rękę.

- Gdyby się nie wtrącił, już by mnie nie było - burknął mężczyzna.

- W rzeczy samej, wszyscy to rozumieją. Ale i tak przyjdzie ci być uznawanym za bohatera. Ludzie potrzebują takich przykładów. Potrzebna jest nadzieja, że damy radę, że przetrwamy. Że wywalczymy z powrotem nasz świat.

Euan sceptycznie pokręcił głową.

- Nadzieja jest potężną rzeczą - kontynuowała Cura. - Tylko dzięki niej ciągle walczymy, dzięki niej nie poddajemy się.

Euan, w końcu, nappełnił usta omletem i, nie przerywając przeżuwania, odparł:

- To oczywiste. Tylko bohater ze mnie żaden.

Katelynn zaśmiała się, ale zauważywszy zdziwiony wzrok mężczyzny, zasłoniła usta ręką:

- Przepraszam.

- Cura także się uśmiechnęła.

- Co? - spytał Euan, lekko zdenerwowany takim wielkim zainteresowaniem jego osobą.

- Porzuciłeś bezpieczeństwo i wygodę i wyruszyłeś w mroźne, śmiertelne pustkowia w poszukiwaniu swojej rodziny, nie widząc nawet dokąd ich zabrali i czy jest jeszcze szansa sprowadzić ich do domu - powiedziała Cura.

- A po drodze znalazłeś czas, żeby mnie uratować - dodała Katelynn.

- Każdy by tak postąpił - stwierdził Euan.

- Nie, tak postąpiłoby bardzo niewielu - oznajmiła staruszka. - Inni myślą, że to łatwe, a jak przychodzi co do czego, to znajdują tysiąc wymówek, że pozostać w domu, w ciepłe i bezpieczeństwie. - I zaczęła wymieniać drwiącym tonem, zginając palce: - Nie wiem, dokąd poszli. Nie mam amunicji. Mam obowiązki wobec wspólnoty. Świat jest pełen niebezpieczeństw, powstają tam przeróżne koszmary... W ogóle, to ta lista nie ma końca.

- I jak potem spać po nocach, wiedząc, że niczego nie zrobiłeś? - zamyślił się Euan.

Katelynn, zapatrując się w niego, uśmiechnęła się z zadowoleniem i zabrała się za jedzenie.

- Mam nadzieję, że nigdy tego nie zrozumiesz - powiedziała miękko Cura i podała mu skórzany sznur, na którym wisiał srebrzysty dysk wyglądający jak koło od wozu. - To dla ciebie, Euan.

Skromny dar dla wielkiego człowieka.

Euan miał już odmówić, ale Cura nie dała mu powiedzieć choćby słowa:

- Nie często daję prezenty i obrażam się, kiedy ich nie przyjmują.

Uśmiechnęła się, a Euan postanowił nie wyklócać się.

- No dobrze, dziękuję. Piękna rzecz.

Staruszka delikatnie poklepała go po policzku:

- A teraz szybko kończcie jeść. Nasi chcą was widzieć.

Po zjedzeniu śniadania ubrali się, pomogli gospodyni umyć naczynia, wyszorowali śniegiem patelnię i wyszli z wozu. W centrum obozu zebrali się już ludzie.

Przy kabinie, gdzie Euan stoczył walkę, śnieg pokryty był czarnymi i bordowymi plamami, ale martwego potwora już tam nie było: Cyganie zabrali ciało. Na widok Euana wszyscy zaklaskali.

Zaczerwieniwszy się, mężczyzna uniósł rękę, żeby powstrzymać nieoczekiwaną owację, ale ludzie ucichli, dopiero kiedy odezwała się Cura.

- Kiedy spaliście, zebraliśmy się i podjęliśmy decyzję. Wyruszymy do Doncaster, ale po drodze zrobimy mały objazd i odstawimy was do Conisbrough.

- Dziękuję - powiedział Euan i uśmiechnął się do wszystkich zebranych. - Ale po dłaczego macie tracić czas? Sami dam dotrzemy.

Te słowa spotkały się z chórem protestujących głosów:

- Nie ma kłopotu!
- Mamy po drodze!
- Na piechotę się zmęczysz!
- Gdzie ty dziewczynę ciagniesz?

Cura uniosła rękę i hałas ucichł.

- Jak widzisz, decyzja już zapadła. Przy okazji zobaczymy, czym tam w Conisbrough, można się pożywić - mrugnęła ona.

- A daleko stąd?
- Pół dnia drogi, piechotą albo werdą, tak że nie masz niczego do stracenia - odparł Geordie.
- Dziękuję - powtórzył Euan i uśmiechnął się.

Cyganie także wyszczerzyli się i, nie mówiąc ani słowa, uprzejmie pokleпали się nawzajem po ramionach i rozeszli się po swoich werdach.

- Pomóżcie mi rozgrzać kocioł - poprosiła Cura i Euan z Katelynn poszli za nią.

Godzinę później byli już w drodze, a Geordie, dotrzymawszy słowa, posadził Katelynn za kierownicą. Kierowała ogromną maszyną, sunącą po głębokim śniegu, a jej twarz promieniowała dziecięcą radością.

Wozy jechały bardzo wolno: możliwości silników pozwalały tylko na to, żeby wprawiać ich w ruch, o szybkości mogli tylko marzyć. Za to ani śnieg, ani błoto nie stanowiły przeszkody: werdy wszędzie wykopywały sobie drogę. To było szczególnie pożądane, gdyż Cyganie nie uznawali ani dróg, ani autostrad. Jechali prosto przez pola bez żadnego wysiłku przedzierać się przez drzewa i krzewy.

W werdzie Cury był kompas, który przymocowany był do deski rozdzielczej przed fotelem kierowcy; dzięki niemu wskazywała kurs, orientując się dzięki dalekim obiektom. Euan spytał staruszkę, jak wybiera ona trasę, a ta, śmiejąc się, odparła, że podróżuje po kraju już nie pierwsze dziesięciolecie i może jeździć po nim na ślepo.

Wokół, w przeciwieństwie do północy, były jedynie równiny i dlatego horyzont wydawał się być dalej. Czasem Euan wyobrażał sobie w oddali ruch, ale nie mógł rozgryźć, co to było. Do południa minęli po lewej zatopiony kamieniołom i czyjeś masywne ciało dało nura w głębinie przy ich zbliżeniu się, tworząc na wodzie wysokie fale. Z prawej stała zbombardowana wieś: nawet pod pokrywą śniegu było widać krater.

Wkrótce pokazała się rzeka, pierwsza prawdziwa rzeka, którą Euan widział w ciągu ostatnich dwudziestu kilku lat: wyrwała się z niewoli i płynęła przed siebie, unosząc ze sobą lodową krę. Zauważywszy podziw mężczyzny, Cura powiedziała:

- Z każdym rokiem jest u nas cieplej.

Conisbrough został zbudowany na wzgórzu i, oczywiście, miał lepsze czasy. Duża część miasta obróciła się w stopy poczeriałego gruzu na skraju kraterów wypełnionych śniegiem, lodem i wodą. Pod nimi, u podnóża wzgórza, przy samej rzece, wznosiła się wieża wartownicza średniowiecznego zamku, otoczona brudnym, ale wciąż mocnym murem. Zza muru unosiły się strugi dymu z ognisk i dochodziło odległe stukanie młotka.

Euan zaczarowany wpatrywał się w zamek: wydawało mu się, że w bramie zaraz pojawią się galopujący rycerze.

- Dziwna sprawa - zauważyła Cura. - Po wojnie ludzie na wsiach wrócili tam, gdzie ukrywali się przed niebezpieczeństwem ich przodkowie: do starych kościołów, zamków i tym podobnych. A szklane biurowce i płytowe bloki nie są nikomu potrzebne...

- W Glasgow schowaliśmy się w kolei podziemnej.

- Ale też nie wszyscy - stwierdziła smutno staruszka. - W pewnością, kiedy w tunelu zebrało się dostatecznie dużo ludzi, strażnicy zwyczajnie zamknęli drzwi?

Euan nie raz natykał się na sterty szkieletów przy wejściach do metra i próbował wyobrazić sobie rozpacz, którą czuli w tych ostatnich dniach ludzie pozostali na powierzchni, z dala od ukochanych. Niczego nie odpowiedział, ale Cura dostrzegła w jego twarzy smutek.

- Stare budynki są doskonałym ukryciem - kontynuowała. - Podziemne magazyny i grube ściany uratowały od odłamków, radiacji i zimna. A kiedy, już po wojnie, zaczęła się codzienna walka o wodę, żywność i paliwo, te budowle dawały swoim mieszkańcom wiele korzyści.

- I właśnie z tego powodu pierwotnie je budowali - powiedział Euan.

- Mieliliśmy taką cywilizację, że świat wydawał się małym... - rzekła zamyślona Cura. - A uratowały nas, koniec końców, mury postawione przez dalekich przodków...

Wtedy ogarnęła niespodziewana myśl i pospiesznie ją wyraził.

- A co robili Cyganie w pierwszych latach?

- Niewielu przeżyło. Zginęli od bomb, epidemii i innych okropności wojny. A najmądrzejsi i najsprytniejsi uciekli na pola, jak najdalej od wszystkiego.

Westchnęła i wzruszyła ramionami, jak gdyby nagle zwałił się na nią ogromny ciężar.

- Z początku kośliły nas choroby, głód, zimno i czarny deszcz, często padał po bombardowaniach jądrowych.

- A skąd wytrzasnęliście wasz tabor?

- Wielu z naszych umiało pracować z metalem. Jednakże, niedaleko od miasteczka Pickering, znaleźliśmy pewną interesującą budowlę - Cura mówiła nie odrywając wzroku od mostu kolejowego, po którym zamierzała przejechać. - Była to zajezdnia parowozów. Atrakcja turystyczna - rzekła i uśmiechnęła się sama do siebie: przez to jej słowa brzmiały teraz absurdalnie. - Zbudowaliśmy tam wozy z tego, co było pod ręką i ruszyliśmy w drogę. Spotkaliśmy innych Cyganów, daliśmy im schematy. I tak to się stało. Teraz wszyscy Cyganie Brytanii podróżują w takich wozach. W sumie po kraju jeździ teraz około dwunastu taborów.

Przed nimi wszystko było pokryte żwirem i gruzem i dalej Curze przyszło jechać do zamku po drogach, na których, o dziwo, nie był zardzewiałych karoserii samochodowych.

- Żyjecie lepiej niż inni. Nawet lepiej niż w Glasgow - oznajmił Euan.

- Koczujemy, Euan. Od jednego urodzajnego miejsca do drugiego. Pierwsi ludzie także tak żyli.

- Także powstałiście z popiołów starych tradycji?

- Nie, tylko my nie - Cura rozpląnęła się w uśmiechu. - Od niepamiętnych czasów tak żyliśmy.

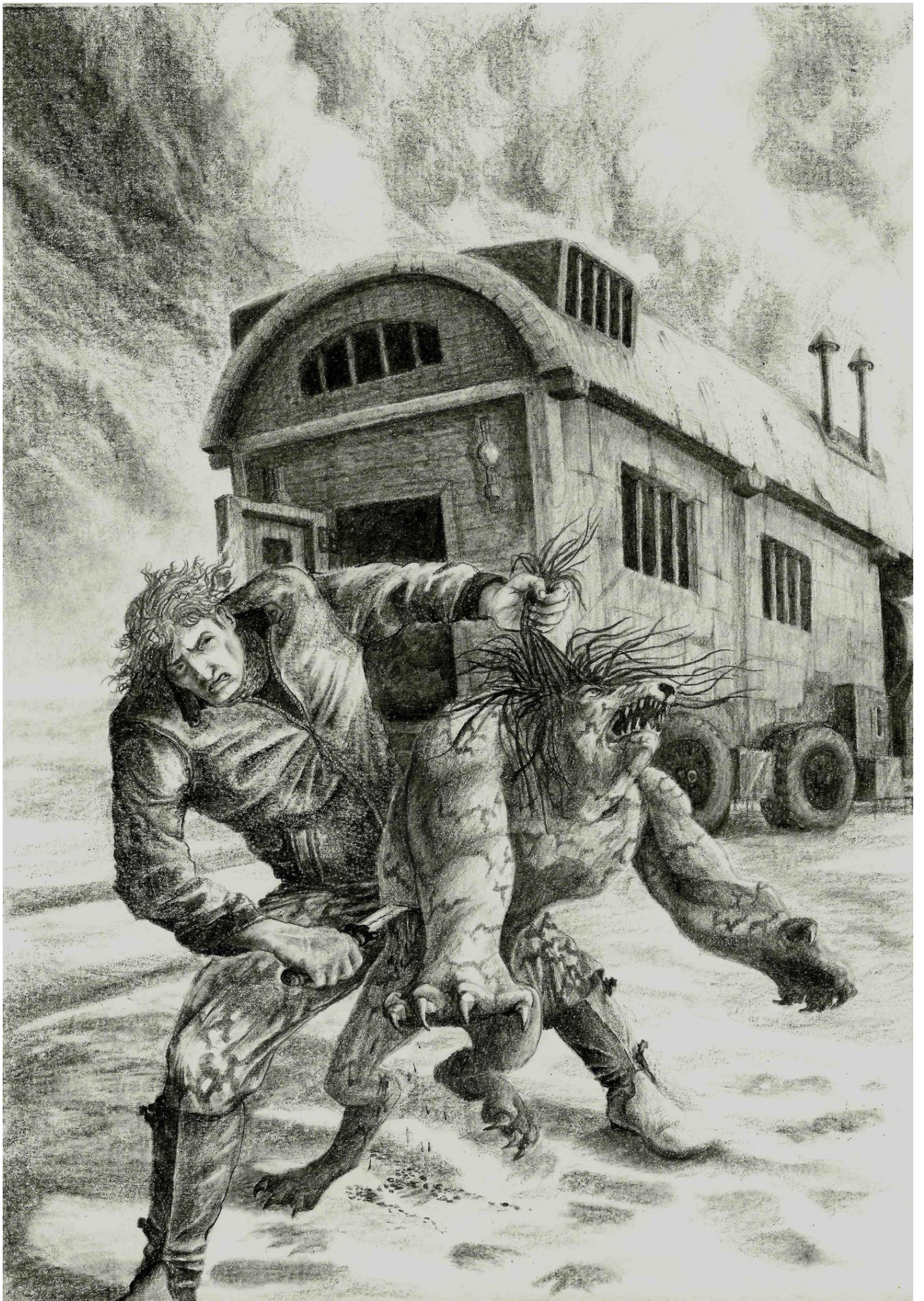
Przez to nas gonili wszędzie w każdym czasie. Nawet teraz łowcy niewolników ciągle starają się złapać nas z zaskoczenia, żeby zaciągnąć do swoich nor...

Werda wjechała na wzgórze i przed nimi rozciągał się stary zamek. Tam, gdzie mury niszczały i runęły, zostały one odbudowane i wzmocnione pasami lub blachą z żelaza. Przez długie lata żelazo zdążyło porządnie zardzewieć i wydawało się, jakby cała ściana była ubrudzona krwią.

Z góry otwierał się widok na wewnętrzny teren zamku: całą przestrzeń zajmowały grube jedno- lub dwupiętrowe budowle ze starych tirów, naczep i innego śmiecia. Z bliska już nic nie przypominało Euanowi o średniowieczu, oprócz wieży wartowniczej: patrzyła na to zardzewiałe mrowisko z góry, jak ostatni bastion dumy i czci, jedyna niemal w ogóle nie zmieniona od pradawnych czasów. Oczywiście, jeśli przykryje się oczy ręką tak, żeby nie było widać paskudnych wzmocnień z kontenerów na samym jej szczycie.

Dym unosił się nad całą osadą, wydobywając się z rur lub szczelin w dziurawych dachach. Na murze stali uzbrojeni ludzie i przyglądali się ich zbliżeniu.

Nagle Euan rozpląnął się w dziecięcym uśmiechu, a Cura zaśmiała się, ponieważ od razu domyśliła się jego myśli: z bramy zamkowej wyjechało dwoje ludzi na koniach i galopowali w kierunku wozów.



Rozdział 12

DRUIDZI

Cura zatrzymała werdę i wyszła z kabiny, oczekując jeźdźców.

- Euan, złotko! Bądź tak dobry, wyjdź na dach i pokaż im, że masz karabin - poprosiła cicho, ale poważnie.

To było mądre posunięcie: czasem demonstracja siły przydaje się bardziej, niż jej stosowanie.

Konie wyglądały na zdrowsze i lepiej odżywione od ludzi na ich grzbietach. Cura zdawała się przy nich karlicą. Zamieniwszy kilka słów ze staruszką, jeźdźcy żwawo zsiadli i zaczęła się żywa rozmowa. Euan nie słyszał, o czym rozmawiali, ale zauważywszy wesołe uśmiechy ma twarzach gości, odetchnął.

Jeźdźcy wskoczyli z powrotem na konie i pomachali Cyganom wychodzącym z innych wozów. Widząc, że ci odmachują w odpowiedzi, Euan stwierdził, że sam nie będzie odstawał. Cura machnęła do niego ręką, żeby zszedł i krzyknęła zadowolona:

- Już siódmy rok żyją bez lekarza. To znaczy, że jestem tu dużo warta!

Chociaż Euan był szczęśliwy razem z nią, to zauważył:

- Z pewnością dziwnie jest być uzdrowicielem i szukać zysku w cudzym nieszczęściu...

Cura zaśmiała się:

- Tak, pamiętam, jak to wygląda z boku. Po prawdzie mówi się, że nie bolą mnie ich problemy i choroby.

Euan spojrzał zdziwiony na staruszkę.

- Świat jest okropny, Euan. Cieszę się, że pomagam innym, ale tylko w zamian za to, co jest nam potrzebne. Każdy przetrwa po swojemu, a ja nie jestem wyjątkiem.

- Naprawdę wam jest wszystko jedno? - spytał Euan. - To okropne.

- Nie powiedziałabym. Pomyśl, ilu ludzi teraz cierpi lub jest w potrzebie? A ilu znasz uzdrowicieli? Zamilkła, przyglądając się, jak zdziwienie na twarzy Euana zmienia się w zrozumienie.

- Martwicie się tylko o tych, którzy z wami koczują? Którzy na to zasłużyli?

- Właśnie tak. Niech zwierzę udowodni, że jest człowiekiem; niech człowiek udowodni, że jest coś wart. To surowa zasada i nie zawsze jej przestrzegam. Zaraz po wojnie próbowałam uratować wszystkich naraz.

- I co się zmieniło?

- Opuściłam pewną kompanię, a oni związali mnie i gwałcili przez kilka dni z rzędu.

Od tego, jak spokojnie mówiła to staruszka, Euan poczuł się nieswojo.

- Uciekłam, ale od tamtej pory nie mogę rodzić.

- A... - zaczął Euan.

- Nie musisz niczego mówić. Nie ma o czym, i tak zarosło to dla mnie rzeczywistością. Ale od tamtej pory odnoszę się do ludzi... Sam wiesz.

- Więc dlaczego ty...

- Dlaczego wzięłam do taboru ciebie i dziewczynę?

- No tak... Dlaczego?

- Widzę w niej siebie, Euan. Młodą siebie.

Przed zamkiem było pole pokryte mocno podeptaną warstwą lodu; Cyganie skierowali tam swoje werdy, ustawili je w okrąg i zebrali się w jego centrum. Po tym dorośli zaczęli rozładowywać wozy, a dzieci stawiać między nimi płyty ze sklejki, żeby zostało tylko jedno przejście prowadzące do obozu i na odwrót. Pod baldachimem, rozwieszonym na cienkich, metalowych szynach, były rozstawione stoły.

Dopóki dorośli rozkładali towary, dzieci, radośnie hałasując, wyciągały spod wozów wiązki gałęzi i drewna i ułożyły na środku obozu duże ognisko. Najstarszy z nich, czternastoletni chłopak, ukradkiem spoglądający na Katelynn, uniósł pochodnię, odpaloną od pieca, i ognisko zapłonęło.

Goście taboru z zafascynowaniem patrzyli na gorączkowe przygotowania, a Euan nawet nie zauważył od razu, że dziewczyna trzyma go za rękę.

Na stołach pojawił się szeroki asortyment: Geordie wystawił niedużą prasę i stertę naboju różnego kalibru. Cura - rzędy doniczek, szklanych naczyń i misek z ziołami i lekami. Jedna rodzina wyciągnęła generator diesla i podłączyli go do ładowarki do akumulatorów, które nagromadziły się u nich w dużych ilościach. U drugiej rodziny znalazły się porządne zapasy przedwojennych trunków - od whisky po piwo: i na wpół puste butelki, i nowe, nieotwierane. Na piątym stole był wystawiony prawdziwy rarytas: rolki bibuły w plastikowym opakowaniu, folia, zamknięte worki, narzędzia i przybory kuchenne. Szósty stół, za którym siedziała para staruszków, rówieśników Cury, był zavalony książkami i instrumentami muzycznymi.

Przy wesołym trzasku ogniska tabor ponownie zaczął żyć własnym życiem, jakby nie było strasznego i niebezpiecznego świata za jego ścianami. Geordie, przechadzający się po dachach, zainstalował wzdłuż obwodu reflektory oświetlające wejścia do obozu; jeszcze dwa snopy światła były skierowane do środka. Z głośnika na jednej z werd zagrała muzyka symfoniczna, roznosząca się echem po śnieżnych przestrzeniach, do samego zamku.

Mieszkańcy zamku, do tej pory stojący na murze i przyglądający się taborowi, wybiegli nagle z bramy, a każdy z nich niósł coś w rękach: żywą kurę, zardzewiałą łopatę, zestaw noży, akumulator, jajka, świeże gałązki mięty, sadzonki - wszystko, co więcej lub mniej warte. Kiedy pierwsza fala dotarła do obozu, Euan i Katelynn przyglądali się i weszli na dach wozu Cury, żeby nie zgubić się w tłumie.

Proces odbywał się energicznie: ceny swoich towarów włączędzy wymyślali w biegu, spoglądając na możliwości kupujących. Targowali się żąrcie, ale szczerze: u Cygan spotykało się rzadkie i cenne przedmioty i zamieniali je na to, czego nie mogli sami zdobyć: tuzin jaj za szybkie naładowanie akumulatora; dwa tuziny za nowy akumulator, sprawdzany w obecności kupującego. Książka chodziła po dwa duże buraki, które Cyganie dla pewności badali dozymetrem.

Dzień chylił się ku końcowi, pierwsi kupcy - przeważnie zadowoleni - wrócili z obozu do zamku; potok spóźnialskich ciągle się ciągnął, ale mała w oczach. Reflektory świeciły, dopóki ostatni klient nie wrócił bezpiecznie do zamku i dopiero wtedy Cyganie zaczęli się pakować.

Wieczorem, kiedy stoły zostały schowane, wszyscy mieszkańcy taboru jedli razem kolację, siedząc wokół dużego ogniska. Dzieci tańczyły i wszyscy chcieli dowiedzieć się więcej o Euanie i Katelynn. Jedli wspólnie i obficie, a spali głęboko i widzieli dobre sny. Kładąc się do łóżka, Cura słyszała, jak Katelynn spytała zasypiającego towarzysza:

- Euan, nigdy mnie nie porzucisz, prawda?

Ten, śpiący od wydarzeń, jedzenia i ciepła wozu, odparł bez wahania:

- Nigdy...

Spał już, kiedy Katelynn odpowiedziała do siebie, nie wiedząc, że staruszka słyszy:

- Więc i ja nigdy cię nie porzucę...

Do świtu chmury rozproszyły się i w jasnym świetle słonecznym śnieg wydawał się oślepiająco czystą kołdrą pokrywającą ziemię. Euan i Katelynn wyszli z werdy w ciemnych okularach i podeszli do Cury i Geordie'go, którzy spokojnie rozmawiali z dwoma jeźdźcami z wczoraj. Z początku rozmowa dotyczyła tego, co jest potrzebne mieszkańcom zamku i co z tego Cyganie mogą przywieźć następnym razem. Potem Cura przedstawiła swoich gości:

- To są wędrowcy, którzy chwilowo mają z nami po drodze. Euan, Katelynn: to Sam, a to Carl.

Dwójka z zamku z szacunkiem pokłonili się Katelynn i podali rękę Euanowi. Carl, idealnie pasujący do swojego imienia, był niskiego wzrostu, prawie karłem, ale, zdawało się, patrzył na nich z góry.

- Cura mówi, że szukacie Sary? - spytał głosem niezwykle niskim dla takiego małego człowieka.

Euan skinął:

- Skierował nas tu imam z Yorku.

- Imam? - zdziwił się Carl.

- Tak, imam Husajn.

- Husajn? To taki nieco wyższy ode mnie?

- Pakistańczyk? - wtrącił Sam.

- Tak, dokładnie - potwierdził Euan.

- Nie wiedziałem, że nazywa się Imam - powiedział Sam, kiwając głową.

Carl tylko przewrócił oczami i zwrócił się do Euana i Katelynn.

- Sary nie ma teraz w zamku. Jest w Doncaster, u druidów.

- Że co, macie tu druidów? - spytał Euan, uśmiechając się żartobliwie.

Carl i Sam patrzyli na niego bez cienia uśmiechu.

- Oni naprawdę w to wierzą, Euan - oznajmił Carl.

- Lepiej z nimi nie zadzierać - dodał Sam.

- Dlaczego?

Mężczyźni zawahali się i rozejrzeli, czy nie ma w pobliżu dodatkowych uszu. Ale Cura, widząc ich niewygodne położenie, pierwsza odpowiedziała:

- Oni ożywili dawne wierzenia. Ale tu jest kłopot: wierzenie jest tak stare, że nikt nic o nim nie wie.

Euan nie rozumiał, co miała na myśli.

- Prawdziwi druidzi żyli tysiące lat temu. Z ich ludu, Celtów, nie została się żadna kronika... Nic spisanego. A moda na druidów została.

- Czyli teraz wyobrażają sobie co chcą? - spytała Katelynn.

- Nie zupełnie. Przed wojną byli ludzie nazywający się druidami. Ich wiara była oparta na starożytnych tekstach, które każdy z nich mógł interpretować po swojemu.

- No a co ja powiedziałam? - powiedziała zadowolona dziewczyna. - Wymyślają sobie, co chcą.

- Wychodzi na to, że tak - zgodziła się z uśmiechem Cura.

- Ale jeśli dużo ludzi w coś wierzy, to jest już prawda? Dla nich? - wtrącił się do dyskusji Geordie.

- Nie, to się nazywa uzgodniona rzeczywistość. Albo masowa halucynacja - oznajmiła staruszka. - To znaczy, że wszyscy ci ludzie są łatwowiernymi durniami.

- I to jest cała religia - powiedział Sam i splunął na ziemię, ale wtedy, złapawszy się, rozejrzał się wokół z poczuciem winy.

- Więc czemu ich się bać? - spytał Euan. - Dlaczego ich tak nie lubicie?

- Wierzą w to, że mogą uleczyć ziemię i ukrócić cierpienia ich mieszkańców - rzekł basem Carl.

- Jak to? Co oni, naukowcy?

- Już nie - odparła mrocznie Cura.

- Ja już nie rozumiem. Jak oni zamierzają leczyć i ukrócić cierpienia?

- Magią - powiedział zagadkowo Sam.

- Jak ty coś palniesz... - Carl znowu przewrócił oczami.

- No to czym? - zapytała Katelynn.

- Druidzi mieli dziwną wiarę - stwierdziła Cura. - Na przykład za najlepszy dar dla bogów uważali ludzkie życie.

- Coś mi mówi, że nie robili im dzieci - mruknął Euan.

Cura pokręciła głową.

- Znoszą ludzi na ofiarę?

Cała czwórka pokiwała głowami. Katelynn stanęła bliżej Euana, a on objął ją.

- I nikt z tym nic nie robi? - spytała dziewczyna.

- Wiara jest silną bronią, tak jak strach - odparł Carl. - Druidzi korzystają i z jednego, i z drugiego.

- A dlaczego Sarah jest z nimi? Dzieli z nimi wiarę? - zapytał Euan.

Mężczyzna zaśmiał się.

- Nie. Ona ich powstrzymuje. Pilnuje, żeby siedzieli w swoim bagnie i nie pakowali się do nas.

- Jak się to jej udaje?

- Sarah sprzedaje im jemiolę - powiedział Sam. - Jest bardzo potrzebna do jakiś druidzkich obrzędów, a u nich z jakiegoś powodu nie rośnie.

- I kiedy wróci? - zaciekała się Cura.

- Ze dwa, trzy dni - oznajmił Carl. - Możecie poczekać, jeśli chcecie.

- Myślę, że tak właśnie zrobimy - powiedziała staruszka do Euana. - Poczekamy razem z wami.

- Albo, jeśli chcecie, możecie poczekać w zamku - zaproponował Carl.

- Dziękuję za propozycję - odparł Euan, - ale zostaniemy z Curą, skoro już postanowiła się zatrzymać.

- Damy wam znać, kiedy Sarah wróci. O ile sama nie przyjdzie do was wcześniej.

Wszyscy podali sobie nawzajem ręce i rozeszli się.

Wieczór w cygańskim taborze minął cicho, bez incydentów, tylko kilka osób pojawiło się z zamku, żeby wymienić jakieś drobiazgi.

Po kolacji Euan i Katelynn pomogli Curze umyć naczynia i wkrótce staruszka, zmęczona dniem, poszła spać. Goście także nie siedzieli zbyt długo: w końcu szansa na wyspanie się w spokoju i bezpieczeństwie nie nadarza się często. Silnik parowy wyłączono, ale małe piec wystarczył, żeby ogrzać cały wóz i w ciepłe zmorzyło ich niemal natychmiastowo.

W głowie dzwoniło, po wozie hulał wiatr, płatki śniegu padały na twarz.

Otworzywszy oczy, Euan wyszedł ze spiwora i zamknął drzwi. Następnie wziął z półki latarkę Cury i poświecił na zamek: był cały. Mężczyzna wrócił sprawdzić, czy zimno nie obudziło Cury. Zasłona była odsunięta, a pościel w nieładzie.

Cury nie było w wozie.

Euan stał chwilę, próbując zebrać myśli i nagle zrozumiał, że stoi w tym samym miejscu, gdzie wczoraj zasnęła Katelynn. Ogarnięty nagłą paniką, rozejrzył się: po kobietach nie było śladu, ale - co jeszcze bardziej go zaniepokoiło - ich buty, płaszcze i plecak Katelynn były na miejscu.

Ubrawszy się szybko, Euan zabrał rzeczy i poszedł budzić Geordie'go. Tak mocno walił w drzwi pojazdu, że obudził nie tylko wszystkich Cygan, ale i wartowników na murach zamku: skierowali oni na tabor reflektor, żeby upewnić się, czy wszystko w porządku.

- Euan, czego hałasujesz? - spytał sennie rozczochrany Geordie, ledwie pojawiwszy się na progu. Ale, zobaczywszy nerwowy wzrok i bladą twarz Euana, sam się zmartwił: - Czemu jesteś taki zdenerwowany?

- Cura i Katelynn zniknęły. Nie ma ich u ciebie?

Geordie pokręcił głową i rozejrzył się: wokół już pojawiły się twarze ludzi z innych wagonów.

- Ej, Romowie, widział kto Curę i dziewczynę?

Po przyjaznym gwarze było wiadomo - nikt.

- Ach, to źle! - powiedział Geordie i wziął buty i płaszc, które podała mu w milczeniu Layla. - Opowiadaj, jak było.

- Obudziłem się. Było zimno. - Euan zamilkł; więcej nie było czego opowiadać.

Geordie zamarł, nie zakładając do końca butów.

- Layla, chodź no, spójrz na niego. Coś jest nie tak.

Ta wystąpiła i uważnie spojrzała w oczy Euana, zwracając go twarzą do światła.

- Odurzono go. Gazem albo czymś takim.

- Tak też myślałem...

Geordie wstał, poskakał na śniegu i wydobył skądś dziwną broń, której Euan wcześniej nie widział. Cygan pochwycił jego spojrzenie i wyjaśnił w biegu, kierując się do centrum obozu, gdzie już zabierali się ludzie:

- Karabin snajperski, żołnierze używali go przed wojną. Sam robię naboje do niego.

- Z pewnością dobry.

- Dobry czy nie - drugiego takiego jak dotąd nie widziałem.

Dało się słyszeć tupot koni i w świetle reflektorów do obozu wpadli na koniach Carl ze strzelbą w ręce, a w ślad za nim pięciu mężczyzn z zamku.

- Brakuje wam kogoś?

- Dwóch kobiet - odparł Geordie.

- My też - oznajmił ponuro Carl i skinął na swoich towarzyszy. - To ich bliscy. Jedziemy je uratować.

- Idziemy z wami - powiedział Euan, strząsając resztki narkotyku.

- Czemu nie - zgodził się konus. - Razem weselej...

Wydawało się, że i ludzie z zamku, i mieszkańcy taboru doskonale wiedzą, dokąd iść. Euana to trochę niepokoiło, jednak, kiedy powiedział o tym, Carl zaraz zmienił temat, a Cyganie zwyczajnie sprawiali wrażenie, że nie słyszą.

Szli na północny wschód po niezwykle pustej drodze. Wszystkie samochody były przestawione na pobocze i przez to zaśnieżona, asfaltowa droga przemieniła się w aleję, gdzie zamiast drzew z dwóch stron ciągnęły się rzędy zardzewiałego żelastwa, będącego niegdyś nowoczesnymi osiągnięciami techniki. Droga zakreśliła w sumie dwa razy i przeważnie szła prosto, dopóki grupa nie stanęła na moście, pod którym ciągnęła się szeroka autostrada niepokryta śniegiem.

Euan porównał wyobrażoną mapę w głowie.

- To trasa A1?

- Dokładnie, bracie. I cholerny mech też na miejscu - odparł Carl.

- Co to takiego?

- Pojęcia nie ma.

- On jest wszędzie, Euan - powiedział Geordie. - Ciągnie się po tej drodze przez cały kraj.

Carl spojrzął w dół przez barierkę i soczyście splunął w mech.

- Dalej nie spieszymy się i patrzmy w obie strony - oznajmił.

Z tamtej strony mostu czekało na ich okropne pozdrowienie od mieszkańców okolicy. Droga szła między rzędami zniszczonych budynków i przechodziła w bulwar. Drzewa po bokach ostały się - nagie i zwęglone, czerniejące na tle domów z oknami pustymi jak niebo. Na gałęziach wisiały trupy w różnych stadiach rozkładu.

Szczury, ptaki i inni padlinożercy nie raz żerowali na tych pozostałościach, zamieniając je w żywy pomnik przemijalności życia. Gdzieś tam wisiały ciała ciemnych psów, zachowane znacznie lepiej niż ludzkie: widać trupojady brzydzą się nimi.

Jednego z Cygan zemdlilo wprost na drodze. Euan sam ledwie wytrzymał: poczuł się źle na samą myśl o tym, że na następnym drzewie może wisieć Katelynn.

Geordie położył mu rękę na ramieniu:

- Nie bój się, przyjacielu. Nie ma jej tutaj. Mamy jeszcze czas.

Euan oczekiwał wyjaśnień, ale ich nie otrzymał, i grupa ruszyła dalej w całkowitym milczeniu.

Im głębiej zapuszczali się w ruiny miasta, tym więcej oznak życia spotykali. To tu, to tam natykali się na ocalałe domy, w oknach widniały odbicia ognia, albo z kominów unosił się dym ku czarnemu niebu. Minęli jeszcze jeden most, pod którym ciągnęła się zalana linia kolejowa, po czym Carl podszedł do Euana.

- Kiedyś, dawno temu, było tu jedynie bagno. Potem osuszyli je, ale po wojnie systemy osuszające zepsuły się i teraz mamy tu z powrotem pełno błota.

Kiedy patrzyli w dół, coś wpadło do wody. Euanowi wydawało się, że to był szczur, ale, sądząc po dźwięku i rozbrzgu, rozmiarem dorównywał porządnemu psu.

- Jeśli się rozdzielimy, pamiętaj: jest to jedyna droga do centrum miasta i z powrotem. Wszystkie inne zamknęły albo zniszczyli druidzi. Żeby odgrodzić się od świata. Mówili, że niczego od niego nie potrzebują - powiedział Carl.

- Kłamali - stwierdził ponuro Euan.

- Zaczekam tutaj - Carl zatrzymał konia. - Nie mogę się wtrącać.

- Dlaczego? - zdziwił się Euan.

- Przyjdzie nam jeszcze żyć obok tych wariatów. Jestem najważniejszy w zamku, ja będę później z nimi dyskutować.

- Dlaczego godzicie się na to? - Euan pokręcił głową.

- A co robić? W zamku nie brakuje ludzi, którzy wierzą w ich bogów.

Geordie zmierzył go zimnym wzrokiem:

- Wcześniej już tu handlowaliśmy, ale nikt nas nie nękał.

- No, znaczy, teraz o coś poproszą - powiedział Carl. - Nie traćcie czasu. Jeśli się spóźnicie, ceremonia zacznie się bez was.

- Jaka znowu ceremonia? - zapytał Geordie, ale Carl tylko zawrócił konia i odjechał.

Geordie pociągnął lekko Euana za rękę. Puściwszy pozostałych przodem, podszedł bliżej i wyszeptał mu na ucho:

- Pójdę, schowam się w ruinach. To mi dobrze idzie.

Euan skinął głową.

Nie bój się: w odpowiednim momencie będę gotowy - oznajmił Cygan i, pomilczawszy, dodał: - Kłamał. Jest jeszcze jedno wyjście. Trzeba biec w kierunku rzeki i modlić się, żeby ci się udało.

Mrugnął do Euana i wkrótce, kiedy grupa przechodził obok trzech wieżowców, z których jeden osiadł, opierając się o sąsiadujący, niezauważalnie rozplątał się wśród cieni i śniegu. Euan sprawdził broń i rozciągnął pasy na pochwie na nóż.

Ich droga prowadziła obok ronda i dalej - do centrum miasta, gdzie wiele domów się pięknie zachowało, chociaż były ubrudzone sadzą. Teraz wzdłuż drogi, z obu stron, stały metalowe beczki, w których płonął ogień: skądś z przodu rozlegały się śpiewy.

Na ostatnim skrzyżowaniu droga odbiegała w cztery strony, ale z lewej, za rogiem, migotał blask ogniska i grupa skierowała się tam. Czekał ich dziwny i dziki widok: na placu przed dużymi domami płonął ogień w otwartym kamiennym palenisku. Przed paleniskiem stały cztery metalowe drzewa, a pod każdym z nich kamienny ołtarz, i na każdym ołtarzu leżała na plecach naga kobieta.

Euan od razu zauważył Katelynn, drżącą z zimna, i Curę, leżącą na sąsiednim ołtarzu bez przytomności. Katelynn także go zobaczyła i poruszyła się, ale liny trzymały mocno, a gruby knebel dusił w gardle krzyki o pomoc. Euan rzucił się do przyjaciółki, ale czyjaś ręka silnie złapała go za ramię i utrzymała na miejscu.

- Nie bądź głupi, chłopie. Poczekaaj trochę. Pospieszysz się - wszystko zepsujesz.

Oddział powoli ruszył po drodze na plac. Euan dostrzegł, że kobiety są przywiązane tak, że nogi były szeroko rozwarłe, a ręce ściągnięte w dół, pod kamienną płytę. Ten widok wzbudził w nim jakieś pierwotne uczucie i poczuł wstyd przed Katelynn, którą tak starannie chronił, i przed swoim rodzimym Metrem, gdzie ludzie żyli ciężko i biednie, ale tracili ostatnie siły na to, żeby uszanować wzajemnie ludzką godność.

Kiedy szli do ołtarzy, z drzwi domu na przeciwko wyszła na szerokie schody procesja w brązowych szatach, z kobietą na czele. W tym że momencie ze wszystkich domów wokół placu wyszli ludzie. Euan i jego nieduża grupa znaleźli się w ciasnym kręgu i już nie szli, a byli prowadzeni i popychani na plac.

Wysoka postać w brązowym ubraniu pierwsza dotarła do podnóża jednego z ołtarzy i wytwornym gestem nakazała grupie Euana zatrzymać się. Kobieta stała dalej na schodach. Pozostali druidzi - dwadzieścia osób z naciągniętymi na twarz kapturami - obeszl ją, schodząc na plac i stanęli po pięciu przy każdym z ołtarzy. Kobieta przemówiła czystym i dźwięcznym głosem:

- Ludzie Brytanii, fáilte!¹⁰

I wszyscy ludzie zebrani na placu powtórzyli echem: "Fáilte"!

- Matka Ziemia oczekuje krwi! Życie pochodzi z ran powstałych przez wojnę! - kontynuowała ona i ludzie ponownie powtórzyli niczym echo:

- Przez wojnę!

- Powstałych przez okrucieństwo!

- Przez okrucieństwo!

- Powstałych przez nienawiść!

- Przez nienawiść!

- Kobieta zamilkła, a Euan zauważył, jak tłum w oczekiwaniu pochylił się do przodu.

- Musimy przywrócić życie ziemi, życie - do łona życia!

- Życie - do łona życia! - powtórzyło echo.

- I ziemia pobłogosławi ludzi!

- Pobłogosławi ludzi!

- Więc przyniesiemy jej nasz dar: życie w łono życia!

Starsi duchowni przy każdym z ołtarzy monotonicznie powiedzieli po kolei:

- I będzie życie na wschodzie.

- I będzie życie na zachodzie.

- I będzie życie na południu.

- I będzie życie na północy.

Nastąpiła cisza i w tej ciszy rozniósł się głos kobiety stojącej na schodach:

¹⁰ Celtyckie pozdrowienie (przyp. aut.)

- I będzie życie na ziemi! Niech życie, wróciwszy na łono ziemi, zdejmie klątwę zimy!

Przy tych słowach każdy z czterech mężczyzn, wypowiadający słowa rytuału, uniósł krawędź płaszcza - i Euan zaraz zrozumiał, co zamierzają zrobić. Nie zastanawiając się, zerwał z ramienia karabin, gotowy w tej samej chwili przystąpić do nierównej walki, a wtedy człowiek z zamku, który zatrzymał go za pierwszym razem, wystąpił i głośno oznajmił:

- Przybyliśmy zgodnie z prawem męża, brata, ojca i przyjaciela.

Czterej kapłani zmęczonymi ruchami zdjęli swoje szaty i odeszli na kilka kroków od bezbronne leżących kobiet. W duszy Euana wciąż panował lodowy i stanowczy spokój, ale postanowił zaczekać z przemocą i popatrzeć, co stanie się dalej.

Kobieta na schodach obróciła się ku temu, który przerwał obrzęd, dostrzegła karabin w rękach Euana, ale nie pokazała nawet cienia zaniepokojenia.

- Wnioskujący, jesteście gotowi dać zwyczajowy prezent zamiast daru życia na łono życia? - spytała poważnie. - Co możecie zaproponować w zamian za wielki dar dla Matki Ziemi?

- To jest wymuszenie! - wyszeptał z oburzeniem Euan.

- No tak - wyszeptał mu w odpowiedzi mężczyzna z zamku.

- Bydlaki!

- No tak - powtórzył mężczyzna i głośno zwrócił się do kobiety: - Jaki dar od nas przyjmiecie?

Kobieta sprawiała wrażenie, jakby pogryzła się w myślach, po czym gestem przyzywała do siebie starszych kapłanów i cała piątka udała, że zastanawiają się nad tym trudnym pytaniem wspólnie. Następnie kapłani wrócili do swoich ofiar i pierwszy przemówił ten, który stał przy Curze.

- Przyjmiemy w dar spirytus, żeby przemywać nasze rany - ogłosił śpiewnym głosem i zamilkł, oczekująco patrząc na grupę Cyganów.

Jeden z nich wystąpił i powiedział:

- Dobrze, damy.

Kapłan machnął ręką, pozwalając Cyganom zabrać Curę, która zaczęła już sinieć. Kiedy ją rozwiązywali, owijali w płaszcz i ściągali z ołtarza, od ludzi z zamku zażądali w zamian za dwóch jeńców filtry do wody i kilka żywych kur, na co ci, niechętnie, zgodzili się i wtedy zostali dopuszczeni do ołtarza.

Przyglądając się temu, jak wypuszczają jeńców, tłum mruknął z irytacją. Ktoś z widowni szczerze się rozczarował i wrócił do domu, do ruin, gdzie było choć trochę ciepłej, niż na placu. Ostatnia została Katelynn, którą wstrząsał silny dreszcz na zimnym kamieniu, a Euana ogarniała rozpacz: nie miał nic do zaoferowania tym fanatykom. Wciąż trzymając karabin, zrobił krok do przodu i zwrócił się do druida stojącego przy ołtarzu:

- Jaki dar przyjmiecie ode mnie?

Druid otworzył już usta, ale kobieta na schodach przerwała mu, spoglądając na automat w rękach Euana i podstępny uśmiech zagościł na jej ustach.

- Ten, kto przyszedł z wojną, pozbawiany jest prawa rozmowy z gajem. Przyniosłeś broń do tego świętego miejsca - powiedziała z nieskrywaną radością i zwróciła się do tłumu: - Ten człowiek przyniósł ze sobą niezgodę i przemoc!

Tłum zawył z oburzenia i zachwyty, wyczekując szybkiego wyroku nad ofiarą.

- Nie przyjmujemy od niego darów. Ale jego kobieta zaniesie dar życia na łono życia i tylko tak odpokutuje jego grzechy.

Ryk tłumu przeszedł w śpiew:

- Aven!

- Aven!

- Aven!

Kobieta obróciła się do kapłanów i dała im znak, żeby zaczęli obrzęd.

- Zostawcie ją! - krzyknął Euan, ruszył przed siebie i powtórzył, cedząc każdą sylabę: - Zostawcie!

Tłum wściekle ryknął i piętnastu druidów, pozbawionych swoich ofiar, rzuciło się na Euana, trzymając w rękach krótkie noże z zakrzywionym ostrzem. To tu, to tam w tłumie błyskały już lufy wcelowane w Euana. W tym momencie rozniósł się daleki trzask, a główna kapłanka padła martwa, zraszając swoją krwią stopnie schodów. Następny padł druid zawisły nad Katelynn: trafiła go w głowę kula kalibru .338 i jego twarz z okropnym młasińcem rozpadła się na kawałki.

Ryk tłumu zmienił się w krzyk przerażenia i ludzie na placu, natychmiastowo straciwszy zapał do walki, rozbiegli się gdzie popadnie. Druidzi rzucili się do głównej kapłanki, leżącej na schodach, jak zepsuta lalka. Droga do ołtarzy była wolna.

Ktoś złapał Euana za rękę, utrzymując go w połowie drogi.

- Jestem Sarah. Powiedzieli mi, że mnie szukasz. Zabieraj dziewczynę i biegnij ze wszystkich sił! - powiedziała nieznajoma kobieta i wskazała na zaułek po drugiej stronie placu.

Euan sam wiedział, że trzeba uciekać, a teraz już wiedział dokąd. Rzuciwszy się przed siebie, zarzucił karabin na ramię. Nóż, jak sam z siebie, pojawił się w jego ręce i, niczym masło, rozciął grube liny. Naga i bezbronna Katelynn spoglądała na zbawiciela pustym, sennym wzrokiem.

- Trzymaj się! - krzyknął, chwytając dziewczynę ręką i zarzucając ją sobie na ramię. Następnie wsadził nóż za pas, wyciągnął pistolet i rzucił z drogocennym balastem przez tłum, rozdając rękojęścią uderzenia na prawo i lewo.

Wąska alejka doprowadziła go na były plac targowy, zarośnięty nędznymi slumsami ze zgniłych desek, prętów i zardzewiałej blachy zamiast dachów; za nimi górował duży budynek, z którego pachniało nawozem.

Z ciemnego otworu wejściowego prosto na Euana wyskoczył człowiek z dubeltówką. Krzyczał coś, ale uciekinier nie był w stanie zrozumieć słów: zbyt głośno pulsowała krew w uszach. Nic nie odpowiedział - odezwał się za niego pistolet.

Euan przebywał ciemne, wrogie miasto, ślizgając się na zdradliwym błocie pod nogami. Kilka razy prawie upadł, obdarł kolana do krwi, ale ani razu nie wypuścił z rąk Katelynn. Mijając rynek biegł, potykając się i ciężko dysząc, między rzędami zardzewiałych samochodów, na wieki zaparkowanych wzdłuż ulicy. Z prawej stał niekiedy biały budynek, podziurawiony wybuchami i poczerniały od dymu. Z lewej rozciągały się ruiny starego kościoła, z którego została tylko południowa ściana.

Drogę zagroziło trzech mężczyzn i trzy lufy wcelowały się w pierś Euana, ale gdzieś w oddali za jego plecami Geordie dotrzymywał danego słowa: dwóch upadło od razu, trafionych z taką siłą, że kule, które trafiły ich w klatki piersiowe, rozniosły im plecy. Trzeciego powalił sam Euan, trzema wystrzałami z pistoletu, i przeciwnik jak kłoda padł na asfalt.

A dalej był kanał i nie było dokąd biec, a później trzeba było spaść.

Znajomy głos krzyknął gdzieś z lewej:

- Tutaj!

Euan obrócił się, oglądając się na lewo. W ciemności i bezsilności zupełnie stracił orientację. Głos przemówił ponownie:

- Tutaj, szybciej!

I wtedy poznał: Sarah.

Euan pokuśtykał do niej, a w tym czasie jeszcze dwóch prześladowców wyskoczyło z ciemności i zaraz padli na asfalt. Dostrzegłszy to kątem oka, uciekinier podziękował w myślach niebiosom za Cyganów i za ich wierność. "Żeby tylko Geordie dotarł do domu" - pomyślał i w tym momencie zobaczył Sarę.

- Wskakuj, szybko! - nakazała kobieta, pokazując na barkę zacumowaną na kanale.

Na drżących nogach Euan zszedł na barkę po drabinie. Sarah podążyła jego śladem i pobiegła na rufę. Euan poszedł za nią i barka lekko przechyliła się od jego wagi. Usłyszał, jak zakaszłał motor i odpłynęli.

- Zanieś ją tam, do kajuty, niech się ogrzeje! - wykrzyknęła Sarah, kierując barkę na środek kanału i schylając się, żeby nie widziano jej z brzegu.

Ostrożnie wzięwszy Katelynn na rękę, Euan wszedł do ciasnej, ale cieplej kajuty. Tam owinał dziewczynę kocami i ocierał jej posiniąle z zimna ciało. W tym czasie barka jak najszybciej się dało opuszczała Doncaster, wzruszając zmrożone połacie błota wokół kanału.

Cała drżąc, ostatnimi siłami walcząc z otaczającą mgłą zapomnienia, Katelynn wyciągnęła posiniąłą rękę i dotknęła rozgrzanej twarzy Euana, wycierając łzy, które wylewał, samemu tego nie zauważając.

- Dziękuję - wymówiło ledwie poruszając wargami i serce Euana o mało nie rozpadło się na kawałki.



Rozdział 13

SARAH

Barka z trzaskiem łamała cienki lód, żwawo mknęła przez kanał w stronę Conisbrough. Żaden z tych, którzy pobiegli za Euanem, nie przeżyli: snajper znał się na rzeczy.

Drzwi otworzyły się i na progu kabiny pojawił się Euan.

- No jak tam, cała? - spytała Sarah, nie odrywając się od steru.

- Ogrzała się i śpi - odparł zmęczony mężczyzna, podziwiając horyzont zabarwiony blaskiem świtu.

- Mówią, że mnie szukałeś?

Euan na krótko wyszedł z oszołomienia. Wzruszył ramionami, próbując rozciągnąć zdrętwiałe mięśnie i odegnąć przecucie, że jest przeklęty przez los.

- Imam Husajn wspomniał o tobie, kiedy gościliśmy w Yorku - odpowiedział, nie patrząc na Sarę, i znowu pogrążył się w myślach.

Sarah spojrzała z ukosa na tego dziwnego człowieka. Wyglądał tak, jakby niósł na swoich ramionach ogromny ciężar. Miała swój własny powód, żeby pomóc jemu i dziewczynie: krwawa masakra nad nimi mogła wywołać u mieszkańców Doncaster inne, jeszcze śmielsze myśli. Ale teraz, patrząc na mężczyznę, nagle poczuła przyływ sympatii.

- Jak mogę ci pomóc... - Po ostatnich słowach zrobiła pytającą pauzę i spojrzała na niego.

- Euan - przedstawił się. - Imam Husajn wspomniał o tobie.

- To już słyszałam, Euan - odparła ostrożnie Sarah, lekko niepokojąc się o jego zdrowie psychiczne.

- Przepraszam... Po prostu wydaje mi się, że wszędzie, gdzie się nie zjawię, wszyscy chcą zabić mnie lub drogie mi osoby.

- W takim już świecie żyjemy, Euan. Może zawsze taki był, a my nie zauważyliśmy.

- Staram się znaleźć moją żonę i dzieci.

- To ona nie jest twoją żoną? - zapytała Sarah, kiwając w stronę kajuty, gdzie spała Katelynn.

Euan skinął, potem pokręcił głową i zasmucił się. Sarah spojrzała na niego zaskoczona.

- To skomplikowane - oznajmił w końcu z frustracją Euan.

- I tak rozumiem - stwierdziła Sarah.

- To znaczy, z początku wszystko było proste. Mieszkaliśmy w tunelach Glasgow. Było tam bezpiecznie, choć czasem coś się działo. Potem moją rodzinę i jeszcze kilka osób porwali jacyś ludzie.

- Ktoś jeszcze z Glasgow ruszył na poszukiwania?

- Nie. Pozostali stwierdzili, że oszalałem. Ale zawsze mogłem zostać.

- A jeśli twoja rodzina nie żyje.

- Wtedy przynajmniej będę wiedział - rzekł cicho Euan.

Sarah wzruszyła ramionami:

- No dobra, to twoje życie. A ona czemu jest z tobą? - ponownie wskazała w stronę kajuty.

- Ja... Wziąłem ją w Carlisle. Musiałem. Umarłaby, gdybym jej nie wyciągnął.

- Czyli ją uratowałeś - uśmiechnęła się Sarah. - Pozostajesz na zawsze odpowiedzialny za to, co oswoiłeś, nie?

- Co?

- Nie zwracaj uwagi. Cytat z książki jednego starego pisarza. Wygląd na to, że nie jesteś złym człowiekiem, Euan, hm?

Wzruszył ramionami:

- Bzdura. Po prostu bywa w życiu tak, że nie ma się wyboru.

- Prawdziwi bohaterowie nie uważają się za bohaterów.

- Nie ma teraz żadnych bohaterów. Jeszcze błędnym rycerzem mnie nazwij - prychnął Euan.

- Kto wie - ponownie uśmiechnęła się. - I czego udało ci się dowiedzieć? Znalazłeś tych, którzy porwali twoją rodzinę?

- Śledziłem ich do Carlisle, zostawili ślady w śniegu. Później rozpętała się burza i ich zgubiłem. Znalazłem Katelynn... Skierowano nas do Yorku - monotennie i nudno opowiadał Euan, nie zauważając, jak oczy Sary robią się wielkie ze zdziwienia. - W Yorku od jednych fanatyków

religijnych trafiliśmy do drugich, ledwie zwialiśmy. Spotkaliśmy Cyganów, kiedy uciekaliśmy przed ciemnymi psami. Trafiliśmy do was.

- Ciemne psy? Co to takiego?

- Takie ogromne potwory... Diabelnie sprytnie. W Yorku nazywają je jeszcze piekielnymi psami... Chociaż wydaje mi się... Że one kiedyś były ludźmi...

- Ci - Sara zdradzała. - Nie daliśmy im nazwy. Powiadają, że, jeśli nazwiesz je na głos, one przychodzą... I w czymże mogę ci pomóc?

- Słyszałem, że łowcy niewolników zawożą swoich więźniów do Londynu - Euan spojrzął badawczo w oczy Sary.

Ta gwizdnęła.

- Daleko się wybrałeś. I jak ty planujesz się tam dostać? - zapytała niepewnie.

- Bez różnicy. Jeśli zajdzie potrzeba, pójdę piechotą. Ale słyszałem, że jest pociąg...

- Piechotą! - nie skrywała podziwu - czy to odwaga Euana, czy jego głupota. - Nie, ty to jesteś prawdziwy unikat. Na piechotę z Glasgow tutaj, a teraz zbiera się na pójście do Londynu. Może czuwają nad tobą siły wyższe, hę?

- Sądzę, że po prostu podążam swoją drogą - pokręcił głową Euan.

- Posłuchaj - mruknęła po chwili Sarah. - Jestem trochę dłużna względem ciebie i twoich przyjaciół z karabinem snajperskim... Tak więc pomogę ci. Zawiozę do Sheffield.

- Do Sheffield? - Z pamięci Euana wypłynęły słowa imama. - Powiedziano mi, żebym trzymał się od niego z daleka.

- Po kolei, Euan - powiedziała Sarah. - Zawiozę was do Sheffield, dlatego że i wam, i mi z moją barką lepiej nie pojawiać się w Doncaster. Tak dla wszystkich będzie spokojniej. Co do niebezpieczeństw Sheffield... To rzeczywiście dziwne i śmiertelne miejsce.

- Dlaczego? Co tam jest?

- Duchy - odpowiedziała krótko Sarah.

Rozmawiali przy herbacie - a Sarah opowiadała Euanowi o tych dziwnych rzeczach, które działy się w Doncaster.

Sarah już od kilku lat mieszkała na rzece - od czasu, kiedy znalazła prawie całą barkę, a ludzie w zamku nauczyli się wytwarzać biodiesla. Receptura biodiesla była dobrze chronioną tajemnicą, której poza murami zamku prawie nikt nie znał. Była silnym atutem w rękach mieszkańców Conisbrough, znacznie ułatwiającym handel i życie codzienne. Głównymi składnikami były kurzy tłuszcz i wodorosty, które Sarah znajdowała w ustronnych miejscach - tutaj jej, jak nigdy, pomogło doświadczenie badawcze, zdobyte w młodości. Oczywiście, stworzenie masowej produkcji było jak na razie niemożliwe, ale każde paliwo było wielką rzadkością, szczególnie nadające się do starych maszyn, a to odkrycie dawało kobiecie złote góry.

Druidzi ze swoją luźną interpretacją starożytniej religii dosyć zmęczeni Sarą i miała nadzieję, że chaos, którzy sprowadzili za sobą Euan i jego przyjaciele, zmieni jej położenie na lepsze. Oczywiście, po śmierci Shevon wszystko będzie inaczej. Od tego dnia, kiedy ta wariatka ogłosiła się "najwyższą kapłanką Druidów", Sarah obawiała się najgorszego i miała rację. Od początku chciano wskrzesić starożytny rytuał i przynosić ziemi ludzi w ofierze, żeby zasklepić jej rany, ale Shevon to było mało. Upiększyła rytuał nowymi, jasnymi szczegółami: ofiary (a nimi zawsze były kobiety) gwałcono, potem duszono, podrzynano gardło i wrzucano ciało do mokradła.

Sarah smutno wspominała, że jedna książka o archeologii, przeczytana przez nią wiele lat temu, opisywała rytuał druidów dokładnie w tych samych barwach, ale co do jednego miała pewność: starożytni druidzi nie porywali ludzi dla zysku i nie grozili im gwałtem i śmiercią, wymuszając na krewnych drogiego wykupu. Chociaż zawsze zostawała możliwość, że w tym Shevon nie zgrzeszyła przeciw prawdzie historycznej: religia we wszystkich czasach służyła jako idealna przykrywka dla wszelakich zbrodni.

Kiedy słońce weszło nad śnieżnymi polami, barka zatrzymała się nieopodal Conisbrough. Na północy, przy samym horyzoncie, zbierały się chmury, na słońce - jasne, białe, ale z drugiego końca przelewające groźnym granatem. Sarah patrzyła na nie, przywiązując barkę do drzewa.

- Usiądźcie w kajucie, nie wychylajcie się - oznajmiła - a ja polecę do zamku po rzeczy. Potrzebujecie czegoś?

- Mogłabyś przynieść Katelynn jakieś ubranie? Nie wiem, co ma w plecaku - odparł Euan.
- Zobaczę, co da się zrobić.

Patrzył kobiecie w plecy, dopóki nie zniknęła w zaśnieżonych ruinach ciągnących się wzdłuż brzegu, a potem zszedł zobaczyć Katelynn.

Sarah zastała w Conisbrough straszne zamieszanie. Akurat przed tym oddział wrócił z Doncaster i po zamku rozeszła się wieść o tym, że Druidzi ruszyli w pościg. Mury były obsadzone uzbrojonymi ludźmi wypatrującymi najmniejszego ruchu ze wschodu.

Cyganie rozgrzali już kotły parowe i przygotowywali się do odjazdu. Sarah szła do zamku przez ich obóz, kiedy drogę zagroził jej dobrze zbudowany facet z karabinem snajperskim.

- Ty jesteś Sarah?
- Tak - odparła, ściskając rewolwer w kieszeni.
- Widziałem, jak pomogłaś moim przyjaciółom - powiedział Cygan. - Dziękuję.
- To ja tobie dziękuję - uśmiechnęła się Sarah, spoglądając na karabin. - Dobrze strzelasz.

Cygan z godnością skinął głową.

- Geordie - przedstawił się i wyciągnął swoją szeroką łapę, którą kobieta energicznie potrząsnęła, zauważając:

- Poszczyliście im się z przyjaciółmi.
- Są dobrymi ludźmi, a to rzadko spotykane - oznajmił Cygan. - Powiedz im, że Roma zawsze będą ich witać z radością.

Kiedy Sara wyszła z bramy zamku, niosąc z sobą kanister biodiesla, jakieś ubrania i jedzenie, cygańskie wozy już prawie zniknęły za wzgórzem.

Usłyszawszy jej kroki na pokładzie, Euan wyjrzał z kabiny z karabinem w rękach, a Sarah o mało nie nadziała się na lufę.

- Na wszelki wypadek nie wychodź - rzuciła, nie obrażając się na niegościnne powitanie. - Masz, trzymaj.

Podawała mu ubranie, jedzenie i zaczęła przygotowywać się do odpłynięcia. W kajucie Euan rozłożył stertę rzeczy: tu była para butów, ciepłe skarpety i bielizna, dżinsy, wełniana koszula i sweter, wszystko w sam raz na Katelynn. Usiadł na skraju koi, przy śpiącej dziewczynie i zastanowił się, czy powinien ją obudzić i ubrać - na wszelki wypadek, gdyby znowu przyszło im brać szybko nogi za pas.

Barka szarpnęła: Sarah odbiła od brzegu. Zaklekotał silnik i od tego drżącego dźwięku, i od lekkiego drżenia, obejmującego cały kadłub, na duszy od razu zrobiło się spokojniej.

Katelynn otworzyła oczy. Z początku wszystko pływało we mgle, po chwili pojawiły się zarysy nieznanego pomieszczenia - i nagle, zamrugawszy, zobaczyła Euana. Dziewczyna długo wpatrywała się w niego, jakby próbowała coś sobie przypomnieć, a potem łzy pociekły jej po policzkach.

- Znowu mnie uratowałeś.

Euan tylko się uśmiechnął.

- Było tak zimno, że nie mogłam... Nie mogłam... No, rozumiesz...

Euan milczał i czekał, co ona powie.

- Nie mogłam ciebie zawołać.

Zamknęła oczy i zapłakała jeszcze głośniejsze.

- Sam przyszedłem. Być może po raz pierwszy sam ciebie usłyszałem - pogładził ją po głowie.

Katelynn nie ruszała się. Euan podwinął kołdrę wokół dziewczyny i siedział obok, nie zabierając rąk, dopóki nie zapadła w zbawienny sen. Starając się nie hałasować, wyszedł na pokład - akurat na czas, żeby zobaczyć cygańską werdę na moście, pod którym przepływali. Pomachał ręką i wydało mu się, jakby ktoś pomachał mu w odpowiedzi z pierwszego wozu, ale mgła zgęstniała i nie mógł stwierdzić tego z całkowitą pewnością.

Kanał był o wiele czystszy i bardziej pusty niż drogi na lądzie. Co jakiś czas natrafiali na barkę - na wpół zatopioną lub dryfującą; były poobijane przez złą pogodę, ale, wydawało się, że gdyby

wyczyścić je ze śniegu, można by na nich spokojnie żyć. Sam kanał pokrywała cienka warstwa lodu, która z trzaskiem łamała się od naporu barki, tak że słychać było ich z daleka.

Od czasu do czasu musieli zatrzymywać się i otwierać śluzy. Ku zdziwieniu Euana, wszystkie działały i były w dobrym stanie. Sarah wytłumaczyła, że kanał, jak i zamki, ostały się z dawnych czasów, kiedy ludzie jeszcze nie umieli spartaczyć, i dlatego skutecznie opierały się czasowi i zaniedbania.

Kanał prowadził krętą drogą; przepływali obok to śnieżnych połaci, to zrujnowanych domów. Kiedy na brzegu pojawiło się miasto o nazwie Rotherham, Sarah poprosiła Euana o uzbrojenie się. On zszedł do kajuty po karabin i zapytał, w czym rzecz.

- Tutaj zawsze trzeba być czujnym - odparła kobieta. - Można spotkać ludzi, ale bywa, że trafiają się zupełnie inne stwory.

Euan wspomniawszy to, co powiedział mu imam o drogach wodnych.

- Mówiono mi, że na rzekach na morzu jest teraz bardzo niebezpieczne...

- Nie to słowo - skinęła Sarah.

- Na północy, przy Conisbrough, mijaliśmy jeziora i coś się na nas stamtąd rzuciło. Wielkie, podobne do morsa, tylko z rękami i palcami.

- Rozumiem - powiedziała Sarah. - Starzy znajomi. Zdarzają się tutaj, w kanale. Czasami łapią za kadłub i próbują przewrócić łódź, ale nie przynoszą wielkich szkód: są niezdarne, łatwo je zastrzelić.

Euana niezbyt to ucieszyło.

- Zobaczysz takiego - możesz strzelać. Sezon na polowanie otwarty - dodała Sarah z uśmiechem.

Euan uśmiechnął się i trochę mu ulżyło.

- To jeszcze nic - ciągnęła kobieta. - One są zbyt leniwe i tępe.

- Przypominają Keplie. Pamiętasz, było takie mitologiczne stworzenie, które ściągało podróżnych w głębinę.

- Keplie, zdaje się, wyglądały jak konie? - zapytała z zaciekawieniem Sarah. - Nie, te w ogóle nie udają, za to daj im tylko kogoś do zaciągnięcia na dno. I nie one jedne to lubią.

- Są inne?

- I to nie mało. Jedne pojawiły się zaraz po wojnie, drugie później. Skąd się wzięły, nikt nie wie.

- Pewnie od promieniowania? - zasugerował Euan.

Sarah zaśmiała się:

- Nie jestem, oczywiście, radiologiem, ale wydaje mi się, że tak silny proces mutacji zajęłby o wiele więcej czasu.

- Więc skąd?

Wzruszyła ramionami:

- Nie mam pojęcia. Czy to wynik eksperymentów z bronią biologiczną, czy to osobliwy wariant ścieżek ewolucji: przyroda próbuje dostosować się do wszystkich okropności, które stworzyliśmy.

Drzwi otworzyły się i z kajuty ostrożnie wyjrzała Katelynn w swoim starym płaszczu, pod którym widniała przyniesiona przez Sarę ciepła koszula. Sarah uśmiechnęła się życzliwie.

- Katelynn! W końcu się obudziłaś. Jestem Sarah.

Dziewczyna uśmiechnęła się w odpowiedzi, podeszła do Euana i stanęła przy nim, opierając się ramieniem o mężczyznę. Ten, poddawszy się impulsowi, objął ją... I nagle pomyślał: co powie Julia, kiedy przyjdę uratować ją... Nie sam? A potem odegnał od siebie te myśli. Pozwól Boże znaleźć żonę żywą. Albo choć na początek dotrzeć do Sheffield... A cała reszta jakoś się ułoży. Potem.

Rotherham minęli bez żadnych problemów i wkrótce Sarah zgasła silnik i rzuciła kotwicę na środku rzeki.

- Dlaczego się zatrzymaliśmy? - zapytał Euan.

- Przed nami jest bardzo niebezpieczne miejsce. Akurat tam musicie pójść, ale nie będę mogła z wami pójść.

- To dlaczego nie przybijemy do brzegu?

- Wybierzemy się nocą, kiedy nas nie zobaczą, nawet jeśli usłyszą silnik. Poza tym, z północy nadciągają chmury. Sądzę, że do nocy zaczną padać śnieg.

- Mówiłaś, że w Sheffield są duchy...

- Zapewne. Ale to nie jest najstraszniejsze.

- Są tam ludzie? - spytała Katelynn.
- Nie. Ani jednej żywej duszy, oprócz mojego przyjaciela.
- Żyje pośród martwych? - zapytał Euan, a po plecach przebiegł mu chłód.
- Ma dziwne życie. Dużo zrozumiecie, kiedy się z nim poznacie.
- W jaki sposób dowie się, że go szukamy?
- Sądzę, że już wie.
- Ale jak?

Katelynn dotknęła policzka Euana i, wpatrując się w nią, zaraz przypomniał sobie o jej nadzwyczajnym darze.

- Nie wiem, jak on to robi - rzekła Sarah.

Mocno stojąc na kotwicy, zeszli do kajuty, zjedli na obiad świeży ser, gotowane grzyby i jajka ugotowane na twardo. Za oknami nagle ściemniło się, wszystko spowił śnieg, a szyby zdrząły od gwałtownego porywu wiatru.

- Sugeruję odpocząć, póki jest możliwość - oznajmiła Sarah. - W taką pogodę tylko idiota wychodzi na zewnątrz.

Katelynn wymownie spojrzała na Euana, a on pomyślał o tym, jak biegli przez burzę kilka nocy temu. Dziewczyna przysunęła się do niego, a Sarah wyszła do drugiej kajuty, zostawiając ich samych.

Euan położył się na plecach, patrząc, jak śnieg spada na okna. Katelynn owinęła się kołdrą i położyła mu głowę na piersi. Niedługo zasnęła, uśpiona rytmicznym biciem jego serca.

Euan nie spał, słuchał wycia burzy za oknami i układał w pamięci wydarzenia ostatnich tygodni.

W nocy ochłodziło się, ale śnieg nie przestał padać. Sarah zaniepokoiła się, że poradzi sobie z nawigacją i poprosiła Euana, żeby stanął na rufie, a Katelynn o wejście na dach i wskazywanie kursu.

Wiatr wiał tak mocno, że zagłuszał hałas silnika, ale barka poruszała się ostrożnie i, koniec końców, z powodzeniem pokonała ostatni odcinek kanału Sheffield i przybiła do portu królowej Wiktorii - małą zatoczkę, wokół której wznosiły się niemal kompletne budynki. Przy pomoście stało kilka zacumowanych barek.

Tutaj, na stojącej wodzie, lód był cienki. Sarah ostrożnie podpłynęła do pomostu i wszyscy troje przywiązali liny cumownicze do wystającej z betonu metalowej cumy.

- Co teraz? - zapytał Euan.

Sarah podeszła do kajuty i otworzyła drzwi, przepuszczając Katelynn przodem. Euan wszedł ostatni, zamykając za sobą drzwi i w nagrzanym pomieszczeniu zły wiatr i kłujący mróz nagle wydały się czymś odległym i dziwnym.

- Co teraz? - powtórzył Euan.

- Teraz będziemy na niego czekać.

- Na kogo czekać? - rozległ się chrapliwy głos z przejścia, prowadzącego do sąsiedniej kajuty.

Euan chwycił zza pasa pistolet i skierował go na maleńkiego staruszka, który akurat wyszedł z drugiej kajuty, przeżuając gotowane jajko.

- Co u ciebie, Marius! Jak ty to robisz?! - wykrzyknęła Sarah i upuściła swoją ręką pistolet Euana.

- A co ja zrobiłem? - spytał staruszek.

Na sobie miał wyblakły i porwany nieprzemakalny płaszcz i kalosze do kolan. Miał półtora metra wzrostu. Z budowy był chudy jak szpilka. Jego opalona i pomarszczona twarz była ozdobiona wielkimi brwiami i siwą brodą, ale piwne oczy patrzyły nadzwyczajnie ostro i żywo. Na głowie staruszek miał dzierganą czapkę z komicznymi pomponami.

Staruszek uśmiechnął się niewinnie.

- Widzę, że wszyscy jesteście zajęci, więc nie będę wam przeszkadzał. Jeszcze byście uderzyli o przystań albo wpadli do wody. Więc przyszedłem sobie po cichutku.

Sarah prychnęła z obudzeniem.

- Ale ja ciebie nie widziałem! - zdziwił się Euan.

- Ale ona widziała - uśmiechnął się starzec, machając ręką w stronę Katelynn. - Przy okazji, bardzo dobre jajka, Saro. Mogę wziąć jeszcze?

- Bierz - powiedziała grzecznie kobieta. - Nie bój się, Euan. Marius potrafi pozostać niezauważonym, kiedy musi.

- To prawda. Zaskakujące, jak wielu ludzi nie zauważa! Albo nie patrzą, albo nie chcą widzieć, ale nie rozumieją, co się przed nimi znajduje. - I Marius zagadkowo uśmiechnął się do Euana, z radością dojadając jajko. Ten zastanowił się, czy ta tyrada była wskazówką skierowaną do niego, czy takim ogólnym komentarzem.

- I jednym, i drugim - oznajmił Marius i dodał, kiedy oczy Euana wyleciały z orbit. - Nie, nie umiem czytać w myślach. Przewiduję oczywiste pytania.

- O... - wydobył z siebie Euan.

Nagle poczuł chęć schowania się za plecami Katelynn, żeby dziwny starzec przestał kopać w jego głowie. A Marius akurat zwrócił uwagę na dziewczynę.

- Jaka dziwna osoba - powiedział, wskazując w stronę dziewczyny palcem, podobnym do sękowatego kikuta gałązki.

Sarah spojrzała zdziwiona na dziewczynę: ta nagle wzdrygnęła się - zapewne z nerwów. Euan objął ją, nie chcąc dać ją skrzywdzić.

- Sądzę, że ona nie jest najdziwniejszą z nas - mruknął Euan.

- Klóciłbym się - nieszkodliwie uśmiechnął się starzec.

- A ty nic się nie zmieniłeś - stwierdziła Sarah i postawiła na kuchence czajnik z wodą.

- Już od dawna się nie zmieniam - odparł Marius. - Wygląda na to, że jestem przeklęty.

- Nie tak przeklęty, jak to piekielne miasto.

- Wszystko jest względne - powiedział starzec i zwrócił się do Euana i Katelynn: - Witajcie w Sheffield.

Rozdział 14 SHEFFIELD

- Rozlawszy do filiżanek miętową herbatę, Sarah zwyczajnie przewidziała przyszłość:
- Chyba utkniemy tu na całą noc.
 - O ile sami tego zechcemy - stwierdził Marius. - Gdzieś za godzinę śnieg przestanie padać.
 - Skąd wiesz? - zapytał Euan, z zaangażowaniem czyszcząc swój automat.
 - Mieszkam tu od dawna. Poznałem miejscowy klimat - staruszek uśmiechnął się życzliwie do Sary, przyjmując z jej rąk filiżankę z gorącą herbatą. - Za godzinę burza ucichnie i rozpocznie się znowu o świcie, ale nie możemy czekać do tego czasu.
 - Dlaczego? - spytała Katelynn.
 - Starzec zamyślony spojrzał na nią nieprzeniknionym wzrokiem i odpowiedział:
 - Rankiem z gór schodzi strumień energii i zabija wszystkich w mieście.
 - Oprócz ciebie - dodała Sarah.
 - Niestety, oprócz mnie - zgodził się Marius.
 - Co to takiego ta energia? - zapytał oszołomiony Euan.
 - Nie ma pojęcia, co to takiego, ale po bombie powtarza się to każdego ranka.
 - Po bombie?
 - W ostatnich dniach na miasto zrzucili bombę neutronowa. Domy zostały nienaruszone, a wszystko żywe zginęło. Po ludziach zostały tylko cienie: dokładnie tam, gdzie stali wypaliło sylwetki na ścianach i asfalcie.
 - Okropne! - ledwie wymówiła Katelynn.
 - Poczekajcie, to jeszcze nie jest najciekawsze - rzekła Sarah, patrząc przez okna na śnieg.
 - Właśnie - potwierdził staruszek. - Bomba wypaliła nie tylko sylwetki, ale i dusze.
 - To znaczy?
 - Ciała zostały unicestwione, ale wszystko wydarzyło się tak szybko, że ludzie nie zdążyli zrozumieć, że są martwi. I tak o niczym nie wiedzą do tej pory.
 - Katelynn jęknęła z przerażenia, zakrywając usta ręką.
 - Oni znów i znów przeżywają swój ostatni dzień - kontynuował znużony starzec. - Czasem zauważają, że obok nich jest żywy człowiek, ale w zasadzie są skazani na niekończące się chodzenie w kółko.
 - Jak ty tu żyjesz, pośród nich? - przeraziła się Katelynn.
 - Lepiej spytaj, jak on wśród nich przetrwał - odezwała się Sarah.
 - Byłeś w mieście, kiedy to się stało? - zapytał Euan.
 - Tak. Jasny błysk na niebie, potem niewyobrażalny ból i straciłem przytomność... - Marius wzdrygnął się, jak gdyby echa przeżytego bólu na sekundę wróciły do niego, i uśmiechnął się. - Kiedy się ocknąłem, wokół nikogo nie było. Zupełnie nikogo. Miasto było martwe, światła nie paliły się, ludzi nie było, wokół cisza.
 - Dlaczego tu zostałeś?
 - Na początku wstałem, otrzepałem się i poszedłem do domu. - Pierwszą falę energii o świcie przespałem. A kiedy się obudziłem, cała moja rodzina była obok. - Przetarł twarz pomarszczoną ręką.
 - No, to znaczy, nie żeby oni naprawdę tam byli... Widziałem przez nich, jak gdyby projekcją w powietrzu. Ale wyraźnie ich słyszałem.
 - To musiało być przerażające... - z drżeniem w głosie powiedziała Katelynn.
 - Tak. Cały dzień próbowałem zwrócić ich uwagę. Na początku stwierdziłem, że to ja umarłem, a oni dalej żyją, ale potem się ściemniło, oni zniknęli, a ja znowu zostałem sam. - Marius przełknął herbatę, poparzył wargi i skrzywił się - Następnego ranka zobaczyłem strumień energii... "Poranny wzwód", jak ją nazwałem... I znowu się pojawili, żeby dokładnie powtórzyć wszystkie swoje wczorajsze czynności.
 - Od tamtej pory nie wychodziłeś z miasta?
 - Dlaczego? Wychodziłem... Nawet poszwendąłem się trochę parędziesiąt lat temu. Ale i tak jestem człowiekiem z miasta, nudzę się na wsi.
 - Czyli z duchami jest lepiej, niż z żywymi ludźmi? - zdziwił się Euan.
 - No, z większością duchów jestem teraz dobrze zaznajomiony. Nie przeszkadzają mi. Jeśli się dostosuje, to można nawet się z nimi komunikować, chociaż to bardzo dziwna czynność...

- Poznaję cię rano?
 - Nie.
 - U mnie jest tak samo z facetami... - sucho oznajmiła ze swojego kąta Sarah.
 Wszyscy spojrzeli na nią z niedowierzaniem.
 - Żart nie wyszedł - mruknęła kobieta i znowu wyjrzała przez okno.
 - Jak ty tu żyjesz? - spytała Katelynn.
 - No a jak, według was, ja tu żyję? - odparł starzec. - Mam całe miasto nietkniętych domów i sklepów. Wchodzisz i bierzesz co chcesz i co nie jest jeszcze zepsute.
 - Z pewnością już niewiele tego zostało - stwierdził Euan, wspominając rozszabrowane sklepy w Glasgow
 - Na pewno. Ale poznałem Sarę. Ja przynoszę z miasta przydatne rzeczy, niemal jak nowe, a ona uzupełnia moje zapasy.
 - Czyli nikt inny nie przychodzi tutaj zarobić? - zdziwił się Euan, skrupulatnie sprawdzając karabin; upewniwszy się, że jest czysty z każdej strony, mężczyzna odłożył broń na bok.
 - Dlaczego? Bywa, że się pchają. Ale albo uciekają przed duchami, albo giną od "porannego wzwodu".
 - Co tu się dzieje o świcie? - spytała Katelynn.
 - Cholera wie... Sądzę, że górach nad Sheffield działa jakiś reaktor... albo złoża rudy... Każdego ranka jest jedno i to samo: idzie strumień energii, a po nim pojawiają się duchy.
 - Wygląda na to, że czas tu przestał działać - stwierdziła zamyślona dziewczyna, patrząc na staruszkę. - Ile masz lat?
 - Aha! - powiedział Marius, uśmiechając się smutno. - Mówiłem, że to jest dziwna dziewczyna.
 - Po prostu jestem ciekawa.
 - Już ze sto minęło - rzekł spokojnie burmistrz miasta duchów.
 Euan zwrócił się do Katelynn:
 - Skąd wiedziałaś, że czas nie działa? Cholernie pewne przypuszczenie!
 - Czy przypuszczenie? - staruszek uśmiechnął się do dziewczyny, ale ta nijak nie zareagowała na jego pytanie i powiedziała:
 - Przypuszczenie, Euan, ale nie przypadkowe. Dużo wcześniej czytałam. Zawsze wymieniałam się książkami, jeśli mogłam. I w jednej z nich znalazłam wspomnienie o miejscu o nazwie Trójkąt bermudzki.
 Euan pomyślał, że opowiadali o nim w szkole, jeszcze przed wojną.
 - Nie pamiętam, gdzie się dokładnie znajduje, ale ludzie tam przepadali i pojawiali się wiele lat później, w ogóle niepostarzeni.
 - Paradoks temporalny - rzekł starzec.
 - Co? - zdziwił się Euan.
 - Temporalny, to znaczy czasowy. Także wiele czytałam na ten temat: mechanika kwantowa, zakrzywienia czasoprzestrzeni... Żadna teoria nie jest w stanie wytłumaczyć.
 - Czy ty przed wojną byłeś uczonym? - spytał Euan, zdumiony poziomem wiedzy Mariusa.
 - Nic podobnego! - po raz pierwszy od ich poznania się ten serdecznie się roześmiał. - Byłem emerytem. Siedziałem i patrzyłem, jak świat żyje beze mnie, gapiłem się w telewizor... W rzeczywistości niewiele się zmieniło.
 - A przedtem?
 - Byłem stolarzem. Pracowałem z drewnem, robiłem meble - uśmiechnął się. - Zastanawiacie się, skąd ja wiem o mechanice kwantowej?
 Euan skinął w milczeniu.
 - Podłapałem. Miałem mało do roboty: tylko robić meble, rozmawiać ze zmarłymi i chować się przed idiotami ze stacji.
 Te słowa poraziły Euana.
 - Idiotów ze stacji?
 Marius zaśmiał się:
 - I tak wiedziałem, że właśnie tam musicie iść! - Tak, jest tutaj takie nieprzyjemne sąsiedztwo. Czasem pchają się do miasta, ale zazwyczaj siedzą na swojej stacji, pilnują torów. Kiedyś chcieli ujarzmić Sheffield, ale i tak nie zrozumieli, jak wszystko tu jest ułożone. Wielu zginęło już pierwszego ranka, ale później przyjechali kolejni.

- Co oni tu robią?
- Wałą do wszystkich, których nie znają. I wysyłają do Londynu pociąg z niewolnikami.
- Skąd wiesz, że właśnie do Londynu? - Katelynn napięła się.
- Wiedziałem, że o to zapytasz. Po akcencie słyszę, że są z południa.

Sarah wstała i podeszła do nich.

- Śnieg przestał padać.

- Więc wychodzimy - uderzył w swoje kolana Marius. - Rozumiem, że trzeba was zaprowadzić do stacji?

Euan skinął, a Sarah dodała:

- Możesz to liczyć jako część umowy, jeśli chcesz.
- O, dla was to będzie bezpłatnie! Kocham miłe towarzystwo.
- Jak chcesz - stwierdziła kobieta - ja, chyba, odbiję od brzegu, dopóki burza się znowu nie zacznie.

W taką pogodę sama nie wychodzę.

- Nie bój się, zdążysz przynajmniej odpłynąć z Sheffield - uspokoił ją staruszek i zwrócił się do Euana i Katelynn: - Bierzcie rzeczy i za mną!

Wzięli plecaki, Euan zarzucił na ramię karabin, a Marius poprowadził ich za sobą w ciemną, zimną noc.

Za domami, otaczającymi przystań, rozciągały się ulice i place pokryte nietkniętym śniegiem. Ze wszystkich stron okrążała ich ciemna masa miasta. Budynki stały puste, ale nie tknięte przez wojnę. Wokół było wiele samochodów: na sflaczałych oponach, pod pokrywami ze śniegu i lodu, za to z całymi szybami. Euanowi i Katelynn na chwilę wydało się, jakby przenieśli się w przedwojenną przeszłość, w zwyczajną zimową noc w Sheffield, jeszcze przed tym, jak świat utonął w ogniu i bólu.

Ulice były tutaj szerokie: dwa pasy w każdą stronę, a pośrodku - tory tramwajowe. Po tych torach Marius poprowadził ich na północny zachód.

- Wcześniej jeździły tu tramwaje - wyjaśnił. - Bardzo wygodny środek transportu! Oczywiście, kiedy jeździ. Tam jest, widzicie?

Staruszek wskazał na niewielki skład trzech wagonów, ciemniejących z przodu. Kiedy podeszli bliżej, Katelynn złapała Euana za rękę, a Marius nagle się speszył.

- Szybko do wagonu, kładźcie się na podłogę - i milczeć! - powiedział i pierwszy wskoczył w drzwi tramwaju. Euan i Katelynn podążyli za nim padli plackiem na podłogę, pokrytą stertami odzieży i nienaruszonym bagażem podręcznym. Z ulicy usłyszeli rozmowę dwóch mężczyzn.

- ...wiedziałem, jak barka wpływała do miasta. Wygląda na to, że ktoś tu jest.

- Czyli jutro już ich nie będzie.

- Być może. Barka już odpłynęła, widziałem ją na kanale.

- Czemu się nie zatrzymali? - głos rozległ się całkiem blisko, przy jednych z drzwi.

Euan wyciągnął "Glocka" i podał go Katelynn, a sam skierował lufę karabinu na otwór drzwiowy.

- A jak miała się zatrzymać na kanale? No, rozstrzelamy wszystkich na pokładzie, a dostać się tam nie będziemy mieli jak. Nie, najciekawsze jest to, kogo ona tu przywiozła. Jeśli ktoś wie, jak przeżyć w tym mieście, wyciągnę z niego tą wiedzę.

Drugi głos nieprzyjemnie zachichotał:

- Czyli idziemy do przystani?

- No tak. Może zobaczymy jakieś ślady...

Głos niespodziewanie się urwał.

- Kurwa! - wyszeptał Euan, ukłękął i zbliżył się do drzwi, trzymając je na celowniku.

Do wagonu wkroczył człowiek w szarym mundurze wojskowym i z progu wystrzelił serię z automatu. Na szczęście, wszystkie kule trafiły powyżej głów. "Glock" w rękach Katelynn dwukrotnie drgnął i człowiek, cofnąwszy się, padł na plecy. Pierwsza kula uderzyła w kamizelkę kuloodporną, ale druga trafiła prosto w lewe oko i wyszła przez potylicę, bryzgając krwią na przednią szybę tramwaju. Euan ruszył ku drzwiom na spotkanie drugiemu szaremu człowiekowi i uderzeniem kolby wybił mu broń z rąk. Szary wyciągnął zza pasa ogromne zębate ostrze, ale wtedy, charcząc, złapał się za gardło, skąd wystawała rękojeść noża. Euan dwukrotnie strzelił mu w twarz z karabinu, szary odsunął się od drzwi i padł w śnieg.

Dym z wystrzałów kłębił się w zimnym powietrzu. Ciszę przerwał głos Mariusa:

- Spadamy stąd jak najszybciej.

Przeszedł obok Euana i zatrzymał się przy trupie, żeby wyjąć z jego szyi nóż.

- Niezły refleks - stwierdził Euan, czując się trochę niepotrzebnym.

- Nudno staruszkowi samemu, to doskonali umiejętności - uśmiechnął się niewesoło Marius. - Musimy uciekać! Jeśli inni słyszeli strzały, to zaraz się pojawią. Nie wiem, jak zamierzacie przeniknąć na stację, ale po trupach jej mieszkańców raczej nie wejdziecie.

Euan podał rękę Katelynn i pomógł jej wyjść z tramwaju. Dziewczyna kucnęła i podniosła leżący na śniegu karabin, po czym sprawdziła trupa, znalazła dwa magazynki i wetknęła je za pas.

- Szybciej! - ponaglił ich Marius, rozglądając się na boki.

Poszli za staruszką, szybko maszerującym w kierunku centrum. Wkrótce skręcił w ulicę i zaprowadził ich przez dom - pięknie zachowany, z meblami i dywanami, chociaż pachniało od nich wilgocią, pleśnią i zapuszczeniem.

I Euan, i Katelynn zauważyli dziwną cechę: w Sheffield dusza bolała z tęsknoty i samotności jeszcze mocniej, niż w zrujnowanych miejscowościach na północy. Tam przynajmniej nie miało się uczucia, że miasto czeka na powrót ludzi.

Przekroczyli jeszcze jedną zawałoną samochodami ulicę, weszli w zaułek, przeszli między dwoma budynkami, które wcześniej, jak wyjaśnił Marius, były teatrmi i znaleźli się przed drzwiami biblioteki miejskiej.

- Tutaj nie wolno hałasować - surowo przestrzegł starzec.

Euan i Katelynn spojrzeli na siebie.

- Dlaczego?

- Bo inaczej bibliotekarze dadzą karę - odparł Marius z bardzo poważnym wyglądem.

- Chwila - Euan naprężył się. - Mówiłeś przecież, że wszyscy ludzie w mieście zginęli?

Marius cicho się roześmiał.

- To prawda. Ale to miejsce zawsze mnie rozbawia.

- Dlaczego? - spytała Katelynn.

- A wyobraźcie sobie: w ciągu dnia bibliotekarze chodzą po korytarzach w pełnej swej duchowej krasie, a znaki na ścianach mówią, żeby zachować ciszę... A nie ma komu hałasować!

Euan i Katelynn milczeli, nie wiedząc, jak zareagować na ten żart. Nagle wydało im się, że miasto duchów patrzy na nich tysiącem oczu.

- Czyli że nikt tu nie mieszka? - spytał Euan, wpatrując się w ciemne okna.

- Nikt, tylko ja.

- Mieszkasz w bibliotece?

- Tak, na górze. Ale wy zamieszkaliście pod ziemią. I, bardzo proszę, zacznijcie mi ufać.

- A o co chodzi? - zapytał Euan.

Prośba staruszka wydała mu się niepotrzebna: idąc za nim i tak powierzali mu swoje życie.

- O to, że dwie godziny uderzy tu Poranny wzwód i wszyscy, którzy tu zostaną, zginą.

- Wszyscy, oprócz ciebie... - powtórzyła zamyślona Katelynn.

- Miejmy nadzieję, że tak będzie - odezwał się staruszek. - W mieście jest tylko kilka bezpiecznych kryjówek: sejfy bankowe, ale są tam bardzo skomplikowane zamki, i schrony w bibliotekach. Tam was zaprowadzę, zanim wszystko się nie skończy. Najważniejsze, żeby później mógł otworzyć.

W podziemiach było dosyć przytulnie i znacznie cieplej, niż myśleli. Prawie nie czuli tutaj zapachu pleśni i gnicia, wszechobecnego na powierzchni - widocznie, wpływ miały cechy konstrukcyjne. Wzdłuż grubych ścian stały pudła i półki z książkami, a w najdalszej ścianie były małe, żelazne drzwi, do których Marius zaprowadził gości.

- Siedźcie tam. Sam was wypuszczę. Poczujecie, kiedy się zacznie: to będzie jak statyczna elektryczność.

Za drzwiami było pomieszczenie służbowe z wąskimi metalowymi szafkami - zapewne wcześniej urzędowała tutaj ochrona.

- Po co to wszystko bibliotece? - zainteresował się Euan.

- Niektóre książki nawet w tamtych czasach były cenne. Chroniono tutaj też inne cenne rzeczy. Jest ktoś chętny?

Zjedli i Marius zaproponował, żeby wygodnie rozsiedli się i spróbowali złapać godzinę lub dwie spokojnego snu. Był pewien, że ich nie wyśledzono.

- Nie zapuszczają się do miasta bez większej potrzeby. Zwłaszcza w dzień: to zbyt niebezpieczne. Tak więc odpoczywajcie, póki możecie - powiedział starzec i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Euan obudził z powodu dziwnego uczucia, jakby każdy włos na jego ciele stanął dęba. Wyciągnął rękę i dotknął Katelynn: jej skóra była pokryta gęsią skórą. Dziewczyna jęknęła przez sen, nieoczekiwanie zmysłowo, i Euan cofnął rękę, ale ona położyła na niej swoją dłoń.

- Co jest, Euan? - zapytała z drżeniem.

- Pewnie fala, o której mówił Marius.

- A... - mruknęła Katelynn i nagle się zaśmiała. - Poranny wzwód!

Euan celowo unikał tej nazwy, będąc samemu z dziewczyną, ale teraz nie wytrzymał i zaczął się śmiać razem z nią.

Żelazne drzwi otworzyły się i Marius zjrzał do pomieszczenia, trzymając w rękach świecę.

- Wszystko w porządku, możecie wychodzić - oznajmił. - Czemu się śmiejecie?

- Czyli masz tam Poranny wzwód? - padając ze śmiechu, powiedziała Katelynn.

Euan też zaśmiał się, a starzec z dezaprobatą pokręcił głową.

- Tak w ogóle, piękny widok - powiedział z urazą. - Pokazałbym wam, ale przecież nie przeżyjecie...

Jego słowa utonęły w nowym wybuchu śmiechu. Śmiejąc się, Euan zauważył niezadowolone oblicze Mariusa, lekko kopnął Katelynn w bok, wstał i wyszedł z pomieszczenia. Przez otwarte drzwi schronu przebijało się już poranne światło. Kiedy tylko dziewczyna uspokoiła się, wyszli po schodach na górę.

Znalazłszy się w sali biblioteki, Euan i Katelynn osłupieli. Między półkami przechadzały się widmowe sylwetki w letnich ubraniach, niektórzy nieśli w rękach płaszcz, parasol albo torbę. Zatrzymywali się, zdejmowali z półek powietrze zamiast książek i przewracali strony, które mogli widzieć tylko oni.

- Nie dotykajcie ich - poradził Marius.

- Dlaczego?

- Możecie ich przypadkiem obudzić. Wtedy zaczną z wami rozmawiać. To dosyć nieprzyjemne. I można jeszcze przypadkiem dać się ponieść i przeżyć ten ostatni dzień razem z nimi.

- Co w tym złego? - spytała Katelynn.

- To, że po mieście grasują uzbrojeni ludzie - odpowiedział za starca Euan, ale ten pokręcił głową.

- Nie w tym jest problem. Sam dokładnie nie wiem, co się tutaj dzieje. Jak dobrze powiedziałaś, w mieście z jakiegoś powodu przestał działać czas. Wiele domów powinno się rozpaść w przeciągu dwudziestu lat, ale prawie nic się tu nie zmienia.

Euan i Katelynn zrobili krok w bok, żeby przepuścić ducha sympatycznej dziewczynki, która roztargniona szła prosto na nich.

- Zdarzały się przypadki, kiedy ludzie przychodzący do Sheffield odzywali się do duchów - i działały z nimi złe rzeczy. - Marius milczał przez chwilę. - Pokażę wam.

Skierował się do wyjścia, zwinnie skrył się przed mężczyzną w szarym garniturze, potem otworzył drzwi i pierwszy wyszedł na chodnik.

Pierwszym, co Euan i Katelynn zobaczyli, wychodząc w ślad za nim, był przejeżdżający obok widmowy samochód. Z okna tylnego siedzenia spoglądał smutnie na nich chłopiec w szkolnym mundurku.

- Za godzinę zrobi się tu tłoczno, trzeba wyjść na obrzeża. Ale po drodze pokażę wam coś interesującego. Może wy zrozumiecie więcej ode mnie.

Z przodu wznosiły się żywe bloki mieszkalne. I do nich właśnie skierował się staruszek, a następnie zatrzymując swoich towarzyszy, żeby ci nie wpadli na kolejnego ducha, niespodziewanie wychodzącego zza rogu.

- Chyba znasz każdy ich krok - rzekł Euan.

- Żyję z nim już od wielu lat. Pamiętacie dziewczynkę z biblioteki? Nazywa się Monica, studiowała psychologię na uniwersytecie. - Marius znowu zatrzymał się i odwrócił się na zastawiony

samochodami parking. - Kiedy udało mi się z nią porozmawiać, nie uwierzyła, stwierdzając, że jestem jej potencjalnym pacjentem. A ten człowiek w garniturze uwierzył i się złościł. Nazywa się... - Marius przerwał, strzelił kilka razy palcami i tryumfalnie oznajmił: - Jeremy!

- Pamiętasz imiona ich wszystkich?

- Bardzo wielu. Nie mam za bardzo z kim rozmawiać - wzruszył ramionami starzec i przeprowadził ich przez drogę, po której jeździły widmowe samochody.

Jeszcze przez kilka minut szli po chodniku i znaleźli się na niewielkim placu przed blokami. Tam oczom Euana i Katelynn ukazał się widok, który później prześladował ich do końca ich dni.

Na skrawku betonu stał szkielec, stał prosto, jak żywy, tylko całkiem martwy. Wokół niego mიაոiał się duch mężczyzny, gorączkowo próbując się wyrwać z tego miejsca, wyciągając jasne ręce ku niespodziewanym obserwatorom.

- On nas widzi? - spytał Euan.

- Chyba tak - odparł Marius.

- Co się z nim stało? - zapytała z niepokojem Katelynn.

- Za trzy godziny z tamtego podjazdu wyskoczy grupa nastolatków. Ten człowiek był jednym z pierwszych, który wszedł do miasta ze stacji. Popęłnił błąd: przeszedł przez nich.

- I co się stało?

- Cholera wie - Marius wzruszył ramionami. - Znalazłem go po kilku dniach. Był jeszcze żywy, ale już bredził i nie dałem rady ruszyć go z miejsca. Widocznie zdenerwował dzieciaki, a ci wciągnęły go ze świata żywych do swojego świata.

- I teraz na zawsze będzie sterczał w tym miejscu?

- Co do "na zawsze" nie mam pewności: nie wiem, jak długo w ogóle rozkłada się to cholerstwo. Ale od tamtego dnia się nie ruszył, a Poranny wzwód z jakiegoś powodu na nich nie działał.

- Okropne... - powiedziała Katelynn.

- Dokładnie - zgodził się staruszek. - Kiedy był żywy, próbowałem mu pomóc, ale ani jedzenia, ani wody nie przyjmował. A jak umarł, to nadal stał.

Euan obejrzał się: wokół jeździły widmowe auta, a ludzie snuli się za swoimi sprawami, straciwszy jakiegokolwiek czucie dwadzieścia lat temu.

- Od tamtej pory, kiedy wyszedłem z domu, widziałem wiele okropieństw - oznajmił. - Ale z tym ewidentnie nic nie jest w stanie się równać. Wszyscy ci ludzie utknęli bez nadziei i przeżywają wiecznie na nowo swój ostatni dzień...

Marius skinął.

- Oto dlaczego nikt nie przychodzi do Sheffield. To miasto należy do martwych.

- Gdzie ono się kończy? - spytała Katelynn.

- Zaraz obok - odparł starzec. - Odprowadzę was w bezpieczne miejsce, gdzie można przeczekać do nocy.

- Dziękuję! - powiedział z uczuciem Euan.

- Nie zatrzymujcie się. Niedługo nie będzie tu jak się przecisnąć...

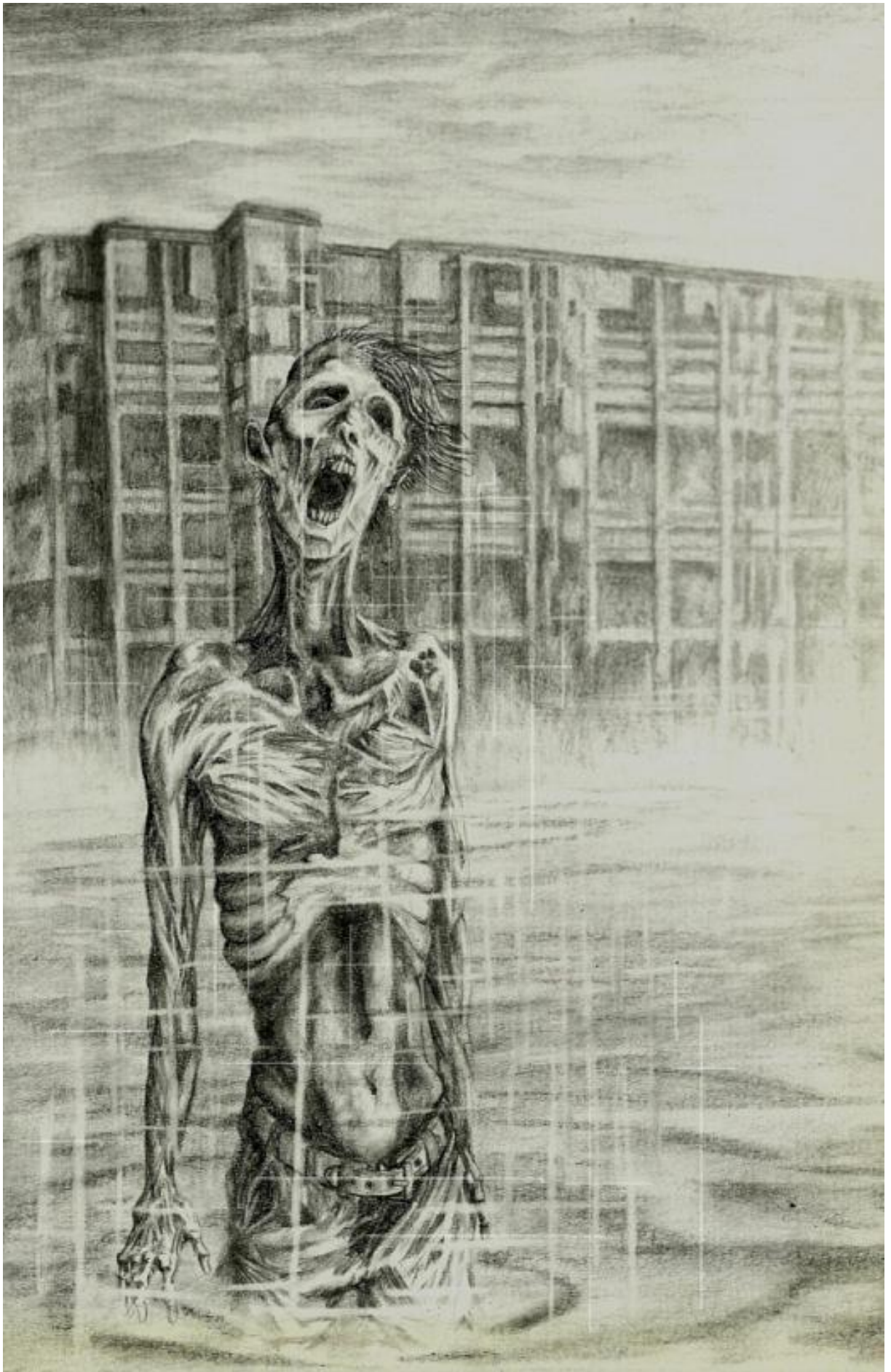
Marius zaprowadził ich do niedużego, ale przytulnego domu na końcu ulicy niedaleko od stacji kolejowej.

- Tam musisz pójść, Euan - powiedział, wskazując w stronę ośnieżonego pustkowia. - Steja jest w tę stronę. Nie jesteście teraz w martwej strefie, ale i tak bądźcie ostrożni. Duchów tu nie ma, ale żywi ludzie nie są lepsi: tych, których zabiliśmy wczoraj, na pewno już znaleźli.

Euan podziękował Mariusowi i pożegnał się z nim. Przed odejściem staruszek uważnie przyjrzał się Katelynn i uśmiechnął się tak, że jej dusza uciekła do pięt, a potem znowu zwrócił się do Euana:

- Postaraj się nie zapomnieć: ty jej wierzysz i kochasz ją.

Euan spojrział roztargniony na dziewczynę, ale ta, poczerwieniawszy, patrzyła pod swoje nogi. A kiedy on znowu odwrócił się do dziwnego staruszka, nie było po nim żadnego śladu.



Rozdział 15

Łowca niewolników



Tak jak poradził starzec, poczekali na zmrok i pod osłoną nocy podkradli się do betonowego muru wokół stacji. Euan nie wiedział, czy jest to nowy mur, czy jeszcze przedwojenny; w każdym razie, wejście było tylko jedno - przez główny budynek z wałącym się dachem.

- Raczej nie damy rady przejść niezauważeni - stwierdził.

Katellynn milczała. I w ogóle od czasu, kiedy Marius odszedł, nie odezwała się ani słowem.

- Jak sądzisz, kasa jest otwarta? - spróbował zażartować Euan, ale Katellynn była niewzruszona i zaczęło mu to już działać na nerwy. - O co ci chodzi, skarbie?

- To nie jest dobre miejsce, Euan. I jeśli tam pójdziemy, nie stanie się nic dobrego.

- To możesz doradzić, jak inaczej możemy dostać się do Londynu?

Dziewczyna smutno pokręciła głową i nagle spytała:

- Jesteś pewien, że właśnie tam musisz iść?

- Właśnie dlatego tutaj szliśmy! Chociaż teraz na pewno nas zastrzelą albo wezmą w niewolę!

Euan uderzył pięścią w mur i zaklął. Katellynn niewzruszenie obserwowała go, jej oczy zaszyły mgłą i zwróciły się gdzieś w dal. Nagle dziewczyna spojrzała na niego z żalem, podeszła i położyła dłoń na jego policzku.

- Nie chcę cię stracić. - Serce podskoczyło mu w piersi, a oddech zniknął. - Tylko pamiętaj, że sam się do tego zgłosiłeś.

Euan chciał odpowiedzieć, ale za jego plecami rozległ się szcęk odbezpieczania broni i spokojny głos oznajmił:

- Proszę, podnieś ręce do góry i odwróć się.

Euana oblał pot. Spróbował spojrzeć Katellynn w oczy, ale jej twarz znowu zamieniła się w nieprzenikloną maskę.

Człowiek za plecami okazał się być dobrze zbudowanym bykiem wysokim na dwa metry i prawie tyle samo szeroki. Na sobie miał ten sam szary mundur i niemal nową kamizelkę kuloodporną, jedną ręką niedbale celował w ich stronę ze strzelby, druga leżała na kaburze pistoletu. Najbardziej Euana zaskoczyło to, że człowiek był gładko ogolony, krótko ostrzyżony i ubrany w czyste ubrania. A do

tego był niewzruszony i, wydawało się, zupełnie nie zdziwiony tym, że dwóch obcych podeszło tak blisko do stacji. Odczepiwszy od pasa torbę, rzucił ją Euanowi pod nogi.

- Proszę, włóż naboje do torby i rozładuj broń.

Głos u byka był zbyt wysoki dla takiej postury, ale mówił on pewnie, jak człowiek świadomy swojej przewagi. Powoli wsadzając do worka magazynki do karabinu, Euan ocenił, czy jest w stanie zdjąć wielkoluda nożem i postanowił nawet nie próbować. Człowiek w szarym jakby przeczytawszy jego myśli, spojrział z uznaniem na nóż wystający zza pasa Euana, ale nie drgnęła mu nawet brew. Poczekawszy, aż wszystkie magazynki nie znalazły się w torbie, powiedział:

- Broń możecie sobie zostawić.

Następnie wręczył torbę Katelynn i uśmiechnął się:

- Idźcie przodem, żebym was widział. Na pewno wiecie, dokąd iść.

- Śledziłeś nas? - spytał Euan, oglądając się przez ramię.

- Bądź tak miły i patrz przed siebie - rozkazał ten, a potem jeszcze odpowiedział: - Przeważnie nie. Robiłem obchód i nagle poczułem nieodpartą chęć, żeby zajrzeć tam, gdzie się chowaliście.

Euan ponownie spojrział na Katelynn: szła opuszczając wzrok, jak zbity pies.

- I tak bym tu przyszedł, nawet bez tego przecucia. Ale akurat zadziałała intuicja, nie można jej nie posłuchać, prawda?

Euanowi już nie chciało się ciągnąć rozmowy. Był pewny, że Katelynn wezwała wartownika, stwierdzając, że tak właśnie wejdą na stację. Rozdzierały go sprzeczne uczucia: wiedział, że sam lepszego sposobu by nie wymyślił, ale bał się tego, co zrobią z dziewczyną.

To byli poważni ludzie. Jeśli udało im się przywrócić linię do stanu używalności i puścić po niej pociąg, jeśli mieli własne mundury wojskowe i fryzjerów, za nimi musiała stać potężna siła.

Drzwi otworzyły się, przepuszczając ich pojedynczo i z tamtej strony spotkali piątkę w szarych mundurach.

- Gdzieś ty ich znalazł? - spytał człowiek z trzema pasami na rękawie.

- Siedzieli tam, pod murem - wielkolud wskazał za plecy kciukiem. - Odprowadzę ich do pułkownika.

- Pójdę z tobą - oznajmił drugi i poszedł wprost do budynku byłej zajezdni tramwajowej, obecnie przystosowanej jako koszary i rozdzielonej wewnątrz przegrodami, wziętymi z sąsiednich biur. Według szacunków Euana, na stałe mieszkało tutaj około dwadzieścia osób; niektórzy nawet teraz spali na pryczach przy żelaznych piecach.

Pułkownik był niemłody, blady i gładko ogolony. Siedział na łóżku i sznurował buty, a kiedy wstał, to okazał się być równego wzrostu z Euanem, ale nie z taką samą kondycją fizyczną i z brzuszkiem. Zimny blask jego mądrych, szarych oczu nie wróżył niczego dobrego.

Zanim zaczęli rozmawiać, z uśmiechem obejrzał Katelynn od stóp do głowy.

- Widzę, kapitanie, że znalazłeś swoim ludziom nową zabawkę - ocenił krótko.

Euan zaniepokojony zrobił krok w kierunku dziewczyny i wtedy w plecy dźgnęła go lufa strzelby.

- To niepotrzebne, kapitanie - powiedział grzecznie pułkownik. - Jestem pewien, że nasz przyjaciel nie odmówi podzielenia się z nami.

I wtedy Katelynn przemówiła z taką bezczelnością, jakiej zupełnie się po niej nie spodziewał.

- Nie jestem waszą zabawką, pułkowniku Mazers!

Wszyscy troje obrócili się w jej kierunku, pełni zdziwienia, ale z różnych przyczyn.

- Czyżby? - spytał pułkownik.

Katelynn sięgnęła do kieszeni, co trochę zdenerwowało kapitana, który skierował strzelbę na nią, wyjęła wytarty, skórzany portfel i podała sceptycznemu pułkownikowi. Ten westchnął i zgarbił się jak człowiek nieskończenie zmęczony.

- Jest pan wolny, kapitanie, dziękuję - powiedział i spojrział na Euana, oczekując od niego wyjaśnień. Ale ten milczał i pułkownik oddał portfel dziewczynie.

- A to kto?

- Póki co, mój ochroniarz - odparła chłodno Katelynn.

- Aha... - mruknął pułkownik, potem nagle odwrócił się i jego pięść poleciała prosto w twarz Euana. Ten uchylił od ciosu i nóż błysnął mu w ręce tak szybko, że Katelynn zakręciło się w głowie. Pułkownik zamarł, czując chłód stali na gardle pod samym podbródkiem, i kapitan wrócił z powrotem do gabinetu ze strzelbą w rękach, z wahaniem stanął na progu.

- Przypuśćmy - powiedział przyduszony pułkownik Mazers.

Euan zrozumiał, że to była próba, zrobił krok do tyłu i schował nóż za pas. Kapitan na progu nie spieszył się schować strzelbę i dalej trzymał go na muszce.

- Wszystko w porządku, kapitanie. Dziewczyna jest ze specjalną misją z Londynu, lepiej jej nie przeszkadzać.

Kapitan skinął i, jeszcze raz rzuciwszy okiem na Euana, zniknął za drzwiami. Mazers zwrócił się do Katelynn:

- Twoi ludzie wybyli tydzień temu razem z ładunkiem. Co cię zatrzymało?

- Zgubiłam ich - odparła dziewczyna.

Pułkownik założył szary mundur, dalej świdrując ją wzrokiem.

- Czyli to was stracili w Carlisle?

Katelynn skinęła.

- Teraz rozumiem, dlaczego tak się denerwowali. - Uśmiechnął się, równie grzecznie, co i lubieżnie, i przerzucił uwagę na Euana.

- Jeszcze jedno pytanie. Dla pewności - powiedział znużonym głosem. - Wczoraj w Sheffield przepadło dwóch naszych żołnierzy. Nie widzieliście ich?

Ale Euan nie odpowiadał. Wydawało się, że już zupełnie zapomniał, gdzie się znajduje, pogrążony w ponurych myślach. Najgorsze obawy potwierdziły się: Katelynn nie była tym nieszczęśliwym, porzuconym dzieckiem, jakim chciał ją widzieć. Oczywiście, sam narysował w swojej głowie ten obraz, a dziewczyna tylko trochę mu pomogła, ale była przy tym tak przekonująca, że on całkiem oślepl. Była jednocześnie z tymi ludźmi.

- Widzieliśmy ich - spokojnie i pewnie oznajmiła Katelynn.

- Bardzo ciekawe - powiedział pułkownik. - I co z nimi?

Euan ocknął się i ze wszystkich sił starał się zachować spokój, nie wiedząc, co zamierza powiedzieć dziewczyna. Ponownie go zdradzi?

- Zastrzelili ich jacyś bandyci. Potem napadli na nas i Euan się ich pozbył - odparła Katelynn.

- Odpowiadacie za swoje słowa, młoda damo? - przemówił powoli pułkownik, świdrując dziewczynę wzrokiem.

- Nie sędzę, że masz jakiś powód - i prawo - wątpić w moje słowa, pułkowniku Mazers - lodowatym tonem osaczyła go Katelynn.

- No dobrze - powiedział ten. - Sheffield jest niebezpiecznym miastem, a tych dwóch wyruszyło tam z własnej woli. Tłumaczyłem im, że grabienie jest niezgodne z tytułem wojskowym, ale, widzę, ktoś dał radę wyjaśnić im to jeszcze dobitniej... A twój ochroniarz ma dobre odruchy. Słuchaj, koleś - zwrócił się do Euana. - Jeśli jej ludzie cię nie przyjmą, znajdź w Londynie generała Hendela. Powiedz, że ja cię poleciłem.

- Jej ludzie?

- Tak, przyjacielu, *jej* ludzie. Ty z pewnością nazywasz ich łowcami niewolników.

Na pociąg trzeba było czekać około dwóch dni, ale Euan i tak nie znalazł możliwości porozmawiania z Katelynn: pułkownik Mazers zakwaterował ją w osobnym pokoju, z dala od męskich oczu, widocznie stwierdzając, że nie warto kusić losu. Wychodziła stamtąd tylko po to, żeby zjeść coś i załatwić się, i za każdym razem kapitan stał przy drzwiach toalety, dla uniknięcia incydentów.

Euanowi też przydzielili własny kąt - jeszcze jeden przykład ostrożności pułkownika - i w rezultacie miał dużo czasu na rozmyślenia. W głowie roily się pytania, ale jedyna osoba, która mogła na nie odpowiedzieć, była od niego odcięta. Rozpaczliwie chciał wiedzieć, co dokładnie robiła Katelynn, kiedy porywali jego dzieci. Może to właśnie ona wpychała jego syna do ciężarówki? Wykręcała ręce córki? Biła kolbą żonę?

Ona unikała go, od samego początku, wiedząc, że szuka tych samych ludzi, dla których pracowała. Euanowi nawet przyszło na myśl, czy nie przyprowadziła go tu specjalnie, żeby dostarczyć swoim pracodawcom całą rodzinę? Może przysługiwała jej za to premia? Na to pytanie nie znał odpowiedzi.

Siedział samotnie, układając opcje, i ból świadomości własnej ślepoty, własnej głupoty, zakorzeniony w jego duszy, rósł z każdą minutą. Na drugi dzień zrozumiał, że udało mu się zakochać w Katelynn i w ogóle nie mógł uciec od tej myśli. A jeszcze miał pewność, że dziewczyna jakimś

sposobem udawała to: jego uczucia, każdy ich krok, każde spotkanie, które zbliżało ich do końcowego celu.

Potem jego myśli skierowały się na inne tory: zaczął wspominać, jak rozpaczliwie wczepiała się w niego, naga, drżąca z zimna, kiedy zdjął ją z ołtarza w Doncaster. Euan nieustannie klócił się ze sobą o jej motywacje, intencje i prawdziwe uczucia...

Trzeciego dnia, kiedy pojawił się pociąg, Euan snuł się po stacji i nie doszedł jeszcze do żadnych wniosków. Z początku słyszał metaliczny zgrzyt, potem na wschodzie, za murem, pojawiły się kłęby szarego dymu. Żołnierze rzucili się z koszar otworzyć bramę i oczom Euana ukazał się niebywały widok: ogromny czarno-czerwony parowóz, tonący w kłębach dymu wydobywającego się z komina. Maszyna była wzmocniona ciężką, stalową pokrywą, do której przyspawane było stalowe wzmocnienie. Czarna siatka ściśle zakrywała okna i nawet komin, zakrywając każde dostępne wnętrze.

Dwa wagony, które ciągnął za sobą parowóz, miały podobną konstrukcję, ale wyraźnie dwa różne przeznaczenia. Oba były pokryte tą samą metalową pokrywą, tym samym wzmocnieniem i siatką: oba były pomalowane na czarno i czerwono; ale z okien pierwszego wyglądali ludzie w mundurach wojskowych, a w drugim zamiast okien były wąskie szczeliny, a zamiast drzwi duża rampa. Euan doszedł do wniosku, że w tym wagonie przewożeni są niewolnicy.

W dzieciństwie jeździł parowozem i teraz, patrząc na to, jak uzbrojony potwór, ogłuszająco sapiąc, powoli sunie po torach na stację, nagle poczuł, jak w nim wrą dawno zapomniane uczucia. Jednak w przeciwieństwie do dziecinnych zabaw, ten piekielny brontozaur, buchający ogniem i dymem, wykonywa okropną pracę i iluzja szybko zniknęła: teraz Euan patrzył na niego nie oczami rozentuzjzmowanego chłopca, a praktycznym wzrokiem doświadczonego wojaka.

Pociąg był prawdziwą maszyną wojenną gotową na wszystko: na dachach uzbrojonych wagonów postawiono gniazda strzeleckie i, zdaje się, nawet wystawała lufa niewielkiej armaty, a przód parowozu drwił ciężkim pługiem, zdolnym przekopać śnieg i zepchnąć z drogi przeszkody.

Przywarłszy do muru, Euan patrzył na pociąg do tej pory, aż jego samotność niespodziewanie się nie skończyło: obok otworzyły się drzwi i na stację wyszli pułkownik z kapitanem. Mazers ruszył prosto do pociągu, a kapitan zatrzymał się, że sprawić, czym zajmują się żołnierze i czy któryś nie wywija się od roboty. Zauważywszy Euana podszedł do niego i stanął obok, jak stary dobry znajomy.

- Imponujące, prawda? - spytał, oglądając się za reakcją Euana.

Ten nie zaczął się klócić: jemu imponował każdy działający silnik, a co dopiero mówić o takim osiągnięciu gospodarczym, jak pociąg pancerny!

- Do wagonu towarowego wchodzi dwieście osób, a jeśli dobrze ich upchnąć to nawet więcej - uśmiechnął się kapitan.

Euan, z trudem powstrzymawszy w sobie narastającą falę nienawiści, przerzucił wzrok na pociąg i na okropny drugi wagon i w myślach przypomniał sobie, po co przyszedł tu z Glasgow. Bez wglądu na to, co się z nim działo w czasie tego wydarzenia: szukał rodziny i był bliżej celu niż kiedykolwiek.

Ale wtedy jego myśli ponownie przeskoczyły na Katelynn i niczego nie mógł ze sobą zrobić.

Konic końców, jeśli dziewczyna omamiła go, żeby wrócić tutaj, gdzie jej nic nie zagraża - można ją zrozumieć i nie trzeba jej winić. Świat okropieństw i niebezpieczeństw, a młoda dziewczyna nie miała żadnych szans przebyć tą drogę sama. Uratowała mu życie w burzy, a on chociaż niechętnie, ale musiał przyznać, że gdyby nie jej związek z łowcami niewolników, na stacji potraktowaliby go zupełnie inaczej.

Tym czasem drzwi wagonu otworzyły się i kilku żołnierzy, salutujących pułkownikowi i kapitanowi, skierowało się do koszar. Następnie wyszedł oficer w takim samym mundurze, co Mazers (jakby nie patrzeć, też pułkownik) i zamienił z nim kilka słów. Mazers rozdrażniony wysłuchał go i poszedł z powrotem. Dochodząc do drzwi, zatrzymał się i spojrzał na Euana.

- No co, wygląda na to, że pojedę z wami do Londynu. Pakujcie rzeczy: wyruszamy przed zmrokiem.

Kiedy drzwi za nimi zamknęły się podszedł kapitan z szerokim uśmiechem na ustach. Jakby czekał na coś od Euana, ale jego ani trochę nie interesowały ich wewnętrzne konflikty. Miał dosyć własnych problemów, dlatego milczał. Ale kapitana, widocznie, rozpiętało i nie czekał na specjalne pozwolenie:

- Wygląda na to, że mnie właśnie awansowali.

Euan pomyślał i stwierdził, że nie należy kolejny raz poniżyć człowieka: a nuż trzeba będzie trafić tu w drodze powrotnej.

- Gratuluję - powiedział mrocznie.

Kapitan roześmiał się.

- Daj spokój, nie załamuj się. Nie ciebie pierwszego oszukała ładna dziewczynka.

Po przyjacielsku poklepał Euana po ramieniu i wszedł do budynku. Euan policzył do dziesięciu, uspokoił się i podążył za nim. Poszedł do siebie, zabrać plecak i broń, ale na jego pryczy siedziała Katelynn, a wszystkie jej rzeczy, dokładnie zapakowane, leżały na podłodze.

Na widok dziewczyny Euan trochę się zawałał, ale wziął się w garść i podszedł do niej pewnym krokiem. Nie wiedział, jak się przy niej zachować i patrzył się jak podrostek.

- Cześć! - powiedziała Katelynn, patrząc na niego z nadzieją.

- Wszystko w porządku? - spytał bez uczuć Euan.

- To pułkownik zabronił mi wychodzić z pokoju i rozmawiać z tobą - oznajmiła zamiast odpowiadać.

Euan poczuł ulgę, ale zaraz przypomniał sobie, że nie wolno jej wierzyć, choćby bardzo tego chciał.

- To wiele wyjaśnia - stwierdził tym samym beznamiętnym tonem.

Katelynn chciała coś powiedzieć, żeby przełamać lody, które powstały między nimi, ale w tym momencie rozległ się głos Mazersa:

- Czas wsiadać do pociągu, miss!

- Jesteś w ich armii? - zapytał szybko Euan.

- Nie.

- Więc czemu rozmawia z tobą jak z równą sobie?

- Dlatego że ci, dla których pracowałam, podlegają tym samym ludziom, co on.

- Miss, proszę się pospieszyć - znowu dało się słyszeć głos pułkownika już przy samych drzwiach.

- Musimy iść - uległa Katelynn i wstała, zbierając swoje rzeczy z podłogi.

Euan zarzucił na ramię plecak i karabin i wspomniawszy, że dla pozostałych nadal jest ochroniarzem, poszedł w ślad za dziewczyną do pociągu.

Dopóki szli od drzwi do torów, maszyniści przestawiali strzałki na torach i przestawili parowóz na przód składu, chociaż teraz powinien jechać tył na przód.

Zauważywszy ciekawość w oczach Euana, pułkownik wyjaśnił:

- Pół roku męczyliśmy się z torami, żeby zrobić rozjazd dla parowozu. Oczywiście, dla pociągu nie ma żadnej różnicy, czy pcha, czy ciągnie go pociąg, ale maszynista powinien widzieć, co jest przed nim.

- Długo służysz w tym garnizonie?

- Od samego początku - rzekł zmęczony pułkownik. - Teraz prawidłowiej będzie powiedzieć: służyłeś.

- Odsyłają do Londynu? - spytała Katelynn.

- Tak.

Przed pociągiem czekał na nich cierpliwie szereg żołnierzy, gotowych do załadunku. W ślad za pułkownikiem przeszli obok budynku i pierwsi wsiedli do wagonu. Euan zauważył, że niektórzy żołnierze rzucali ukradkiem chciwe spojrzenia w stronę Katelynn, kiedy wsiadała do wagonu.

- Dlaczego postanowili nagle cofnąć? - spytał pułkownika.

- Tego mi nie powiedzieli. Chociaż nie ma tu żadnej tajemnicy: przesiedziałem na stacji wiele lat. Chcą sprawdzić, czy nie zdziczałem.

- Co znaczy "zdziczałem"? - zdziwił się Euan.

- To znaczy, że zapomniałem o swojej powinności względem Republiki Angielskiej.

W środku wagon był podzielony na przedziały, w każdym z których mogło usadowić się osiem ludzi. Duża część miejsc była pusta i pułkownik bez trudu znalazł dla nich oddzielny przedział.

- Czekajcie tutaj, a ja sprawdzę, czy wszystko jest gotowe do odjazdu - oznajmił i zamknął drzwi.

Przedziały zostały wykonane w takiej samej czarno-czerwonej gamie kolorystycznej. Pod oknem była przymocowana duża metalowa zasłona; na niej, na czarnym tle, był narysowany czerwony krzyż

otoczony bielą. Był oczywiście zapożyczony z flagi świętego Jerzego, dawnego patrona Anglii, ale jeszcze bardziej przypominał Euanowi emblemat nazistowskich Niemiec, który widział w książkach historycznych.

Nad plastikowymi siedzeniami były półki na bagaże. Euan położył tam plecak i karabin, potem pomógł Katelynn położyć jej rzeczy i usiadł przy oknie, ciesząc się, że, pomimo metalowej siatki i warstwy pyłu na szybie, przez okno widać było kawałek zaśnieżonej stacji. Obróciwszy się po minucie mężczyzna zobaczył, że Katelynn zastygła na środku przedziału, nie wiedząc, gdzie powinna sięść. On znowu obrócił się do okna z widokiem pełnej obojętności i usłyszał, jak dziewczyna wzdycha i siada naprzeciwko.

Euan spojrzął na nią, chciał coś powiedzieć, ale wtedy drzwi otworzyły się i przed nimi ponownie stanął pułkownik. Katelynn także zapatrzyła się w okno.

Ledwie pojawiwszy się na progu, Mazers o mało nie upadł: pociąg szarpnął i z zewnątrz doszło sapanie silnika. Po powtórny szarpnięciu skład w końcu ruszył z miejsca.

- Jedziemy! - rzekł z zadowoleniem pułkownik, siadł obok dziewczyny i zapytał, jak gdyby nic się nie stało: - Co zamierzacie robić w Londynie?

Euan otworzył usta, ale Katelynn uprzedziła go:

- Jadę do domu, a on szuka pracy.

- Jasne... - mruknął pułkownik i nieoczekiwanie dodał: - Nienawidzę tego miasta!

Katelynn skinęła ze zrozumieniem, a Euan obojętnie zainteresował się:

- Czemuż to?

Pułkownik zdziwiony uniósł brew:

- Co, nigdy nie byłeś w Londynie?

Euan w milczeniu pokręcił głową.

- Pewnie jesteś ze Szkocji?

- Tak.

- No i jak tam u was jest?

- Zimno, ale spokojnie. Wygląda na to, że w czasie wojny nas nie bombardowali.

- Naprawdę? - zdziwił się lekko pułkownik.

- Widać u nas nie było niczego cennego.

- Tak, tylko stocznie, kopalnie i ciężki przemysł - stwierdził sucho Mazers.

- Tak, tylko to - zgodził się Euan. - Chyba nam się poszczęściło...

- Dokładnie! O Londynie tego, niestety, nie można powiedzieć: został trafiony kilkoma głowicami taktycznymi, bombą neutronową, która wybiła wszystkich żywych na powierzchni i bronią biologiczną, która zrodziła nowe, nieprzyjemne formy życia. - Pułkownik z goryczą pokręcił głową. - Duma narodu obróciła się w stertę skażonych radioaktywnie gruzów, po których szlajają się mutanty! Po prostu pełnia życia!

- Całkiem logiczne - wzruszył ramionami Euan, a pułkownik nie rozumiawszy spojrzął na niego. - Stolica państwa jest jak głowa wojownika: odetnij ją, a zwycięstwo będzie twoje.

- Cudowna analogia, tylko niezbyt pewna - uśmiechnął się krzywo pułkownik. - Sztab armii znajdował się w Gloucestershire. A w Londynie była tylko administracja państwowa. Ale to nie ma znaczenia. Zresztą, Gloucestershire przypomina teraz patelnię: gładkie, świecące i bez życia.

- Też wybuch jądrowy?

- Nie, coś ciekawszego. Od tamtej pory kompletnie nic tam nie rośnie.

- Ja już słabo pamiętam, jaki był świat przed tym wszystkim... Książki z jakiegoś powodu nie bardzo pomagają odtworzyć obraz - rzekł ze smutkiem Euan.

- Nie ma sensu się starać - odparł pułkownik, rozsiadł się wygodnie na siedzeniu i zamknął oczy od miarowego stukotu kół.

Przy Mazersie nie było o czym rozmawiać, dlatego siedzieli w milczeniu. Euan starał się nie zwracać uwagi na swoją towarzyszkę i spoglądał przez okno. Monotonne zaśnieżone pola i ruiny okazały się widokiem dosyć męczącym.

Pociąg jechał bardzo powoli. Euan był pewien, że mógłby biec z taką samą szybkością, gdyby się postarał, a poczucie nowości od podróżowania w komforcie i bezpieczeństwie szybko uleciało, ustępując nudzie.

Krajobraz zmienił się, kiedy wjechali do Chesterfield.

Tory kilka razy skręciły i Euan zdołał przyjrzeć się miastu, ale nie dowiedzieć się, co jest z nim nie tak.

- Przejedźdźmy bez postojów - mruknął pułkownik, nie otwierając oczu. - Zobaczycie czemu.

Tory kolejowe omijały centrum miasta od wschodu, a Euan pomyślał, że to, z pewnością, bardzo dobry zbieg okoliczności. Nad ruinami wznosił się kościół, którego iglica była skrzycona spiralnie, jak gdyby ożyła. Pociąg jeszcze bardziej wytracił szybkość, a Euan polecał do przodu, ale i tak nie zobaczył, co to spowodowało.

- Chyba hamujemy - zauważył, a pułkownik otworzył oczy.

- No to źle. Mendi chyba znów grzebały przy torach - z tymi słowami Mazers podniósł się i wyszedł z przedziału.

W przyjeździe dało się słyszeć szybkie kroki, brzęk metalu, potem ktoś tupał na dachu. Drzwi ponownie otworzyły się i Mazers zajrzał do środka.

- Siedźcie tu, mamy małe problemy. Chłopaki oczyszczają tory. Może być gorąco.

- Gorąco? - zapytała Katelynn, kiedy pułkownik zniknął.

Euan w milczeniu zdjął z półki karabin i przeładował go.

- Skąd masz amunicję?

- Kapitan w Sheffield oddał i dorzucił trochę od siebie.

- A ty nie zamierzałeś mi o tym powiedzieć?

- Przecież właśnie powiedziałem - odparł mężczyzna i rzucił dziewczynie magazynek do jej karabinu.

Katelynn złapała go w powietrzu i załadowała broń, patrząc na towarzysza z podejrzliwością. W tym momencie coś z całej siły walnęło w okno przedziału. Oboje pasażerowie podskoczyli zaskoczeni, a Katelynn aż wypuściła karabin.

Z tamtej strony okna obserwowała ich z szyderstwem rozmazana twarz. Z dachu zaraz rozległ się wystrzał i twarz rozpadła się na kawałki.

- Co to za cholera?! - wrzasnął Euan. - Widziałeś? Normalnie jakiś jaskiniowiec!

W oddali rozległ się długi okrzyk bojowy podjęty przez dziesiątki głosów. Ktoś na dachu zawołał:

- Chłopaki, przygotować się...

Z sąsiednich domów na dach poleciał grad kamieni i jakiegoś żelastwa. Ogłuszająco gruchotały o wzmocnienie, metalowe siatki na oknach brzęczały.

- Czemu oni to robią? - krzyknęła nerwowo Katelynn. - Nie wiedzą, że pociągowi nic się nie stanie!

- Po to, żeby ludzie denerwowali się - zasugerował Euan. - Tak jak ty. Chcą grać nam na nerwach zanim uderzą.

- Te pomalowane małpy mają nam działać na psychikę?

- No tak. Od czasów, kiedy wynaleziono wojenne bębny, prawie nic się nie zmieniło.

Hałas ucichł. Pułkownik Mazers z hukiem otworzył drzwi.

- Jasna cholera! - krzyknął Euan, podskakując zaskoczony.

- W pełni się zgadzam - uśmiechnął się pułkownik. - Mam nadzieję, że to zoo nie nastraszyło was za bardzo? Niedługo ruszymy.

- Co, już nakarmiliście zwierzęta? - spróbował zażartować Euan.

- Dokładnie, zwierzęta. To są zwierzęta. I nikt do końca nie wie, co się stało po wojnie z ludźmi tego sławnego miasta... Czemu zdziczeli - rzekł Mazers.

Za oknami rozległ się trzask i języki ognia ogarnęły przedział. Jeszcze kilka takich wybuchów dało się słyszeć z daleka.

- No to teraz zrobiło się poważnie - stwierdził pułkownik i wybiegł do przejścia.

W tych miejscach, gdzie trafiły butelki z substancją łatwopalną, ogień jakby przykleił się do wzmocnienia. Płomienie lepкими strumieniami ściekły w dół i farba pod nimi zawrzała. W przedziale zaczął unosić się dym. W tym momencie coś na górze zagrzmiało i jeden z pobliskich domów eksplodował.

- Czy to armata? - spytał Euan, spoglądając w górę.

Katelynn zakaszła od gryzącego dymu.

- Musimy stąd wyjść!

Strzelanina nie ucichła i ze strony miasta dochodziły pełne nienawiści wrzaski i okrzyki bojowe. Euan zarzucił na ramię plecak, a drugi rzucił Katelynn.

Wyskoczywszy z wagonu na środku składu, znaleźli się pośród kompletnego chaosu. Pociąg z obu stron otulały kłęby czarnego dymu, przez które przebijały się języki ognia. Słupy dymu unosiły się też z nasypu: tam płonęły sterty opon podpalonych przez dzikusów. Ze wszystkich stron rozlegał się nieprzerwany wściekły ryk: jakby stugłowe stworzenie wrzeszczało wszystkimi gardłami z powodu nienawiści do świata.

Między ruinami migały szybkie cienie, w dymie podobne do demonów z piekła. Żołnierze strzelali do nich z dachów i, pomimo, że częściej chybiali niż trafiali, czasem kula dosięgała celu. Wtedy groźny demon padał na kamienie, wił się w agonii i zamierał, zamieniając się w żalną, poskręcaną figurę w podartych łachmanach.

Ruiny także ogryzały się ogniem: kule co chwila odbijały się od pancernych ścian. Na oczach Euana jeden żołnierz na dachu opuścił głowę i padł na bok.

Z przodu, w poprzek torów, stał ogromny tir z przebitymi i przepalonymi oponami, załadowany po brzegi kawałkami betonu i cegłami. Euan zauważył, że gruz pod spodem był pokryty tą samą czarną cieczą, która płonęła na ścianach pociągu.

Mazers stał przy kabinie i z pomocą żołnierza próbował wyważyć drzwi. W tym momencie płomień dopełził od nich do ciemnych plam i z głuchym huknięciem, od którego przycichło wycie nad miastem, na naczepie tira zapłonęła ogromna kula ognia, rozrzucająca we wszystkie strony płomienne języki.

Pułkownik zdążył wskoczyć do kabiny, a żołnierz zawahał się i momentalnie zmienił się w żywą pochodnię. Miotał się po torach dopóki nie runął od niewyobrażalnego bólu i nie ucichł.

Z ruin znowu zawyli - z początku nieśmiało, osobnymi krzykami, potem wszyscy tym samym przyjacielskim wyciem - i wtedy, jakby kula ognia była ich sygnałem, na tory wysypały się tłumy ludzi w porwanych łachmanach. Wielu trzymało w rękach jakąś prymitywną broń - włócznie, noże, zardzewiałe karabiny. Zapadnięte policzki, chude nogi, oczy płonące rozpaczą i głodem. Ale bardziej, niż wygląd tych ludzi, przerażały naszyjniki z ludzkich zębów, ozdabiające najlepiej odżywionych.

Z góry zahuczał ciężki karabin i pierwsze rzędy atakujących zwały się, skoszone serią. Tłum drgnął, ale zaraz z podwójną wściekłością wyrwał się do przodu.

- Szybko, na górę! - wrzasnął Euan i dosłownie rzucił Katelynn na drabinę wiodącą na opancerzony dach wagonu.

- A ty? - krzyknęła dziewczyna.

Euan rzucił jej swój karabin:

- Trzymaj. Strzela dalej niż twój. Kryj mnie i nie zrób sobie krzywdy!

Rzucił się tam, gdzie, oddzielony zgrają dzikusów od swoich podwładnych, siedział w kabinie tira pułkownik. Katelynn biegła za nim po dachu wagonu, obok żołnierzy, z zimną krwią strzelających we wściekłą, krwiożerczą ludzką masę na dole i tnących bagnetami tych najsilniejszych, którym udawało się wejść po drabinie na górę.

Euan rozłożył ramiona i wyjął dwa ostrza. Dokładnie przed nim, szturchając go w twarz "tulipanem" z butelki, przywódca dzikusów w oprawkach od okularów bez szkieł i z naszyjnikiem z ludzkich palców na szyi. Katelynn z dachu wagonu wydało się, że jej towarzysz zaczął tańczyć. Uchyłał się przed włóczniami i ostrzami dzikusów, przeskakiwał między nimi z niespodziewaną zwinnością, a noże stały się niczym przedłużeniem jego rąk.

Euan ufał refleksowi: zadziały lata treningów, a umysł oczyścił się ze wszystkich myśli, ustępując instynktowi. Gdzieś w mrocznych krańcach jego rozumu ożyła świadomość tego, że ta podróż zniszczyła go. Że pomimo szlachetnego celu, utracił po drodze coś, bez czego ciężko być rozumnym człowiekiem. Jego życie zmieniło się w szalejący wir, a przeszły spokój i równowaga wsiąknęły gdzieś głęboko.

Oszałeli z głodu mężczyźni i kobiety przed nim przestali być ludźmi i stali się przeszkodami na drogę. Ich szalone ataki odbijał spokojnie i niewzruszenie, jak człowiek odgarniający w lesie gałęzie z twarzy.

Zardzewiało ostrze rozcinało powietrze centymetr od jego szyi. Pochyliwszy się w lewo, Euan wyciął ostrzem cienką linię na torsie przeciwnika, od prawego biodra do żeber z lewej, i napierał do przodu w czasie, gdy dzikus próbował zebrać kiszki niespodziewanie zdrętwiałymi rękami. Potem, złapawszy włócznię, która prawie wbiła mu się w brzuch, Euan ciał na ręce jej właściciela, a kolejnym

ciosem rozciął mu tętnicę szyjną i uśpił na wieki. Dalej na drodze stała dziewczyna ze lśniącym nożem. Spowity przez bezwzględną pustkę, Euan natarł na nią, niczym anioł śmierci. Dzikuska zdążyła odwrócić się i spróbowała wbić mu nóż w nogę, ale Euan odskoczył i broń aż po rękojeść wbiła się w ziemię. Zobaczywszy przed oczami lufę karabinu, Euan jedną ręką ciął po niej, a drugą gardło strzelca i, rozpołowiwszy ją od ucha do obojczyka, rzucił wijące się w agonii ciało na dziewczynę.

Oto one, bezsenne noce w tunelach. Treningi nie poszły na marne.

Czy on po prostu wypuścił demona na spacer, który od zawsze w nim żył?

Kiedy Euan otworzył drzwi, pułkownik wcelował w niego pistolet i dopiero po chwili rozpoznał go. Mazers akurat próbował włączyć silnik.

- Cholera jasna, skąd się tu wzięłeś?! - krzyknął Mazers, patrząc w puste oczy na zabryzganej krwią twarzy. Ale wtedy silnik odpalił i pułkownik zapomniał o swoim pytaniu, rzucając przez ramię:

- Powstrzymaj ich, aż nie przestawię tego dziada!

Euan zeskoczył na ziemię obok kabiny. Całkiem blisko dało się słyszeć kroki i gwałtownie się obrócił, a pokryte krwią ostrza w jego rękach błysnęły w ogniu piekielnego ognia.

- Hej, spokojnie! - Przed nim stał człowiek w wojskowym mundurze. Euan mrugnął i zaczął dochodzić do siebie.

Tym czasem pięciu żołnierzy skorzystało z zamieszania, które spowodował Euan w rzędach dzikusów, i rzucili się za nim w powstały wyłom, a Katelynn z dachu kryła ich ogniem. Cała piątka patrzyła teraz z niepokojem na człowieka, który dokonał na ich oczach takiej rzezi.

Za plecami Euana uszkodzony tir ruszył przed siebie, stary silnik ciężko zakaszłał, skrzypnęły zużyte resory. Żołnierze utworzyli ochronny krąg wokół kabiny i przemieszczali się razem z nią, strzelając w tych, którzy śmieli się podejść zbyt blisko. Euan spojrzał na noże w swoich dłoniach i ogarnął go nagły wstręt. Wytarłszy je o ubranie zabitego dzikusy, mężczyzna wetknął ją za pas i w tym momencie tir z rumorem zjechał z torów.

Pułkownik Mazers wyskoczył z kabiny.

- Dzięki, chłopaki! - powiedział do żołnierzy i uważnie przyjrzał się Euanowi. - Mam wrażenie, że dziewczynie kurewsko się udało z ochroniarzem. Chyba zawdzięczam ci życie, a może i wszyscy moi ludzie zawdzięczają.

Euan milczał, a jego twarz niczego nie wyrażała. Pułkownik zmarszczył brwi.

- Widziałem taki wzrok u niektórych weteranów. Ostrożnie, Euan. Jeśli za długo będziesz patrzeć się w Otchłań, Otchłań spojrzy na ciebie.

Mazers odwrócił się do żołnierzy, zamierzając z walką zaprowadzić ich z powrotem do pociągu, ale atak Euana i celny ostrzał z dachów wagonów złamały wojenny zapal dzikusów. Kiedy tir zjechał z nasypu, rzucili się w tył i zniknęli wśród ruin. W oddali rozlegały się jeszcze wystrzały, ale kule nie świstały już nad głowami i Euan domyślił się, że ocalali rozprawiają się ze sobą.

Na ziemi wokół pociągu leżało na oko pół setki ciał. Przebijając się przez nie, żołnierze co rusz zatrzymywali się, żeby dobić rannego. Katelynn, spoglądając na to z dachu, bladła z każdym wystrzałem.

- Nie strzelać! - padł rozkaz z dachu, kiedy pułkownik i jego świta doszli do dymiących wagonów. - Wsiadajcie, zanim dzikusy znowu uderzą!

Wszyscy wrócili do wagonów i pociąg powoli ruszył do przodu, zabierając ich z krwawego pola bitwy.

Kiedy wokół ponownie rozciągnęły się śnieżnobiałe pola, pociąg zatrzymał się i żołnierze pod wodzą pułkownika wyszli zobaczyć uszkodzenia. Katelynn z ciekawości poszła z nim, a Euan dąptał jej po piętach, jak zagubione dziecko.

Pociągowi porządnie się dostało: łatwopalna ciecz na stałe przykleiła się do poszycia, farba w wielu miejscach odpadła, szyba tu i tam szerniała. Pod wagonami znaleźli nieugaszone języki ognia - tam zajął się smar z kół - i żołnierze zaraz rzucili się do jego gaszenia.

- Gdybym nie był kompetentną osobą, powiedziałbym, że te gady obsypywali nas napalmem - zauważył Mazers, nie zwracając się do nikogo konkretnego.

- Więc co w tym takiego dziwnego? - spytał Euan.

- Sam w sobie napalm przygotowuje się łatwo, ale znaleźć do niego benzynę już nie jest takie proste - wyjaśnił pułkownik, zaglądając pod spód wagonu. Niespodziewanie wyszedł stamtąd inżynier; pułkownik zachwiał się i stracił równowagę. Euan odruchowo przytrzymał go ręką, nie dając spaść z nasypu.

- Zobacz, znowu mnie uratował! - uśmiechnął się Mazers.
 - Wszystko w porządku, sir - oznajmił inżynier, zasalutowował i skierował się do parowozu.
 - Dobra, nie ma co tu sterczeć. - I pułkownik pierwszy przeszedł przez drzwi.
- Euan i Katelynn poszli za nim, ich śladem ruszyli otaczający ich żołnierze.

Dymu w wagonie już nie było, ale zapach pozostał, wydawało się jakby przesiąkł każdy kawałek materii i każdą powierzchnię. Poruszali się z poprzednią szybkością.

- Myślałem, że pociągi jeżdżą szybciej - stwierdził ponuro Euan.
- Wcześniej tak było. Chociaż nasz pociąg też może - odparł pułkownik.
- Więc co mu przeszkadza?

- Tory nie są w najlepszym stanie: w sumie dwadzieścia lat bez konserwacji. W wielu miejscach musieliśmy je wymieniać, przenosząc całe z innych tras. I tak przychodzi jeździć powoli, żeby maszynista i inżynier nie przeoczyli uszkodzenia.

Euan dobrze pamiętał zarzewiałe tory w podziemiach Glasgow. Tutaj, na powierzchni, powinny ucierpieć znacznie mocniej, niż w zamkniętym przed złym klimatem metrze.

- Teraz rozumiem - wycedził.
- Kiedy postawimy kraj na nogi, wszystko stanie się inne - rzekł pułkownik śpiewnym głosem, jakby powtarzał wyuczoną formułkę.

- Synowi i córki Anglii, jesteście jej potrzebni! - dodała Katelynn z kamienną twarzą.

W ciągu tygodnia wspólnej podróży Euan poznał dziewczynę i wiedział, że mówi o czymś bardzo dla niej nieprzyjemnym, ale pułkownik brał jej słowa całkiem poważnie.

- Dokładnie! - powiedział i zaklaskał. - Tylko tak! Tylko tak uczynimy Anglię ponownie wielką potęgą!

- My, w Szkocji, ani razu nie słyszeliśmy o Republice Angielskiej - oznajmił Euan, próbując na czas zapomnieć o tym, że ci ludzie porwali jego rodzinę. - Możesz opowiedzieć o niej coś więcej?

Pułkownik zamyślił się.

- Niedługo sam się wszystkiego dowiesz i zobaczysz na własne oczy. Może nawet przyjmimy cię do naszych szeregów. W końcu Szkoci nie przywykli do rozlewu krwi za Anglików. - Uśmiechnął się.

- A czego chciałbyś się dowiedzieć w pierwszej kolejności?

- Wszędzie, gdzie byłem, panuje chaos. Ludzie ledwo wiążą koniec z końcem w pogoni za życiem. Jak udało wam się tak się zorganizować?

- Proste pytanie od prostego człowieka - kiwnął głową. - No cóż, więc posłuchaj swojej pierwszej odpowiedzi. Ale najpierw powiedz: czy w Szkocji chodzą słuchy o tajnych bazach wojskowych pod ziemią?

Euan skinął:

- Tak, tylko nikt w o nie wierzy. Metro przeszukano wzdłuż i wszerz, nie pozostało tam żadne niezagospodarowane miejsce.

- A w Londynie było tego pełno: od magazynów broni po ufortyfikowane bunkry.

Euan zamrugał zaskoczony, a oczy pułkownika zabłysły z radością.

- Nie były zbyt dobrze ukryte, zwyczajnie stały z dala od oczu ciekawskich i pod ograniczonym dostępem. Po wojnie niewielka garstka ocalałych zaczęła marnieć się marzeniami o tym, jak nowy naród powstaje z popiołów.

To dla Euana brzmiało znajomo: w Glasgow także krążyły takie plotki.

- To były tylko marzenia, ale plotki o nich bardzo szybko rozeszły się jak ogień po całym Podziemiu. Wreszcie plotka dotarła do uszu człowieka, który był kiedyś generałem i widział, gdzie znajdują się mrowie magazynów i bunkrów.

Mazers pochylił się do przodu, ogarnięty wspomnieniami.

- Znał zarówno wszystkie kody dostępu, jak i do których bunkrów lepiej nie próbować się dostać. Generał odnalazł marzycieli i powiedział im, że są najlepszym zastępstwem dla parlamentu, że są potrzebni ludziom, a potem zaoferował swoje zasoby w zamian za możliwość zebrania armii. I tak się stało. Marzyciele stali się nowym parlamentem i tak narodziła się Republika.

- I żadnych wyborów? - spytał Euan, przywykły do tego, że liderów stacji w Glasgow wybierano w powszechnym głosowaniu.

- Na razie nie, ale pracujemy nad tym - odparł lekko urażony pułkownik. - Do wyborów potrzebna jest stabilna baza. I, oczywiście, głosować powinien nie tylko Londyn.

- Dawno się to zaczęło?

- Kilka lat temu, kiedy osłabły mrozy. Wysyłamy rekrutantów we wszystkie krańce kraju, ci oferują pracę uciekinierom i włóczęgom, obiecując za trud jedzenie, ubranie i dach nad głową.

- Tak, wydaje mi się, że to nazywa się niewolnictwo - stwierdziła Katelynn, dziarsko spoglądając na pułkownika.

- Świetnie znasz układ rzeczy: w świecie nie było ani jednej wielkiej cywilizacji, która na tym czy innym etapie nie korzystała z niewolniczej pracy! - odciął się on, a Euan z trudem powstrzymał chęć złapania go za gardło.

- Co to za pojebana republika, skoro zniewalacie swoich obywateli? - syknął.

Pułkownik oparł się na siedzeniu i zamyślony wpatrzył się w niego.

- Myślisz, że jestem idiotą, Euan? - nieoczekiwanie spytał cichym głosem.

Katelynn zamarła.

Euan powstrzymał się. Dałby władzę uczuciom i zaraz rzuciliby się na niego. Nie czas wyjaśniać stosunki z tym draniem, nie czas...

- Oczywiście, że nie - wymówił powoli.

- Prawidłowo. Idioci nie przeżywają w naszym świecie, a tym bardziej nie dochodzą do władzy.

Euan skinął, ale kątem oka zauważył, że dziewczyna się napięła.

- Duża jest ta wasza Republika? - zapytał, żeby zatuszować śliski temat. - O ile dobrze zrozumiałem, wszystko zaczęło się w Londynie, ale sam przecież mówiłeś, że nie za wiele z niego zostało.

- No, jesteśmy dopiero na początku drogi. Przyłączyły się do nas tunele na północy Londynu i kilka naziemnych osad na południu...

- Chwileczkę! - przerwał Euan. - Czyli na południu są osady na powierzchni?

- No tak - powiedział zdziwiony pułkownik. - Co w tym dziwnego.

- Mówiono nam, że nikt tam nie przeżył.

- *Prawie* nikt. Ale były tam wojskowe bunkry, a ci bardziej pomysłowi dali radę przeżyć innymi sposobami.

- I tak nie jest jasne, jakich rozmiarów jest ta wasza Republika.

- Bardzo ciężko wytyczyć granice i zliczyć ludność. Nie zapominaj, że kraj leży w ruinie.

Mężczyzna spojrzał sceptycznie na rozmówcę.

- Jestem podejrzliwy, co? - zapytał ten.

Euan i Katelynn jednocześnie pokiwali głową, a pułkownik smutno się uśmiechnął:

- Wybaczcie. Życie nauczyło dyplomacji. Republika Angielska istnieje na razie tylko jako idea, ale za to ta idea ma coś, czego nie mają wszystkie inne ideologie, wyłaniające się ze zgliszczy: zasoby. Na republikę składają się wszystkie stacje na północ od St. Pancras, kilka południowych stacji i około trzydziestu placówek w całym kraju.

- Ilu to ludzi?

- Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia - przyznał pułkownik.

- Więc skąd wiecie, kto do was dołączył, a kto nie?

Mazers spojrzał w milczeniu na Euana.

- Kto nie jest z nami, jest przeciw nam - uśmiechnęła się smutno Katelynn.

- Trąci dyktaturą - zauważył Euan, starając się mówić spokojnie.

Pułkownik skinął:

- Demokracja jest luksusem przeznaczonym dla tych, którzy nie muszą stale walczyć - odparował.

- Wszystkie wielkie wojny w ostatnim wieku wygrywali demokraci - powiedziała nagle Katelynn.

- Wydaje mi się, że uzasadniam system totalitarny, tak? - zapytał nagle Mazers. - Posłuchaj... Jak by to powiedzieć... Sam też nie chcę, żeby nasz wspaniały pomysł z Republiką przerodził się w banalną dyktaturę. To... To po prostu stan przejściowy. Zanim młode państwo zbierze siły, żeby podnieść się z kolan...

- Za cenę niewolniczej pracy! - nie wytrzymał Euan.

- Posłuchaj, koleś - powiedział poważnie pułkownik. - Odsyłają mnie do Londynu, ale nie wypuszczają do rezerwy. Ciągłe jestem pułkownikiem Republikańskich Sił Zbrojnych. Nadal mam prawo aresztować cię i wysłać na szubienicę za twoje słowa. Pamiętasz o tym przecież?

- Spróbuj - burknął Euan, wyczuwając udem nóż.

- Ale z jakiegoś powodu podobasz mi się. Może dlatego że dwukrotnie ocaliłeś mi skórę - uśmiechnął się Mazers. - A może dlatego, że nie próbujesz się wkręcić i podlizywać. Tak więc powiem ci, że masz rację. I mam nadzieję, że nie jesteś prowokatorem nasłanym na mnie, żeby mnie osłabić, a następnie usunąć...

Euan spojrzał pułkownikowi w oczy, starając się zrozumieć, czy mówi prawdę.

- Kiedyś w uczyli tego w armii - mówiąc wprost, zachowywać się jak człowiek. Obecna armia mocno się spaliła, muszę przyznać - kontynuował Mazers.

- Nie jesteś podobny do innych - stwierdziła nagle Katelynn.

- W jakim sensie?

- Mieszkałam w Republice Angielskiej od momentu jej powstania i szczerze powiem: wasi oficerowie to w większości mordercy i złodzieje.

Pułkownik usiadł wygodniej na siedzeniu.

- Ich zdobyła Republika.

- Co to znaczy? - Euan nie rozumiał.

- Że brali kogo popadnie, a potem ta zgraja poprawiła sobie warunki życiowe - odpowiedziała za oficera Katelynn.

Mazers nie zamierzał się kłócić.

- Republika Angielska była w zamiśle demokracją, ale kiedy wojskowi wyszli z ukrycia i pokazali swoje zasoby, wszystko się zmieniło - oznajmił.

- Brzmi to jak pakt z diabłem, nieprawdaż? - uśmiechnęła się Katelynn.

- Brzmi piekielnie - uśmiechnął się mrocznie pułkownik.

- Dziwne, że mówisz o wojskowych tak, jakbyś sam nie miał do czynienia z armią - zauważyła Katelynn.

- Dziwne, że mówisz o Republice tak, jakbyś nie służyła jednemu z jej najważniejszych przywódców - sucho stwierdził Mazers. - Nie uważasz, że służenie w szeregach łowców niewolników i jednoczesne płkanie o dyktaturę jest trochę sprzeczne? Rzekłbym, że sprawa pachnie schizofrenią.

- Posłuchajcie, pułkowniku - powiedziała pewnie Katelynn. - Pośród tych, którzy służą Republice są też ludzie uważający, że wszystko powinno wyglądać inaczej.

Mazers zmrużył oczy, uważnie lustrując dziewczynę i niczego nie mówiąc.

- Co za różnica, gdzie jesteśmy - czekamy na swoją godzinę w rzędach poszukiwaczy czy zarządzamy odległym garnizonem? Po prostu wiemy, że Republika stanęła na niewłaściwym torze i że wkrótce nas wezwą, żeby skierować ją na właściwą drogę.

Mazers wstał ze swojego miejsca - błąd jak śmierć - i otworzył drzwi przedziału.

- Ochrona do mnie!

Ręka Euana przesunęła się wzdłuż biodra i chwyciła rękojęć noża, ale Katelynn spojrzała na niego, błagając, żeby nie wykonywał pochopnych kroków.

Po kilku chwilach do przedziału wpadło dwóch wartowników i zamarli w oczekiwaniu na rozkaz.

Mazers triumfalnie spojrzał na swoich towarzyszy podróży, czekając na to, co powiedzą.

Euan nadal ścisnął nóż - ale pod stołem nie było widać jego ręki. Katelynn milczała i jak gdyby nigdy nic uśmiechnęła się do zaskakująco cichych żołdaków. Czas ciągnął się jak guma.

- Idźcie sprawdzić ostatni wagon - rozkazał w końcu ochroniarzom Mazers. - Wydawało mi się, że ktoś skakał po dachu pociągu.

Kiedy żołnierze wyszli, a drzwi za nimi zamknęły się, pułkownik powoli opadł na swoje miejsce.

- Rozumiecie, ile ryzykujecie, kiedy rozmawiacie z nieznanym oficerem o buncie? - wyszeptał.

- Wiem trochę o ludziach - powiedziała Katelynn. - I nie zaczęłabym o tym mówić z kim popadnie.

Euan ze zdziwieniem spojrzał na dziewczynę. Cóż za grę prowadzi?

- Tak... Tak - odezwał się Mazers. - Wybaczcie, że podejrzewałem was o prowokację. Sami rozumiecie, ich w Republice jest więcej, niż ludzi trzymających się dawnych wartości. Takich jak...

- My i ty - zakończyła twardo Katelynn. - Stara gwardia.

- Wyglądasz dosyć młodo, jak na starą gwardię - wyszeptał zmęczony pułkownik.

- Wyglądam na młodszą, niż jestem - odpowiedziała bez kokieterii dziewczyna. - A żeby żyć według wartości starego świata, nie potrzeba się w nim urodzić.

- To ile masz lat? - zainteresował się pułkownik.

- Proszę?

- Ile masz lat?

- To pan nie wie, że kobiet nie pyta się o wiek? - zmarszczyła brwi Katelynn.

- Wydaje mi się dziwne, że wyglądasz na szesnastkę, a dyskutujesz na sześćdziesiąt - uśmiechnął się Mazers. - Gdybym był przesądny, podejrzewałbym jakieś sprawy diabelskie. Albo - nagle zerknął na nią - rezultat eksperymentów genetycznych.

- Co powiedziałaś? - Katelynn zamarła.

- Jakiś czas temu w jednym laboratorium w Londynie, a ściślej mówiąc, pod nim, grupa wojskowych i naukowców mając nadzieję znaleźć jakiś sposób na radiację, zaczęli eksperyment. Próbowali stworzyć idealnego człowieka. Który żyłby dłużej niż zwykle, łatwo przechodził choroby i leczył rany... Możliwe, że władałby jakimiś zdolnościami, które wydawałyby się fantastyczne dla niewtajemniczonych.

- Skąd wiesz?! - dziewczyna nie mogła się dłużej powstrzymać.

- Jestem ciekawski z natury. Zbieram plotki - odparł grzecznie pułkownik.

- I jak to się skończyło? - nie spuszczać z Mazersa wzroku, kontynuowała przepytywanie Katelynn.

- Urodziły się dzieci. Z wybitnymi zdolnościami - wzruszył ramionami pułkownik. - Gdyby, oczywiście, wierzyć tym historiom. A wy wierzycie?

- Nie - zasmuciła się Katelynn. - Ale chciałabym. Wieczna młodość, zbawienie od chorób.

- Brzmi jak bajka, nieprawdaż?

Skinęła w milczeniu głową.

- Nic więcej mi o tym nie powiesz? - westchnęła.

- Może to ty mi coś powiesz? - zapytał Mazers.

- Niczego nie wiem - Katelynn pokręciła głową. - Ale chciałabym się dowiedzieć.

- Nie wiesz, że eksperyment został porzucony? Że w bazie doszło do rozłamu? Że część personelu uciekła na powierzchnię i zginęła? Że niezwykle dzieci przepadły?

- Nie.

- Że obecne władze Republiki wiele by oddały za to, żeby złapać jakiegokolwiek uczestnika tego eksperymentu?

- Nie.

- No cóż - pułkownik uśmiechnął się obojętnie. - Wychodzi, że wiem więcej od was. Ale pamiętajcie... Wszystko, co teraz usłyszeliście to tylko plotki, opowiadane przez jednego pijaka drugiemu na nocnej warcie.

- Można zadać ostatnie pytanie? - wyrwała się dziewczyna.

- Zadać można.

- Rodzice zaginionych dzieci... żyją?

- Uciekli na powierzchnię. Myśleli, że wrócą, ale... Minęło już ponad dwadzieścia lat.

Z dziewczyny jakby uszły wszystkie soki. Skuliła się niczym dziecko, podciągając kolana pod brodę i wpatrując się w podłogę. Zauważywszy, że Katelynn trochę się rozluźniła, Euan sam poczuł się spokojniej i milczał.

- Możecie uważać, że nagadałem wam bzdur. Możliwe, że dlatego, że twój dziecięcy entuzjazm i słowa o Starej gwardii dotknęły mnie - rzekł pułkownik. - I proszę was: nie rozmawiajcie o tym więcej z przypadkowymi podróżnikami. Ponieważ z taką gównianą konspiracją żadna Stara gwardia nie da rady zmienić porządku świata. I Republika Angielska zostanie maleńkim państwem faszystowskim, w którym jedni Brytyjczycy zmieniają drugich w niewolników, a z kobiet dziwki dla żołnierzy...

Ciężka, mętna fala ogarnęła Euana. Od czasu, jak łowcy niewolników napadli na Glasgow, jego życie zamieniło się w koszmar, gdzie bez końca rozrywały go sprzeczne uczucia. Rzadko wspominał o Julii, zwłaszcza kiedy obok była Katelynn, ale ból po stracie Michaela i Gwen w ogóle nie przycichł. Przez większą część czasu udawało mu się utrzymywać ten ból na wodzy, w ciemnych zakamarkach duszy, chociaż udawało się to z wielkim trudem. Wydaje się, że przywykł do tego, że oddzielili go od bliskich, ale na myśl, że żona może stać się pościelą dla tych faszystów, robiło mu się niedobrze.

Z niebywałym trudem zagnawszy gniew i oburzenie w mroczne głęby świadomości, Euan pokręcił głową, jakby próbując pozbyć się kaca.

Katelynn milczała, pogrążona w jakiś swoich przeżyciach. Historie o inżynierii genetycznej jakoś strasznie ją zainteresowały, ale Euana teraz nie interesowały dziewczyna i jej intencje.

- Ale wkrótce dotrzemy do Londynu, a tam to już trzeba będzie wstrzymać się od takich rozmów - oznajmił Mazers. - Przed Londynem przejedziemy jeszcze przez dwa miasta. Kiedyś nazywały się Derby i Leicester, teraz na ich miejscu są okropne i niebezpieczne zgliszcza.

Mazers wstał i poprawił mundur.

- Kiedy dojedziemy do Leicester, będziemy musieli zamknąć okna.

Euan i Katelynn spojrzeli na metalową zasłonę, wiszącą pod oknem.

- Dlaczego?

- Przez promieniowanie - odpowiedziała mechanicznie dziewczyna za pułkownika.

- Dokładnie - zgodził się on. - Ściany wagonu są dostatecznie mocne, żeby odeprzeć radiację, a okna są słabym ogniwo.

Euan spróbował podnieść zasłonę, ale okazała się być zbyt ciężka i bez żadnego mechanizmu podnoszącego.

- Spokojnie - uśmiechnął się pułkownik. - Kiedy nadejdzie czas, moi ludzie przyjdą i wszystko zrobią. Oczywiście, można by było zrobić jakiś podnośnik, ale im prościej, tym lepiej.

Zamarł na sekundę, w zamyśleniu patrząc na zasłonę, a potem skierował się na korytarz. Już na progu zatrzymał się i obrócił do Euana.

- I tak, na wszelki wypadek, gdybyście nie zamierzali zostać ochroną generała - powiedział. - Gdybyście mieli w Londynie jakieś inne plany. Utrzymujcie, że nigdy się nie spotkaliśmy. A teraz odpoczywajcie. Do Leicester nikt was nie będzie niepokoił.

W końcu zamknął drzwi i Euan z Katelynn po raz pierwszy o dwóch dni zostali sami.

- Byłaś z nim! - wyszeptał mężczyzna. - Od samego początku o wszystkim wiedziałeś!

- Przepraszam - odpowiedziała zwyczajnie Katelynn.

- Wiedziałeś, dokąd wiozą moich bliskich! I nic nie powiedziałaś!

- Próbowałam! - zaprotestowała dziewczyna.

- Uczestniczyłaś w tym! Widziałaś moją rodzinę?!

- Tak... widziałam. - Wzrok Katelynn spotkał się z Euana i wytrzymała jego ciężkie, płonące spojrzenie.

- Czy oni... żyją? Są cali?

- Byli żywi. W Carlisle. Twoja żona miała uraz głowy... Myślałam, że to krwotok. Ale potem zaczęło jej przechodzić. Z dziećmi wszystko w porządku. Było...

- Znasz moje dzieci i milczałaś! Nie mogę w to uwierzyć! - Euan burzył się coraz bardziej. - Pomagałaś tym bandytom, prawda? Wykręcałaś dzieciom rączki? Torturowałaś?

Katelynn nagle zerwała się i uderzyła go w twarz.

- Jak śmiesz?! Znasz mnie, widziałeś, słyszałeś mnie... I... Jak śmiesz podejrzewać mnie o taką podłość?! Jakim prawem...

- Po tym, jak przez tyle czasu okłamywałaś mnie?!

- Nie okłamywałam cię! Po prostu nie mówiłam całej prawdy... Nie wiedziałam jak! A potem... Potem spodobałaś mi się i... Pomyliłam się! Co tu jest niezrozumiałego?!

- Co robiłaś z łowcami? - patrząc w podłogę i pocierając policzek, zapytał Euan.

- Byłam z nimi jako lekarz. Rozmawiałam z niewolnikami, trochę leczyłam. Pilnowałam, żeby wszystko było z nimi w porządku...

- Jako towar... - stwierdził gorzko Euan.

Katelynn odwróciła się.

- Powinnaś była powiedzieć mi. Powinienem mieć możliwość dokonania wyboru - powiedział mrocznie.

- Nie mogłam!

- Dlaczego?!

- Bałam się ciebie stracić! Odstraszyć! Bałam się, że mnie znienawidzisz! Bałam się tego, że się teraz dzieje!

- Dlaczego?!!

- Idioto! Bo się w tobie zakochałam, oto dlaczego! - skryła twarz w dłoniach.

- Wal się!

Drzwi przedziału otworzyły się. Na progu stał zaintrygowany pułkownik Mazers.

- Panie - uśmiechnął się do Katelynn. - Panowie - skierował wzrok na Euana. - Słysząc was w sąsiednim wagonie. Nie zamierzacie spać?

- Już się kładziemy - burknęła dziewczyna. - Przepraszam, pokłóciliśmy się o sposoby przyrządzania miętowej herbaty.

- O! Pamiętajcie, żeby mnie zaprosić następnym razem - uniósł brew pułkownik. - Mam swoje maleńkie sekrety. W kwestii parzenia herbaty.

I ponownie wyszedł.

W czasie, gdy Mazers ich sprawdzał, Euan zdążył nieco ochłonąć.

- I jak ty się wplątała w to życie - burknął zły na Katelynn.

Katelynn znowu podciągnęła kolana pod brodę, jakby uchylała się przed ciosem, i zmarszczyła brwi.

- Tylko nie nawijaj mi makaronu na uszy. Wystarczy, żadnych tajemnic! - ostrzegł mężczyzna.

Euan dopiero teraz uświadomił sobie, że i tak trzyma w rękach karabin i odłożył go obok siedzenia. Katelynn z niepokojem spojrzała na broń.

- Całe swoje dzieciństwo wędrowałam, zebrałam i podkradałam drobiazgi, żeby nie paść z głodu. Ale zawsze było zimno, zawsze chciało się jeść, wiecznie trzeba było chować się, albo przed tymi, których okradłam, albo tymi, którzy mieli ochotę na dzieci.

Euan zbladł. Nie zastanawiał się nad tym, że i jego dzieciom w Londynie może grozić takie niebezpieczeństwo.

- Kiedy podrosłam, zaczęłam pracować jako posłaniec. Nie bałam się biegać po tunelach, tak że robota okazała się być akurat dla mnie.

Euan dobrze wiedział, jak przerażająco bywa w ciemnych przejściach między stacjami.

- Czy w Londynie tunele są tak samo głębokie, jak w Glasgow? - zapytał ochryple.

- Sądzę, że są zupełnie inne. Tam jest naprawdę inny system. Było t przecież pierwsze metro na świecie i zostało zbudowane na dwóch poziomach. Na górnym tunele prowadzono wprost po ulicach i zakrywano ceglami. A na niższym już je wiercili... Na górnym jest bardzo niebezpiecznie. Wiele linii jest niedostępnych - jest tam promieniowanie i wszelkie diabelstwo, i potwory, żyjące wprost w tunelach... Gdzieś tam pozostali ludzie, ale oni albo schowali się za fortyfikacjami, albo... - dziewczyna umilkła i zamyśliła się. - Albo nie można już ich nazwać ludźmi.

- Mutanty?

- Nie. Zwyczajnie stracili ludzkie oblicze... Na dolnym poziomie diabelstwo z powierzchni nie przychodzi, ale ma on swoje niebezpieczeństwa - kontynuowała Katelynn. - Na przykład, zatopienia. Jak tylko pompy przestają działać, wszyscy zaraz robią się źli, chronią swoje mrowiska... Są ludzie z bardzo dziwnymi wierzeniami i prawie wszystkie pomioty Republiki Angielskiej.

- A ktoś jej służy - wtrącił Euan, ale Katelynn udała, że nie zauważyła tego.

- Są takie tunele, do których nikt o zdrowych zmysłach nie pójdzie dlatego, że stamtąd nie wracają. Są tunele zamknięte stalowymi wrotami: nie można dostać się do środka, za to słychać głosy i brzęk pracujących maszyn. Są miejsca, gdzie w ogóle słowami nie opiszesz, co się dzieje. Po Londynie są też inne tunele, w których nigdy nie jeździły pociągi. Nikt dokładnie nie wie, co tam jest. Posłańców wysyłają czasem nawet tam. Nasza prac jest tania, a życie nic nie warto. Było kilka przypadków... Jeden raz prawie utonęłam. Trafiłam na stację, na którą wlały się wody gruntowe...

- Często zdarzają się zalewy?

- Regularnie. Ale przez większą część czasu pompy dają radę. Jest tam prąd elektryczny tylko dla pomp. I nikt nie wie, skąd pochodzi. Do diabła, o Metrze o wiele więcej niewiadomo niż wiadomo... Boże, o czym ja mówię?

- Odetchnęła i spróbowała wziąć Euana za rękę. On szarpnął się i powoli wyciągnął palce z jej dłoni.

- Jestem wariatką, Euan - powiedziała smutno.

- Nie jesteś wariatką... Jesteś... Ten... - mruknął Euan, zbity z tropu.

- Jestem wariatem i jestem wiedźmą. Ile mam lat?

- Nie wiem - był zaskoczony tym, jak nagle potoczyła się ich rozmowa. - Szesnaście? Osiemnaście? Wyglądasz na piętnaście, ale... Jesteś zbyt mądra.

- Mam ponad dwadzieścia lat, to pewne, a ile dokładnie to sama nie wiem... Wszyscy, przed którymi się otwierałam, uważali mnie za wiedźmę. Wyrzucili mnie z pracy. Bali się mnie. Myśleli, że trzymam laleczki...

- Przecież trzyma - powiedział ponuro Euan.

- Zaczęłam kraść. Po prostu po to, żebym miała co jeść. Raz złapali mnie. Chcieli odrąbać ręce. Zastraszyłam ich. Potem opowiedziałam o umiejętnościach. Ręce w zamian za pracę. Z góry zrzucali jedzenie i ubrania. Nie było mi dużo potrzebne. Zgodziłam się. Ręce były bardzo potrzebne... A potem... Nie wiedziałam, co to będzie za praca. A potem nie było łatwo ją rzucić.

- Ja bym oddał ręce - mruknął on.

- No tak! Ale z ciebie bohater! Błędny rycerz! Tobie ręce nie są do niczego potrzebne! - zirytowała się. - Byłam szczęśliwa mogąc wyrwać się z tego gnijącego lochu, rozumiesz?! Choć tyle! Skąd wiesz jak to jest, żyć w takim podłym, brudnym metrze, pod martwym, zanieczyszczonym miastem i przez całe życie wyglądać jak dziecko!

Oczy dziewczyny płonęły ze wściekłości, a Euanowi wydawało się, że zaraz rzuci się na niego i udusi.

- Każdy facet chce wziąć łyk twojej młodości, nawet kiedy nie pozostał po niej nawet ślad. Wszyscy chcą się nacieszyć! - Katelynn splunęła, a jej usta wykrzywiły się w pogardzie. - Ufasz ludziom, czekasz, aż obejmą cię przed niebezpieczeństwem, a oni obejmują cię tylko w nocy, tylko zaśnieją... I stajesz się już tylko ciepłym ciałem: płacz, wrzeszcz, rzucaj się ile chcesz - nikt nie przyjdzie ci z pomocą!

Otworzył usta, ale Katelynn przerwała mu, z rozdrażnieniem odgarniając ręką powietrze.

- Prawie zdechłam w Carlisle, Euan. Kiedy szturmowali wieżę, ja chciałam uwolnić chłopca i jego siostrę i skryć się w ruinach.

Mężczyzna wstrzymał oddech, czekając, co powie dalej.

- Był wybuch. Jeden z naszych próbował mnie zabić, potem zawaliły mnie kamienie. Kiedy się ocknęłam - nikogo nie było.

Euan zrozumiał, że właśnie w tym momencie on wkroczył do jej życia, a ona do jego, ale teraz kolejne pytanie ścisnęło go od środka.

- Jak się nazywali?

- Nie zdążyłam ich spytać... Nie chciałam ich pytać! Myślałam, że nie dam rady im pomóc. A na co mi znać imiona ludzi, których skazywałam na cierpienie?! Niech będą bezimiennymi cieniami... Nie prawdziwymi ludźmi z imionami... Jak nazywały się twoje dzieci?

- Nie chcę ci mówić. Zabrałaś ich! Zabrałaś moje dzieci!

Euan przejechał dłonią po głowie, jakby próbował odegnać zwidy.

- A może to byli Michael i Gwen? Co się z nimi stało? Co się stało po wybuchu?

- Michael i Gwen... Czyli tak się nazywają... - powiedziała cicho, nagle błędąc od niespodziewanego chłodu.

Głos dziewczyny drżał ze strachu i nienawiści do siebie, ale Euan wiedział, że ma rację. Długo patrzyli na siebie, a z oczu Katelynn kapąły łzy.

Straszne zmęczenie ogarnęło nagle Euana.

- I co będzie dalej? - zapytał.

Katelynn smutno wzruszyła ramionami:

- Nie wiem, Euan. Jesteś mi droższy, niż ktokolwiek był, ale idziesz uratować inną kobietę i dzieci, których pomogłam pojmać. Jak można o tym zapomnieć?

Euan niczego nie mógł powiedzieć: przez ostatnie pół godziny zważyło się na niego tyle odkryć, że został całkowicie zmiądzony.

- Może lepiej posłuchać pułkownika i się przespać? - zasugerował ze smutnym uśmiechem. - Bywa, że jak się wyśpisz, to życie staje się weselsze.

- Tak, tak bywa. Ale nie zawsze...

Siedział apatycznie, nie wiedząc, co powiedzieć.

- Możemy się przespać, Euan, tylko pamiętaj, że w Londynie twoje życie się zmieni i na pewno nie na lepsze.

- Nawet nie jest łatwe - stwierdził.

- Los ci sprzyja. Wokół ciebie dzieją się dziwne wydarzenia, jak gdyby napędzała je niewidzialna siła. I boję się o ciebie, ponieważ nie wiem, dokąd to wszystko prowadzi.

- Nawet jeśli nie widzisz mojej przyszłości, to dokąd ja... Katelynn, jestem bardzo zmęczony. I, szczerze mówiąc, nie chcę się na ciebie złościć, ale wybaczyć też nie mogę... Na razie nie mogę.
- Więc śpij - szepnęła Katelynn.

Obok mignęły ruiny Derby, ale Euan już spał, a Katelynn podziwiała je w samotności. Słyszała, że miasto zostało potraktowane bombami zapalającymi i że tory trzeba było wymieniać tu w wielu miejscach, ponieważ rozpadły i stopiły się od wysokiej temperatury. Teraz z miasta niemal nic nie zostało: zgliszcza praktycznie całe były skryte pod śniegiem i błotem. W oddali dostrzegła niewielkie stado owiec i nawet zauważyła kilka psów pasterskich. Wstawszy, dziewczyna przywarła do szyby i spróbowała znaleźć pasterzy, ale nie było ich widać.

Później, w Leicester, ogarnęło ją znajome przygnębienie. Miasto przetrwało wojnę niemal bez strat, ale okropieństwa powojennego istnienia zrobili sobie z mieszkańców paskudny żart: znacznie cierpieli z powodu radioaktywnych deszczy, epidemii, głodu i wiecznej zimy. Miejscowi nie mieli możliwości skrycia się w ciepłych podziemiach tuneli, a średniowieczna zabudowa nie wystarczyła dla wszystkich i podział nie zakończył się pokojowo.

Wjazd do miasta był oznaczony słupami wbitymi wzdłuż dróg; na tych słupach już od wielu lat sterczały ludzkie czaszki. Te znaki drogowe nowych czasów były jedynym wspomnieniem po dawnych potyczkach. Ludzie, którzy teraz tu mieszkali, byli zbyt słabi i chorzy, żeby trzymać w rękach broń - żalosne resztki społeczeństwa, które oddało resztki swoich sił w bratobójczej walce. Nawet łowcy niewolników brzydzyli się mieszkańcami Leicester.

Ktoś zapukał do drzwi przedziału. Katelynn otworzyła, przykładając palec do ust i dwóch żołnierzy, starając się nie hałasować, weszło do środka i ostrożnie zamknęli okno metalową zasłoną. Potem wyszli i Katelynn została w ciemności sama, o ile liczyć śpiącego Euana. W kajucie była słaba, czerwona lampka, działająca na dynamo, podłączona do silnika parowozu, ale Katelynn nie miała powodu, żeby ją włączać.

Linie schodziły się - czuła to. Dziewczyna nigdy nie rozumiała, czemu wie, co będzie i jak może na to wpłynąć. To było odległe od tych potężnych supermocy, o których pisano w książkach fantastycznych i tekstach religijnych. Jednakże potrafiła to odkąd pamiętała.

To, co Katelynn teraz czuła, było najbardziej podobne do chińskiej szkatułki z tajemnicą. Widziała taką w dzieciństwie: trzeba było ułożyć w odpowiedniej kolejności wiele drobnych szczegółów, żeby potem jednym prostym ruchem wstawić je na miejsce i otworzyć szkatułkę.

Najbardziej Katelynn niepokoiło to, co leży w szkatułce. Podejrzewała, że, jak w legendzie o Pandorze, może tam nie być niczego dobrego. Ale jeszcze wiedziała, że to Euan otworzy szkatułkę, w nadziei czy w ślepej wierze, że odzyska swoją rodzinę.

Właśnie w to mocno wątpiła: zbyt dobrze wiedziała, co dzieje się z porwanymi kobietami i dziećmi. Jeśli kobieta trafi się piękna i zdrowa, oddają ją żołnierzom dla rozrywki. W ten sposób, zdaniem władz, przysłuży się Republice podwójnie: podniesie morale armii i jednocześnie, nigdy nic nie wiadomo, może nawet zwiększą jej liczebność. Z dziećmi postępowano inaczej: prano mózgi, żeby służyły Republice i bez zbędnych pytań wykonywały ciężką pracę: na przykład, czyściły wąskie szyby wentylacyjne, do których nie zmieści się dorosły człowiek. Chore, ranne lub zbyt niespokojne dzieci nie były potrzebne Republice; nie uratujesz wszystkich pomocą medyczną. Katelynn swoimi oczami widziała w Londynie studnie, gdzie gniły dziesiątki maleńkich ciał pod warstwą śmieci. W swoim czasie ten widok bardzo ją poruszył i nauczył skrywać przed pracodawcami swoje urazy...

Dziewczyna legła na siedzeniu i rozluźniła się przy miarowym stukaniu kół. Przebyli dopiero połowę drogi.

Katelynn strzegła snu Euana, dopóki nie dotarli do Londynu.



Rozdział 16

SNY

Euan nie zasnął od razu: ciągle wracał myślami do etapów swojej drogi i do ludzi których spotkał w tym czasie. Jego dzieci były całkiem blisko, jakieś kilka godzin - najpierw pociągiem, potem piechotą przez tunele londyńskiego Metra.

Pomyślał: "Co powie Julia, kiedy mnie zobaczy?" I po raz pierwszy od wielu lat wiedział, że zniesie jej delikatnej obojętności. Ale i tak w głębi duszy miał nadzieję, że żona w końcu zacznie go szanować.

Potem zobaczył przed sobą Gwen, sympatyczną dziewczynę, która zaraz dorośnie i stanie się piękną kobietą. Natychmiast wzrósł strach o nią, o jej niewinność, i desperacko spróbował zdusić w sobie ten strach.

Potem zobaczył Michaela. Rumiane policzki i niezwykły upór syna zawsze sprawiały, że się uśmiechał. W półśnie zaczął wspominać, jak po raz pierwszy zabrał go ze sobą do pracy i ten dzień stanął przed oczami ze wszystkimi szczegółami, jakby to było wczoraj. A Euan nie jechał już pociągiem do Londynu, tylko szedł wzdłuż torów w ciemnym tunelu, starając się nie potknąć.

Przed i za nimi migotały żarówki, rzucając plamy przyćmionego, pomarańczowego światła na małe fragmenty tunelu. Były dziedzictwem przeszłości, w którym, dla względów bezpieczeństwa, każdy tunel był wyposażony w system awaryjnego oświetlenia. Teraz znaczną część działających żarówek wykręcono i schowano na przyszłość, w tunelach zostało ich mało, a pomiędzy nimi ziały długie przestrzenie niemal całkowitej ciemności.

Euan po zmianie często chodził po tunelach i przywykł do braku światła. Z początku, jak wszyscy, którzy skryli się pod ziemią, bał się ciemności, ale z czasem strach minął i zamienił się w rutynową nudę. Może Mechaniczna Pomarańcza nie tykała tak szybko, jak kiedyś, ale utrzymywała równy, miarowy rytm.

Michael od kilku miesięcy przekonywał Julię, żeby pozwoliła mu pójść z ojcem. Ta uparcie nie zgadzała się, ale chłopiec wykazał się rzadką przedsiębiorczością i jeszcze udało mu się zadręczyć matkę, biorąc ją na wyczerpanie. Stał się jej cieniem i opuszczał jej nawet na krok, nawet w pracy, gdzie, razem z innymi kobietami, tworzyła nowe ubrania ze starych szmat. Bez przerwy zalewał ją pytaniami, hałasował, wrzeszczał, skakał w kółko i po tygodniu takiego życia Julia była już gotowa spławić go gdzie popadnie.

I wtedy akurat wrócił Euan. Podeszedł do drewnianej chatki, gdzie mieszkała jego rodzina, przed samą kolacją, jeszcze z peronu było czuć zapach zupy. Zatrzymał się przed drzwiami i przysłuchiwał się temu, co dzieje się w środku.

- Mamo, nudzę się!
- Michael, zostaw ty ją w spokoju chociaż na chwilę! - to Gwen.
- Ale ja się nudzę!
- Michael! - ryknęła Julia. - Rany boskie, idź gdzieś, pobaw się!
- Nie mam w co się bawić!
- Znajdź coś!
- Co?
- Co za różnica? Co chcesz!
- Tylko nie to! - znowu Gwen.

Euan wszedł do chatki i zobaczył, jak jego córka wyciąga z rąk brata nóż i kładzie go z powrotem do pudełka.

- Tata!

Michael rzucił się do ojca, łamiąc wszelkie prawa grawitacji, i z całej siły wczepił się w jego pierś. Euan stęknął, złapał wiszącego chłopaka i rozplynął się w uśmiechu.

- Ja tu oszaleję! - wycedziła przez zęby Julia.

Euan spojrzał na nią. Dawno przywykł do takich chłodnych spotkań, ale nie można powiedzieć, żeby mu się podobały. Julia odwróciła się, zmierzyła go wzrokiem i znowu pogrążyła się w

gotowaniu. A Gwen radośnie uśmiechnęła się do ojca i objęła go, chociaż przyszło objąć przy okazji też brata: wczepił się w Euana wszystkimi kończynami i za nic nie chciał puścić.

Julia rozlała zupę na talerze i nieprzychylnie spojrzała na dzieci i męża.

- Witaj z powrotem - burknęła.

Euan uśmiechnął się i wziął do ręki talerz.

- Michael, siadaj i zjedz po ludzku! - krzyknęła Julia: dłuzące się rozdrażnienie gotowe było wyrwać się z byle jakiego powodu.

Chłopak w końcu wypuścił ojca i usiadł na wytartym dywanie. Siostra podała mu talerz z zupą i łyżkę.

- Jutro znowu idę, na St. George's Cross.

- Mogę z tobą? - zaraz odezwał się Michael.

- Nie mów z pełnymi ustami! - Julia przewróciła oczami.

Michael przełknął zupę i powtórzył pytanie, czujnie spoglądając na matkę.

- No więc, mogę iść z tobą?

Euan spojrzał na Julię, a ta gwałtownie pokręciła głową. Nie oczekiwał innej reakcji, dlatego jej słowa były niczym grom z jasnego nieba.

- Zabierz go, błagam!

Łyżka w ręce Euana zatrzymała w pół drogi do ust.

- Nie wyobrażasz sobie, jak mi podpadł! Skoro tak bardzo chce się szlajać po ciemnych tunelach, niech idzie.

Michael zatrząsł się i zaczął podskakiwać na tyłku, rozlewając zupę na podłogę.

- Siedz cicho! - krzyknęła matka.

Po kolacji Michael i Gwen pozmywali naczynia i położyli na pociętej suszarce. Euan siedział na dywanie, wygodnie rozłożywszy się na poduszkach i przysłuchiwał się odgłosom życia na stacji. Kiedy zabawa z naczyniami skończyła się, dzieci przysiadły się do niego, żeby pograć w karty, a Julia sie dokądś wybierała. Wychodząc, z poczuciem winy spojrzała na męża.

- Obiecałam odwiedzić Katherine...

Wyglądało to tak, jakby sama nie wierzyła własnym słowom, ale Euan, jak zawsze, nie zadawał pytań.

- Pa, skarbie - powiedział, nie odwracając się.

Gwen, nachmurzywszy się, spojrzała na ojca. Ten odwrócił górną kartę ze stosu i odkrył asa. Minęła nie mniej niż sekunda, zanim Michael zauważył i, triumfalnie krzyknąwszy, zakrył jego asa dłonią.

Euan zmierzwił chłopakowi włosy, na co ten radośnie się zaśmiał, a Gwen także odpowiedziała mu uśmiechem.

Wieczór minął cicho i spokojnie. Kiedy karty się przejadły, Euan przeczytał im bajkę z przedwojennego życia. Mieli książkę o przygodach piątki dzieci i psa i, chociaż była już wielokrotnie czytowana, wiele rzeczy nadal Michaelowi i Gwen wydawało się być dziwnym i często zasypywali ojca pytaniami. Prawda, pytania z czasem się zmieniały: nie pytali już "co to jest latarnia morska?", a "po co statkom były potrzebne latarnie morskie?". Euan w miarę możliwości starannie wyjaśniał, ale mimo to takie pojęcia jak "lody" czy "opalenizna" były beznadziejnie utracone.

Julia wróciła, kiedy dzieci już spały, ostrożnie weszła do chatki i szybko wskoczyła do dolnego posłania piętrowego łóżka, tego, nad którym spała Gwen. Euan leżał z zamkniętymi oczami i wspominał te odległe dni, kiedy razem z żoną kulili się w jednym łóżku i nie chcieli się rozstawać. Wszystko to stało się przeszłością. Ciężka praca i życie bez nadziei zniszczyły Julię; to już nie była ta kobieta, która zeszła razem z Euanem do tuneli.

Euan nie pytał, gdzie chodzi po nocach. Nawet nie chciał znać prawdy, czy go zdradza, czy ucieka od swoich trudów do życia przyjaciółki. Rodzina była dla niego jedynym promykiem światła w tym mrocznym królestwie; tylko dla uśmiechu dzieci i ich bezpieczeństwa łąził po tunelach, dostarczając na inne stacje ważne listy i przesyłki.

Syn podkraśl się, jak cichy zabójca, a Euan domyślił się o jego przyjsciu dopiero rano, kiedy na stacji zabiły stare zegary, dawno temu przeniesione przez kogoś z powierzchni.

Rano Euan i Michael stali na północnym krańcu stacji, przed czarną otchłanią tunelu, a wokół nich jak co rano cicho i niespiesznie chodzili ludzie. Chłopak, niespokojnie podskakując, wpatrywał się w atramentową ciemność, aż ojciec nie wymienił się żartami z naczelnikiem stacji Jonem i nie zabrał od niego worka z pocztą.

Zarzucając worek na ramię, Euan spojrzął na Michaela i zobaczył, że ten zacisnął usta i zbladł.

- Tylko do pierwszej żarówki - uśmiechnął się Euan.

- Boję się - przyznał niechętnie Michael; nie chciał się poddać przed ojcem.

Euan objął syna jedną ręką.

- Nie bój się, mały, ze mną się nie zgubisz.

- Dlatego, że masz ze sobą nóż?

- Nie, dlatego, że mam głowę.

- Ale tato! - powiedział ze złością chłopak. - Wszyscy mają głowę!

- Nie wszyscy, Mike, u niektórych jest tylko wyglądem. Głowa jest naszą najważniejszą bronią.

- Czemu?

- Kiedy dowiadujemy się czego nowego albo rozwiążemy zagadkę, pracuje nasz mózg, który znajduje się gdzie? W głowie. Noże umieją tylko ciąć, a karabiny strzelać. A jeśli na początku puści się w ruch głowa, broń może się w ogóle nie przydać.

Michael zmyślony zważył te słowa.

- Idziemy - Euan ruszył przed siebie, a syn wziął go za rękę.

- Żołnierze użyliby głowy! - powiedział, spoglądając na ojca. - No, to znaczy, do wojny.

- Wojny stworzyli politycy, Mike. Żołnierze tylko wykonują rozkazy.

- Mogliby nie wykonywać.

- Mogliby, ale w tamtym czasie prawo zabraniało niesłuchania rządu. Z ich własnym sumieniem nikt się nie liczył, a tych, którzy nie słuchali, mogli rozstrzelać.

- Naprawdę? - zdziwił się chłopiec.

- Tak.

- Tato... - powiedział nieśmiało Michael, kiedy weszli do tunelu.

- Tak, Mike?

- A są tam potwory?

- Nie pozwolę cię skrzywdzić, nie bój się. Zawsze będę przy tobie.

- Obiecujesz?

Euan kucnął i spojrzął synowi w oczy.

- Obiecuję, Mike. Po to są potrzebni ojcowie - żeby chronić swoją rodzinę.

Kurier w Metrze miał dwa obowiązki: dostarczyć pocztę i sprawdzać stan tuneli - pilnować, żeby żadne świństwo się nie dostało, a także zgłaszać uszkodzenia. A tak poza tym, nie można wyobrazić sobie nudniejszej roboty. Euan zabił niemało w smolistej ciemności, mierząc krokami dystans od żarówki do żarówki, licząc podkłady i wsłuchując się w dźwięki tunelu. Z Michaeliem jaśniej w każdym znaczeniu: i nie tak ponuro, i nie tak ciemno, ponieważ przez cały czas prosił o włączenie latarki, nie myśląc o tym, że wyczerpie baterie.

Droga do St. George nie była długa, w sumie dwie stacje drogi - Buchanan Street i Cowcaddens. Ale dla Michaela to była niespotykana przygoda, przecież nigdy nie opuścił swojego domu na St. Enoch: zarząd nakazywał dzieciom pozostawać na swoich stacjach, pod ścisłym nadzorem rodziców. Oczywiście w tunelach było znacznie spokojniej niż na powierzchni, ale na krzywdę nikt nie jest odporny. Pomimo innych zagrożeń, łatwo można było zabłądzić w ciemności i utknąć w jakimś opuszczonym tunelu technicznym. Mieszkańcy metra przyswoili tę smutną lekcję już w pierwszych latach życia pod ziemią.

Euan szedł bezgłośnie: dawno przywykł do chodzenia w ciemności szybko i cicho. Za to Michaelowi jakimś sposobem udawało się hałasować jak niewielkiej armii dzikusów. Tak głośno tupał i tak często padał, że Euana zabolowały uszy.

- Ach! - po raz kolejny krzyknął chłopiec, potknąwszy się o podkład. - Tato, włączmy latarkę!

Euan nacisnął guzik i silna wiązka światła żarówki ledowej oświetliła tunel i tory. W tym świetle Michael, rozwalony na podłożu, przypominał zjawę. Euan podał mu rękę i pomógł wstać.

- Staraj się iść po podkładach. Kiedy złapiesz rytm będziesz rzadziej upadał.

- Staram się! Tylko mam krótkie nogi.

- Masz zwyczajne nogi.
- Cały czas nie trafiam zahaczam tą... jak jej tam... kością.
- Kostką - poprawił Euan. - Uważnij na nie, kiedy idziesz, to ci pomoże.
- Spróbuję.

Poszli dalej i Euan nie wyłączył latarki aż nie doszli do pierwszej żarówki.

Ta część drogi zawsze była spokojna, ale teraz, kiedy obok szło dziecko, Euan wzdrygał się na każdy dźwięk przed i za sobą. Zazwyczaj po drodze spotykało się innych podróżników, ale tego dnia nikt się nie trafił. Samotność nieprzyjemnie przycisnęła Euana, pomnażając uczucie odpowiedzialności za chłopca.

- Tato, ta żarówka świeci inaczej! - powiedział Michael.

- To Buchanan Street.

- O! Stacja? - zawołał z entuzjazmem chłopiec, który w życiu nie widział żadnych stacji, oprócz swojej.

- Tak.

- Mamy dla nich listy?

- Tak, jest jeden list od Rosemary.

- Mogę sam dostarczyć? - Michael podskoczył z radości i upadł. - Och!

- Nie skacz, to nie będziesz upadał.

- Dobrze, ale mogę, tak?

- Śmiało - mężczyzna uśmiechnął się w ciemności i na oślep zmierzwił synowi włosy.

- Poczta! - krzyknął Euan, kiedy podeszli do stacji.

- Wchodź Euan.

Strażnik spuścił nogi z krawędzi peronu i obserwował ich zbliżenie się.

- Dziś jest nas dwóch.

- Co, wzięłeś sobie ucznia?

- Asystenta do zadań specjalnych.

Michael wypiął pierś dla własnej wartości i bezskutecznie próbował dojść do końca tunelu, ani razu nie upadając. Strażnik nie powstrzymał się od uśmiechu, zobaczywszy w świetle stacyjnych ognisk chłopaka, dumnie maszerującego przed ojcem.

- Mamy list od Rosemary dla... - Michael bezradnie spojrzał na Euana, ale strażnik odpowiedział wcześniej.

- ...dla Vernona. Piszą do siebie raz w miesiącu. - Zwinął dłonie w rurkę i wrzasnął na całą stację: - Vern!

Następnie pomógł Michaelowi wejść na wolny kraniec peronu między torami i obok drewnianych baraków. W tym czasie z jednego baraku wyszedł siwy człowiek w granatowych kombinezonie i skierował się do nich.

Michael rzucił mu się na spotkanie z listem napisanym na skrawku brązowego kartonu oderwanego od pudełka. Paniczny strach o syna na sekundę chwycił Euana, ale odegnał go precz. Buchanan Street była dobrą stacją i z ludźmi żyjącymi tutaj było mu tak samo przytulnie jak w domu.

- List do pana! - krzyknął entuzjastycznie Michael.

Dzięki kurierom metro pozostawało jedną wielką wspólnotą, a nie garstką rozproszonych stacji. Był to bardzo szanowany zawód, chociaż niebezpieczny. Kurierów szkolono jak żołnierzy i górników, przekopujących się przez ruiny na powierzchni.

- Dziękuję, młody człowieku - grzecznie podziękował chłopcu Vernon, przyjmując list i mrugnął do Euana. - Cały ojciec!

- Ja myślę - Euan uśmiechnął się w odpowiedzi do Vernona i zaprowadził Michaela na drugi koniec peronu, gdzie płonął ogień w dużym żelaznym piecu, od którego pod sam sufit ciągnął się komin. Trzy kobiety smażyły na płycie jajecznicę z grzybami, a czwarta była pochylona nad garnkiem z herbatą grzybową, wydzielającą ostre zapach.

- To co, zjemy coś? - zaproponował synowi Euan.

- Tak!

Kurierów wszędzie przyjmowano z gościnością. Doświadczony tego na sobie, Michael po raz pierwszy zrozumiał, że jego świat nie ogranicza się do jednej stacji.

Jajecznica i grzyb smażyły się na smalcu, który wykorzystywano znów i znów, aż nie zjełczał. Ale nawet wtedy dawał niezbyt przyjemny smak, a jego zapach wydawał się boski po tunelu, który śmierdział wilgocią i pleśnią. Ojciec i syn jedli, opierając się plecami o ścianę, wypolerowaną przez długie lata przez setki pleców, potem oddali puste talerze i kubki jednej z kobiet i ponownie skierowali się w mrok.

Tym razem Michael szedł cicho i po pierwszej żarówce Euan nie wytrzymał i zapytał:

- Czemu ucichłeś?

- Aha.

- Pytam, czemu?

- A... Po prostu staram się nie upaść i patrzę na ciebie.

- No popatrz...

Przeszli jeszcze trochę i ciszę naruszały tylko skoczne kroki Michaela. Euan stąpał z przyzwyczajenia, nie wytwarzając żadnego dźwięku, kiedy nagle ogarnęła go nieoczekiwana myśl.

- A jak widzisz mnie w ciemności?

- W ogóle, nie widzę - odparł chłopak bardzo poważnie. - Ale jeśli tak obrócę głowę i spojrzę kątem oka, to widzę twój... ten... Twój cień w ciemności.

- Sylwetkę.

- Tak!

- To się nazywa widzenie peryferyjne.

- Widzenie perfekcyjne - posłusznie powtórzył Michael, zapamiętując.

- Pe-ry-fe-ryj-ne!

- Pe-ry-fe-ryj-ne... Peryferyjne?

- Tak.

Na Cowcaddens było ciemno. Ta stacja zawsze z jakiegoś powodu sprawiał, że Euan był spięty, a już w zupełności nie uśmiechało mu się zwiedzanie jej po ciemku, kiedy obok niego kroczył mały syn. Listonosze minęli ostatnią tunelową żarówkę przed stacją i Euan w zamyśleniu zdjął z ramienia karabin, trzymając go w pogotowiu.

- Tato? - Głos chłopca niepewnie zadrzał.

- Cicho! Stań z tyłu. Coś tu jest nie tak.

Michael stanął za plecami Euana i złapał połę jego płaszcza, żeby przypadkiem nie zgubić ojca w ciemności. Euan powoli ruszył do przodu, starając się rozróżnić jakiegokolwiek dźwięki, oprócz hałasu wytwarzanego przez chłopca. Serce waliło jak szalone z niepokoju o syna.

- Wszystko w porządku, Michael, nie bój się - wyszeptał.

- Wiem, tato. Przecież jesteś obok.

Od tych słów Euan o mało się nie potknął, ale zaraz opamiętał się i znowu skupił wzrok w mroku przed sobą. Ciemność była nieprzenikniona i dusząca; chłopiec nagle zachciał wrócić do domu.

Euan raptownie się zatrzymał, a Michael rozpedzony wpadł na jego plecy.

Ze strony peronu dało się słyszeć dziwny świszczący szept, tak cichy, że nie dało się rozróżnić słów. Michael stanął jak najbliżej ojca, a Euan uklęknął na jedno kolano, przytknął do lufy karabinu latarkę, ale nie włączył jej, a skierował w czerń tunelu przed sobą. I tak czekali, a szept z przodu ciągnął się, mocno oszołamiając, jak mantra hipnotyzera. Narastał i wzmacniał się, jakby nie mówił już jeden głos, a kilka. I wtedy z przodu przemknął cień, a potem coś z głuchym stukiem uderzyło o tory. Michael wrzasnął przerażony.

Jasna, rażąca wiązka przecięła ciemność. Euan zmrugał oczy, próbując dostrzec cokolwiek za oślepiającym światłem, a Michael, zmrugawszy oczy i skuliwszy się ze strachu, wyciągnął z kieszeni składany nóż i wymachiwał nim w kierunku niewidzialnego wroga.

- Kurier? - rozniósł się ochrypły, napięty głos.

- We własnej osobie. - Głos Euana był nie wiele lepszy i zakaszłał, żeby przeczyścić gardło. - To ja, Euan.

Z tamtej strony milczeli i świszczący szept rozległ się znowu. Euan wiedział, że to wartownik szepcze do kogoś na peronie.

- Kto jest z tobą?

- Mój syn.

- Nie za mały, żeby łązić po tunelach?
 Euan nie ruszał się z miejsca i dalej klęczał na jednym kolanie, kierując lufę automatu na światło.

- W naszym zawodzie trzeba zaczynać od dziecka. - Euan wtedy skłamał, ale niczego lepszego nie mógł wymyślić na poczekaniu.

- Odlóżcie broń, bracia.
 - Najpierw sami się pokażcie - odpowiedział Euan, nie poruszając się.
 - W sumie racja. Już, poczekaj.

Światło reflektora podniosła się do góry, oświetlając wygięty sufit tunelu i czterech ludzi, stojących pod nim. Euan rozpoznał ich twarze i trochę się rozluźnił.

I tak coś tutaj było nie tak.
 - Czego siedzicie po ciemku?
 Czwórka ze stacji nagle cofnęli się, a ich przybite twarze zaraz przypomniały Euanowi, dlaczego tak bardzo nie lubi tej stacji: miejscowi ludzie byli leniwi, opóźniali każdą pracę i, tym samym, sprowadzali na siebie masę problemów.

- No kabel od generatora się wczoraj przepalił...
 - Przecież wam chyba przyniosłem nowy w tym miesiącu - spokojnie przypomniał Euan.
 Ludzie ze stacji spojrzeli po sobie: widać nikt nie chciał odpowiadać.

- No tak... - ciągnął pierwszy z wartowników.
 - I co, on też padł? - spytał zdziwiony Euan i powoli się podniósł, ale karabinu nie opuszczał.
 - No nie, wszystko okej. Chłopaki już naprawiają.

Teraz dla Euana wszystko stało się jasne: zwyczajne niechlujstwo znowu przyniosło mieszkańcom Cowcaddens nieszczęście. Kątem oka dostrzegł, jak z boku coś błysnęło i odwrócił się do Michaela, który ciągle trzymał jeszcze nożyk. Poczuł dumę z syna.

- Zuch, Michael! Schowaj nóż.
 Chłopak złożył ostrze i wsadził rękę do kieszeni, ale i tam nie rozstawał się z nożem, a trzymał go w pięści, na wszelki wypadek.

- Dziś tylko przechodzimy obok - powiedział Euan do wartowników.
 - A, no dobra...

Lekko się zdenerwowali: zawsze tak się działo, kiedy Euan nie zostawiał nikomu listów. Wszyscy mieszkańcy podziemi byli spragnieni wieści z sąsiednich stacji i najmniejszą nowość pożerali z chciwością i obgryzali do kostek.

- A za stacją jest światło? - spytał Euan.
 - Tak, tylko u nas jest ciemno.
 - I chwała Bogu! - Euan ruszył przed siebie po torach. Teraz, kiedy napięcie spadło i wyszli ze stacji, Michael zdołał, w końcu, przyjrzeć się wartownikom na peronie. Brudni, nieumyjni ludzie w starej, wytartej odzieży - żadnego porównania do mieszkańców St. Enoch. Ich zmęczone oczy płonęły z głodu i od tych wzroków Michaelowi zrobiło się bardzo nieswojo. Zauważył, że na peronie nie było drewnianych chat jak u nich albo na Buchanan Street. Zamiast nich stały tylko wiaty z brudnych szmat i potarganych namiotów. Dzieci nie widział, chociaż gdzieś w oddali słyszał cienki płacz. W niektórych namiotach paliły się świeczki i atmosfera była jak u niego w domu, tylko że z jakiegoś powodu nie dawała wrażenia przytulności.

Na przeciwległym końcu peronu minęli jeszcze trzech wartowników, którzy w milczeniu pozdrowili listonoszy wzrokiem, a dalej ponownie zaczynał się tunel. Ku swojemu zdziwieniu, Michael cieszył się z powrotu do stęchłej i ciasnej ciemności.

- A u nas w domu światło nigdy nie gaśnie. Prawda, tato? - głos Michaela zabrzmiał zbyt głośno i Euan odwrócił się, żeby sprawdzić, jak daleko odeszli od stacji.

- Gaśnie, mały, kiedy robimy naprawy.
 - Ani razu tego nie widziałem - powiedział uparcie Michael.
 Chłopak był pewien, że jeśli czegoś nie widział, to to nie istnieje.

- Robimy to, kiedy wszyscy śpią, żeby nikomu nie przeszkadzać.
 - A, no to mądrze!
 - Zwykła logika, Mike.
 - A dlaczego nie robią tak na tej stacji?
 Euan zatrzymał się i zastanowiwszy, dobrał słowa.
 - Ludzie nie zawsze robią to, co dla nich najlepsze.

- Jak to? - nie dowierzał Michael.

Euan chciał przywołać przykład, który sam słyszał od ojca, ale pomyślał, że ani Michael, ani inne dzieci podziemia nie mieli nigdy w życiu szansy na zajadanie się cukierkami.

- Wyobraź sobie: już dawno powinienes iść spać, a ty się nie kładziesz. Jak się czujesz?

- Wspaniale! - uśmiechnął się chłopak.

- Tak, a potem, kiedy mama cię obudzi?

- No, źle, chcę jeszcze pospać.

- A teraz wyobraź sobie, że postępuje tak cała stacja.

- Nie kładzie się na czas?

- Nie robią tego, co powinni: nie wysypiają się, jak należy, nie zbierają jedzenia dla wszystkich, nie wymieniają kabli do zasilania, aż się nie przepali.

- To niezbyt mądre, prawda?

- Tak, chłopie, zupełnie niemądre...

St. George's Cross została zaludniona z sąsiednich stacji w pierwszych latach po wojnie, ale nie miała swojego wyjścia na powierzchnię: wprost nad nią zawalił się budynek odcinając wszystkie drogi tam i z powrotem. Jednakże oświetlenie było tu znacznie lepsze, niż na innych stacjach; w porównaniu do nich, St. George's Cross była zwyczajnie skąpana w świetle. Wartownik na wejściu z daleka dostrzegł Euana i Michaela i z radością ich pozdrowił:

- Zdrowia, Euan!

- Witajcie, panowie!

Napięcie w jednej chwili opuściło Euana, jakby góra zsunęła się z jego ramion.

- Twój synek? - spytał wartownik.

- Tak, ma na imię Michael.

- Cześć, Michael! Serdecznie witam na naszej stacji!

Wartownik mówił łagodnie i uprzejmie, a Michael zdziwił się z tego, jak różni mogą być ludzie żyjący w swoim sąsiedztwie.

- Wchodźcie, niedługo będzie obiad.

Weszli na peron, na którym pracownicy kłębili się miejscowi. Na drugim końcu niewielka grupa dzieci ćwiczyła sztuki walki. Instruktorka chodziła pomiędzy nimi i poprawiała ich technikę.

Zauważywszy Euana, pomachała do niego jak do starego znajomego i z powrotem zajęła się dziećmi.

Wspólna kuchnia mieściła się w dawnym magazynie. Ścianę, która niegdyś oddzielała go od peronu, dawno rozebrano. Pod jedną ścianą stały duży, stalowy piec, otwarte palenisko, rzędy stołów i szafy. W kącie buczała zamrażarka - pradawny przyrząd, w całym metrze były tylko dwie czy trzy.

- Jak tu dobrze! - powiedział Michael, rozglądając się wokoło.

- Tak, mi też się podoba.

- Mamy dla nich listy?

- A jak że. I listy, i paczki.

- Więcej niż dla pozostałych stacji?

- Do nich zawsze piszą najwięcej - wyjaśnił Euan. - Tutaj pędzą whisky.

Od czasu, kiedy Euan został ojcem, prawie w ogóle nie pił alkoholu, ale Michael wiedział, że matka zachomikowała butelkę pod łóżkiem. Czasami się do niej przyklejała i chłopcu w ogóle się nie podobało to, jak od niej pachniało po tym i jak się zachowywała.

- I co, dużo kupują? - zapytał.

- Dużo. Tak dużo, że nawet załatwili sobie niewielki pociąg.

- Widziałem go! Przejeżdżał obok naszej stacji! - krzyknął pobudzony malec, ale jego uwaga zaraz zwróciła się na kuchnię, gdzie mężczyzna i kobieta, stojący przy palenisku, nakładali na talerze mięsny gulasz z grzybami.

Euan i Michael wzięli swoje talerze i usiedli za stołem. Jedli przyglądając się temu, jak trenują dzieci.

- Też się tu uczyłem - oznajmił Euan.

Michael widział o tym i skinął głową.

Kiedy wojna zadała swój ostatni cios, uwięziona na St. George's Cross okazała się być grupa żołnierzy na przepustce. Ich doświadczenie i autorytet pomogły szybko zaprowadzić porządek na stacji. To właśnie oni szkolili strażników, pilnujących i obchodzących tunele, kurierów i poszukiwaczy, zbierających zasoby w mieście.

Ze wszystkich stacji na St. George's Cross wysyłano nastolatków, żeby nauczono ich zdolności wojskowych w zamian za przydatne towary. Pierwszymi stali się Euan i kilku jego rówieśników, niedługo po zasiedleniu podziemi, i od tego czasu stało się to tradycją.

- Ty też tu przyjedziesz, za pięć lat - rzekł Euan do syna.

Michael obrażony wyduł usta.

- No tak... Przecież sam mnie wszystkiego nauczysz.

Euan faktycznie próbował uczyć dzieci sam, na ile starczało sił i możliwości.

- Jeśli chcesz stać się kurierem - inaczej się nie da.

Michael skinął w zamyśleniu, wsadził do ust pełną łyżkę gulaszu i zaraz znowu się odezwał.

- A mogę...

- Michael, nie mów z pełnymi ustami.

Chłopak przełknął.

- A mogę teraz tu zostać?

- Nie, nie możesz. Teraz skończymy jeść i wrócimy do domu.

- Aleee...

- No co, chcesz zostać tu sam?

Michael rozpatrzył tę możliwość i pewnie pokręcił głową.

- Tak też myślałem - uśmiechnął się Euan.

Zjadłszy, przekazali pocztę naczelnikowi stacji. Na St. George's Cross panowała wojskowa dyscyplina, a naczelnik sam wręczał listy.

- Czas do domu - powiedział Euan i zaprowadził syna z powrotem do tunelu, którym przyszli.

- Euan, poczekaj!

Michael odwrócił się i zobaczył, że podchodzi do nich chuda kobieta z długimi, ciemnokasztanowymi włosami, w kurtce koloru khaki.

- Ania? - powiedział Euan.

- Cześć! Wybacz, nie zauważyłam cię od razu.

Jej policzki zaczerwieniły się i przyłożyła dłoń do klatki piersiowej, sprawiając wrażenie, jakby to było od biegu. Michael zmierzył ją krzywym spojrzeniem i zaczął czyścić podeszwy o peron.

- Przestań! - wystrofował go ojciec.

- Nie chcielibyście się do mnie dołączyć? - spytała Ania, machnąwszy ręką w przeciwną stronę.

- Tak, z chęcią!

Michael oszołomiony spojrzał na ojca: nie miał pojęcia, skąd nagle tyle radości.

- Pojedziemy pociągiem, Michael!

Wtedy wszystko stało się jasne i Michael podskoczył z radości. Ania podała mu rękę i chłopiec, zerknąwszy na ojca, wziął ją, a potem wszyscy razem poszli w drugą stronę.

Metro w Glasgow składało się z jednej okrężnej linii i niedawno jedna z dwóch dróg została zamknięta dla pieszych: Ania i jej kuzyn wstawili działający silnik na drezynę, oczyścili tory i zaczęli kursować na tej trasie.

Silnik zdobyli na powierzchni. W ciągu kilku lat, metodą prób i błędów, udało się go zmodyfikować tak, żeby był zasilany przez wodorowe ogniwa paliwowe, ukryte pod dnem. Drezyna jechała powoli, często się psując, za to mogła przewozić duże ładunki i pasażerów z jednej stacji na drugą.

Wrażenie było takie sobie: silnik ciągnął do przodu, wzmocniony dwoma pasami, przyspawany na boku. Za nim, dwa rzędy twarzami do siebie, były ustawione cztery siedzenia. Uchwyt, który wcześniej wprawiał drezynę w ruch pozostał na miejscu: przydawała się, kiedy silnik odmawiał współpracy. Z tyłu do tego dziwnego agregata doczepiony był mały wagonik, w danym momencie załadowany drewnianymi skrzyniami.

- Siadajcie - rzekła Ania. - Tylko zostawcie mi prawe siedzenie w kierunku jazdy.

Michael rzucił się ku drezynie i padł na lewe miejsce obok tego Ani, wierząc się niecierpliwie. Wszyscy jego przyjaciele marzyli o przejażdżce tym pociągiem, a teraz pękną z zazdrości, kiedy wróci do domu jak król, spełniwszy ich wspólne marzenia. Praca ojca często przynosiła chłopcu nieoczekiwane korzyści: otrzymywał takie prezenty i słodycze, o których inne dzieci mogły tylko marzyć. Poza tym, na korzyść jego charakteru trzeba wspomnieć, że dzielił się z przyjaciółmi - w każdym razie, zazwyczaj.

Euan wsiadł na dreżynę i usiadł na przeciwko Michaela, kładąc plecak między nimi.

- Niczego nie widzę! - zasmucił się syn.
- Czego nie widzisz?
- Nie widzę dokąd jedziemy! Wszystko zasłaniasz!
- No i co? Tam i tak jest ciemno.

Wreszcie pojawiła się Ania, usiadła na swoim miejscu obok chłopca i mrugnęła do Euana, który jakby tego nie zauważył. Wyraźnie się zdenerwowała i zaraz zajęła się silnikiem. Kluczyków nie było: kobieta szczęknęła przełącznikiem, który wstrzykiwał wodór z ogniw paliwowych do silnika, następnie uruchomiła dwa akumulatory. Następnie odkręciła zawór, wpuszczając do silnika etanol, i, niepewnie się uśmiechając, nacisnęła duży, zielony przycisk z napisem "START".

Z początku nic się nie stało i Euan pomyślał, że będą musieli do samego St. Enoch napędzać dreżynę starą metodą, rękami, ale potem silnik zakaszłał, zacharczał, a Ania z radością się wyprostowała.

- Chcesz pokierować? - zapytała Michaela.

Oczy chłopaka zamieniły się w dwa spodki, a uśmiech niemal dochodził do uszu. Między Anią i Michaeliem, z dziury w podłodze, sterczała dźwignia, a obok, z drugiej dziury, metalowy pedał sprzęgła. Nacisnąwszy na pedał, Ania ręką Michaela przestawiła dźwignię na pierwszy bieg. Potem powoli puściła sprzęgło i maleńki pociąg, szarpnąwszy, pognął w przód.

Krzyk radości odbił się od sufitu stacji i ścian tunelu i nie jedna osoba na platformie obejrzała się zaniepokojona, zanim zrozumiała, że to Michael krzyczał ze szczęścia. Ktoś uśmiechnął się od jego dziecięcej szczerości, ktoś z dezaprobatą pokręcił głową i wrócił do swoich spraw.

Kiedy ze wszystkich stron okryła ich ciemność i dźwięk silnika w zamkniętej przestrzeni tunelu stał się ogłuszająco głośny, Ania nacisnęła jeszcze jeden przełącznik i reflektor, zamocowany pod silnikiem, oświetlił tory przed nimi.

Tunele zawsze zdawały się być zakurzone, chociaż Michael wiedział, że to nie kurz, a brud, który przez wiele lat wczepił się do ścian i torów. Jechanie dreżyną podobało mu się znacznie bardziej, niż brnąć przez ten brud na piechotę. W głębi duszy bał się, że sam stanie się kurierem i będzie zobowiązany do chodzenia tu po ciemku.

- Tato, a jak myślisz, czy kiedy dorosnę to będzie dużo takich pociągów?
- Nie wiem, Mike. Poza tym co Ania jeszcze zmajstruje... - Spojrzał na rudą kobietę, a ta wzruszyła ramionami.
- Mogę pomóc! - krzyknął z entuzjazmem Michael.
- Więc kuj chemię, mechanikę i metalurgię - poparła go z uśmiechem Ania.
- Ja nawet nie wiem, co to jest!
- No nie martw się, bez pracy nie zostaniesz - powiedział kpiąco Euan, a chłopiec w odpowiedzi pokazał mu język.

W pobliżu Cowcaddens Ania zwolniła.

- Uwaga! - krzyknęła głośno, chociaż Euan za lepsze ostrzeżenie uważał dźwięk silnika, który słyhać było z daleka i wszyscy, którzy chcieli, już dawno zeszli z torów.

Dreżyna przejechała obok stacji na najniższym biegu i Michael znowu zwrócił uwagę jak żałośnie i niechlujnie wyglądają jej mieszkańcy. Ale wkrótce zostali za nimi i teraz tylko jedno przejście oddzielało dreżynę od Buchanan Street. Jednakże Ania nie zwiększyła prędkości, i dalej jechali tak samo wolno, jak na stacji.

- Czemu jedziemy tak wolno? - zmartwił się Michael: teraz wydawało mu się, że z ojcem szybciej szliby piechotą.

- Toru nie są tu najlepsze - wyjaśniła kobieta, sama spojrzała ukradkiem na Euana, który spoglądał w mrok przed nimi. Michael zrozumiał, że chciała pozostać z ojcem jak najdłużej. Cóż, nic dziwnego: podobał się wszystkim, z wyjątkiem mamy.

Sycący obiad i powolne kołysanie dreżyny zrobiły swoje: chłopca zaczął morzyć sen. Ze wszystkich sił walczył, przecierał pięściami powieki z ołowiu i głośno ziewał, ale nie zamierzał przesympać ani sekundy ich podróży.

Nagle silnik zacharczał, zakaszłał i zgasł. Światło lampy przygasło: generator prądu przestał działać i ciężar wzięły na siebie akumulatory. Tylko że one działały ze strasznym szumem, ale teraz ze wszystkich kierunków ogarnęła ich niespodziewanie ciężka, dusząca cisza i Michael instynktownie

zwinął się w kłębek, bojąc się poruszyć. Euan pociągnął go za nos, żeby trochę rozweselić i uśmiechnął się do Ani.

- Dojechaliśmy?

Ta prychnęła, zaciągnęła hamulec ręczny i zeskoczyła na tory. Mężczyzna usiadł na jej miejscu i poświecił latarką pod siebie. Ania zwinnie dała nura pod dreżynę i zaczęła grzebać w skomplikowanej elektryce.

- Zdarza się, gdzieś przewód się zerwie albo kontakt się zepsuje... - rozległ się z dołu jej głos. Następnie pokazała się ruda głowa i, spojrzawszy na Euana, oznajmiła:

- Wyłącz reflektor, nie marnuj akumulatora.

Listonosz przestawił przełącznik i snop światła zgasł, pograżając tunel w mroku, który od słabego światła latarki stał się jeszcze gęstszy.

- Tato? - powiedział drżącym głosem Michael.

- Wszystko w porządku, nie bój się - rzekł Euan, obejmując syna. - Siedź tutaj, a ja pomogę Ani.

Zszedł z dreżyny i kucnął, żeby spojrzeć, czym jest zajęta ruda. Michael też spróbował zajrzeć pod spód, patrząc przez głowę taty, ale obserwowanie naprawy szybko się nudziło i zaczął przyglądać się ciemnym ścianom tunelu. Chłopiec pomyślał, że, jeśli bardzo długo będzie patrzył w ciemność, to nauczy się widzieć bez światła i postanowił spróbować, skupiwszy wzrok przed sobą, dokąd nie sięgał snop ojcowskiej latarki. Patrzył i patrzył, wyęzając wzrok i nagle przed nim błysnęły dwa zielone światełka.

Z początku Michael pomyślał, że mu się przewidziało. Zamrugał i światełka faktycznie zniknęły. Potem pojawiły się znowu. Chłopiec pochylił się do przodu, oparł się o nie ostygły silnik. Światełka mignęły i Michaela ogarnęła fala panicznego strachu: pojął, że to oczy.

- Tato... - wyszeptał.

Ojciec nie słyszał go, do połowy będąc schowanym pod dreżyną, a w tym czasie oczy zbliżyły się. Michael nie był w stanie stwierdzić, jak blisko się znajduje. Zaraz do niego dotarło, że one mogą być daleko i wtedy są to bardzo duże oczy.

- Tato...

Tego głos załamał się ze strachu, ale tym razem Euan usłyszał, wyprostował się i machinalnie wyciągnął spod siedzenia karabin.

- O co chodzi, Mike?

Michael odwrócił się do ojca, który uważnie wpatrywał się tam, skąd przyjechali. Pociągnął ojca za rękaw i wskazał palcem na zielone ogniki. Potem, zdawszy sobie sprawę, że po ciemku to nie ma sensu, powiedział:

- Z drugiej strony.

Euan obrócił się i zaraz sam zobaczył oczy. Ze szczękiem pociągnął za bezpiecznik broni leciutko szturchnął Anię. Następnie, ubezpieczony przez nią, ruszył powoli do przodu.

- Tato, nie zostawiaj mnie! - z przerażeniem wyszeptał Michael, a serce Euana zamarło.

- Nie zostawiam cię, Mike. Ale musimy sprawdzić, co tam jest. Zostań tutaj z Anią, zaraz wrócę.

W rękach kobiety niewiadomo skąd pojawiła się strzelba. Usiadła na dreżynie przy Michaelu, który dobył z kieszeni składany nóż i rozłożył ostrze, ale wcale nie poczuł się spokojniejszy.

- Cholera, ale jestem głupia... - mruknęła nagle Ania. - Euan, światło!

Włączyła światło i w wiązce światła zobaczyli Euana, przyciśniętego do ściany i wyciągający przed siebie automat. A na wprost przed nimi, na torach, stał rudy kot, oszołomiony mrugający od oślepiającego światła i w panice przyciskający uszy go łba. Euan rzucił się na niego, chwycił za kark i wsadził za pazuchę.

- Tylko go nie bij! - krzyknął Michael.

Cały jego strach gdzieś wyparował, ustępując miejsca zachwytowi ze spotkania z dawnym towarzyszem człowieka po nieszczęśliwym życiu w podziemiach.

- I co jeszcze, bić... Pewnie się zgubił.

Euan wrócił do dreżyny i Ania, wzdychając z ulgą, przygotowała się do ponownego zejścia pod pojazd.

- Akurat znalazłam źródło problemu - oznajmiła, klękając na jedno kolano.

Nieoczekiwanie kot zeszywniał, wysunął pazury i wydał z siebie okropny bojowo-przerażony krzyk. I w tej samej sekundzie żyłaste cielsko wielkości niewielkiego psa wyrwało się z kanalizacji nieopodal, sprężyste odbiło się od ramienia Ani i wylądowało na dreżynie, dokładnie na przeciwko

Michaela. Chłopiec z piskiem cofnął się i spadł na podłogę, rozpaczliwie odsuwając się od ogromnego szczura, którego górna część ciała pokryta była płytową zbroją.

- Jasna cholera! - krzyknął Euan, tylko bardziej strasząc chłopca: w domu ojciec nigdy nie przeklinał.

Ogarnięty paniką kot wczepił się pazurami Euanowi w twarz, jak gdyby tylko w niej był dla niego ratunek i mężczyzna nijak nie mógł go odsunąć, żeby przyjść na pomoc synowi. W tym czasie z drugiej strony na dreżynę skoczył drugi szczur, ale Ania zdążyła chwycić go w locie. Euan rozpoznał te stworzenia: spotkał je już w tunelach - atakować dorosłych ludzi bały się, o ze stacji, gdzie żyły dzieci, cały czas trzeba było je odganiać.

Teraz Michael został sam na sam z wrogiem. Szpiczasta mordą świdrowała go złymi, czerwonymi oczami, paszcza obnażyła trzy rzędy kłów zagiętych do środka. Łuski zaczynały się od mordy i pokrywały przednie łapy z dobrze rozwiniętymi, chwytными palcami. Te palce chwyciły Michaela za nogi i chłopiec poczuł na sobie chwyt silnych pazurów. Szczur był niezwykle masywny, jak na swój rozmiar i chłopak wiedział, że się nie wyrwie. Z przerażenia zrobił jedyne, co mogło powstrzymać napastnika - wbił mu w szyję składany nóż.

Szczur wrzasnął, chwytając za nóż swoją paskudną dłonią, wyciągnął go z szyi i skierował na Michaela szaleńczy wzrok. I wtedy rozległ się ogłuszający huk, przetoczył się po tunelu i zgasł daleko w oddali. Szczur uciekł w mrok razem z echem, a Michael, obróciwszy się, zobaczył na bok od siebie dymiącą lufę automatu. Ojciec stał przy nim, a dwa metry od nich pobladała Ania mocno trzymała za ogon drugie wijące się stworzenie.

- Mówiłem przecież, że cię nie porzucę - rzekł Euan, nie ściągając wzroku z leżącego na torach szczura.

Michael z ulgą spojrział na ojca, ale wtedy o mało nie krzyknął z przerażenia: kurtka na piersi Euana poruszyła się, jakby coś wyrywało się na zewnątrz z jego ciała.

W wąskiej przerwie między zapiętymi guzikami pokazała się kocia mordą i wydała obrażone "miau".

- Głupi kocur! - powiedział Euan.

Michael wybuchł śmiechem.

Rozdział 17

LONDYN



Dopiero kiedy pociąg zatrzymał się na północy Londynu, na St. Pancras, pułkownik Mazers postanowił przeszkodzić Euanowi i Katelynn i otworzył drzwi przedziału. Oczy dziewczyny błysnęły w ciemności w koci sposób i pułkownikowi włosy stanęły dęba, ale trwało to zaledwie ułamek sekundy. Katelynn mrugnęła, ziewnęła, przeciągnęła się i ponownie spojrzała na wojskowego. Tym razem, w świetle padającym z korytarza, jej oczy wydawały mu się całkiem zwyczajne.

- Dojechaliśmy? - zapytał dziewczyna sennym głosem.

- Tak.

Wstała z siedzenia i potrząsnęła Euana za ramię.

- Nie śpię - oznajmił ten i usiadł, przecierając oczy.

- Już czas - rzekł pułkownik. - Na wypadek, gdybyśmy się więcej nie zobaczyli, życzę waszej dwójce powodzenia!

- Dziękuję. Nawzajem - odparł Euan.

Katelynn tylko uprzejmie skinęła, a Mazers zniknął za drzwiami.

Z ciemnego wagonu wyszli pod dach budynku, jakiego Euan jeszcze nigdy nie widział w życiu. Dworzec przetrwał wojnę praktycznie bez uszkodzeń, chociaż wiele sąsiednich domów spłonęło doszczętnie: widocznie chronił go jakiś szczęśliwy los.

Euan i Katelynn stali pod ogromnym sklepieniem z metalowych prętów, sięgających daleko w górę. Listonosz jeszcze nigdy nie był w tak wysokim pomieszczeniu. Nie mógł nawet dostrzec sufitu: przeszkadzały kłęby dymu z komina parowozu. Euan nie wiedział, że ze szkła na dachu prawie nic nie zostało; dziury zostały załatane kawałkami plastiku, dekami i wszystkim, co podwinęło się pod rękę. Ale sam fakt tego, że dach się ostał, sprawiał ogromne wrażenie.

Na stacji były tylko jedne tory kolejowe, na których stał ich pociąg. Pozostała przestrzeń była wypełniona kontenerami, przekształconymi w biura i pomieszczenia służbowe. Między nimi wisiały dosyć załośnie wyglądające chwiejne mostki, wyraźnie zrobione na szybko i niedbale.

W pomieszczeniu brakowało światła. Gdziekolwiek płonęły ogniska w beczkach, migały nawet rzadkie elektryczne lampki, ale w całości stacja była pogrążona w mroku.

Wokół chodzili wyglądający na zmartwionych ludzie, jedni w szarych mundurach wojskowych, drudzy w starych, połatanych cywilnych ubraniach i z czerwonymi opaskami na rękach. Po ich znużonym wyglądzie i pokornym wyrazie twarzy Euan domyślił się, że są to niewolnicy.

W ślad za Katelynn poszedł przejściem między zardzewiałymi kontenerami prosto do niewielkiego gabinetu, gdzie dziewczynę poproszono o pokazanie dokumentów i poręczenie o wiarygodność swojego towarzysza, dopóki ten nie znajdzie jakiejś pracy. Nagle dotarło do niego, że cel jego długiej i ciężkiej podróży został osiągnięty... Ale teraz, dotarłszy do Londynu, do reszty stracił głowę.

Po liczbie ludzi snujących się wokół od razu stawało się jasne, że londyńskie tunele ocaliły znacznie więcej ludzkich istnień, niż tunele w Glasgow i że nawet w zniszczonej stolicy znalazło się dość zasobów, żeby w krótkim czasie odbudować pozory cywilizacji.

- Nie rozglądaj się - powiedziała cicho Katelynn za jego plecami. - Tutaj wszędzie są bandyci, otwarte polowanie na nowych. Należy nie zwracać na siebie uwagi.

- Nie sądziłem, że są tu takie przestrzenie...

- To dworzec, wojskowy punkt przeładunkowy. A pod ziemią ludzie mieszkają na takich samych stacjach, jak w twoim Glasgow.

- Tylko że tu jest więcej ludzi. No to dokąd idziemy?

- Pod ziemię i to jak najszybciej. Chcę odprowadzić cię w bezpieczne miejsce.

- Katelynn, muzę odzyskać swoich bliskich.

- Tak, odzyskasz ich, i co dalej? Jak się stąd wydostaniecie? Jak zamierzasz ich uratować?

Euan osłupiał: faktycznie nie planował tak daleko. Tak spieszył się znaleźć rodzinę, że nie pomyślał o przemyśleniu dalszych działań.

- Nie wiem. Jakoś o tym nie myślałem...

- Ale ja pomyślałam, w pociągu - oznajmiła dziewczyna. - Z jakiegoś powodu i tak wiedziałam, że twoja głowa jest zajęta czymś innym. Mam plan na ten wypadek, jeśli uda ci się ich znaleźć, ale potrzebne są przygotowania. Na początek spotkamy się z moimi przyjaciółmi w tunelach. Sprawię, że odstawią nas do Oakwood przez Piccadilly Line.

Euan skinął, nie do końca wyobrażając sobie skalę londyńskiego Metra.

- To jedenaście stacji na północ stąd, za to będziemy mogli tam spokojnie wyjść na powierzchnię, jeśli tylko dotrzemy.

Dziewczyna poprowadziła Euana przez szeroki westybul z niskim sufitem i w dół, po niewielkich schodach. Pod ziemią przestrzeń była podzielona przez zasłony, za którymi stali ludzie. Śmierdziało wilgocią, a potem strachem i Euana zemdliło. Z każdego rogu emanowała męcząca beznadzieja. Zaskakujące było, jak ogół ludzi godzi się z takim istnieniem.

Poczucie przestronności, obejmujące mężczyznę na dworcu, pod ziemią zniknęło bez śladu. Przed wojną działał tutaj system wentylacji powietrza, teraz powietrze poruszało się poprzez naturalną konsekwencję: ciepłe powietrze z tuneli i ludzkich oddechów unosiło się, a zimne, z powierzchni, zniżało.

Skądś z dołu unosił się zapach kuchni - ognia, dymu i gotowanego jedzenia. Mieszając się z kwaśną wonią potu zmieniał się w okropny smród, przed którym nigdzie nie było ratunku.

Katelynn lekko popchnęła Euana w bok, ku zasłonom, żeby zrobić przejście grupie żołnierzy w szarych mundurach. Żołnierze byli dobrze uzbrojeni i nie zwracali uwagi na gapiów, o ile ci głupio nie zagradzali im drogi. Kiedy zniknęli za zakrętem, Katelynn zaprowadziła Euana dalej przez źle oświetlone, zadymione korytarze i tunele, obok byłych pomieszczeń służbowych i magazynów.

Na spotkanie im niewolnik pchał wózek, na którym leżało ciało innego niewolnika. Za nim szedł uzbrojony strażnik. Katelynn przywarła do ściany, obok przełącznika, przepuszczając ich. Euan stanął przy niej, z zaciekawieniem przyglądając się niewolnikowi i strażnikowi.

- Baba zdechła - podzielił się z nimi nowością strażnik, stwierdzając po ich ubiorze, że przed nim nie stoją ani niewolnicy, ani żołnierze, a goście stolicy albo wolni obywatele.

Kiedy wózek zrównał się z nimi, Euan wydał syczący, bulgoczący dźwięk, jak gdyby przedśmiertne charknięcie, które utknęło w gardle. Zrobił krok do przodu i chwycił wózek drżącymi rękami.

- Julia! - powiedział przestraszony Euan i wziął w dłonie twarz martwej kobiety.

Katelynn poczuła, jak układają się elementy chińskiej łamigłówki. Spojrzała na żołnierza i czas jakby zamarł, i każdy ruch był odmierzany uderzeniem jej serca.

- Weź wypierdalaj z drogi! - krzyknął strażnik. - Wali mnie, że umiała się ruhać: teraz zdechła.

Zaczął obchodzić wózek; przez ten czas niewolnik przerażony spojrzął na Katelynn i dał nogę. Żołnierz przycisnął Euana do ściany.

- No i co żeś zrobił, he? Przez ciebie zwał niewolnik! No i kto teraz będzie pchał tę padlinę?

- To moja żona - powiedział Euan, patrząc na martwe ciało pustym wzrokiem. - Moja Julia.

Żołnierz zerknął na trupa, potem z powrotem na Euana - i zaśmiał się.

- Co, lepszej dziwki nie znalazłeś? A ta to co? - spytał, wskazując palcem na Katelynn.

Euan odepchnął żołnierza, a ten wyciągnął z kabury pistolet. Ani sekundy się nie zastanawiał, nacisnął na spust i niewątpliwie zabiłby listonosza, gdyby Katelynn nie uderzyła go po ręce plecakiem. Kula poleciała w bok, ale huk wystrzału w wąskim korytarzu był ogłuszająco głośny i z tuneli z różnych stron dało się słyszeć krzyki.

Coś w Euanie pękło. Później sam nie mógł sobie przypomnieć, jak to się wszystko stało. Zresztą, od kogoś słyszał, że w każdym z nas żyje ciemność żadna krwi i zniszczenia, ale, jak mówiono, człowiek jest w stanie ją powstrzymać i tak, tworząc równowagę pomiędzy światłem a ciemnością, przechodzimy przez krąg życia.

Euan mrugnął, a kiedy jego oczy otworzyły się, nie było w nich niczego ludzkiego - tylko czyste szaleństwo świeciło zimnym, ostrym blaskiem. Twarz mężczyzny przeraziła Katelynn, ale jeszcze bardziej przerażała szybkość i bezwzględność w jego ruchach.

Wydawało się, że klingi z krzykiem przecinają powietrze wylatując z pochw. Momentalnie znalazłszy się w jego rękach, wyryły kilka kaligraficznych linii na ciele żołnierza. Pierwszy cios padł na rękę, przeciął biceps i rozbił łokieć. Ale żołnierz nie zdążył krzyknąć z bólu, dlatego że drugie ostrze podcięło mu gardło. Od siły trafienia strażnik cofnął się i upadł na plecy, będąc już trupem: z szoku stanęło serce. A na jego twarzy zastygły pogarda i obrzydzenie.

Euan odwrócił się do Katelynn i po jego szalonych, pustych oczach zrozumiała, że mężczyzna nie poznaje jej. Śmiercionośne klingi złowieszczo błyszcząły w jego rękach. Nie tracąc ani chwili, Katelynn kliknęła przełącznik na ścianie i światło w korytarzu zgasło. Korzystając z uzyskanych sekund, skryła się za najbliższą zasłoną o mało nie wpadła na przerażoną kobietę, przyciskając do piersi dziecko.

Z tamtej strony było słyhać ciężkie buty, szczęk broni i krzyki: "Tutaj! Tu jest!" Katelynn namacała zimną rączkę latarki i, zebrawszy się w duchu, weszła do korytarza. Euan stał plecami do niej, odwróciwszy się w stronę zbliżających się kroków. Zamachnęła się i z całej siły uderzyła go latarkę w potylicę.

Latarka wydała głuchy stuk i ręka Katelynn nieprzyjemnie zatrzęsła się. Siłą uderzenia Euan wrócił na ziemię, zdziwiony wytrzeszczył oczy na dziewczynę i padł na podłogę bez czucia.

Ciężko dysząc, Katelynn stała w ciemności, aż zza rogu nie wyszli żołnierze. Ich podłufowe latarki oświetliły krwawą scenę: przy trupie ich towarzysza i bezwładnym ciele napastnika stała nastoletnia dziewczyna, jakiś cudem ocalona przed pewną śmiercią.

Jeden z żołnierzy włączył światło w korytarzu, drugi sprawdził puls Euana i zabitego kompana. Na ciało Julii nikt nawet nie spojrzął. Zasłona za Katelynn nieśmiało odsunęła się i na światło wyjrzała przestraszona matka z dzieckiem.

- Uratowała mi życie - powiedziała drżącym głosem kobieta, wskazując na Katelynn.

Niedługo po żołnierzach pojawił się pułkownik Mazers. Rzuciwszy zaledwie jedno spojrzenie na drżącą Katelynn, odprowadził ją na bok. Dziewczyna opowiedziała mu, co się stało.

- Będą go sądzić - oznajmił pułkownik, najpierw upewniwszy się, że żołnierze obchodzą się z Euanem po ludzku.

O tym wiedziała sama Katelynn.

- Zdajesz sobie sprawę, że twojego przyjaciela najpewniej uznają za winnego i wyślą na szubienicę.

- Tak - odparła Katelynn: zdążyła napatrzeć się na to, jak działa podziemna sprawiedliwość.

- Raczej nie dam rady pomóc, ale spróbuję. Do rana będą go trzymać w karczerze na górze. Jak tylko podejmą decyzję - wyciągną na powierzchnię i tam załatwią. - Mazers przykucnął i spojrzął Katelynn prosto w oczy. - O trzeciej w nocy strażnikom przynosi się napoje. Dziewczynki, które to robią, są poza gronem podejrzanych.

Na pewien moment zatrzymał wzrok na Katelynn, jak gdyby pomagając jej pojąć sens tych słów, następnie wyprostował się i głośno oznajmił:

- Dziękuję za pomoc, miss. Ej, wy tam! Tylko nie przesadzajcie, odstawcie go całym i zdrowym. Chcę, żeby jutro dobrze pamiętał, co się z nim dzieje.

Pułkownik wyprowadził żołnierzy z tunelu, surowo rozkazując zebranych gapiom natychmiast się rozejść do swoich kątów.

Skądś wyskoczyli czterej niewolnicy z wiadrami gorącej wody i mopami. Kobieta, która wyszła podziękować Katelynn, odkasznawszy, zwróciła jej uwagę.

- Dziewczynko, wszystko w porządku? - zapytała z troską.

- Nie zupełnie - odezwała się Katelynn.

Czterej niewolnicy rozłożyli brudny koc i przykryli nim ciało zabitego żołnierza.

- Znałaś go?

- To mój przyjaciel - odpowiedziała z roztargnieniem Katelynn, rozmyślając nad słowami pułkownika.

- Raczej, to *był* twój przyjaciel? - poprawiła sympatycznie kobieta.

- Jak na razie nim pozostaje - powiedziała ze zdziwieniem Katelynn i dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że kobieta ma na myśli strażnika. Ta też zrozumiała swój błąd i wytrzeszczyła oczy.

- Czyli uderzyłaś moją latarką swojego przyjaciela?

- Dokładnie.

- Czemu to zrobiłaś?

- Żeby go nie zastrzelili - odparła machinalnie dziewczyna, ciągle próbując pojąć sens słów pułkownika.

- A... - rzekła kobieta nie bez sarkazmu. - Dobrze to przemyślałaś, wręcz wspaniale. Faktycznie, teraz go nie zastrzelą. Powieszą go.

- Możliwe - odparła nieco roztargniona Katelynn, której głowa była teraz zajęta czymś innym. Ale od kobiety nie było tak łatwo się odczepić.

- Chyba mówił, że zna zmarłą?

- Była matką jego dzieci.

Jeden z niewolników oderwał się od mopa, którym wycierał krew z podłogi.

- Gwen i Michael! Znam ich - oznajmił. - Szkoda dzieciaków: jutro staną się sierotami.

Skruszony pokręcił głową, zauważył coś na podłodze i schylił się, żeby to podnieść.

- Wiesz, gdzie oni są? - zapytała Katelynn, czując nieoczekiwany przyływ nadziei.

- No oczywiście, że wiem. Są w obozie na powierzchni, w bocznych pokojach, razem ze wszystkimi. - Wyprostował się, ze zdumieniem przyglądając się czemuś w swojej ręce.

- Przecież tam jest okropnie... - powiedziała dziewczyna. - Zawsze zimno, mokro, przenika promieniowanie...

- Nie mów, miss! Czyste piekło! To w żadnym razie nie miejsce dla dzieci.

Niewolnik zamilkł i potarł amulet, który podarowała Euanowi Cura - małe, srebrne koło.

- To wasze, miss? - ze słabo skrywaną ciekawością zapytał.

- Nie, to amulet mojego przyjaciela.

- Bardzo interesujące, miss.

Spojrzał na innych niewolników. Ci zarzucili pracę i także wpatrzyli się w Katelynn.

- Co tam? - zapytała kobieta za jej plecami.

- Spójrz, Alice - rzekł mężczyzna i amulet jasno błysnął w świetle lampy.

- Oho... Ma znak... - wymamrotała.

- Który wiadomo co oznacza.

- Nie wszystkim wiadomo - stwierdziła Katelynn. - Przynajmniej mnie. Proszę, wyjaśnijcie.

- Powinniśmy mu pomóc, jeśli możemy - odparła Alice.

- Dlaczego?

Katelynn nie rozumiała, czemu niewolnicy mieliby pomagać nieznanemu człowiekowi: ich życie i bez tego było ciężkie, a taka wielkoduszność przyniesie tylko nowe cierpienia.

- Dlatego że wcześniej, miss, zanim nas tu zagnali, byliśmy Cyganami - wytłumaczył mężczyzna, który znalazł amulet. Położył srebrne koło na dłoni i z zaciekawieniem pogładził kciukiem. - Utknęliśmy tu na dobre, ale jego postaramy się wyciągnąć, chociaż tyle.

- Co to za amulet? - zapytała Katelynn i podeszła bliżej, żeby przyjrzeć mu się jak należy.

- On oznacza, że kobieta o imieniu Cura, która pomogła bardzo wielu z naszych, prosi o pomoc dla tego człowieka i należy to rozumieć jako wiadomość wprost od niej. Musimy tylko pomyśleć, jak wyciągnąć go z karceru.

Katelynn rozumiała, że szczegóły łamigłówek dalej się układają. I możliwe, że na dnie szkatułki faktycznie ukryta jest nadzieja.

Alice długo prowadziła Katelynn przez labirynt podziemnych przejść, aż nie wyszły na powierzchnię w tylnej części ogromnej kopuły St. Pancras. Dzieci i inni niewolnicy mieszkali w ciasnych pomieszczeniach jak sardynki w puszcze. Kącik do gotowania i wychodek znajdowały się blisko siebie. Katelynn nie była w stanie pojąć, skąd gorzej śmierdzi: z dziury w podłodze czy od ludzkich ciał, wijących się na metalowych pryczach. W pomieszczeniach było cicho i nawet dzieci były tak przestraszone, że starały się zachowywać możliwie najciszej.

Niewolnicy zbijali się w grupy, starając się być jak najbliżej znajomych, porwanych z tych samych miejsc. Katelynn dostrzegła znajome twarze: niektórzy trafili tutaj nie bez jej udziału. Chociaż jej rola, w zasadzie, polegała na opiekowaniu się najmłodszymi, dziewczyna szczerze pragnęła, żeby nikt jej teraz nie rozpoznał. Na szczęście mało kto zwracał uwagę na dwie kobiety idące między rzędami prycz i spokojnie dotarły do brudnych drzwi w dalszej ścianie pomieszczenia. Alice otworzyła je bezdźwięcznie i przepuściła Katelynn przodem.

W tym pomieszczeniu było czystiej i prycz było tu mniej, ale na widok jego mieszkańców dziewczynie zamarło serce. Trzy dziesiątki dzieci w różnym wieku zwróconych głowami w stronę drzwi; najmłodszy miał góra półtora roku, trzymała go na rękach starsza dziewczyna.

Alice zawołała po imionach dzieci Euana, ale Katelynn już ich dostrzegła, siedzących w objęciu na jednym łóżku. Michaelowi łzy płynęły strumieniami, a na twarzy jego siostry była spokojna stanowczość.

- Katelynn! - krzyknęła nagle Gwen, poznawszy ciemnowłosą dziewczynę. - Już myśleliśmy, że zginęłaś!

- A mama umarła - oznajmił poważnie Michael i się rozryczał.

Gwen objęła go, ale sama o mało nie rozplakała się z rozpaczy.

- Ze mną wszystko w porządku - wyszeptła Katelynn. - Uratował mnie pewien *kurier* i doprowadził do Londynu, po was.

Dzieci spojrzały na nią.

- Mój tata też jest kurierem.

Katelynn uśmiechnęła się i skinęła, z trudem powstrzymując łzy na widok tego, jak ożywiają się dzieci.

- A on nie trafił w niewolę, jak my? - zapytał z nadzieją Michael.

- Nie, mały.

- Gdzie jest? Chcę go zobaczyć!

- Jest teraz zajęty, Michael. Niedługo się z nim spotkacie, ale na razie musimy was stąd wyciągnąć i ukryć tak, żeby nikt nie znalazł.

- A to możliwe? - spytała Gwen. - Powiedzieli nam, że jeśli spróbujemy uciec, jedno z nas powieszę.

Michael w ciszy skinął i jego oczy stały się okrągłe ze strachu.

- Oni nie wieszają dzieci - uspokoiła ich Gwen.

Gwen i Michael spojrzeli po sobie i powiedzieli chórem:

- Jeszcze jak wieszają!

Alice położyła dziewczynie rękę na ramieniu:

- Widać, że dawno tu nie byłaś. Od tamtej pory wszystko zmieniło się na gorsze.

Katelynn nie wierzyła własnym uszom. Republika Angielska zawsze wyróżniała się okrucieństwem, ale wielu uważało, że tylko tak można zmienić okropne warunki życia, w których znajdowało się człowieczeństwo. Teraz dla Katelynn stało się w końcu jasne, że warunki zmieniły się tylko dla wybranej garstki ludzi, kosztem całej reszty.

- Ołać, to nie ma znaczenia - stwierdziła. - Wasza dwójka zaraz zostanie uratowana. Bierzcie rzeczy i chodźcie z nami.

Minęło kilka chwil, w czasie których dzieci w milczeniu patrzyły na dziewczynę.

W końcu złapali swoje rzeczy i wyskoczyli z pryczy. Alice wzięła Michaela za rękę i zaprowadziła do wyjścia z domu niewolników, a Katelynn zajęło minutę, żeby przepytała Gwen.

- Co się stało z waszą matką?

Gwen przełknęła kamyk w gardle i odpowiedziała spokojnie i równo:

- Pamiętasz, że uderzyli ją w głowę? W ogóle nie wyzdrowiała. Jedzenia jest tu mało, zimno, brudno... Mama zachorowała.

Katelynn poklepała ramię dziewczynki.

- Chorymi nikt nie tutaj nie zajmuje i zwyczajnie pozwolili jej umrzeć. - Gwen zamilkła i w jej oczach błysnęły złe iskry. - Nienawidzę ich wszystkich!

- Ja też - odparła Katelynn.

Znowu znaleźli się pod ziemią i coraz bardziej dziwiło Katelynn, że do tej pory nikt ich nie zatrzymał. Stary peron był zastawiony pudłami, a na każdym z nich była tabliczka z nazwą stacji. Z każdej strony peronu, przy czerniejącym otworze tunelu, stali wartownicy, ale byli oni zbyt zajęci rozmową i nabijaniem się z niewolników i tunelów prawie w ogóle nie pilnowali.

Na jednym z pudełek, podpisanym "Highgate", siedział niewolnik, który znalazł amulet Euana.

- Czołem, dzieci! - powiedział przyjaźnie do dzieci. Te spojrzały na niego z niedowierzaniem.

- To nasz przyjaciel - wyjaśniła Alice.

- Peter - przedstawił się niewolnik.

- Chcę do taty - odezwał się natychmiastowo Michael.

- Wiem, mały. - Katelynn kucnęła, żeby nie zwracać się do chłopaka z góry. - Ale najpierw odprowadzimy cię w bezpieczne miejsce, a potem tata przyjdzie do ciebie.

- Gdzie on jest? - spytała Gwen. - Tam, gdzie jedziemy?

- Jeszcze nie. Ale niedługo będzie - rzekła Katelynn, niespokojnie oglądając się na żołnierzy.

Z tunelu wiodącego do stacji Angel rozległ się stukot kół i wkrótce na stację wjechała ręczna drezyna z dwoma wagonami towarowymi, którą jechały cztery osoby.

- Musimy iść - poradził Peter. - Jeśli będziemy tu tak sterczeć, to nas zauważą.

- Ale tam jest Linia Północna - zaniepokoiła się Katelynn.

- Zgadza się.

- Samo serce Republiki! Czemu mamy ich tam zaprowadzić?

Peter spojrział z niepokojem w stronę żołnierzy, ale ci akurat śmiali się nad jakimś dowcipem.

Kiedy tylko drezyna zatrzymała się, podbiegli do niej niewolnicy i zaczęli rozładowywać wagony.

Musieli to i owo zdejmować z peronu na tory i wnosić z powrotem: drezyna była znacznie węższa od pociągów, niegdyś poruszających się po tych tunelach.

- Dlatego, że tam nikt nie będzie szukał zbiegłych niewolników. I linia jest tam głęboko położona. Jest tam cicho i bezpiecznie, a ja spokojnie wyprowadzę ich na powierzchnię przez posterunek na High Barnet.

- To na High Barnet jest posterunek?

- Stoi tam już od dwóch miesięcy. Raz na kilka dni odjeżdża tam karawana z Highgate, żeby zmienić wartowników i uzupełnić zapasy. I oni przepuszczają podróżnych do Metra i z powrotem.

- Czyli pewnie tam jest kontrola graniczna?

- A jak że! Ale te dokumenty przejdą.

Peter pokazał dziewczynie w pełni przekonujące dokumenty do podróży. Papier, na którym były wypełnione, przeszedł nie jeden cykl oczyszczania moczem. Nie jest to najprzyjemniejsza metoda, ale za to prosta i dzięki niej ten sam papier można było używać znów i znów.

- Alice zaprowadzi dzieci do High Barnet. Tam nasi przyjaciele pomogą im wydostać się z Metra i znaleźć Curę. A my mamy co do was jeszcze inne plany - rzekł Peter i spojrział wymownie na dziewczynę.

Katelynn odwróciła się do dzieci.

- Gwen, Michael, będziecie musieli uwierzyć mi na słowo, że znam waszego ojca. On chce, żebyście teraz pobyli z jego przyjaciółmi. Zgadzaście się?

- Bardzo chcę go zobaczyć! - zasępił się Michael.

- Wiem, ale tutaj jest dla was zbyt niebezpiecznie. A on chce, żeby nic wam nie zagrażało.

Gwen wzięła Michaela za rękę i skinęła głową. Chłopiec spojrział na siostrę, potem na Katelynn i także pokiwał, chociaż łzy ponownie pociekły przez wyryte koryta na jego brudnych policzkach.

- Idźcie z Alice, słuchajcie wszystkiego, co wam powie - powiedział Peter, obserwując rozładunek drezyny. - Szybko!

Alice podała rękę Michaelowi, ale Gwen sama wzięła go i poszła jej śladem. Katelynn przyglądała się, jak podchodzą do pociągu, wsiadają i pokazują dokumenty żołnierzowi, który do nich podszedł.

- Uśmiechamy się i machamy - szepnął do niej Peter.

Katelynn wymusiła uśmiech i pomachała dzieciom. Te, zawahawszy się, niepewnie odmachwały w odpowiedzi.

- Musimy pokazywać radość, w końcu jadą tam, gdzie jest ciepło i przytulnie. Żołnierze i tak niczego nie podejrzewają.

- I co teraz? - zapytała Katelynn, kiedy pociąg ruszył.

- Teraz musimy pomyśleć, jak wyciągnąć twojego przyjaciela z karceru.

- Wydaje się, że już wymyśliłam - oznajmiła dziewczyna i przekazała Peterowi tajemnicze słowa, powiedziane na pożegnanie pułkownika.

Alice zaprowadziła Michaela i Gwen na Euston. Dzieci całą drogę siedziały cicho: nawet na wolności droga tym ciemnym tunelem przywoziła mroczne myśli.

Po zejściu z pociągu kobieta pokazała podrobione dokumenty na kordonie i bez problemu minęła go. Oczywiście, kontrola była tu wzmocniona jak na St. Pancras i King's Cross, ponieważ na Euston przecinało się kilka linii, ale dokumenty były wykonane starannie i prawie nie różniły się od prawdziwych.

Po zejściu z platformy, spotkała się w zawałonym wszelkim śmieciem pomieszczeniu służbowym z dwójką dzieci, które powinna zawieźć z powrotem na St. Pancras. Z wieku, karnacji i koloru włosów byli podobni do Gwen i Michaela - Alice miała nadzieję, że w drodze powrotnej nikt nie zauważy podmiiany. Na uprzejmości nie było czasu, do tego jeszcze kobieta nie chciała, żeby dzieci za bardzo się znały, dlatego zamiana nastąpiła szybko i niemal bez słów.

Przemieszczanie się niewolników w Metrze pilnowano: gdyby wróciła na swoją stację sama, z pewnością pojawiłyby się do niej pytania. Na szczęście, znalazła się dwójka dzieci, których rodzice pracowali na St. Pancras i byli szczęśliwi mogąc ściągnąć och do siebie. Operacja została skonsultowana poprzez starą linię telegraficzną, którą niewolnicy odkryli w prastarych tunelach pod torami metra. Alice wracała zadowolona: radowała ją myśl o tym, że Gwen i Michael poprzez sieć metra wydostaną się na wolność, do Cyganów.

Z uśmiechem wsiadła do pociągu zmierzającego z powrotem do St. Pancras.

Ale wszystko poszło nie tak.

W ostatniej chwili na stopień wskoczyli patrolowi.

- Kontrola dokumentów!

Dzieci przycisnęły się mocniej do niej.

- Wasze dzieci, ma'am?

Alice skinęła.

- Nie poznaję was na fotografii, ma'am - oficer uważnie przyjrzał się wyblakłemu zdjęciu na papierze. - Proszę zdjąć nakrycie głowy, ma'am.

- Ja... To moje dzieci... - załamała się Alice.

- Nakrycie głowy, ma'am! - powtórzył oficer, tracąc cierpliwość. - Albo wysadzimy was z pociągu na wyjaśnienia.

- Przecież niczego nie zrobiłam - powiedziała z jakiegoś powodu Alice.

- Ściągaj tę chustę, suko! - wrzasnął oficer i zerwał chustę z głowy drżącej kobiety.

Pociąg zagrzmiał i ruszył się z miejsca.

- Skoro jest ci taka potrzebna - ha, leć za nią! - I sprawnie wyrzucił zgiętą chustę na odsuwający się peron.

Alice ukryła wzrok i tylko modliła się po cichu. Dzieci przytuliły się do niej, jakby były jedną całością z tą nieznaną kobietą. Ogarnął ich silny dreszcz.

Błąkając się po ciemnych korytarzach i tunelach, Peter doprowadził Katelynn możliwie najbliżej więzienia. Dalej szła sama, przyciskając do piersi butelkę z gorącą herbatą i dwa plastikowe kubki.

Herbata ta nie była zwyczajna: mieszała w niej najczystszy brandy, a także mocny napar z trującego mchu, który znaleziono w jaskiniach pod Tamizą. Zabić nie zabije, ale powalić na kilka godzin ten napój potrafił.

Ubrana w kombinezon niewolnicy, dziewczyna skręciła za rogiem i nagle znalazła się w dobrze oświetlonym pomieszczeniu, gdzie dwaj żołnierze siedzieli przy stole i grali w kości. Sześcianny zastukały na emaliowanym stole i jeden z żołnierzy rozplątał się w uśmiechu, a drugi skrzywił się.

- Gnoju, kantujesz! - zdenerwował się przegrany, na co drugi zaśmiał się:

- Pewnie, kantuję! Ty przede wszystkim musisz zrozumieć jak!

Przegrany spojrział na niego w bezsilnej wściekłości, ale wtedy Katelynn zmieniła się na twarzy.

- Nowiutka! - powiedział on z uśmiechem.

Jego szczęśliwy towarzysz obrócił się i zlustrował Katelynn oceniającym wzrokiem od stóp do głowy.

- A gdzie Rachel? - zdziwił się.

- Znaczy się, oczywiście, my nie narzekamy, że jesteś zamiast niej! - dodał pierwszy, szczerząc się.

- Dzisiaj obsługuje generała - oznajmiła Katelynn i dwuznacznie mrugnęła.

Tym czasem Rachel siedziała ze związanymi rękami i nogami w spizgarce, nie mając szansy na znalezienie do jutra.

- A ty nie za młoda na taką robotę? - spytał drugi strażnik.

- Nie jestem już dziewczynką - uśmiechnęła się Katelynn i rzuciła mu butelkę, którą zręcznie złapał.

- W gardle zaschło... - stwierdził, otwierając butelkę w czasie, gdy Katelynn stawiała dwa kubki na stole. - A ty co, nie z nami?

- Rachel powiedziała, że to specjalny napitek, i że nie jest dla mnie... - Katelynn udawała, że czuje się z tym bardzo źle.

- Specjalny, powiadasz? To dobrze.

Strażnik nalał sobie pełen kubek, upił łyk i jego twarz rozjaśniła się.

- Brandy! - zawołał i ponownie sięgnął po butelkę.

- Moja kolej! - powiedział drugi, wyrwał butelkę i napełnił swój kubek.

Potem we dwóch popijali herbatkę z brandy i trucizną i wyglądali jak najszczęśliwsi ludzie na ziemi.

- No, to co jeszcze mamy w komplecie? - zainteresował się zabawowo pierwszy strażnik. - Tak w ogóle, to jestem Alan.

- A ja Patrick - dodał drugi.

Obiecane dziesięć sekund już dawno minęło, a entuzjazm nie opuszczał strażników i Katelynn ponownie ogarnął mętny niepokój. Spróbowała wyobrazić sobie, jak zwykle radziła sobie z nimi Rachel. Obraz był taki, że o mało nie zwymiotowała, ale zmusiła się do grania razem z nimi.

- A co jeszcze jest w komplecie? - zapytała jakby od niechcienia.

- A wszystko - powiedział Patrick i uśmiechnął się lubieżnie.

- Wygląda na to, że Rachel jest bardzo hojną dziewczyną - odparowała Katelynn. - Ale ja taka nie jestem.

- No, no... Tramwaju się, kuźwa, doczekasz - zarżał Alan i ze zdziwieniem zajrzał do swojego kubka: w jego głowie powstała dziwna lekkość.

Patrick sięgnął po dziewczynę, pieszczotliwie, ale silnie złapał ją za talię i posadził sobie na kolanach. Katelynn spanikowała, ale na razie pokazywała tego po sobie. Spróbowała wydostać się z łap Patricka, które władczo wodziły po jej piersi, a teraz mocowały się z guzikami kombinezonu. Alan ponownie zarżał.

- Cicho bądź, koleś! - powiedział. - Nikomu się nie spieszy.

Każde dotknięcie działało na Katelynn niczym oparzenie: skóra płonęła ze wstydu. Ponownie spróbowała wstać, ale Patrick szczęśliwy korzystał z tego, wsuwając jej łapę między nogi.

- Nie! - krzyknęła dziewczyna.

Śmiech Alana nie wydawał się już być przyjaznym.

- Ty co, zapomniałaś, że jesteś niewolnicą? - powiedział, pochylivszy się lekko w przód.

Jak na ironię, te słowa nagle uspokoiły Katelynn: Alan wymówił je z trudem; język miał zaplątany jak po długiej popijawie. Przestała się wyrywać, na sekundę zwodząc czujność strażnika i z całej siły zdzieliła mu łokciem po skroni. Patrick dziwnie jęknął i zwiotczał.

Alan z trudem podniósł się na nogi, ale podłoga uciekła mu spod nóg, a widok wywarł piorunujące wrażenie: strażnik jakby patrzył w długi i wąski tunel; tak się zdarza, kiedy spojrzysz przez binokle ze złej strony. Upadł i z okropnym trzaskiem rąbnął o stół podbródkiem. Z rany na wszystkie strony bryzgnęła krew i Alan padł na podłogę bez czucia.

Katelynn wstała i doprowadziła się do porządku. Nie mogła pozbyć się wrażenia, że dopiero co została zgwałcona. Strażnicy leżeli w głębokim otępieniu, równo oddychając i poruszając gałkami ocznymi. Walczą z chęcią kopnięcia ich tak od serca, dziewczyna przeszła obok i otworzyła drzwi do karceru, gdzie na brudnym materacu, twarzą do ściany, leżał Euan. Serce Katelynn prawie się zatrzymało, kiedy zobaczyła, że cały tył jego głowy jest pokryty zaschniętą krwią.

Listonosz leżał bez ruchu, ale, zbliżywszy się, z ulgą zobaczyła, że oddycha.

- Euan? - dziewczyna potrząsnęła go za ramię.

Mężczyzna zamarł i gwałtownie się odwrócił, o mało nie zderzając się z nią czołem. Katelynn jęknęła. Sądząc po wszystkim, pułkownik Mazers nie miał u nich poważania i jego prośba o delikatne obchodzenie się z Euanem, jak to się mówi, została olana: twarz Euana zamieniła się w jednego wielkiego siniaka, wargi i lewe oko spuchły.

- Boże! - wyrwało się Katelynn.

Dotknęła palcami jego twarzy. Euan patrzył na nią niczego niewyrażającym wzrokiem.

- Euan, powiedz coś!

- Co się stało? Skąd się tu wziąłem?

Katelynn westchnęła ze strachu. Nie pamiętał!

- Uderzyłam cię Euan. Przepraszam!

Euan gwałtownie usiadł na łóżku, nie zwracając uwagi na ból przenikający przez całe ciało, i spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Ty to zrobiłaś?

- Nie, nie to! - wykrzyknęła dziewczyna, pokazując na jego twarz. - Ja tylko walnęłam cię latarką, żeby nie zabili cię na miejscu.

Euan zamrugał, próbując odtworzyć w pamięci wydarzenia.

- Dlaczego mam wrażenie, jakbym wpadł do studni?

- Z pewnością żołnierze pobili cię, kiedy byłeś nieprzytomny.

Oczy Euana wypełniły się determinacją i gniewem.

- Nie cierpię tego miejsca! Tutaj jest do kitu! - powiedział gwałtownie, prawie jak dziecko.

Katelynn kiwnęła głową na znak zgody.

- Wymyśliłam, jak możemy uciec. I znalazłam Michaela i Gwen. Nic im nie grozi.

Euan zszokowany wpatrzył się w dziewczynę.

- Żyją? Gdzie oni są?

- Niedługo będą u Cury. Wyciągnięcie ciebie będzie trudniejsze. Będziemy mieli tylko jedną szansę, więc słuchaj uważnie. Jutro w czasie sądu przyznasz się do winy.

- Jakiej winy? - spytał zmieszany Euan.

- Zabicia strażnika, który próbował cię zastrzelić.

- A... No dobra, temu, chyba, jestem winien.

Katelynn poważnie się obawiała, że Euan nie jest sobą, ale odegnała te myśli.

- Weź to. - Podała mu nóż. - Chowaj go do momentu, aż zaczną wykonywać wyrok, a wtedy puść go w ruch. Będziemy czekać.

- Dlaczego nie mogę uciec teraz?

- Musiałbyś siłą przebijać się przez tunele, zrobimy hałas, a Michael i Gwen jeszcze nie dotarli do celu. Uwolnimy cię, kiedy będą bezpieczni.

- "UwoliMY"?

- Tu są podziemia i mają na tej stacji dobrą komunikację. Najważniejsze, żebyś był gotowy w odpowiednim momencie.

Objęła go, żalując, że nie może przy nim zostać, ale wtedy z korytarza doszedł odległy hałas.

- Idź - powiedział Euan.

Ze ściśniętym sercem, zamknęła drzwi i jednym haustem dopiła resztki herbaty.

Pułkownik Mazers wszedł do pokoju, niespiesznie rozmawiając z dwoma patrolowymi, wykonującymi obchód korytarzy. Zobaczywszy rozpostarte ciała strażników, patrolowi rzucili się ku nim. W tym czasie pułkownik pochylił się nad Katelynn i zbadał jej szyję. Zobaczywszy, że puls jest równy i silny, pstryknął palcami, zwracając się do żołnierzy:

- Szybko do koszar, ściągnijcie zmienników!

Jeden z patrolowych pobiegł, a drugi odsunął każdego ze strażników na bok i podłożył im pod głowy zwinięte mundury.

- Ja też połącz, tylko ostrożnie - rzekł pułkownik pokazując na Katelynn i otworzył drzwi do karceru, żeby sprawdzić Euana.

Więzień patrzył na niego pustym wzrokiem. Mazers pytająco uniósł brew, ale i tak nie doczekał się odpowiedzi.

- Z aresztowanym wszystko w porządku - stwierdził pułkownik zamykając drzwi i, niezauważalnie dla stojącego nieopodal żołnierza, kiwając głową do Euana. Ten, odczekawszy chwilę, kiwnął w odpowiedzi.

Pokój, w którym mieli sądzić Euana, był ciasny. Ledwie mieściły się w nim trzy stoły: dla przewodniczącego pułkownika, kapitana-prokuratora i kapitana-obrońcy. Ściany niedawno pomalowano na czerwono, a podłoga wypolerowana na błysk.

Euana przyprowadzono w kajdankach i pod nadzorem, ale nikt nie palił się do szukania winnego.

Przewodniczący pułkownik spojrzał na niego obojętnie, a Euan wreszcie się przekonał, że to cały sąd - jakieś przedstawienie. Oskarżyciel wstał i zwrócił się do pułkownika:

- Ten człowiek został wczoraj złapany po tym, jak zabił żołnierza, odprowadzającego zwłoki niewolnika do miejsca likwidacji. Zabójstwa dokonano na oczach świadków, którzy dali niezaprzeczalne dowody.

Pułkownik skierował wzrok na stół obrońcy. Ten wstał.

- Sir, nie miałem możliwości skonsultowania się z oskarżonym...

Pułkownik bezwiednie wzruszył ramionami:

- Tak więc idźcie, konsultujcie się.

Kapitan podszedł do Euana, a w jego oczach pozwany nie dostrzegł ani śladu współczucia bądź zainteresowania nim.

- Będziesz się upierał - uznają winnym i powieszają; przyznasz się do winy - dadzą wybór pomiędzy stryczkiem i areną.

Euan z zaciekawieniem spoglądał na tego człowieka.

- Czyli tak u was wygląda uczciwy proces?

Nie poruszywszy nawet brwią, kapitan szturchnął Euana pięścią w twarz.

- Dla ciebie to i tak wielki luksus. No, odpowiadaj!

Euan splunął krwią w zadowoloną z siebie twarz kapitana i z przyjemnością patrzył, jak ten wykrzywia się z niesmakiem.

- Winny! - ogłosił głośno Euan. - Zrobiłem to i, jeśli będę mógł, zrobię ponownie!

Obrońca otarł oblicze i podniósł na Euana zimne oczy mordercy.

- Kapitanie... - powiedział pułkownik cicho, ale pewnie.

Na policzkach tego uwydatniły się kości policzkowe, ale wziął się w garść, wrócił na swoje miejsce i usiadł przy stole. Oskarżyciel pytająco mruknął do swojego kolegi i zwrócił się do Euana:

- Szczerze wyznanie daje ci możliwość wybrania swojego losu: albo śmierć przez powieszenie, albo dożywanie występy na arenie.

- I co tam jest, na arenie?

- Walki gladiatorów przed publiką. Będziesz walczyć znów i znów, aż nie umrzesz.

"To za to, że nie uratowałem Julii" - błysnęło w głowie.

- Będę walczył - powiedział na głos.

Pułkownik skinął i ogłosił:

- Zebranie zamknięte. Zabrać go do Thomasa.

Rozdział 18

CIEMNOŚĆ

Arena składała się z czterech studni głębokich na trzy metry, wykopanych przez niewolników przy pomocy kilofów i motyk i wyposażonych w prymitywny system kanalizacji: po bokach podłogę obniżało się i tam były w niej zrobione dziury, zakryte metalowymi kratkami. Ściany regularnie i dokładnie myto, ale i tak plamy krwi wszędzie je ozdabiały; jeszcze większe plamy na stałe wsiąknęły w betonową podłogę. Metalowa siatka na stalowych prętach otaczała studnie, tylko w jednym miejscu zostawiając wejście na arenę. Za siatką, między studniami, znajdowały się miejsca stojące dla widzów. Betonową podłogę także pokrywały ślady krwi i śmieci, pozostałe z poprzedniego występu. Z sufitu zwisały lampy z wiadrami zamiast abażurów, zalewające słabym, pomarańczowym światłem wszystko, za wyjątkiem studni - tam były skierowane inne lampy, znacznie jaśniejsze.

Wokół było zimno i martwo. Ściany szebrały, wytarte przez wiele brudnych pleców i nieumytych rąk; w stęchłym powietrzu zapachy mieszkańców tuneli mieszały się z głębokim oddechem otchłani, leżącej głęboko pod nogami.

Arena była pusta. Znajdowali się na niej tylko dwaj niewolnicy - jeden zbierał śmieci, drugi mył podłogę - i pulchny, łysiejący człowiek w okularach z grubymi oprawkami: on garbił się nad stołem nad stertą kartek i coś niewyraźnie mamrotał pod nosem. Zauważywszy pułkownika Mazersa i Katelynn, okularnik oderwał głowę od papierów.

- W czym mogę pomóc? - zapytał, zerkając na pułkownika.

- A to się zaraz zobaczy - odparł ten ze źle skrywanym obrzydzeniem. - Potrzebny mi Thomas.

- Nie ma go - oznajmił człowiek, zaraz zapomniał o przybyłych i wrócił do poprzedniego zajęcia.

Mazers odczekał kilka sekund, po czym zakrył dłonią kartki na stole i człowiek ponownie uniósł głowę, przestraszony i zdenerwowany.

- Gdzie on jest? - zapytał pułkownik siląc się na uprzejmość.

Człowiek zamrugał i pokazał na jedno z wyjść.

- W drugim gabinecie - wymamrotał. - Coś zrobił?

Mazers nie był skory do odpowiedzi i dał znak Katelynn, żeby szła za nim. Patrząc w ślad za nimi, urzędnik otworzył usta, żeby o coś spytać, ale, zastanowiwszy się, zamknął je i z powrotem pochylił się nad papierami.

Opuściwszy arenę, Mazers i Katelynn ruszyli po ciemku korytarzem, obok drewnianych drzwi, osłoniętych stalowymi panelami, aż nie dotarli do drzwi, na których była napisana farbą gruba cyfra "2". Bez wahania pułkownik zastukał pięścią w nierówne żelazo drzwi, a z tamtej strony dało się słyszeć niezadowolony krzyk.

- Kto się dobija?

- Mazers - z chytrym uśmiechem odparł wojskowy i, odwróciwszy się do Katelynn, dodał: - Pracuje po nocach, a w dzień śpi i bardzo nie lubi, kiedy się go budzi.

Drzwi otworzyły się i na progu pojawił się wysoki, ciemnoskóry człowiek, zarośnięty gęstą brodą. Miał na sobie mocno znoszone spodnie zawiązane sznurem i ciężkie buty; mrugając zaspany, naciągnął przez głowę dziurawą, szarą koszulkę, która, zapewne, niegdyś była czarna.

- Pułkownik, jakże mi miło! - powiedział Thomas, szeroko uśmiechając się do Mazersa i jeszcze szerzej do Katelynn.

- Thomas, mam do ciebie prośbę...

- Tak, tak... - odezwał się ten i bliżej przyjrzał się dziewczynie. - W tancerce?

- Nie, potrzebna jest jej inna praca.

- Dokładnie? A po okruszkach wszystkie dane...

Pułkownik odkaslnął.

- A, dobra, jak mówisz... - machnął ręką Thomas i mrugnął do Katelynn, która stała z otwartymi z oburzenia ustami. - Jaka praca?

- A to sam już osądzisz, a ja znikam. - Pułkownik odwrócił się do nich plecami.

- Ach, jaka praca... Cholera, pamiętasz, jak nie raz mi się w przeszłości przez ciebie oberwało?

Mazers obrócił się i srogo spojrzał na Thomasa.

- W moich oczach nadal jesteś mi dłużny i nie prędko się wypłacisz.

Ten pokornie westchnął, a pułkownik zwrócił się do Katelynn:

- Powodzenia, dziewczyno! Mam nadzieję, że zobaczymy się w lepszych czasach... - i odszedł, nie oglądając się.

Thomas patrzył mu w plecy, aż nie skrył się za rogiem, a potem znowu szeroko się uśmiechnął do dziewczyny:

- Może jednak tancerką?
- Nie ma takiej opcji!
- Moją robotą jest zapytać. Mamy tutaj dziewczyny, nie wymazane w gównie - wielka rzadkość.
- Bardzo miły komplement - zażartowała Katelynn.

Thomas uśmiechnął się, tym razem całkiem szczerze.

- No co, dużo będziesz się tu kręcić?
- Na razie nie wiem.
- Oczywiście. Głupie pytanie - głupia odpowiedź. To jaka robota jest ci potrzebna?

- Jakakolwiek. Żeby tylko stać przy ogrodzeniu, kiedy zacznie się walka.

Thomas zmrużył oczy:

- Mówią, że jest tu gość, który zestrzelił żołnierza, był z dziewczynką. Wygląda na to, że z tobą. To było stwierdzenie, a nie pytanie, dlatego Katelynn stwierdziła, że może nie odpowiadać.

Thomas spojrział na nią inaczej, niemal z szacunkiem.

- Wszystko jasne. Zrobię z ciebie pałkarkę. Tylko miej na uwadze, że kiedy walka się zacznie, mnie tu nie będzie.

- A co robi pałkarka?
- Jak to co, pałuje! - odparł Thomas i uśmiechnął się na widok wyrazu jej twarzy. - Tak, mamy paskudne rozkazy, ale nie można pozwolić, żeby uczestnicy opuścili ring w czasie zawodów.
- Co to za zawody? To zwyczajna rzeź!
- Nazywaj jak chcesz, ale ludziom to potrzebne, a to znaczy, że nie wszystko jest na próżno.

Katelynn pokręciła głową:

- Ci, którzy są na waszej arenie, też są ludźmi.
- Nie będę się kłócił, są też ludzie. Ale przede wszystkim - dwunożne zwierzęta, w których tak mało zostało człowieczeństwa, że lepiej by szczekali i biegali i szczekali na czworakach.
- Kim jesteś, że ich możesz sądzić? - spytała zła dziewczyna.

- Przyglądam się im każdego dnia. Widzę, jak okradają się nawzajem, biją się do śmierci z powodu drobiazgów.

- Ale nadal są ludźmi - uparcie powtórzyła Katelynn, ale własne doświadczenie z wędrowania po tunelach przyszło jej do głowy i jej słowa nie brzmiały już tak przekonująco.

Thomas postanowił nie kontynuować kłótni.

- Rozumiem, że twój przyjaciel jest z tych, za których nie szkoda oddać życia?
- I życia, i nawet więcej - powiedziała dostojnie Katelynn.
- Wygląda na to, że zrobisz tu dzisiaj zamieszanie... Dobra, robota jest twoja, a ja odwiedzę przyjaciół na innej stacji. Na dowolnej innej stacji... Chodź za mną.

Zaprowadził Katelynn z powrotem na arenę i, jakby od niechcienia, zwrócił się do człowieka za stołem:

- Wydaj pałkę, postaw przy ogrodzeniu i nie zadawaj pytań.
- Człowiek podniósł pulchny palec.
- Dobrze, jedno pytanie uznam.
 - Odwiedza pan dziś przyjaciół, szefie?
 - Tak, coś powoduje taką chęć.
 - Cholera...

Człowiek smutno opuścił rękę i spuścił głowę. Thomas odwrócił się do dziewczyny.

- Piękna, posiedź na razie w moim pokoju. Tylko niczego nie zepsuj.

I odszedł.

- Weź pałkę ze ściany - rozległ się głos urzędnika. I, bądź tak dobra, załóż to - podał jej pobrudzoną, jaskrawo-żółtą kamizelkę z napisem "OCHRONA" na plecach.

- Dziękuję - powiedziała Katelynn, ale człowiek przerwał jej.
- Nie musisz mi dziękować. Stój przy ogrodzeniu, nie ruszaj się z miejsca i, na miłość boską, nie zbliżaj się do mnie.

Katelynn otworzyła usta, ale człowiek protestacyjnie uniósł dłoń.

- Thomas zrobił dla mnie wszystko i załatwił mi tę robotę, ale, na Boga, twoi bracia go zgubią! Zamilkli.
- Wiesz, gdzie jest jego pokój? Tam nikt cię nie będzie niepokoił, dopóki nie zawołam cię do wyjścia.

Katelynn w ciszy odwróciła się i odeszła.

Nie spała i słuchała dalekiego dźwięku tłumu, kiedy zapukano do drzwi.

Katelynn założyła kamizelkę, chwyciła ciężką pałkę i otworzyła drzwi. Okrągłutki człowiek pochylił się w szyderczym pokłonie i machnął ręką do przodu, w kierunku areny.

Obszar dla publiczności był wypełniony żołnierzami i mieszkańcami stacji. Cały tej ludzki ul niecierpliwie wrzał w oczekiwaniu na nieuchronną rzeź. Katelynn przeszła przez tłum, rozstępując się na widok żółtej kamizelki, i podeszła do ogrodzenia studni. Z innych stron stały jeszcze dwie osoby w takich samych kamizelkach. Kiwnęli głową do Katelynn i wrócili do rozmów ze swoimi znajomymi z publiki.

Katelynn stała w oczekiwaniu, aż gospodarz nie ogłosi rozpoczęcia walki. Stojąc pośród ryczącego tłumu, czuła się niepokojąco samotnie. Pałka niepewnie wisiała w ręce, a ciężar wątpliwości naciskał na serce.

- Panie i panowie!

Na arenę wyszedł gospodarz - wysoki człowiek w wytartym garniturze. Głos miał czysty, pewny i bez wysiłku przekrzykiwał wrzeszczący tłum, ale jednak zrobił wieloznaczną pauzę, żeby ryk się zatrzymał.

- Dzisiaj przygotowaliśmy dla was niezwykle widowisko: skazanego mordercę z dzikiej północy! Barbarzyńcę, który ośmielił się wkroczyć do naszego kochanego domu i odebrać życie odważnemu żołnierzowi, pełniącemu służbę naszemu narodowi!

W jego głosie brzmiało sprawiedliwe oburzenie, a tłum odpowiedział wściekłym rykiem. Gospodarz teatralnym gestem uniósł rękę i Euana wprowadzono do studni, pod wytykanie i huczenie widzów. Katelynn nie wiedziała, czy ją zauważył, ale na wszelki wypadek starała się nie rzucać w jego oczy.

Do studni rzucono linę, ale Euan nie ruszył się z miejsca.

- Złaz sam, albo ci pomogą! - krzyknął gospodarz. - Wybieraj, morderco!

Euan chwycił za linę i zsunął się do zabryzanej krwią studni.

- A jako przywracający sprawiedliwość wystąpi dziś ulubieniec tłumu... - Gospodarz zrobił pauzę, rozgrzewając niecierpliwą publikę. - Sierżant...

Ale nie zdążył dopowiedzieć. Katelynn wychwyciła w tłumie znajomą twarz: Peter machnął ręką i w powietrzu, pod samą lampą, mignął pulchny granat hukowy. Dziewczyna upadła na podłogę, zatykając uszy i otwierając usta, jak uczył ją Mazers. Kątem oka zdążyła zauważyć, że Euan ze zdziwieniem spojrział na nią - i także padł plackiem.

Granat eksplodował nad tłumem i w ciasnym pomieszczeniu z betonowymi ścianami wybuch okazał się silniejszy od zwykłego. Wielu widzów, ogłuszonych wybuchem, upadło tam, gdzie stało i nawet Katelynn, która zdążyła się przygotować, o mało nie odpadły uszy. Walcząc z zawrotami głowy, wstała, trzymając się ogrodzenia, i pokuśtykała do liny, której jeden koniec dalej zwisał w studni. Na dole Euan niepewnie podniósł się na nogi, trzymając się za głowę. Katelynn miała wielką nadzieję, że, leżąc trzy metry niżej od pozostałym, nie był ciężko ranny.

- Szybko! - wykrzyknęła, przekrzykując dzwonienie w uszach.

Jeden z żołnierzy zauważył ją i spróbował wstać. Krew ciekła mu z uszu i kapłała na mundur. Katelynn uderzyła go w głowę pałką, upadł i więcej się nie podnosił.

Euan złapał się za linę i z trudem wszedł na górę. Ręce nie słuchały listonosza i niemal niczego nie słyszał. Kiedy tylko mężczyzna dotarł na górę, Katelynn złapała go za kołnierz i wyciągnęła ze studni.

- Dziękuję - powiedział, nie słysząc własnego głosu.

Z dymu wypłynął do nich drugi strażnik. Nie mówiąc ani słowa, podniósł lufę i wystrzelił.

Kula przeszła o cal od twarzy Euana. A potem listonosz wsadził nóż, ukryty w kieszeni Katelynn, w podbródek żołnierza - od dołu do góry.

W korytarzach nie było żywej duszy: ci, który nie poszli na arenę, postanowili spędzić wieczór jak najdalej od niej. Trzymając się ściany i siebie nawzajem, Euan i Katelynn jak szybko mogli, kuśtykali do przodu. Skręciwszy za rogiem o mało nie wpadli na dwóch patrolowych. Panika ścisnęła gardło dziewczyny, a Euan zdrętwiałymi palcami pociągnął za pazuchę, gdzie skrywał się nóż.

Żołnierze zaśmiali się i ogłuszonej Katelynn wydało się, jakby ich śmiech dochodził z głębokiej beczki.

- Mam nadzieję, że zostawiliście nam chociaż browarka? - powiedział drugi, a drugi leniwie machnął ręką do Euana:

- Nie przejmuj się dokumentami, tylko na nas nie nakabluj.

Żołnierze zarzeli i zniknęli za zakrętem.

W ustalonym miejscu Petera nie było widać i Katelynn zdążyła się zaniepokoić nie na żarty. W pustych korytarzach słyszalność była dobra, a ich podróż dopiero co była daleka od bezszelestnej. Jednakże po chwili niewolnik wyszedł z ukrycia z pistoletem w ręce. Poznawszy ich, wetknął brń za pas.

- Ty jesteś Euan? - zapytał.

Podali sobie ręce.

- To twoje - oznajmił Peter, podając srebrny amulet.

- Dziękuję! - wykrzyknął Euan.

Peter wzdrygnął się i przycisnął palec do ust.

- Nie drzyj się - powiedział. - Musimy przejść na Piccadilly Line. Jeśli ktoś trafi się po drodze, ja będę mówił, a ty postaraj się nikogo nie zabić.

Euan nie rozumiał, po co była ta prośba, ale posłusznie podążył za przewodnikiem przez zadymiony korytarz, wiodący do stacji spalnej.

Nadal nie mógł uwierzyć, że jego dzieci są wolne i na drodze do ocalenia, a śmierć Julii była wielkim ciężarem na duszy. Nie zasłużyła na taką śmierć pośród obcych ludzi...

Peter zatrzymał się.

- Przed nami stacja. Musimy pójść torami na północ. Powiem, że chciałeś sprawdzić swoje siły na arenie, ale przegrałeś walkę kwalifikacyjną i wracasz do domu.

Euan nie kłócił się: nagle poczuł, że naprawdę przegrał swoją walkę.

- Ty jesteś jego kochanką - kontynuował niewolnik. - Walczący często ciągną ze sobą młode dziewczyny. Przed wszystkim, nie wtrącajcie się, ja będę mówił.

Wkroczyli na stację. Przy peronie stał skład pięciu wagonów i dwóch ręcznych drezyn. Niewolników w pobliżu nie było widać i wokół snuli się żołnierze: rozdzielwszy się na kilka grup, napełniali trzy środkowe wagony składu skrzyniami z pomarańczowymi naklejkami "MATERIAŁY WYBUCHOWE". W pobliżu leżały skrzynki mniejsze, z amunicją. Na drugim końcu stacji jakaś kobieta rozmawiała z wartownikami.

- To Alice - powiedział Peter. - Nie ma chusty. Nie ma chusty!

Euan i Katelynn zaraz odwrócili głowy, ale Peter ruszył przed siebie, celowo blokując im widoczność.

- Nie wydziwiającie! Nie pokazujcie, że ich znacie - syknął i dodał głośno: - Tak, dzieci! Może nie będziemy musieli dalej iść pieszo.

- Alice? - zapytał szeptem Euan.

- Miała odwieźć twoje dzieci na inną stację - wyjaśniła Katelynn. - Jeśli wszystko dobrze poszło, to powinna mieć chustę...

Euan zbladł od nagłego ataku mdłości, a jego nogi zdrząły.

- Miała? Co znaczy...

Wartownicy odwrócili głowy w kierunku nowych gości stacji, a Katelynn ogarnęło wrażenie, że zjawili się tu w złym momencie. Spróbowała się przyjrzeć, kto stał przy Alice i serce podskoczyło w piersi, kiedy zobaczyła dwie, kruche, dziecięce sylwetki.

Do Petera podszedł oficer, zatrzymując go gestem.

- Nie, nie, pan tu nie może wejść. To transport wojskowy. W tył zwrot - powiedział zmęczony i z obojętnością.

Niewolnik wyciągnął z kieszeni dokumenty i podał je oficerowi. Ale jego uwaga nagle skierowała się na Euana i jego obitą twarz.

- Mamy przepustki... - zaczął Peter, ale oficer uniósł rękę, każąc mu zamilknąć.
- Kto cię tak urządził? - zapytał z zaciekawieniem Euana.
- Wczoraj próbował dobrowolnie dostać się do turnieju i przegrał - wyjaśnił Peter.

Oficer obrócił się i pchnął go pięścią w pierś.

- Nie z tobą rozmawiam, więc milcz!
- Dokładnie - przemówił Euan rozbitymi wargami. - Przegrałem.
- Byłem wczoraj na arenie - zmrużył oczy oficer, - ale ciebie jakoś nie pamiętam. Jak masz na imię? I kto się pokonał?

Euana ogarnęła panika: pojęcia nie miał, co odpowiedzieć. Katelynn zauważyła, jak ręka przyjaciela sięgnęła po nóż i mocno go złapała.

- Wybacz, sir, po wczorajszym nie jest do końca sobą...
- Kapitanie, jeśli pan pozwoli... Przegrał z Murphy'm, już w pierwszej rundzie - powiedział cicho Peter, dalej podając oficerowi dokumenty.

- Murphy? - gwizdnął kapitan, przyjmując papiery z rąk Petera.

- Tak. To była krótka walka.

Głos Petera brzmiał bardzo przekonująco i kapitan, przekartkowawszy dokumenty, pokiwał głową.

- Cóż, bardzo wiarygodne dokumenty - stwierdził i uśmiechnął się do Petera. - Dobra robota.

- W jakim sensie, sir? - zapytał ten, przedstawiając szczerze zaskoczenie.

- Dokumenty, mówię, nie odbiegają od prawdziwych. Nawet nie wiem, jak wam się to udało.

Coś wyraźnie szło nie tak. Katelynn nie mogła zrozumieć, gdzie się pomylili. Ręce jej zadrżały i zaraz Euan objął ją, od czego dziewczynie zrobiło się trochę lepiej.

- Problem jest taki, że Murphy to mój brat. Wiem, z kim walczył i niech mnie poćwiartują, jeśli to byłeś ty!

Z tymi słowami kapitan triumfalnie sięgnął do kabury, ale Peter, zbladły, zdzielił mu pięścią w twarz i krzyknął do swoich towarzyszy:

- Biegnijcie, głupcy!

Nie myśląc ani sekundy, Katelynn złapała Euana za rękę i zeskoczyła razem z nim na tory, gdzie nie byli takim łatwym celem dla żołnierzy. W biegu Euan złapał czyjś automat oparty o ścianę.

- Stać!

- Wracać!

Nie wracając uwagi na krzyki, pobiegli ku zbawiennemu mrokowi tunelu. Za nimi rozległy się strzały, Katelynn krótko westchnęła i wtedy zagrzmiął donośny głos dowódcy:

- Nie strzelajcie, barany! W pociągu jest dynamit, do jasnej cholery! Szybko, za nimi!

Ale Euan i Katelynn już zanurkowali w tunelu i zniknęli z pola widzenia.

- Biegnij, nie zatrzymuj się - krzyknęła ledwie dostrzegalna sylwetka Katelynn.

Euan biegł, starając się dokładnie stawiać kroki na podkładach, jak gdyby dostarczał pocztę u siebie, w Glasgow. Na czas ciemność zupełnie ogarnęła ich ze wszystkich stron, potem przecięła ją nagle latarka jednego z prześladowców i wiązka światła wściekle miotła się po torach i ścianach. Zrozumiał, że uciekinierzy są daleko, żołnierze otworzyli na oślep ogień. Błyski wystrzałów majaczyły ze strony stacji, a kule świstały wokół, niczym dokuczliwe komary.

- Chyba się odczepili! - powiedziała z wahaniem Katelynn gdzieś z tyłu.

I wtedy krzyknęła zmęczona.

On wrócił zaniepokojony - i potknął się o jej ciało, boleśnie padając na podkłady.

- Katelynn? - wyszeptał, podnosząc się na kolana obdarte do krwi.

Ta nie odpowiadała. Euan spróbował wyczuć puls na nadgarstku, niczego nie znalazł i przyłożył dwa palce do gardła.

Nic. I wtedy krzyknął, zapominając o wszelkiej ostrożności:

- Katelynn!!!

Przyłożył ucho do jej ust i nie usłyszał oddechu, ale ręka, którą przytrzymał jej głowę, nagle zmokła. Euan wymacał skraj rany po kuli na piersi, skąd ciekła pierś.

- Katelynn... - wyszeptał w ciemność.

Dziewczyna nagle zacharczała i zakaszłała, drżąc całym ciałem.

- Euan... - jęknęła. - Alice... Kobieta jest na peronie... Twoje dzieci...

Żołnierze zatrzymali przy znaku 400 metrów i spróbowali przebić mrok wiązkami swoich latarek.

Siedząc po ciemku i nie wiedząc, dokąd iść, Euan objął Katelynn, po twarz ściekały mu łzy. Była jego ratunkiem w wielu znaczeniach: nie raz uratowała mu życie, niosąc spokój, a nawet miłość. Odzyskała jego dzieci, kiedy on nie był w stanie, a nagrodą za to była kula. Wewnątrz Euana znowu zakręciła się ta otchłań, która ogarnęła go dzień wcześniej, ale tym razem nie zaczął szukać ratunku w szaleństwie, a odpowiedział na jej wołanie.

Czule pocałował Katelynn w usta, delikatnie położył ją obok torów, wstał, wziął w ręce karabin i powoli ruszył na spotkanie czekających żołnierzy. Euan wspomniawszy tych wszystkich, którzy nazywali go błędnym rycerzem i pomyślał, kim nazwaliby go teraz.

Płynnym ruchem uniósł karabin do ramienia i wystrzelił cały magazynek w kierunku czterech latarek. Ludzie, trzymający je, upadli bez jednego pisku. Zatrzymawszy się, żeby szybko podciąć gardło każdemu z czwórki, zmieniawszy magazynek znalezionym u jednego z zabitych, Euan ruszył dalej.

Przy wejściu na stację stali jeszcze dwaj i czekali, kiedy przyjdą posiłki z reflektorem. Euan wystrzelił obu w twarze i patrzył, jak ich ciała, niczym w zwolnionym tempie, zwały się na tory. Skrywszy się za pociągiem, spróbował dostrzec kobietę z dziećmi. Kapitan krzyczał: "Kurwa mać, nie strzelajcie!", ale żołnierze widzieli, jak umierali ich towarzysze i wiedzieli, że ich zabójca jest całkiem blisko, chowając się za wagonami.

Euan wycelował i zdjął jeszcze trzech pojedynczymi strzałami. Pozostali zrozumieli, że są na widoku i skryli się za skrzyniami na peronie. Dwaj żołnierze i oficer oddzielali Euana od kobiety o imieniu Alice.

- Oddajcie mi moje dzieci! - krzyknął.

- Poddaj się, jesteś okrążony! - odpowiedział kapitan, nie rozumiejąc, że rozmowa z człowiekiem w ciemności nie ma sensu.

- Oddajcie dzieci, gnoje! Nie chcę niczego więcej!

Euan przesunął się za drugi wagon w poszukiwaniu lepszej pozycji i wziął na muszkę oficera.

Obok niego odbiła się rykoszetem kula, akurat w momencie, kiedy naciskał na spust. Ręka Euana drgnęła i kula poleciała niżej, prosto w skrzynię z pomarańczową naklejką pod nogą kapitana.

W całym londyńskim Metrze ludzi obudziło dziwne kołysanie powietrza: pył nagle uniósł się i spadł, jak gdyby cały system tuneli był częścią jednego, gigantycznego płuca. Następnie z dudnieniem zadrżały kamienie, jakby skurcz przebiegł po ścianach podziemnych labiryntów i, na koniec, basem huknął odgłos dalekiego wybuchu.

Ludzie na peronie oślepli od jasności eksplozji i zaraz zostali powaleni przez falę uderzeniową. Żołnierze z taką siłą polecili na ściany, że w tych miejscach, gdzie uderzyły ich ciała, płytki pokryły pęknięcia. Dach na stacji zawalił się, zawalając korytarze wiodące na powierzchnię.

Wagon, za którym schował się Euan, uratował mu życie. Przewróciwszy się, przyjął na siebie główne uderzenie fali uderzeniowej, potem zakrył go, osłaniając przed spadającymi kawałkami dachu. Po kilku sekundach mężczyzna ocknął się w ciemności. W uszach ogłuszająco mu dzwoniło, ale domyślił się, że wokół panuje kompletna cisza. Ostrożnie wypełził spod wagonu i przysłuchał się, mając nadzieję rozróżnić jakiejkolwiek dźwięki, ale wkrótce się poddał: dzwonenie było nie do pokonania. Potem zauważył wiązkę światła w tym końcu tunelu, skąd wyszedł na stację. Wróciwszy tam, Euan podniósł z podłogi latarkę jednego z zabitych przez niego żołnierzy. Latarka mrugnęła: baterie przeżywały swoje ostatnie minuty. Euan wspiał się na stertę kamiennych odłamków w tym miejscu, gdzie stali oficer i kobieta i gdzie doszło do wybuchu. Długi czas przekopywał się przez kamienie, na próżno próbując odnaleźć w gasnącym świetle latarki jakiejkolwiek ślady życia. W końcu jego ręka wymacała coś ciepłego. Złapał za czyjś nadgarstek, wystający spod sterty kamieni.

Czyjaś cienką, zakrwawioną, pozbawioną życia rękę.

Łzy spływały po policzkach Euana i ochryply ryk umierającego zwierzęcia wyrwał się gdzieś z pierwotnej głębi, której istnienia sam nie podejrzewał. Euan słyszał ten nieludzki wrzask gdzieś w oddali i nie od razu zrozumiał, że to krzyczy on sam. Ale i wtedy nie mógł przestać.

Latarka zgasła, a razem z nią zgasła i próżna nadzieja. Nadzieja, która wezwała Euana do rozpaczliwej podróży przez niegdyś potężną Brytanię - a teraz, na końcu drogi, krzychał z bólu w mroku pod martwym miastem Londynem.

W tej ciemności z ściany tunelu miękko kroczyła przed ciebie cienka sylwetka. Poruszała się powoli, ale pewnie przy kompletnym braku światła, ostrożnie przebijała się przez brudne kałuże, odłamki i martwe ciała i cicho zamarła przy mężczyźnie, który ciągle trzymał martwą rączkę wystającą spod kamieni, dławiąc się suchymi szlochami.

Łamigłówek Katelynn ułożyła się.

Na dnie pudełeczka była rozpacz. Rozpacz i beznadzieja.

